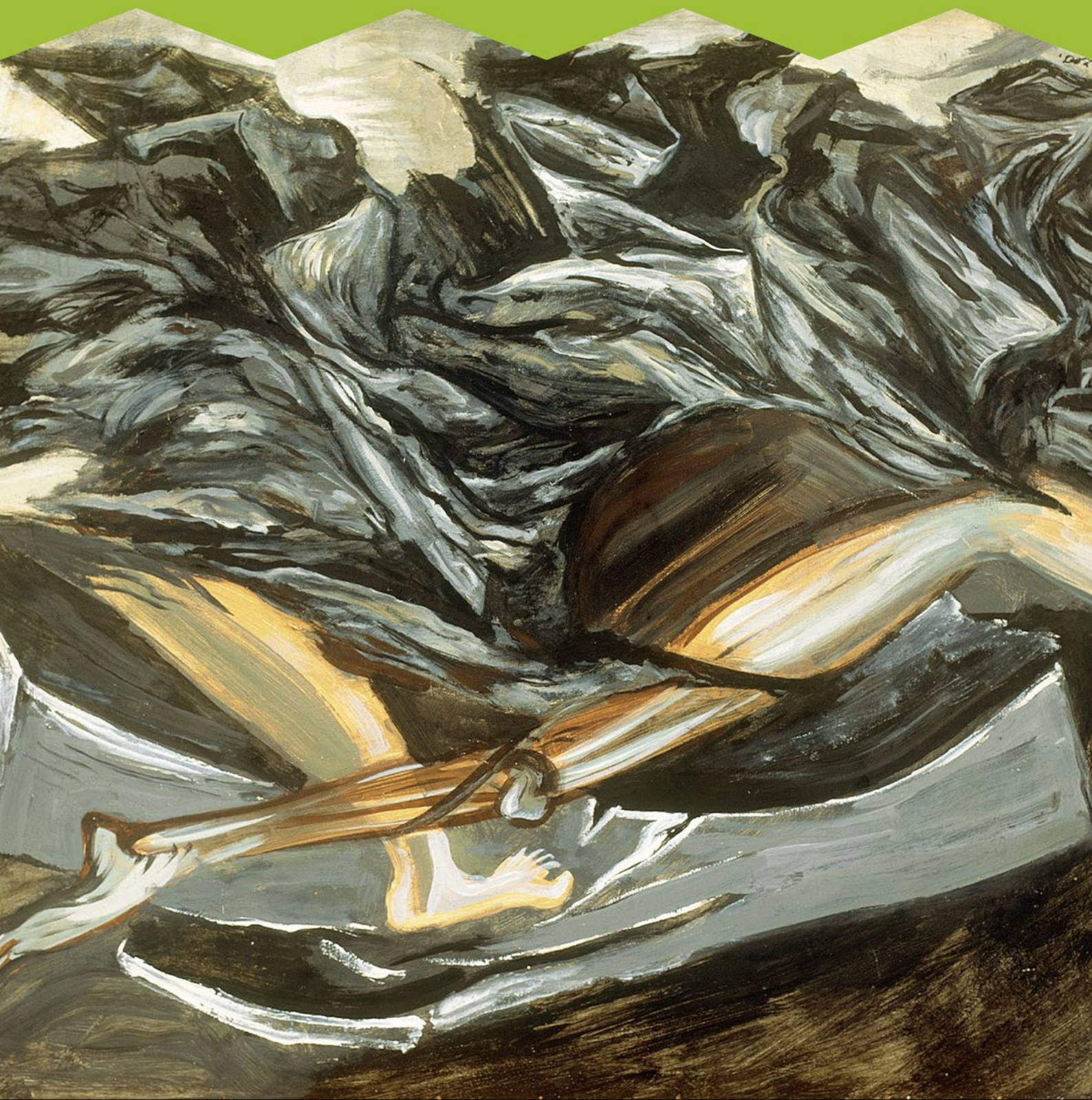


# Tajny agent



JOSEPH CONRAD

# Tajny agent

TŁUM. ANIELA ZAGÓRSKA

*H. G. Wellsowi  
kronikarzowi miłości pana Lewishama  
biografowi Kippsa  
i historykowi wieków przyszłych  
poświęcam z przyjaźnią  
tę prostą opowieść z wieku XIX*

## PRZEDMOWA AUTORA

Poczęcie *Tajnego agenta*: wybór tematu, sposób ujęcia go, cel artystyczny i wszelkie inne pobudki, które mogą skłonić pisarza do wzięcia za pióro — wszystko to, jak mi się zdaje, związane jest z przełomowym okresem mego umysłu i ducha.

Jest faktem niezaprzecznym, że zacząłem tę książkę wiedziony nagłym porywem i pisałem ją bez przerwy. Kiedy w odpowiednim czasie pojawiła się w druku, krytycy zganili mnie za to, że w ogóle ją napisałem. Jedni sądzili mnie surowo, inni nade mną ubolewali. Nie mam przed oczami tych recenzji, ale pamiętam doskonale powtarzający się w nich zarzut — bardzo prosty; pamiętam także swoje zdumienie nad rodzajem tego zarzutu. Wszystko to wydaje mi się teraz zamierzchnią przeszłością! Nie są to jednak czasy bardzo odległe. Muszę stwierdzić, że w roku 1907 miałem jeszcze wiele z swej pierwotnej naiwności. Sądzę teraz, iż nawet ktoś naiwny mógł przewidzieć, co nastąpi, a mianowicie to, że niektórzy z krytyków wezmą za punkt wyjścia plugawe tło książki i jej moralny brud.

Ten zarzut jest oczywiście poważny. Nie wszyscy go jednak wysunęli. W gruncie rzeczy wygląda to niezbyt ładnie, że pamiętam tak nieliczne zarzuty wśród tylu ocen inteligentnych i życzliwych; mam jednak nadzieję, iż czytelnicy niniejszej przedmowy nie przypiszą tego zranionej miłości własnej lub wrodzonemu popędowi do niewdzięczności. Pozwolę sobie nadmienić, że człek wyrozumiały mógłby przypisać tę wrażliwość na negatywną krytykę wrodzonemu mi skromnemu usposobieniu. A jednak niekoniecznie skromność każe mi wybrać owe zarzuty dla wyjaśnienia mej sprawy. Nie, właściwie nie jest to skromność i nie twierdzę wcale, abym się odznaczał skromnością; lecz ci, którzy śledzili moją twórczość, dadzą mi wiarę, iż pewne poczucie przyzwoitości, takt, *savoir faire*<sup>1</sup>, czy ja wiem co jeszcze, powstrzymałyby mnie od wysnucia z ludzkich słów pochwalnego hymnu na własny rachunek. Tak! Wspominam owe negatywne krytyki z zupełnie innej przyczyny. Miałem zawsze skłonność do usprawiedliwiania swych czynów. Nie do ich obrony: do usprawiedliwiania. Nie upieram się, że mam słuszność, tylko po prostu tłumaczę, iż na dnie moich porywów nie było ani złośliwych intencji, ani ukrytej pogardy dla wrodzonej ludzkiej wrażliwości.

Słabość tego rodzaju można by nazwać niewinną, bo jest niebezpieczna z jednego tylko względu: grozi tym, że człowiek może się stać nudziarzem. Świat bowiem nie interesuje się na ogół przyczyną jakiegoś jawnego czynu, tylko jego skutkami. Wbrew mylnym pozorom ludzie nie wnikają w cudze pobudki. Lubią to, co oczywiste. Wzdragają się przed wyjaśnieniami. A jednak wyjaśnień nie zaprzestaną. Jasne jest, że mogłem nie napisać tej książki. Nic mnie nie zmuszało do podjęcia takiego właśnie tematu; używam tu słowa

<sup>1</sup>*savoir faire* (fr.) — zręczność w postępowaniu z ludźmi. [przypis edytorski]

temat nie tylko w zastosowaniu do wątku samej opowieści, ale i w szerszym pojęciu, obejmującym pewien szczególny przejaw w życiu ludzkości. Przyznaję, że mogłem tej książki nie pisać. Lecz myśl stworzenia samej brzydoty jedynie w tym celu, aby zgorzyc lub zaskoczyć czytelników zmianą stanowiska — taka myśl nigdy nie powstała mi w głowie. Stwierdzam to, spodziewając się, że czytelnicy dadzą mi wiarę nie tylko ze względu na zasadnicze rysy mego charakteru, ale również i z tej przyczyny, która dla każdego jest oczywista, że sam sposób ujęcia tematu, że przenikające powieść oburzenie zaprawione litością i wzdargą dowodzi mego oderwania od brudu i plugastwa, tkwiących po prostu w zewnętrznych okolicznościach tła.

Zacząłem *Tajnego agenta* bezpośrednio po dwuletnim okresie, w czasie którego byłem pochłonięty bez reszty pracą nad *Nostrmem*, powieścią o obcym temacie, o atmosferze obcej, latynoamerykańskiej, tudzież pracą nad ściśle osobistym *Zwierciadłem morza*. Pierwsza z tych książek jest zapamiętałym wysiłkiem dążącym do stworzenia powieści, która pozostanie chyba na zawsze moim dziełem o największej rozpiętości; druga zaś usiłuje szczerze wydobyć na jaw głęboką moją zażyłość z morzem i wpływy, które urabiały mnie niemal przez połowę życia, w tym okresie wspomagała mnie w zgłębianiu prawdy bardzo wielka pobudliwość wyobraźni i uczuć; owa pobudliwość, choć na wskroś szczerą i wierną faktom, przyprawiła mnie (już po ukończeniu pracy) o wrażenie, że straciwszy cel z oczu, zagubiłem się wśród zetlałych uczuć w świecie innych, niższych wartości.

Nie umiem powiedzieć, czy istotnie pragnąłem wówczas zmiany, zmiany wyobraźni, wizji i postawy duchowej. Myślę raczej, że choć tego nie czułem, zasadnicza zmiana nastroju już się była we mnie dokonała. Nie pamiętam, aby w owym czasie zaszedł jakiś określony fakt. Ukończyłem *Zwierciadło morza* z pełną świadomością tego, że w każdym wierszu tej książki jestem uczciwy zarówno względem siebie, jak względem czytelnika, i na jakiś czas oddałem się dość przyjemnemu wypoczynkowi. I wówczas to, kiedy tkwiłem jeszcze w miejscu, że się tak wyrażę, i kiedy ani mi się śniło zbaczać z drogi, aby szukać czegoś „brzydkiego”, nastreścił mi się temat do *Tajnego agenta* (mam na myśli powieść, nie dramat) w postaci kilku słów wypowiedzianych przez znajomego podczas jakiejś rozmowy o anarchistach, a raczej o działalności anarchistycznej; skąd ta rozmowa wynikła, już sobie dziś nie przypominam.

Pamiętam jednak, że mówiłem o zbrodniczej jałowości anarchizmu, o jałowości jego doktryny i wprowadzania jej w czyn, o jałowej umysłowości jego wyznawców; o tym, jak nędzną wydaje mi się ta na wpół obłądana poza, podobna do bezczelnego oszustwa żerującego na dotkliwym nieszczęściu i namiętnej łatwowierności rodzaju ludzkiego, który z taką tragiczną skwapliwością dąży zawsze do własnej zguby. Dla tej właśnie przyczyny nie mogłem wybaczyć anarchizmowi jego filozoficznych uroszczeń. Rozmowa zesłała na przykłady z życia i wspomnieliśmy dawną już sprawę zamachu, mającego na celu wysadzenie w powietrze obserwatorium w Greenwich<sup>2</sup> — ów absurd krwawy i tak niepoczytalny, że niepodobna<sup>3</sup> było zgłębić jego przyczyn, czy to rozumując logicznie, czy wszelką logikę odrzucając. Gdyż w obłądnym absurdzie tkwi również specyficzna logika. Lecz nie dało się w żaden sposób pochwycić sensu tego zamachu; pozostał tylko fakt: człowiek rozszarpany na strzępy, przy czym nic nie wskazywało, aby wchodziła tu w grę jakaś idea, czy to anarchistyczna, czy jakakolwiek inna. Co się zaś tyczy murów obserwatorium, nie ukazało się na nich najłżejsze nawet pęknięcie.

Przypomniałem to wszystko memu znajomemu; milczał przez chwilę, a potem rzekł z właściwą sobie obojętnością człowieka, który wie wszystko: „Ależ ten człowiek był na wpół idiotą. Jego siostra odebrała sobie potem życie”. Były to jedyne słowa, jakie zamieniliśmy; oniemiałem na chwilę, zdumiony nieoczekiwaną wiadomością, a mój znajomy zaczął natychmiast mówić o czymś innym. Nie przyszło mi wcale do głowy zapytać później, skąd ma tę informację. Wiem, że wszystkie jego związki ze światem podziemnym polegały co najwyżej na tym, iż może raz w życiu widział z daleka jakiego anarchistrę. Ale

<sup>2</sup>zamach, mający na celu wysadzenie w powietrze obserwatorium w Greenwich — 15 lutego 1894 r. w Greenwich Park na obrzeżach Londynu, ok. 50 metrów od budynku Królewskiego Obserwatorium Astronomicznego, francuski anarchista Martial Bourdin został śmiertelnie ranny w przedwczesnym wybuchu przenoszony przez siebie bomby. Niedoszły zamachowiec zmarł wkrótce potem od obniesionych ran, cel i motywy planowanego ataku pozostały nieznanne. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>niepodobna (daw.) — nie można, nie da się, jest niemożliwe. [przypis edytorski]

lubił rozmawiać z najróżniejszymi ludźmi i mógł dowiedzieć się owych rewelacyjnych szczegółów z drugich lub trzecich ust, od zamiataacza ulic, od dymisjonowanego urzędnika policji, od pierwszego lepszego członka klubu, może nawet od ministra spotkanego na publicznym lub prywatnym przyjęciu.

Że owe szczegóły były rewelacyjne, nie miałem co do tego wątpliwości. Czułem się jak człowiek, który wyszedł z lasu na równinę — niewiele tam było widać, ale światła miało się pod dostatkiem. Tak, niewiele było tam widać, i mówiąc szczerze, przez długi czas nie usiłowałem nawet nic dostrzec. Pozostało mi tylko wrażenie rozwiązanej zagadki, wrażenie miłe, lecz pozbawione twórczych podniet.

Jakoś w tydzień później natknąłem się na książkę, która, o ile wiem, nie zdobyła nigdy rozgłosu; były to dość powierzchowne wspomnienia nadinspektora policji, człowieka widać zdolnego, o nastawieniu wybitnie religijnym. Został urzędnikiem w czasie londyńskich zamachów dynamitowych na początku lat osiemdziesiątych. Książka była całkiem interesująca i oczywiście bardzo dyskretna; zapomniałem już teraz, co zawierała. Nie przynosiła żadnych rewelacji; autor prześlizgiwał się w miły sposób po powierzchni zdarzeń i to było wszystko. Nie będę nawet usiłował wyjaśnić, dlaczego mnie uderzył niewielki ustęp, około siedmiu wierszy, ustęp, w którym autor (nazywał się chyba Anderson<sup>4</sup>) przytaczał swoją krótką rozmowę w kularach Izby Gmin z ministrem spraw wewnętrznych, sir Williamem Harcourtem<sup>5</sup>, o ile pamiętam. Minister był bardzo zirytowany, a urzędnik tłumaczył się gęsto. Z trzech zdań, które wymienili, najbardziej mnie uderzyło gniewne powiedzenie sir Williama: „Wszystko to bardzo pięknie. Ale widać tam u was tajemnica służbowa polega na tym, żeby ministra o niczym nie zawiadamiać”. Słowa te były dość charakterystyczne dla usposobienia Sir Williama Harcourta, lecz same przez się nie miały szczególnej wagi. Jednak musiała być w tym dialogu pewnego rodzaju atmosfera, bo nagle uczułem jakąś podniecie. A potem nastąpiło we mnie coś, co student chemii najlepiej by zrozumiał, gdyby to określić przez analogię jako proces krystalizacji, wywołany przez dodanie drobnej kropli odpowiedniego płynu do próbówki zawierającej jakiś bezbarwny roztwór.

Z początku odczułem jakby zmianę duchowego klimatu, zmianę, która zmąciła mą ukojoną wyobraźnię; zaczęły przede mną się zjawiać dziwne postacie o konturach zarysowanych wyraźnie, lecz trudno uchwytnych; przykuwały moją uwagę, jak kryształy, dziwaczością niespodziewanych kształtów. Zastanowił mnie ten objaw, którego już doznawałem w stosunku do Ameryki Południowej, kontynentu o surowym blasku słońca i brutalnych rewolucjach, a także i w stosunku do morza, rozległej przestrzeni słonych wód, zwierciadła uśmiechów i gniewu nieba, reflektora słonecznych blasków. Potem zjawiła się przede mną wizja olbrzymiego miasta, miasta-kolosa o ludności liczniejszej niż ludność niektórych kontynentów; miasta, co w swej potędze, stworzonej przez człowieka, nie dba o uśmiechy nieba lub jego gniew i jest okrutnym pożeraczem słonecznego blasku. W tym mieście dość jest miejsca dla każdej opowieści, dość głębi dla każdego uczucia, dość rozmaitości dla wyposażenia każdego tła, dość mroku dla wchłonięcia pięciu milionów ludzi.

Nieodpartą kolejną rzeczą stało się owo miasto tłem dla następnego okresu mych dociekliwych rozmyślań. Nieskończone perspektywy odsłoniły się przede mną w różnych kierunkach. Upłyną lata, nim znajdę właściwą drogę! Zdawało mi się, że trzeba na to lat!... Zaczęło się we mnie rodzić przekonanie o namiętnej miłości matczynej pani Verloc i rozpałiło się z wolna płomieniem między mną a tłem miasta; zabarwiło je swym ukrytym żarem i nasiąkło w zamian mrocznym kolorystem Londynu. Wreszcie historia Winnie Verloc wystąpiła przede mną w całości, od dzieciństwa Winnie aż do końca; nie chwytałem jeszcze właściwych proporcji, wszystko było jakby na pierwszym planie, ale cały materiał miałem już w ręku. Trwało to około trzech dni.

Niniejsza książka jest właśnie ową historią sprowadzoną do właściwych rozmiarów, a punktem centralnym, dokoła którego oplata się cały wątek, jest okrutny absurd wybuchu w Greenwich Park. Miałem tu zadanie, nie powiem ciężkie, lecz trudne i po-

<sup>4</sup>Anderson, Robert (1841–1918) — nadkomisarz policji londyńskiej (1888–1901), napisał wspomnienia pt. *Sidelights on the Home Rule Movement* (1906), na które powołuje się Conrad. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Harcourt, William Vernon (1827–1904) — bryt. polityk, prawnik i dziennikarz, minister spraw wewnętrznych w latach 1880–1885. [przypis edytorski]

chłaniające. Ale doprowadzić je do końca musiałem. To była konieczność. Wynikiem tej właśnie konieczności są otaczające panią Verloc postacie, związane bezpośrednio lub też pośrednio z tragicznym jej przekonaniem, że „życie nie znosi, aby je zanadto zgłębiać”. Osobiście wcale o tym nie wątpiłem, iż historia pani Verloc jest prawdziwa, ale musiałem ją wydobyć na jaw z olbrzymiego miasta i uczynić prawdopodobną, przy czym mozoliłem się mniej nad wiarygodnością samej Winnie niż nad wiarygodnością jej otoczenia, mniej nad jej psychologią niż nad jej ludzką treścią. Materiału do odtworzenia tła miałem pod dostatkiem. Musiałem walczyć zawzięcie, aby utrzymać w przyzwoitej odległości wspomnienia swych dawnych samotnych przechadzek nocą po Londynie, bo inaczej byłyby się wdarły i przytłoczyły każdą stronę powieści, w miarę jak te strony wylaniały się jedna za drugą wśród głębokiej powagi mych uczuć i myśli, gdyż nigdy nie byłem bardziej przejęty swoim tematem. W związku z tym pragnę zaznaczyć, że *Tajny agent* jest książką bardzo szczerą. Nawet cel czysto artystyczny — użycie ironii do tego rodzaju tematu — został powzięty z całą rozważą, w głębokim przekonaniu, że tylko ironiczne podejście do rzeczy umożliwi mi wypowiedzenie wszystkiego, co wypowiedzieć pragnąłem ze wzdargą czy też ze współczuciem. Zaliczam to do przyjemności mego literackiego życia, że powziąwszy raz owo postanowienie, zdołałem, jak sądzę, przeprowadzić je aż do końca. Co się zaś tyczy osób, które bezwzględna konieczność sprawy — sprawy pani Verloc — wprowadza na tło Londynu, dały mi one również te drobne przyjemności, co naprawdę są tak wielką pomocą w walce z przygnębiającym zwątpieniem, które prześladowuje uporczywie każdy twórczy wysiłek. Na przykład o samym panu Władimirze (nadawał się doskonale do karykatury) wysłuchałem z zadowoleniem opinii pewnego doświadczonego światowca, który, jak mi powtórzono, odezwał się w te słowa: „Conrad musiał być w kontakcie z tą sferą, a może ma tak niezawodną intuicję, bo pan Władimir jest nie tylko prawdopodobny w szczegółach, lecz zgodny z prawdą w rysach zasadniczych”. Poza tym pewien mój gość z Ameryki opowiadał, jakoby różnego rodzaju emigranci rewolucyjni w Nowym Jorku twierdzili, że *Tajny agent* jest napisany przez kogoś, kto dużo wie o nich. Uznałem to za bardzo wielki komplement, zważywszy, że Bogiem a prawdą miałem z nimi styczność jeszcze luźniejszą niż ów wszechwiedzący przyjaciel, który dał mi pierwszy pomysł do *Tajnego agenta*. Mimo to twierdzą, iż w czasie pisania tej powieści czułem się chwilami skrajnym rewolucjonistą, niekoniecznie bardziej zaciekłym od owych emigrantów z Nowego Jorku, lecz bez wątpienia dążącym do celu z zawziętością, na którą żaden z nich nigdy się nie zdobył. Nie są to z mej strony przechwałki. Po prostu spełniałem to, co do mnie należało. W stosunku do swych książek spełniałem zawsze to, co do mnie należało — z najgłębszym przejęciem. To oświadczenie również nie jest przechwałką. Nie mógłbym postępować inaczej. Udawanie zanadto by mnie nużyło.

Pomysły do niektórych osób z powieści, zarówno tych, co są w zgodzie z prawem, jak i występnych, pochodzą z różnych źródeł, które czytelnik może tu i ówdzie rozpoznać. Nie są ukryte głęboko. Ale zamiar usprawiedliwienia którejkolwiek z tych postaci jest ode mnie daleki; nawet jeśli chodzi o stosunek moralny przestępców do policji i odwrotnie, pozwolę sobie tylko nadmienić, że mój zasadniczy pogląd na tę sprawę jest łatwy do uzasadnienia.

Dwanaście lat, które upłynęły od wydania książki, nie zmieniły w niczym mych zapatrywań. Nie żałuję, że ją napisałem. W ostatnich czasach okoliczności, niemające nic wspólnego z zasadniczą treścią niniejszej przedmowy, zmusiły mnie do odarcia powieści z jej literackich szat pogardy i oburzenia<sup>6</sup>, szat, w które przed laty ubrałem ją gwoli przyzwoitości z tak wielkim trudem. Byłem zmuszony, że tak powiem, spojrzeć na jej nagi szkielet; wyznam, iż jest przerażający. Mimo to jednak twierdzą, że opowiadając dzieje Winnie Verloc aż do anarchistycznego ich kresu, opisując zupełne jej osamotnienie, obłęd i rozpacz tak, jak to uczyniłem, nie miałem zamiaru znęcać się bez powodu nad uczuciami ludzkości.

1920

J. C.

<sup>6</sup>okoliczności (...) zmusiły mnie do odarcia powieści z jej literackich szat pogardy i oburzenia — Conrad wspomina tu o swej przeróbce na scenę powieści *Tajny agent*. [przypis tłumacza]

## I

Pan Verloc, wychodząc rano na miasto, zostawił sklep niby to pod opieką szwagra. Mógł sobie na to pozwolić, bo przez cały dzień ruch był niewielki, pod wieczór zaś ustawał prawie zupełnie. A przy tym żona Verloca opiekowała się jego szwagrem. Zresztą pan Verloc niewiele dbał o handel, z którego pozornie się utrzymywał.

Sklep był mały, dom także. Zaliczał się do tych brudnych ceglanych budynków, których istniało mnóstwo, nim era przebudowy zaświtała nad Londynem. Przypominał kwadratowe pudło o froncie oszklonym małymi szybami. Za dnia drzwi sklepu były zamknięte; wieczorem uchylano je w sposób dyskretny, lecz podejrzany.

Wystawa zawierała fotografie tancerek w strojach mniej lub więcej skąpych, jakieś nieokreślone paczki podobne do leczniczych specyfików, żółte zalepione koperty z cienkiego papieru, oznaczone ceną dwóch i pół szylinga<sup>7</sup> wypisaną wielkimi czarnymi cyframi; w poprzek okna wisiały na sznurku stare francuskie pisma humorystyczne, jakby się suszyły; były tam jeszcze różne inne przedmioty — ciemnoniebieska miska porcelanowa, szkatułka z czarnego drzewa, butelki wiecznego atramentu, stemple gumowe; dalej kilka książek z nagłówkami zatracającymi pornografią i parę egzemplarzy najwidoczniej starych gazet o lichym druku i nieznanym tytułach, jak „Pochodnia”, „Gong” — tytułach-pobudkach. Dwa płomyki gazu na wystawie<sup>8</sup> były zawsze przykręcone, może przez oszczędność, a może ze względu na klientów.

Owymi klientami byli albo młodzi chłopcy, którzy ociągali się czas jakiś przed wystawą, nim wśliznęli się nagle do sklepu, albo ludzie w wieku bardziej dojrzałym, niewyglądający zwykle na zamożnych. Niektórzy mieli kołnierze palt podniesione, tak że sięgały wąsów; spodnie, zbrzyzgane u dołu błotem, były znoszone i liche. A i nogi tkwiące w tych spodniach przedstawiały się na ogół nieszczególnie. Z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie palt wsuwali się bokiem do sklepu, jakby w obawie, aby dzwonek się nie odezwał.

A dzwonek, wiszący u drzwi na wygiętej stalowej taśmie, niełatwo dawał się podejść. Był pęknięty na amen, ale wieczorem przy najlżejszym poduszczeniu grzechotał za plecami klienta beczelnie i jadowniczo.

Grzechotał — a na to hasło w brudnych szklanych drzwiach za pomalowaną ładą z drzewa sosnowego stawał pan Verloc, wyłaniając się szybko z pokoju za sklepem. Powieki z natury miał ciężkie; wyglądał, jakby się cały dzień tarzał w ubraniu po niezasłanym łóżku. Kto inny na jego miejscu byłby rozumiał, że taki wygląd wyraźnie mu szkodzi. W transakcjach detalicznego handlu wiele zależy od ujmującej, miłej powierzchowności kupca. Ale pan Verloc znał swój fach i nie przejmował się brakiem estetyki we własnym wyglądzie. Spoglądał na gościa twardym wzrokiem ze spokojną beczelnością, niby odpierając z góry możliwość jakiejś ohydnej groźby, i zabierał się do sprzedawania poprzez ładę przedmiotów, które najoczywiściej nie były warte żądanej ceny, skandalicznie wysokiej; mogło to być na przykład pudełeczko z tektury wyglądające, jakby nic nie zawierało, albo jedna z owych lichych, starannie zalepionych żółtych kopert, albo nieoprawna, wybrudzona książka o obiecującym tytule. Zdarzało się, że któraś z wypłowiałych, pożółkłych tancerek znajdowała nabywcę, jakby była żywa i młoda.

Czasem na wezwanie pękniętego dzwonka ukazywała się pani Verloc. Winnie Verloc była młodą kobietą o szerokich biodrach i wydatnym biuście opiętym w ciasny stanik. Uczesana była bardzo starannie. Oczy miała spokojne podobnie jak mąż i stając za osłoną lady, zachowywała nieprzeniknioną obojętność. Niejeden klient w wieku stosunkowo młodym mieszał się nagle, widząc, że ma do czynienia z kobietą; ze wściekłością w sercu prosił o butelkę wiecznego atramentu wartości sześciu pensów (w sklepie Verloca kosztowała półtora szylinga) i znalazłszy się na ulicy, rzucał ją ukradkiem do rynsztoka.

<sup>7</sup>szyling — dawna angielska jednostka monetarna. Szyling był równy 1/20 funta i dzielił się na 12 pensów. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Dwa płomyki gazu na wystawie — pod koniec XIX w. w dużych miastach Anglii powszechnie używano zasilanych z gazowni lamp gazowych, emitujących silne światło dzięki rozgrzewaniu do białości siatki żarowej płomieniem spalnego gazu; oświetlano nimi ulice, budynki publiczne, warsztaty, sklepy, a także domy klasy średniej. [przypis edytorski]

Goście, którzy przychodzili wieczorem — ci w nastawionych kołnierzach i miękkich kapeluszkach opuszczonych na oczy — witali panią Verloc poufałym skinieniem głowy; mruknąwszy coś na powitanie, podnosili kłapę u końca lady, aby przejść do saloniku, skąd korytarz prowadził dalej na strome schody. Drzwi od sklepu były jedynym wejściem do domku, gdzie pan Verloc prowadził swój handel polegający na sprzedaży podejrzanych towarów. Tam też spełniał swe powołanie obrońcy społeczeństwa i uprawiał cnoty domowe. Te ostatnie były wybitne. Pan Verloc lubił bardzo siedzieć w domu. Żadne jego potrzeby, ani duchowe, ani umysłowe, ani fizyczne, nie zmuszały go do przebywania długo na mieście. Miał w domu wygodę dla ciała, spokój sumienia, tudzież małżeńską troskliwość żony i pełne szacunku względy teściowej.

Matka Winnie była to tęga kobieta o wielkiej brunatnej twarzy i sapliwym głose. Nosila czarną perukę pod białym czepkiem. Wskutek opuchniętych nóg nie mogła się niczym zajmować. Twierdziła, że rodzina jej pochodzi z Francji, co mogło być i prawdą; gdy po wielu latach pożycia umarł jej mąż, właściciel sklepu kolonialnego niższej kategorii, zarabiała na życie, odnajmując umeblowane pokoje niedaleko Vauxhall Bridge Road, przy skwerze, który cieszył się dawniej niejakim splendorem i należał jeszcze wciąż do dzielnicy Belgravia<sup>9</sup>. Chociaż ten fakt topograficzny stanowił zaletę, gdy się ogłaszało o pokojach do wynajęcia, lokatorzy zaciej wdowy nie należeli do ludzi szykownych. Niemniej córka jej, Winnie, pomagała ich obsługiwać. Ślady francuskiego pochodzenia, którymi chępiła się wdowa, były widoczne i w powierzchowności jej córki; przejawiały się w niezmiernie schludnym i estetycznym upięciu lśniących, czarnych włosów. Winnie miała jeszcze inne uroki: młodość, okrągłe kształty, świeżą cerę i niezmierną, aż wyzywającą powściągliwość, która jednak nigdy nie powstrzymywała jej od rozmowy z lokatorami, prowadzonej przez nich z ożywieniem, a przez nią z zawsze równą uprzejmością.

Pan Verloc uległ widocznie tym ponętom. Nie był lokatorem stałym. Przyjeżdżał i wyjeżdżał bez żadnej wyraźnej przyczyny. Przybywał zwykle (jak influenza<sup>10</sup>) z kontynentu, z tą różnicą, że nie był zapowiadany przez prasę. Jego wizytom towarzyszył nastrój wielkiej powagi. Śniadanie jadał w łóżku, gdzie z miną spokojną i zadowoloną wylegiwał się do południa — czasem nawet i dłużej. Ale gdy już raz wyszedł na miasto, zdawało się, że ma wielkie trudności w odnalezieniu drogi powrotnej do swego chwilowego mieszkania przy Belgravian Square. Opuszczał je późno i wracał wcześniej — o jakiejś trzeciej albo czwartej nad ranem; budził się o dziesiątej, a gdy Winnie przynosiła mu śniadanie, odzywał się do niej z żartobliwą uprzejmością głosem ochrypłym i wyczerpanym, jak człowiek, który mówił z zapalem wiele godzin z rzędu. Przewracał tęsknie i zalotnie wypukłymi oczami o ciężkich powiekach, podciągając koldrę aż pod brodę; ciemne, gładkie wąsy zakrywały jego grube wargi, skłonne do wypowiedzania przymilnych żartów.

Matka Winnie była zdania, że pan Verloc jest człowiekiem bardzo przyzwoitym i sympatycznym. Z doświadczenia nabytego w różnych „interesach handlowych” pocziwa kobiecina stworzyła sobie pojęcie o ideale dżentelmena na wzór mężczyzn stołujących się w barach. Pan Verloc zbliżał się do tego ideału, a nawet go osiągał.

— Twoje meble, mamó, zabierzemy naturalnie z sobą — oświadczyła Winnie.

Trzeba było skończyć z wynajmowaniem umeblowanych pokojów. Okazało się, że dalsze prowadzenie tego interesu byłoby nie na miejscu. Sprawiłoby panu Verlocowi zbyt wiele kłopotu. Przeszkadzałoby mu w jego drugim zajęciu. Pan Verloc nie wyjawiał, na czym polegało to zajęcie, ale po zaręczynach z Winnie zdobywał się na wstawanie z łóżka przed południem i zszedłszy na dół po schodach, zabawiał rozmową matkę Winnie w pokoju śniadaniowym znajdującym się w suterenie, gdzie wiodła życie pozbawione ruchu. Głaskał kota, poprawiał ogień na kominku, wreszcie jadł drugie śniadanie. Opuszczał z widoczną niechęcią ten przytulny, nieco duszny pokój, ale mimo to wracał dopiero późną nocą. Nigdy nie zapraszał Winnie do teatru, co powinien był uczynić człowiek tak dobrze wychowany. Wieczory miał zawsze zajęte. Raz powiedział, że jego praca jest w pewien sposób związana z polityką. Uprzedził Winnie, iż będzie musiała zachowywać

Mąż

<sup>9</sup>Belgravia — ekskluzywna dzielnica mieszkaniowa w środkowej części Londynu, powstała w poł. XIX w. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>influenca a. influenza (daw.) — grypa. [przypis edytorski]

się bardzo uprzejmie względem jego politycznych kolegów. Spojrzała na niego uczciwie niezgłębionymi oczami i odrzekła, że to się samo przez się rozumie.

Co jej mówił ponadto o swym zajęciu, tego matka Winnie przeniknąć nie mogła. Małżonkowie zabrali ją na nowe mieszkanie razem z meblami. Nędzny wygląd sklepu ją zdumiał. Zamiana skweru Belgravii na wąską uliczkę w dzielnicy Soho<sup>11</sup> wpłynęła źle na jej nogi. Spuchły do niemożliwych rozmiarów. Natomiast pozbyła się zupełnie trosk materialnych. Posępna dobroduszość zięcia natchnęła ją poczuciem zupełnego bezpieczeństwa. Przyszłość córki była oczywiście zapewniona, a nawet i o syna, Stewiego, staruszka nie potrzebowała się już niepokoić. Musiała przyznać w duchu, że ten biedny Stevie był źródłem strasznych kłopotów. Lecz wzięwszy pod uwagę przywiązanie Winnie do jej słabowitego brata oraz dobrotliwe i hojne usposobienie pana Verloca, matka czuła teraz, że jej biedny chłopiec jest całkiem bezpieczny na tym burzliwym padole. W gruncie rzeczy może się i nie martwić, iż Verlocowie nie mają dzieci. Zdawało się, że pan Verloc wcale się tym nie trapi, a ponieważ Winnie znalazła w swym bracie przedmiot prawie matczynego przywiązania, więc chyba wszystko to wyjdzie nieborakowi na dobre.

Trudno było wynaleźć chłopcu jakieś zajęcie. Wyglądał na delikatnego i był ładny mimo opuszczonej bezmyślnie dolnej wargi. Dzięki naszemu świetnemu systemowi przymusowego nauczania<sup>12</sup> umiał czytać i pisać, w czym nieszczęśliwy wygląd dolnej wargi mu nie przeszkodził. Lecz pracując jako goniec, nie osiągnął powodzenia. Zapominał, w jakim celu został wysłany, a z prostej drogi obowiązku sprowadzały go łąco przynęty w postaci zbłąkanych kotów i psów, za którymi snuł się po wąskich uliczkach prowadzących na cuchnące podwórza. Wpatrywał się z otwartymi ustami w sceny uliczne, narażając na szwank interesy swego chlebobawcy; pochłaniały go także dramaty przewróconych koni. Groza i gwałtowność tych scen wyrzywały mu niekiedy przenikliwe krzyki, gdy stał wśród tłumu, a tłum nie lubi, aby odgłosy bólu przeszkadzały mu w spokojnym rozkoszowaniu się narodowym widowiskiem. Kiedy poważny, opiekuńczy policjant odprowadzał Stewiego, okazywało się często, że nieborak zapomniał — przynajmniej na pewien czas — gdzie mieszka. Zapytany nagle, zaczynał się jękać aż do utraty tchu. Kiedy go coś zaskoczyło i zakłopotano, zezował w okropny sposób, ale nie miał żadnych ataków (co było pocieszające). W dzieciństwie mógł zawsze się schronić za krótką spódniczkę siostry Winnie, uciekając przed naturalnymi wybuchami niecierpliwości ze strony ojca.

Skądinąd można było Stewiego podejrzewać, że tai w sobie całe mnóstwo bezczelnych psot. Gdy skończył lat czternaście, przyjaciel jego zmarłego ojca, agent zagranicznej firmy wyrabiającej skondensowane mleko, nastręczył chłopcu sposobność do rozpoczęcia kariery, dając mu w biurze miejsce gońca. Tymczasem w pewne mgliste popołudnie okazało się, że Stevie podczas nieobecności szefa zaczął puszczać fajerwerki na klatce schodowej. Wypuścił jedną po drugiej całą serię wściekłych rakiet, gniewnie wirujących słońce, głośno wybuchających szmermeli<sup>13</sup> — i sprawa mogła wziąć obrót bardzo poważny. Okropny popłoch wybuchł w całym budynku. Krztuszący się urzędnicy o błędnych oczach pędzili korytarzami pełnymi dymu; po schodach toczyły się cylindry, osobno zaś toczyli się interesanci w podeszłym wieku.

Zdawało się, że postępek Stewiego nie sprawił mu żadnej przyjemności. Trudno było zrozumieć, co go pobudziło do tego oryginalnego czynu. Dopiero w jakiś czas później Winnie wydobyła z niego mętne i bezładne wyznanie. Okazało się, że dwaj gońcy z tego samego domu, drażniąc chłopca opowiadaniem różnych historii o niesprawiedliwości i wyzysku, doprowadzili w końcu jego współczucie do stanu wrzenia. Oczywiście przyjaciel ojca z miejsca odprawił Stewiego, bojąc się, aby tego rodzaju wybryki nie zrujnowały przedsiębiorstwa. Po tym altruistycznym czynie używano chłopca do zmywania naczyń w kuchni i do czyszczenia butów panom zajmującym umeblowane pokoje. Taka praca nie miała oczywiście przyszłości. Od czasu do czasu Stevie dostawał od lokatorów po szylingu. Pan Verloc okazał się najhojniejszy. Ale wszystko razem nie wynosiło wiele i nie otwierało pomyślnych perspektyw, więc też gdy Winnie oznajmiła, że pan Verloc

<sup>11</sup>*Soho* — centralna część dzielnicy West End w Londynie; w XIX w. gęsto zaludniona przez napływających imigrantów, mająca fatalną reputację jako miejsce rozpusty i występku. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*Dzięki naszemu świetnemu systemowi przymusowego nauczania umiał czytać i pisać* — w 1870 wprowadzono w Anglii przepisy o obowiązkowej edukacji podstawowej wszystkich dzieci w wieku 5–12 lat. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*szmermel* (przest.) — rasa, wężykowaty fajerwerk. [przypis edytorski]



jest z nią zaręczony, matka jej spojrzała z westchnieniem w stronę kuchni, zadając sobie pytanie, co teraz będzie z biednym Stephenem.

Okazało się, że pan Verloc gotów jest go zabrać razem z teściową i umeblowaniem, które stanowiło cały majątek rodziny. Pan Verloc przygarnął do szerokiej, dobroduszej piersi wszystko, co mu się nasunęło. Meble zostały rozmieszczone możliwie najkorzystniej po całym domu, ale teściowej przydzielono tylko dwa parterowe pokoje od podwórza. W jednym z nich spał biedny Stevie. Rządki, puszysty zarost przesłaniał już wówczas złotą mgiełką ostre kontury jego cofniętej dolnej szczęki. Pomagał siostrze w gospodarstwie ze ślepą miłością i posłuszeństwem. Pan Verloc uważał, że trochę zajęcia wyjdzie mu na pożytek. Cały swój wolny czas poświęcał Stevie rysowaniu cyrklem i ołówkiem kół na kawałku papieru. Pochylony nisko nad kuchennym stołem, rozstawał szeroko łokcie, przykładając się z wielką pilnością do tej rozrywki. Przez otwarte drzwi saloniku sąsiadującego ze sklepem Winnie spoglądała nań od czasu do czasu z macierzyńską czujnością.

## II

Taki oto dom, taki warsztat pracy i takich domowników opuścił pan Verloc, dążąc o pół do jedenastej rano ku zachodniej części Londynu. Była to dlań wyjątkowo wczesna godzina; z całej jego osoby bił urok prawie nieskalanej świeżości; granatowe sukienne palto było rozpięte, buty lśniły, na ogolonych policzkach igrało coś na kształt połysku; nawet oczy o ciężkich powiekach, pokrzepione całonocnym spokojnym snem, rzucały dość różne spojrzenia. Przez ogrodzenie parku pan Verloc przyglądał się mężczyznom i kobietom jadącym konno po Row<sup>14</sup>, parom, które sunęły harmonijnie lekkim galopem lub jechały statecznego stępa, niespiesznym grupom złożonym z trzech lub czterech osób, pojedynczym jeźdźcom wyglądającym na odludków i samotnym amazonkom, za którymi trzymał się w oddali chłopak stajenny w kapeluszu ozdobionym kokardą, ubrany w obcisłą liberię przepasaną skórzanym pasem. Pojazdy, przeważnie dwukonne karety, toczyły się szybko; czasem trafiał się kabriolet, a wewnątrz niego skóra jakiegoś dzikiego zwierzęcia i wylaniająca się z opuszczonej budy kobieca głowa w kapeluszu. Charakterystyczne słońce londyńskie, któremu można zarzucić tylko to, że wygląda jak nabiegłe krwią, powlekało wszystko wspaniałością swego spojrzenia. Tkwiło niezbyt wysoko nad Hyde Park Corner<sup>15</sup>, jakby strzegło wszystkiego, dobrodusze i punktualne. Nawet bruk pod nogami pana Verloca nabrał barwy starego złota w tym rozproszonym świetle, w którym ani mur, ani drzewo, ani zwierzę, ani człowiek nie rzucali cienia.

Słońce, Miasto

Pan Verloc szedł ku zachodowi przez miasto pozbawione cieni i powietrze przesycone spatynowanym złotym pyłem. Czerwone jak miedź połyski lśniły na dachach, na załomach murów, na szybach pojazdów, nawet na sierści koni i na szerokich plecach pana Verloca, gdzie wyglądały jak ciemna rdza. Ale pan Verloc nie zdawał sobie sprawy, że rdza na nim osiada. Jego życzliwy wzrok padał przez ogrodzenie na oznaki londyńskich bogactw i zbytku. Tak jest, wszystkich tych ludzi trzeba otoczyć opieką. Opieka jest pierwszym warunkiem bogactwa i zbytku. Trzeba otoczyć opieką tych ludzi, zarówno jak ich konie, powozy, domy, służbę; trzeba otoczyć opieką źródło ich bogactw w sercu miasta i w sercu kraju; trzeba otoczyć opieką cały społeczny ład sprzyjający higienicznej bezczynności tej sfery, trzeba jej strzec przed płytką zawiścią niehigienicznej pracy. Trzeba to zrobić koniecznie — tu pan Verloc byłby zatarł ręce z zadowoleniem, gdyby nie miał wrodzonej niechęci do wszelkich niepotrzebnych wysiłków. Bezczynność jego, choć nie podyktowana przez higienę, dogadzała mu bardzo. Miał dla niej pewnego rodzaju kult nacechowany bezwładnym fanatyzmem, a może raczej fanatycznym bezwładem. Syn pracowitych rodziców, urodzony na znojne życie, oddał się gnuśności z popędu równie głębokiego, niepojętego i władczego jak popęd, który skłania mężczyznę do wyboru jednej kobiety spośród tysiąca. Był za gnuśny nawet na demagoga, na wiecowego mówcę, na przywódcę robotników. To by go kosztowało zbyt wiele trudu. Potrzebował wygody w formie bardziej doskonałej, a może owładnęła nim filozoficzna niewiara w skutecz-

Opieka

<sup>14</sup>Rotten Row — modna droga dla jeźdźców biegnąca wzdłuż płd. strony londyńskiego Hyde Parku. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Hyde Park Corner — obszar Londynu w okolicy płd.-wsch. narożnika Hyde Parku, gdzie krzyżuje się kilka głównych ulic. [przypis edytorski]

ność każdego ludzkiego wysiłku. Ten ostatni rodzaj lenistwa wymaga pewnego zasobu inteligencji.

Panu Verlocowi inteligencji nie brakowało i byłby może mrugnął do siebie znacząco na myśl o zagrożonym porządku społecznym, gdyby ten objaw sceptycyzmu nie wymagał pewnego wysiłku. Wielkie wypukłe oczy pana Verloca nie były przystosowane do mru-gania. Należały raczej do kategorii oczu, które zamykają się poważnie przy zasypianiu, wywierając majestatyczne wrażenie.

Powściągliwy w ruchach, opasy na kształt tłustego wieprza, pan Verloc szedł swoją drogą, nie zacierając rąk z zadowoleniem i nie mrugając sceptycznie do swych myśli. Stąpał ciężko po bruku w błyszczących trzewikach i wyglądał jak zamożny rzemieślnik posiadający własny warsztat. Można go było wziąć za pierwszego lepszego majstra, od ramiarza do ślusarza, za pracodawcę w skromnym zakresie. Ale był przy tym w panu Verlocu jakiś rys nieokreślony, którego żaden rzemieślnik nie nabyłby w ciągu swej pracy, choćby wykonywał ją najmniej sumiennie: rys wspólny tym, co żerują na występkach, głupocie albo tchórzostwie, rys moralnego nihilizmu, właściwy ludziom prowadzącym szulernie lub domy publiczne, a cechujący również prywatnych detektywów i wywiadowców, szynkarzy, sprzedawców elektrycznych pasów przywracających siły i wynalazców patentowanych leków. Co do owych wynalazców nie mam pewności, bo tego tak dalece nie zgłębiałem. Zdaje mi się jednak, że wyraz twarzy tych ludzi może być po prostu szatański; wcale bym się temu nie dziwił. Chciałem tylko zaznaczyć, iż wyraz twarzy pana Verloca daleki był od demonizmu.

Nie dochodząc do Knightsbridge, pan Verloc skręcił w lewo z rojnej głównej ulicy, tętniącej hałasem rozkołysanych omnibusów<sup>16</sup> i wozów toczących się szybko wśród prawie bezgłośnej, chylonej fali dwukołowych dorożek. Pod kapeluszem zsuniętym lekko z czoła wyszczotkowane włosy pana Verloca ułożyły się gładko i kornie, albowiem pan Verloc miał sprawę z pewną ambasadą. Nieugięty jak skała — z rodzaju tych miększych skał — kroczył teraz ulicą, która zasługiwała w pełni na nazwę zacisznej. W jej szerokości, pustce i obszarze tkwił majestat martwej przyrody, która nie podlega śmierci. Jedynym napomknieniem o śmiertelności była karetka jakiegoś doktora, stojąca we wzniosłym osamotnieniu tuż obok chodnika. Wyczyszczone kołatki u drzwi błyszcząły jak okiem sięgnąć, czyste okna lśniły ciemnym połyskiem. Nic się nie poruszało. Lecz oto wózek z mlekiem zaturkotał hałaśliwie i przeciął w głębi ulicę; zza węgła wypadł drugi wózek, a na nim chłopiec od rzeźnika siedział wysoko nad parą czerwonych kół, powożąc ze wspaniałym rozmachem, niby uczestnik gier olimpijskich kierujący rydwanem. Spod kamieni wysunął się kot, który najwidoczniej coś zbroił; biegł chwilę, wyprzedzając pana Verloca, i dał nurka do sutereny; a gruby policjant, z pozoru niedostępny wszelkim uczuciom, jakby również był częścią martwej przyrody, wyłonił się, rzekłbyś, z latarni, nie zwracając na Verloca najmniejszej uwagi.

Pan Verloc skręcił na lewo i szedł wąską uliczką wzdłuż żółtej ściany, na której z niezbadanych powodów widniał czarnymi literami napis: Chesham Square nr 1. Tymczasem Chesham Square znajdował się przynajmniej sześćdziesiąt jardów<sup>17</sup> dalej, pan Verloc zaś, który był w dostatecznym stopniu kosmopolitą, aby nie dać się zwieść topograficznym tajemnicom Londynu, szedł wciąż spokojnie naprzód, nie zdradzając oznak zdziwienia czy oburzenia. Wreszcie z wytrwałością cechującą człowieka interesu dotarł do skweru i przeciął go na ukos, zmierzając pod numer 107. Ten numer widniał na imponującej bramie wjazdowej, umieszczonej w wysokiej, gładkiej ścianie między dwoma domami; jeden z nich był oznaczony dość rozsądnie numerem 9, natomiast na drugim widniał numer 37; o fakcie, że ten ostatni dom należy do znanej w sąsiedztwie Porthill Street, głosił napis nad parterowymi oknami, umieszczony przez jakąś bardzo sprężystą władzę, której polecono tropić zbłąkane domy londyńskie. Dlaczego nie żąda się od parlamentu, aby wydał rozkaz (wystarczyłyby krótki akt) polecający tym gmachom powrót do miejsc, gdzie przynależą, jest jedną z tajemnic miejskiego zarządu. Pan Verloc nie łamał sobie nad

Miasto

<sup>16</sup>*omnibus* (łac. dosł.: dla wszystkich) — duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, pod koniec XIX w. powszechny jako środek regularnej komunikacji w dużych miastach Europy; poprzednik autobusów. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*jard* — anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

tym głowy, ponieważ jego posłannictwo życiowe stanowiła ochrona społecznego ustroju, nie zaś doskonalenie tegoż ustroju czy chociażby jego krytyka.

Było tak wcześniej, że portier ambasady wybiegł ze swego mieszkania, mocując się jeszcze z lewym rękawem liberii. Miał na sobie czerwoną kamizelkę, krótkie spodnie i był najwidoczniej zmieszany. Pan Verloc dostrzegł to natarcie z flanki i odparł je, wyciągnąwszy po prostu kopertę z godłem ambasady, po czym szedł dalej. Ten sam talizman pokazał lokajowi, który otworzył drzwi i cofnął się, aby go wpuścić do hallu.

Jasny ogień palił się na dużym kominku; zwrócony tyłem do ognia stał starszy mężczyzna we fraku, z łańcuchem na szyi i popatrzył na pana Verloca znad rozpostartej gazety, którą trzymał oburącz przed spokojną, surową twarzą. Nie poruszył się wcale. Drugi lokaj w brunatnych spodniach i fraku obrzeżonym cienkim złotym sznurkiem zbliżył się do pana Verloca; usłyszawszy wyszeptane przez niego nazwisko, zawrócił na pięcie i zaczął iść, nie oglądając się wcale. Prowadził tak pana Verloca parterowym korytarzem na lewo od wielkich schodów pokrytych dywanem i nagle wskazał mu wejście do małego pokoju, gdzie stało ciężkie biurko oraz kilka krzeseł. Drzwi się zamknęły i pan Verloc został sam. Nie usiadł. Rozglądał się, przeciągając pulchną, krótką ręką po gładko uczesanej głowie; w drugiej ręce trzymał kapelusz i laskę.

Jakieś drzwi otwarły się bez szelestu; pan Verloc, skierowawszy wzrok w tamtą stronę, zobaczył zrazu tylko czarne ubranie, łysy czubek głowy i obwisłe ciemnosiwie bokobrody po obu stronach pomarszczonych rąk. Człowiek, który wszedł, trzymał przed oczami plik papierów; przeglądając je, zbliżał się do stołu drobnymi krokami. Tajny radca Würmt, *chancelier d'ambassade*<sup>18</sup>, miał wzrok dość krótki. Zasużony ten urzędnik złożył papiery na stole, odsłaniając nalaną, bladą twarz o melancholijnej brzydocie, otoczoną gąszczem cienkich, długich ciemnosiwych włosów; przekreślała tę twarz gruba linia gęstych i krzaczastych brwi. Würmt włożył na tępy, bezkształtny nos binokle<sup>19</sup> w czarnej oprawie i wydał się zaskoczony widokiem pana Verloca. Pod ogromnymi brwiami krótkowzroczne oczy radcy mrugały bezradnie zza szkieł.

Nie przywitał się wcale, podobnie jak i pan Verloc, który oczywiście wiedział, jak się zachować; lecz nieznaczna zmiana w zarysie barków i pleców pana Verloca nasunęła myśl, że jego grzbiet pochylił się z lekka pod obszerną powierzchnią pałta. Robiło to wrażenie dyskretnego szacunku.

— Mam tu kilka pańskich raportów — rzekł biurokrata nadspodziewanie miękkim, jakby znużonym głosem, przyciskając mocno papiery końcem wskazującego palca. Umilkł, a pan Verloc, który poznał od razu własne pismo, czekał z zapartym tchem. — Nie jesteśmy zadowoleni z zachowania się tutejszej policji — ciągnął Würmt z wszelkimi pozorami umyślowego wyczerpania.

Plecy pana Verloca właściwie nawet nie drgnęły, a jednak wydało się, że wzruszył ramionami. Usta jego otworzyły się po raz pierwszy od chwili, gdy wyszedł z domu.

— Każdy kraj ma swoją policję — rzekł filozoficznie. Lecz urzędnik ambasady patrzył na niego, w dalszym ciągu mrugając oczami, i pan Verloc dorzucił jakby pod przymusem: — Niech pan pozwoli mi zauważyć, że nie mam wpływu na tutejszą policję.

— Pożądane jest, aby zaszedł jakiś określony wypadek, który by pobudził jej czujność — rzekł biurokrata. — To wchodzi w zakres pana obowiązków... nieprawdaż?

Pan Verloc odpowiedział na to tylko westchnieniem, które wyrwało mu się niechcący, bo postarał się zaraz nadać twarzy wyraz wesoły. Urzędnik mrugał niepewnie, jakby mu dokuczalo przyćmione światło pokoju. Powtórzył ogólnikowo:

— Wypadek, który by pobudził czujność policji... i surowość urzędników. Zasadnicza łagodność tutejszej procedury sądowej oraz absolutny brak wszelkich środków represyjnych są zgorszeniem dla Europy. Czego nam teraz potrzeba, to wzmoczonego niepokoju... wrzenia, które niewątpliwie istnieje.

— Oczywiście, oczywiście — wtrącił pan Verloc pełnym szacunku, niskim basem typu krasomówczego, różniącym się tak dalece od tonu, którym mówił dotychczas, że radca się zdumiał. — Istnieje, i to w stopniu niebezpiecznym. Moje raporty z ostatnich dwunastu miesięcy wyjaśniają to dostatecznie.

<sup>18</sup>*chancelier d'ambassade* (fr.) — szef kancelarii ambasady, wyższy urzędnik zajmujący się paszportami i dokumentami dyplomatycznymi. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*binokle* — rodzaj okularów bez uchwytych, mocowanych na nosie z pomocą sprężynki. [przypis edytorski]

— Pana raporty z ostatnich dwunastu miesięcy — zaczął radca stanu Wurmt swym łagodnym, beznamiętnym głosem — zostały przeze mnie przeczytane. Nie mogę zrozumieć, po co je pan w ogóle pisał.

Smutne milczenie zapadło na chwilę. Zdawało się, że pan Verloc zapomniał języka w gębie, radca zaś utkwiał wzrok w leżących na stole papierach. Wreszcie odsunął je z lekka.

— Ze stanu rzeczy, który pan tutaj przedstawia, wypływa jedynie to, że w ogóle pana zatrudniamy. A teraz chodzi nam nie o pisaninę, lecz o wykrycie znaczącego, wybitnego faktu, powiedziałbym nawet: faktu niepokojącego.

— Nie potrzebuję mówić, że ten cel będzie przyświecał wszystkim moim wysiłkom — rzekł pan Verloc, nadając ton przeświadczenia swemu ochryplemu głosowi od codziennego użytku. Ale zmieszał się, czując, że jest bacznie śledzony zza ślepego połysku okularów po drugiej stronie stołu. Umilkł nagle z gestem bezwzględnej oddania. Pożyteczny i zapracowany, lecz skromny członek ambasady przybrał nagle taki wyraz twarzy, jakby błysnęła mu jakaś nowa myśl.

— Pan jest bardzo otyły — rzekł.

Ta uwaga, treści właściwie psychologicznej, uraziła pana Verloca jak niegrzeczny przytyk, choć została wypowiedziana ze skromnością i wahaniem urzędnika lepiej obeznanego z piórem i atramentem niż z wymaganiami czynnego życia. Pan Verloc odstąpił o krok.

— Jak to? Co pan był łaskaw powiedzieć? — wykrzyknął urażonym, chrypliwym głosem.

*Chancelier d'ambassade*, któremu powierzono przeprowadzenie owej rozmowy, był widać zdania, że ta misja przekracza jego siły.

— Chyba będzie najlepiej, jeśli pan się zobaczy z panem Władimirem. Tak, powinien pan stanowczo rozmówić się z panem Władimirem. Niech pan tu poczeka — dodał i wyszedł drobnymi krokami.

Pan Verloc przesunął natychmiast ręką po włosach. Drobne krople potu wystąpiły mu na czoło. Wypuścił powietrze przez ściągnięte usta jak człowiek dmuchający na łyżkę gorącej zupy. A gdy lokaj w brązowej liberii ukazał się cicho we drzwiach, pan Verloc stał dosłownie na tym samym miejscu, gdzie się znajdował poprzednio. Stał bez ruchu, jakby czuł, że jest otoczony wilczymi dołami<sup>20</sup>.

Poszedł za lokajem przejściem oświetlonym przez samotny płomień gazowy, potem kręconymi schodami i wreszcie oszklonym, wesołym korytarzem na pierwszym piętrze. Lokaj otworzył jakieś drzwi i usunął się na bok. Pan Verloc poczuł pod nogami gruby dywan. Pokój był obszerny, trzykrotny; młody człowiek o wygolonej, dużej twarzy, siedzący w obszernym fotelu przed wielkim mahoniowym biurkiem, rzekł po francusku do *chancelier d'ambassade*, który odchodził z papierami w ręku:

— Masz rację, *mon cher*<sup>21</sup>. Bestia tłusta, bo tłusta.

Pan Władimir, pierwszy sekretarz, cieszył się w salonach opinią człowieka przyjemnego i zajmującego. Był poniekąd ulubieńcem towarzystwa. Jego dowcip polegał na odkrywaniu zabawnych związków między niepasującymi do siebie pojęciami; rozprawiając w tym duchu, przysiadł na samym brzegu krzesła i podnosił lewą rękę, jakby wystawiał na pokaz swe uciężne wywody, trzymając je między kciukiem a palcem wskazującym; wygolona, okrągła twarz sekretarza przybierała wtedy wyraz wesołego zdziwienia.

Lecz w oczach, zwróconych na pana Verloca, nie było śladu wesołości ani zdziwienia. Rozparł się w głębokim fotelu, rozstawiwszy szeroko łokcie, i zarzucił nogę na grube kolano; jego gładka, różowa twarz nadawała mu wygląd przedwcześnie rozwiniętego niemowlęcia, które nikomu gadać głupstw nie pozwoli.

— Pan chyba rozumie po francusku? — zapytał.

Pan Verloc potwierdził ochryplym głosem, że rozumie. Cała jego tłusta postać pochylała się ku przodowi. Stał na dywanie w środku pokoju, trzymając w jednej ręce kapelusz i laskę; druga ręka wisiała bezwładnie u boku. Mruknął skromnie z głębi gardła, że odbył służbę wojskową w artylerii francuskiej. Naraz pan Władimir, wiedziony pogardliwą przekorą, przerzucił się na inny język i zaczął mówić nieskazitelną angielszczyzną bez śladu cudzoziemskiego akcentu.

<sup>20</sup>*wilczy dół* — pułapka łowiecka lub daw. przeszkoda fortyfikacyjna w postaci zamaskowanej jamy lub rowu o stromych ścianach. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*mon cher* (fr.) — mój drogi. [przypis edytorski]

— Hm! Tak. Naturalnie. No, zobaczymy. Ile panu wlepili za to, że pan wykradł rysunek udoskonalonego zamka tej ich nowej armaty polowej?

— Pięć lat obostrzonego więzienia w fortecy — odrzekł niespodzianie pan Verloc bez najlżejszego przejawu uczuć.

— Wyszedł pan obronną ręką — zauważył pan Władimir. — I dobrze tak panu za to, że się pan dał nakryć. A co pana skłoniło do tego rodzaju roboty?

W odpowiedzi rozległ się ochryply głos pana Verloca, ten od codziennego użytku, mówiący o młodości, o nieszczęsnym zdarzeniu się...

— Aha! *Cherchez la femme*<sup>22</sup> — raczył przerwać pan Władimir, trochę przystępniej-szy, lecz bynajmniej nie uprzejmy; wręcz przeciwnie, jego łaskawość miała w sobie coś okrutnego. — Jak dawno jest pan na służbie naszej ambasady?

— Już od czasów nieboszczyka barona Stott-Wartenheima — odrzekł pan Verloc stłumionym głosem, wysuwając wargi ze smutkiem na znak żalu za zmarłym dyplomata. Pierwszy sekretarz obserwował spokojnie grę jego fizjonomii.

— Aha! już od czasu... No! Co pan powie na swoje usprawiedliwienie? — spytał ostro.

Pan Verloc odrzekł nieco zdziwiony, że nie sądzi, aby miał coś szczególnego do powiedzenia. Wezwano go listem... — I zagłębił szybko rękę w bocznej kieszeni pałta, lecz wobec szyderczej, cynicznej czujności pana Władimira postanowił listu nie wyjmować.

— Ba! Jak pan mógł tak wyjść z fasonu? — rzekł pan Władimir. — Pan nie ma nawet powierzchowności, jakiej pana zawód wymaga. I pan ma być członkiem zagłodzonego proletariatu? Cóż znowu! Pan ma być zaciekłym socjalistą... czy też anarchistą... bo nie wiem?

— Anarchistą — stwierdził głucho pan Verloc.

— Bzdury! — ciągnął pan Władimir, nie podnosząc głosu. — Nawet stary Wurmt był zaskoczony pana wyglądem. Nie oszukałby pan idioty. Nawiasem mówiąc, oni wszyscy to banda idiotów, ale pański wygląd jest po prostu niemożliwy. A więc pana stosunki z nami zaczęły się od kradzieży tych rysunków francuskich armat. I dał się pan nakryć. To musiało być bardzo nieprzyjemne dla naszego rządu. Nie wygląda mi pan na sprytnego.

Pan Verloc starał się usprawiedliwić zachryplym głosem:

— Jak miałem już sposobność zaznaczyć, zadurzyłem się najfatalniej w niegodnej...

Pan Władimir podniósł białą, pulchną rękę.

— Ach, tak. Tamto nieszczęsne uczucie... z czasów pana młodości. Wzięła pańskie pieniądze, a potem sprzedała pana policji... co?

Bolesna zmiana w wyrazie twarzy pana Verloca i nagle obwiśnięcie całej jego postaci świadczyły, że ten godny pożałowania fakt zaszedł istotnie. Pan Władimir objął w kostce swą nogę założoną na kolano. Skarpetka była jedwabna, granatowa.

— W tym wypadku sprytu pan nie wykazał. Może pan jest zanadto wrażliwy na płec piękną?

Pan Verloc dał do zrozumienia gardłowym, głuchym szeptem, że nie jest już młody.

— Hm! Ta wada z wiekiem nie ustępuje — zauważył pan Władimir ze złowrogą poufałością. — Ale nie! Za tłusty pan na to. Nigdy by pan tak nie wyglądał, gdyby pan był choć trochę wrażliwy na kobiety. Powiem panu, w czym rzecz: pan jest wałkoń. Jak dawno wyciąga pan od nas pieniądze?

— Od jedenastu lat — zabrzmiała odpowiedź po chwili posępnego wahania. — Powierzono mi w Londynie kilka zleceń, gdy jego ekscelencja baron Stott-Wartenheim był jeszcze ambasadorem w Paryżu. Potem na skutek wskazówek jego ekscelencji osiedliłem się w Londynie. Jestem Anglikiem.

— Pan jest Anglikiem! Co też pan mówi! Naprawdę?

— Urodziłem się poddanym brytyjskim — rzekł niezwruszenie pan Verloc. — Ale ojciec mój był Francuzem i stąd...

— Dość tych wyjaśnień — przerwał tamten. — Więc pan mógł według prawa zostać marszałkiem Francji lub posłem do angielskiego parlamentu... a wówczas byłby pan istotnie oddał naszej ambasadzie pewne usługi.

<sup>22</sup>*cherchez la femme* (fr.) — szukajcie kobiety! (wyrażenie oznaczające, że ukrytą przyczyną sprawy zazwyczaj jest kobieta). [przypis edytorski]

Ten wybryk fantazji przywołał coś na kształt słabego uśmiechu na twarz Verloca. Pan Władimir zachował niewzruszoną powagę.

— Ale, jak powiedziałem, wałkoń z pana; nie wyzyskuje pan nasuwających się sposobności. Za barona Stott-Wartenheima wielu półgłówek pracowało w tej ambasadzie. Z ich winy ludzie tacy jak pan wyrobili sobie fałszywe pojęcie o tym, czym jest fundusz tajnego wywiadu. Obowiązek każe mi tę pomyłkę sprostować: muszę panu wyjaśnić, czym tajny wywiad nie jest. Otóż nie jest instytucją filantropijną. Wezwałem pana umyślnie, aby to panu powiedzieć.

Pan Władimir zauważył wymuszone zdumienie na twarzy Verloca i uśmiechnął się szyderczo.

— Widzę, że pan mnie świetnie rozumie. Zdaje się, że pan jest wystarczająco inteligentny na swój fach. Czego nam teraz potrzeba, to czynów... czynów.

Powtarzając ostatnie słowo, pan Władimir położył biały palec wskazujący na brzegu biurka. Najlżejszy ślad chryпки znikł z głosu Verloca. Jego gruby kark nabiegł purpurą nad aksamitnym kołnierzem palta. Wargi mu zadrżały i otworzyły się szeroko.

— Jeśli pan tylko zechce przejrzeć moje sprawozdanie — zahuczał swym tubalnym, dźwięcznym basem od krasomówczych występów — przekona się pan, że ostrzegąłem ambasadę jeszcze przed trzema miesiącami, gdy wielki książę Romuald miał przyjechać do Paryża; telegrafowano stąd o mych ostrzeżeniach do policji francuskiej i...

— Ciszej! — wybuchnął pan Władimir, krzywiąc się i marszcząc. — Francuska policja nic sobie nie robiła z pana ostrzeżeń. Niech pan tak nie ryczy. O cóż panu chodzi do diabła?

Pan Verloc przeprosił tonem wyniosłej pokory za to, że tak się zapomniał. Oświadczył, iż jego głos, słynny od szeregu lat z mów na zebraniach pod wolnym niebem i na wiecach robotniczych w wielkich salach, przyczynił się niemało do ustalenia jego reputacji jako solidnego, zaufanego towarzysza. Głos wchodził więc w skład jego użyteczności. Budził zaufanie do jego zasad. „Przywódcy wysuwali mnie zawsze na mówcę w krytycznej chwili” — oświadczył Verloc z nieukrywaniem zadowoleniem. Dodał, że potrafi przekrzykować każdy hałas, i nagle to zademonstrował.

— Proszę, niech pan mi pozwoli — rzekł.

Ze spuszczoną głową, nie podnosząc oczu, przeszedł przez pokój szybkim, ciężkim krokiem, zmierzając ku drzwiom balkonowym, i uchylił je jakby pod wpływem nieodpartego impulsu. Pan Władimir porwał się zdumiony z głębi fotela i spojrzał przez ramię Verloca; w dole, za dziedzińcem ambasady, dobry jeszcze kawał za otwartą bramą, widać było szerokie plecy policjanta, który stał bezczynnie i śledził wspaniałą wózek z jakimś dzieckiem, przejeżdżający pompatycznie przez skwer.

— Policja! — rzekł Verloc bez najmniejszego wysiłku, jak gdyby szeptał; pan Władimir zaś wybuchnął śmiechem, zobaczywszy, że policjant odwrócił się na pięcie niby zgnięty z tyłu. Verloc zamknął spokojnie okno i wrócił na środek pokoju.

— Dzięki temu głosowi — rzekł, niższy ton do konwersacyjnego, chrypliwego brzmienia — wierzone mi z reguły. A przy tym wiedziałem, co mówić!

Pan Władimir, poprawiając krawat, śledził Verloca w lustrze nad kominkiem.

— Nie wątpię, że pan wyuczył się na pamięć socjalistyczno-rewolucyjnego żargonu — rzekł pogardliwie. — *Vox et...*<sup>23</sup> Pewno nie studiował pan nigdy łaciny, co?

— Nie — burknął pan Verloc. — Chyba tego się pan po mnie nie spodziewał. Jestem jednym z miliona. Któż zna łacinę? Zaledwie kilkuset durniów, którzy nie potrafią dbać o własną skórę.

Jeszcze przez jakieś pół minuty pan Władimir obserwował w lustrze mięsisty profil i wielką tuszę człowieka, który stał za nim. Jednocześnie zaś widział także własną twarz, okrągłą, wygoloną, różową w okolicy podbródka, o wąskich, wrażliwych ustach stworzonych do wypowiedzania subtelných dowcipów, dzięki którym stał się ulubieńcem najwyższych sfer. Wreszcie zawrócił na pięcie i ruszył przez pokój z taką stanowczością, iż nawet końce jego niebanalnego staroświeckiego krawata zdawały się jeżyć od niewysłowionych gróźb. Ruchy miał tak szybkie i dzikie, że pan Verloc, który spojrzał na niego z ukosa, zadrżał w duchu.

<sup>23</sup>*Vox et...* (łac.) — początek frazy *Vox et praeterea nihil*: głos i nic więcej (z *Powiedzeń spartańskich* Plutarcha, o słowiku, z którego po oskubaniu niemal nic nie zostało). [przypis edytorski]

— Oho! Pan sobie pozwala na bezczelność — zaczął pan Władimir zdumiewająco gardłowym tonem, nie tylko nie angielskim, ale wręcz nie europejskim, co przstraszyło nawet Verloca, doświadczonego bywalca międzynarodowych zaułków. — Pan się ośmiela... Więc przemówię panu do słuchu. Nic tu z pana głosu nie przyjdzie. Nie potrzeba nam pana głosu. Potrzeba nam faktów — przerażających faktów... do jasnej cholery — dodał z opanowaną dzikością, mówiąc Verlocowi prosto w twarz.

— Nie zastraszy mnie pan swym barbarzyńskim obejściem — bronił się ochryplym głosem pan Verloc, patrząc w dywan. W odpowiedzi na to jego interlokutor, uśmiechając się kpiąco znad zjeżonego fontazia<sup>24</sup>, przeszedł na język francuski.

— Pan się podaje za *agent provocateur*<sup>25</sup>. Zajęciem odpowiednim dla *agent provocateur* jest prowokacja. O ile wiem z informacji, które mamy o panu, przez trzy ostatnie lata nie zrobił pan nic, żeby zarobić na swój chleb.

— Nic nie zrobiłem! — wykrzyknął Verloc, nie poruszając się wcale i nie podnosząc oczu, choć jego głos drgał szczerym uczuciem. — Kilka razy zapobiegałem temu, co mogło być się stać.

— Jest w tym kraju przysłowie, które mówi, że lepiej zapobiec chorobie, niż ją leczyć — przerwał pan Władimir, rzucając się na fotel. — W gruncie rzeczy to absurd. Tutaj wiecznie czemuś zapobiegają. Ale to przysłowie jest charakterystyczne. W Anglii nie lubią energicznych środków. Niech no pan nie będzie zanadto angielski. A w tym konkretnym wypadku niech pan nie będzie głupi. Zło już tu przeniknęło. My nie chcemy zapobiegać — my chcemy leczyć.

Urwał, zwrócił się do biurka i przeglądając jakieś papiery, odezwał się już innym, rzeczowym tonem, nie patrząc na Verloca.

— Pan wie naturalnie o międzynarodowej konferencji odbywającej się w Mediolanie?

Pan Verloc oznajmił ochryplym głosem, że ma zwyczaj czytać gazety. Na dalsze pytanie odpowiedź jego brzmiała, że oczywiście rozumie, co czyta. Pan Władimir, uśmiechając się z lekka do dokumentów, które przeglądał wciąż jeden za drugim, mruknął:

— O ile to nie jest po łacinie.

— Albo po chińsku — dodał niewzruszenie pan Verloc.

— Hm. Niektóre z wynurzeń pańskich przyjaciół to bzdury równie niezrozumiałe jak chińszczyzna. — Pan Władimir odrzucił pogardliwie szary arkusz zadrukowanego papieru. — Cóż to za świstki z literami P. P. w nagłówku, ze skrzyżowanymi młotkiem, piórem i pochodnią? Cóż to znaczy, P. P.?

Pan Verloc zbliżył się do imponującego biurka.

— Przyszłość Proletariatu. To jest stowarzyszenie — wyjaśnił, stanąwszy ciężko obok fotela — w zasadzie nie tylko anarchistyczne, otwarte dla wszelkich odcieni przekonań rewolucyjnych.

— Czy pan do niego należy?

— Jestem jednym z wiceprezesów — wysapał pan Verloc, a pierwszy sekretarz ambasady podniósł głowę i spojrzął na niego.

— Więc powinien pan się wstydzić — rzekł dobitnie. — Czy pańskie stowarzyszenie nie potrafi nic innego, tylko drukować te prorocze bzdury stępienymi czcionkami na brudnym papierze... co? Dlaczego pan nie weźmie się do roboty? Proszę posłuchać. Teraz ja mam w rękę te sprawy i mówię panu wyraźnie, że będzie pan musiał na chleb zarobić. Dawne dobre czasy z epoki Stott-Wartenheima minęły. Bez pracy nie zobaczy pan ani grosza.

Pan Verloc poczuł, że nogi pod nim dziwnie osłabły. Cofnął się i wytarł głośnie nos.

Był naprawdę zaskoczony i niespokojny. Rdzawe słońce londyńskie, przedarłszy się przez londyńską mgłę, rozsiewało ciepłą jasność w gabinecie sekretarza; wśród ciszy usłyszał pan Verloc słabe brzęczenie muchy na szybie — pierwszej muchy w tym roku; zwiastowało to wiosnę bardziej niezawodnie od najliczniejszej rzeszy jaskółek. Bezowocne miotanie się drobnego, energicznego organizmu dotknęło w przykry sposób grubasa, który czuł się zagrożony w swej gnuśności.

<sup>24</sup>fontaż (z fr. *fontange*) — fantazyjna, luźna kokarda noszona pod szyją przez mężczyzn na przełomie XIX i XX w., rodzaj dawnego krawata. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*agent provocateur* (fr.) — agent-prowokator, przenikający do jakiejś organizacji w celu nakłaniania jej członków do złamania prawa, aby można było ich aresztować. [przypis edytorski]

Podczas tej pauzy pan Władimir sformułował w myśli szereg negatywnych uwag dotyczących twarzy i figury pana Verloca. Ten człowiek był nadspodziewanie pospolity, opasły i beczelnie ograniczony. Wyglądał jota w jotę jak specjalista od robót kanalizacyjnych, który przyszedł z rachunkiem. Pierwszy sekretarz ambasady nabral specjalnego wyobrażenia o tej kategorii pracowników, czytując od czasu do czasu amerykańskie humoreski; uważał ich za wcielenie nieuctwa i podstępnej gnuśności.

A więc to był ów znakomity, zaufany tajny agent, tak dalece tajny, że w oficjalnej, półoficjalnej i poufnej korespondencji nieboszczyka barona Stott-Wartenheima określano go zawsze tylko symbolem  $\Delta$ ; słynny agent  $\Delta$ , którego ostrzeżenia zmieniały plany i daty królewskich, cesarskich, wielkksiążęcych podróży, a czasem były przyczyną ich zaniechania! To indywiduum! Tu pan Władimir pozwolił sobie w duchu na gwałtowny wybuch szyderczej wesołości, wywołanej po części własnym zdumieniem, które uznał za naiwne; głównie jednak rozśmieszyła go myśl o żalowanym powszechnie baronie Stott-Wartenheimie. Świętej pamięci ekscelencja, którego najwyższa łaska cesarskiego władcy narzuciła jako ambasadora kilku niechętnym ministrom spraw zagranicznych, cieszył się za życia opinią łatwowernego pesymisty. Miał manię na punkcie rewolucji społecznej. Wyobrażał sobie, że jest dyplomatą, który ze specjalnego wyroku przeznaczenia stanie się świadkiem kresu dyplomacji i poniekąd kresu świata w straszliwym przewrocie demokratycznym. Jego prorocze i żalose raporty były w ciągu lat przedmiotem dowcipów po różnych ministerstwach spraw zagranicznych. Mówiono, że na łożu śmierci zawołał (podczas wizyty swego cesarskiego władcy i przyjaciela): „Nieszczęsna Europo! Zepsucie twych dzieci doprowadzi cię do zguby!”. Ten Stott-Wartenheim był ofiarą pierwszego lepszego lajdackiego blagiera, jaki mu się nawinął — myślał Władimir, uśmiechając się niewyraźnie do Verloca.

— Powinien pan czcić pamięć barona Stott-Wartenheima — wykrzyknął nagle.

Spuszczona twarz Verloca wyrażała posępną udękę i znużenie.

— Pozwoli mi pan zauważyć — rzekł — że przyszedłem tu wezwany listownym rozkazem. Dotychczas w ciągu jedenastu lat byłem tu tylko dwa razy i oczywiście nigdy o jedenastej rano. Nie jest rzeczą rozsądną wzywać mnie o tej porze. A gdyby mnie przypadkiem spostrzegli? Miałbym się z pyszna.

Pan Władimir wzruszył ramionami.

— Przestałbym być użyteczny — gorączkował się Verloc.

— To jest pańska sprawa — mruknął pan Władimir z łagodną brutalnością. — Gdy pan przestanie być użyteczny, przestaniemy się panem posługiwać. Tak. Natychmiast. Szlus. Zostanie pan... — Pierwszy sekretarz zmarszczył brwi i urwał, szukając należyście dosadnego określenia; rozjaśnił się natychmiast, błysnąwszy wspaniałą bielą zębów w kpiącym uśmiechu. — Zostanie pan wylany — wygarnął z okrucieństwem.

Raz jeszcze musiał Verloc użyć całej siły woli, aby zwalczyć uczucie omdłałości jakby spływającej po nogach, uczucie, które natchnęło ongi jakiegoś nieboraka do trafnego określenia: „dusza uciekła mi w pięty”. Pan Verloc, świadom tego uczucia, podniósł odważnie głowę.

Pan Władimir zniósł jego tępy, badawczy wzrok z najzupełniejszą pogodą.

— Czego nam teraz potrzeba, to jakiegoś krzepiącego zastrzyku dla konferencji mediolańskiej — rzekł lekko. — Debaty nad międzynarodową akcją w celu stłumienia zbrodni politycznych nie doprowadzą do niczego. Anglia ociąga się. Ten kraj ma bzika na punkcie sentymentalnego szacunku dla swobody indywidualnej. Wszystko się w człowieku gotuje na myśl, że pierwszemu lepszemu z pana przyjaciół wystarcza po prostu przebyć Kanał Angielski<sup>26</sup>, aby...

— Dzięki temu mam ich wszystkich na oku — przerwał Verloc chrypliwie.

— Byłoby znacznie rozsądniej mieć ich wszystkich pod kluczem. Anglia musi zrównać się pod tym względem z innymi krajami. Głupia *bourgeoisie*<sup>27</sup> tego kraju stała się współniczką właśnie tych ludzi, którzy dążą do wyrzucenia jej z własnych domów, aby wyzdychała po rowach. A przecież burżuazja trzyma jeszcze w ręku siłę polityczną; gdy-

<sup>26</sup>Kanał Angielski (ang. *English Channel*) — ang. nazwa kanału La Manche, oddzielającego Wielką Brytanię od Francji. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*bourgeoisie* (fr.) — burżuazja. [przypis edytorski]



byż miała dość rozsądku, aby użyć jej dla swej obrony. Pan zgodzi się chyba z tym, że klasy średnie są głupie?

Pan Verloc przytwierdził ochryplym głosem:

— O tak.

— Ci ludzie pozbawieni są wyobraźni. Zaślepia ich idiotyczna próżność. Trzeba koniecznie napędzić im teraz porządnego stracha. Oto chwila stosowna do puszczenia w ruch pańskich przyjaciół. Wezwałem tu pana, bo chcę przedstawić panu swój plan.

I pan Władimir wyniosłym tonem zaczął rozwijać swój projekt z pogardliwą łaskawością, zdradzając tak wielką nieznanomość istotnych celów, pojęć i metod świata rewolucyjnego, że Verloc zdumiał się w duchu. Pierwszy sekretarz nie odróżniał skutków od przyczyn w sposób niedopuszczalny; mieszał najwybitniejszych propagatorów idei z impulsywnymi zamachowcami; sądził, że organizacja istnieje tam, gdzie z natury rzeczy istnieć nie mogła; mówił o socjalistycznej partii rewolucyjnej to jak o znakomicie zorganizowanej armii, posłusznej na skinienie wodzów, to znów jak o luźnej grupie zbójceckich straceńców obozujących w górskim wąwozie. Pan Verloc otworzył raz usta, aby zaprzeczyć, ale wstrzymało go podniesienie dużej, kształtnej, białej ręki. Wkrótce ogarnął go taki strach, że nie usiłował nawet protestować. Słuchał zastygły w lęku, co wyglądało na bezruch wyteżonej uwagi.

— Chodzi o szereg gwałtów — ciągnął spokojnie pan Władimir — nie tylko *obmyślonych*, ale i wykonanych tu, w Anglii; w innym wypadku nie przydadzą się na nic, nie sprawią wrażenia. Pana przyjaciele mogliby podpalić pół kontynentu, a nie zjednali by wcale tutejszej opinii publicznej do wprowadzenia powszechnych praw represyjnych. Anglicy nie widzą dalej niż koniec swego nosa.

Pan Verloc odchrząknął, ale odwaga zawiodła go i nic nie powiedział.

— Takie zamachy nie potrzebują być szczególnie krwawe — ciągnął pan Władimir, jakby wygłaszając naukowy odczyt — ale muszą wzbudzić dostateczny lęk... muszą wyrzucić swój skutek. Ich ofiarą mogłyby paść na przykład budynki. Co jest obecnie największym fetyszem całej *bourgeoisie*, panie Verloc, no?

Pan Verloc rozłożył ręce i wzruszył lekko ramionami.

— Pan jest za leniwy, aby myśleć — objaśnił ten gest pan Władimir. — Niech pan uważa na to, co mówię. Fetyszem dnia dzisiejszego nie jest ani królewski majestat, ani religia. Trzeba więc zostawić w spokoju pałace i kościoły. Rozumie pan, o co mi chodzi, panie Verloc?

Pan Verloc dał ujście swemu przerażeniu i wzgardzie, mając się żartobliwego tonu:

— Świetnie. A co by pan powiedział o ambasadach? Szereg zamachów na różne ambasady — zaczął, ale nie mógł wytrzymać chłodnego, czujnego wzroku pana Władimira.

— Widzę, że pan umie być dowcipny — zauważył niedbale pierwszy sekretarz. — Doskonale. Może to ożywi pańskie krasomówstwo na kongresach socjalistycznych. Ale ten pokój nie jest terenem do tego odpowiednim. Będzie dla pana daleko bezpieczniej, jeśli pan przysłucha się uważnie temu, co mówię. Ponieważ wezwano pana dla dostarczenia faktów, a nie plecenia bajek o żelaznym wilku, powinien pan wyciągnąć korzyść z tego, co zadają sobie trud panu wyjaśnić. Najświętszym fetyszem współczesnym jest nauka. Dlaczego pan nie skrzyknie swoich przyjaciół, aby rzucili się na tego bałwana, co? Przecież i on należy do instytucji, które trzeba sprzątnąć, nim nastanie era Przyszłości Proletariatu.

Pan Verloc nic nie odpowiedział. Bał się otworzyć usta, aby nie jęknąć.

— Musi pan do tego się zabrać. Zamach na koronowaną głowę albo na prezydenta jest w pewnej mierze sensacją, ale nie w takim stopniu, co dawniej. Zamachy stały się częścią ogólnego pojęcia o życiu wszystkich przywódców państw. To jest już prawie banalne... zwłaszcza odkąd zamordowano tylu prezydentów. A teraz rozpatrzmy zamach na, powiedzmy, kościół. Naturalnie, że w pierwszej chwili wygląda to dość groźnie, ale nie wyrze tak wielkiego skutku, jak by przeciętnemu człowiekowi mogło się zdawać. Choćby taki zamach był w założeniu na wskroś rewolucyjny i anarchistyczny, znajdują się zawsze durnie, którzy mu przypiszą cechy manifestacji antyreligijnej. A to by odjęło zamachowi specyficznie niepokojące znaczenie, jakie chcemy mu nadać. Zamach na restaurację lub teatr mógłby z tych samych przyczyn uchodzić za objaw namiętności niemającej nic wspólnego z polityką: za rozwścieczenie głodnego człowieka, za akt zemsty

Walka klas, Przemoc,  
Rewolucja

społecznej. Zużyło się to wszystko i nie jest już pouczające jako pogładowa lekcja rewolucyjnego anarchizmu. Każda gazeta ma pod ręką gotowe frazesy służące do usprawiedliwiania takich objawów. Wykładam panu ze swego punktu widzenia filozofię rzucania bomb; z punktu widzenia, któremu pan podobno służył w ciągu ostatnich jedenastu lat. Staram się mówić w sposób dla pana przystępny. Wrażliwość klasy, którą atakujecie, stępnia się szybko. Własność wydaje się tym ludziom rzeczą niezniszczalną. Nie można liczyć na stałość ich uczuć, czy to będzie litość, czy trwoga. Jeśli zamach za pomocą bomby ma wywrzeć wpływ na opinię publiczną, musi być czymś efektowniejszym niż akt zemsty lub terroryzmu. Musi dążyć tylko do zniszczenia. Zniszczenie i nic innego, każdy inny cel musi być wykluczony. Wy, anarchiści, powinniście dowieść czarno na białym, że jesteście bezwzględnie zdecydowani zmieść z oblicza ziemi cały ustrój społeczny. Ale jak wbić ten przerażający absurd w głowy klasy średniej, tak aby go jasno pojęła? Oto jest pytanie! Odpowiedź brzmi: trzeba skierować zamach niszczycielski przeciw czemuś, co jest poza obrębem zwykłych ludzkich namiętności. Naturalnie mamy jeszcze sztukę. Bomba w National Gallery<sup>28</sup> wywołałaby pewien hałas. Ale to by nie wyglądało dość poważnie. Przypominałoby rozbicie w czyimś domu okien od podwórza; a tymczasem jeśli się chce człowiekiem wstrząsnąć, trzeba przynajmniej zerwać dach. Sztuka nie była nigdy fetyszem burżuazji. Taki zamach na sztukę wywołałby z początku trochę krzyku, ale z czyjej strony? Ze strony artystów... krytyków sztuki i tym podobnych... ludzi bez znaczenia. Nikt nie zwraca uwagi na to, co mówią. Lecz istnieje jeszcze wiedza... nauka. Wierzy w nią każdy dureń posiadający dochody. Jest przekonany, że nauka coś znaczy, choć nie wie dlaczego. To najświętszy z fetyszów. Wszyscy, psiakrew, profesorowie są w głębi duszy radykałami. Trzeba pokazać, że tej ich dostojnej kukły grozi także zagłada, że kukła będzie musiała ustąpić wobec Przyszłości Proletariatu. Wycie wszystkich intelektualnych idiotów powinno się przysłużyć pracom konferencji mediolańskiej. Będą rozpisywali się o tym w gazetach. Ich oburzenia nikt nie będzie podejrzewać, ponieważ żadne interesy materialne jawnie tu w grę nie wejdą; zaniepokoi to do głębi egoizm klasy, na której trzeba wywrzeć wrażenie. Ci ludzie wierzą, że w jakiś tajemniczy sposób nauka jest źródłem ich dobrobytu. Wierzą w to. A okrutny absurd takiego zamachu dotknie ich głębiej niż wysadzenie w powietrze całej ulicy lub teatru zatłoczonego bliźniami. O tego rodzaju fakcie mogą zawsze powiedzieć: „Ach, to tylko nienawiść klasowa”. Ale co powiedzieć na czyn niszczycielskiej dzikości tak bezsensownej, że aż niezrozumiałej, niewytłumaczalnej, prawie nie do pomyślenia — po prostu obłąkanej? Tylko obłąd jest naprawdę przerażający, ponieważ nie można nań zaradzić czy to groźbami, czy perswazją, czy przekupstwem. Zresztą jestem człowiekiem cywilizowanym. Ani mi w głowie nakażywać, aby pan zorganizował zwykłe jatki, nawet gdybym oczekiwał, że dadzą najlepsze wyniki. Bo po jatkach nie spodziewałbym się wyników, o jakie mi chodzi. Morderstwo jest na porządku dziennym. To niemal instytucja. Dlatego też zamach musi być skierowany przeciwko wiedzy — przeciwko nauce. Ale nie każda nauka do tego się nadaje. Taki atak powinien razić jaskrawym bezsensem, jak nieuzasadnione bluźnierstwo. Ponieważ bomby są waszym sposobem wypowiedania się, efekt byłby najskuteczniejszy, gdyby się dało rzucić bombę na czystą matematykę. Ale to niemożliwe. Usiłowałem pana oświecić; przedstawiłem pańską użyteczność z punktu widzenia wyższej filozofii i wysunąłem nieco przydatnych argumentów. Praktyczne zastosowanie mego wykładu obchodzi przede wszystkim pana. Lecz z chwilą, gdy postanowiłem z panem się rozmówić, poświęciłem również trochę uwagi praktycznej stronie tej kwestii. Co by pan pomyślał o zamachu na astronomię?

Już od pewnego czasu bezruch pana Verloca, stojącego przy fotelu, przypominał stan bezwładnej zapaści — coś jakby bierną nieczułość przerywaną lekkimi konwulsyjnymi drgawkami, które można czasem zauważyć u psa leżącego przed kominkiem i dręczonego senną zmorą. Brzmiało to jak niespokojne psie warknięcie, gdy pan Verloc powtórzył za sekretarzem:

— Na astronomię.

<sup>28</sup>National Gallery (ang.: Galeria Narodowa) w Londynie — muzeum sztuki zał. przez parlament bryt. w 1824 r., zawierające jedną z największych na świecie kolekcji malarstwa. [przypis edytorski]

Nie zdołał się jeszcze otrząsnąć z oszołomienia, w które popadł, usiłując nadażyć myślą za słowami padającymi szybko, dobitnie z ust pana Władimira. Przekraczało to chłonność jego mózgu. Ogarnął go gniew. Ten gniew podszyty był nieufnością. Nagle zaświtało mu w głowie, że wszystko to jest skomplikowanym żartem. Pan Władimir pokazał w uśmiechu białe zęby i na jego okrągłej, pulchnej twarzy, przechylonej z wyrazem zadowolenia nad zjezonym krawatem, pojawiły się dołki. Faworyt inteligentnych pań z towarzystwa upozował się w taki sposób, jakby mówił w salonie wykwintne dowcipy. Pochylił się naprzód w fotelu i podniósł białą rękę, rzekłbyś, delikatnie trzymając swe subtelne uwagi między kciukiem a palcem wskazującym.

— Nic lepszego nie wymyślimy. Taki zamach łączy w sobie możliwie największy szacunek dla ludzkiego życia z najgroźniejszą głupotą i dzikością. Niechże sprytni dziennikarze dowiodą swym czytelnikom, że znalazł się wśród proletariatu człowiek mający osobisty żal do astronomii. Tu już argument głodu nie da się zastosować, nieprawdaż? A przy tym mój pomysł ma jeszcze inne dobre strony. Cały świat cywilizowany wie, co to jest Greenwich. Nawet czyściciele butów w podziemiach stacji Charing Cross<sup>29</sup> coś o tym wiedzą. Rozumie pan?

Twarz pana Władimira, znana z pełnej humoru uprzejmości w kołach najlepszego towarzystwa, promieniowała cynicznym zadowoleniem z własnej osoby; zadziwiłoby to inteligentne kobiety przepadające za wytwornym dowcipem sekretarza.

— Tak — ciągnął dalej z pogardliwym uśmiechem — wysadzenie w powietrze pierwszego południka powinno wywołać ryk nienawiści.

— Trudna sprawa — mruknął pan Verloc, czując, że to jedyna rzecz, którą może bezpiecznie powiedzieć.

— Cóż w tym trudnego? Przecież pan ma całą tę bandę pod ręką i to samą ich śmietankę. Jest tu ten stary terrorysta Yundt. Widuję go prawie co dzień, jak chodzi po Piccadilly w zielonym płaszczu. A Michaelis, apostoł na urlopie... nie będzie pan chyba twierdził, że pan nie wie, gdzie on się znajduje! Bo gdyby pan nie wiedział, to ja mógłbym pana poinformować — ciągnął groźnie pan Władimir. — Jeśli pan sobie wyobraża, że tylko pan pobiera pensję z tajnych funduszków, to się pan myli.

Ta niczym nie uzasadniona uwaga sprawiła, że pan Verloc przestąpił z nogi na nogę.

— No a tamta ich paczka z Lozanny<sup>30</sup>? Czyż się wszyscy tutaj nie zbiegli na pierwszą wiadomość o konferencji w Mediolanie? Anglia nie ma za grosz rozumu.

— To będzie dużo kosztowało — rzekł pan Verloc, tknięty jakimś instynktem.

— Na to mnie pan nie nabierze — odparował pan Władimir z zadziwiającym dobrym angielskim akcentem. — Otrzyma pan swoją comiesięczną pensję i nic więcej, póki się coś nie stanie. A jeśli się coś nie stanie, i to bardzo prędko, nawet pensji pan nie zobaczy. Jakie jest pana oficjalne zajęcie? Z czego się pan niby to utrzymuje?

— Prowadzę sklep — odrzekł pan Verloc.

— Sklep! Jaki sklep?

— Towary piśmienne, gazety. Moja żona...

— Pańska co? — przerwał pan Władimir swym gardłowym środkowoazjatyckim tonem.

— Moja żona. — Pan Verloc trochę podniósł ochryply głos. — Jestem żonaty.

— Co za bujda — wykrzyknął sekretarz z nieklamany zduśmieniem. — Żonaty! I to ma być wyznawca anarchizmu! Co znaczą te bzdury? Ale to chyba tylko się tak nazywa. Anarchiści się nie żenią. Każdy o tym wie. Nie wolno im. To by było odszczepieństwo.

— Moja żona nie jest anarchistką — mruknął opryskliwie pan Verloc. — A przy tym nic to pana nie obchodzi.

— Owszem, obchodzi — rąbnął pan Władimir. — Zaczynam się przekonywać, że pan wcale nie jest odpowiedni do pracy, którą panu powierzono. Przecież pańskie małżeństwo musiało pana w waszym świecie zupełnie zdyskredytować. Nie mógł pan bez tego się

<sup>29</sup> *Charing Cross* — dworzec kolejowy w centrum Londynu, zbudowany w 1864 r. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *paczka z Lozanny* — Lozanna była kojarzona z działalnością anarchistów na wygnaniu; m.in. schroniła się tam grupa francuskich anarchistów po nieudanej próbie wzniecenia rewolucji w Lyonie (1870); w 1876 na kongresie w Lozannie anarchiści ostatecznie odseparowali się od innych ugrupowań, socjaldemokratycznych, socjalistycznych i komunistycznych. [przypis edytorski]

obejść? Więc to takie cnotliwe przywiązanie... co? Tu małżeństwo, tam miłostka i jakież może być z pana pożytek!

Pan Verloc wydał policzki, wypuścił gwałtownie powietrze i na tym koniec. Uzbroił się w cierpliwość. Nie mogło to już trwać bardzo długo. Pierwszy sekretarz stał się nagle bardzo zwięzły, obojętny, stanowczy.

— A teraz może pan odejść — powiedział. — Musi pan sprowokować zamach dynamitowy. Daję panu na to miesiąc. Posiedzenia konferencji zawieszono. Zanim się znów rozpoczną, musi się tutaj coś stać, albo stosunki nasze się skończą.

Uderzył w inny ton z podstępą zmiennością.

— Proszę rozważyć moją filozofię, panie... panie Verloc — rzekł tonem jakby laskawego szyderstwa, wskazując drzwi. — Niech pan zaatakuję pierwszy południk. Pan nie zna burżuazji tak dobrze jak ja. Jej wrażliwość jest przytępiona. Pierwszy południk. Sądzę, że to najlepsze i przy tym najłatwiejsze.

Wstał z fotela; jego cienkie, wrażliwe wargi drgały kapryśnie, gdy śledził w lustrze nad kominkiem pana Verloca wycofującego się z pokoju ciężkim krokiem, z kapeluszem i laską w ręku. Drzwi się zamknęły.

Służący w liberii ukazał się nagle na korytarzu; poprowadził pana Verloca inną drogą i wypuścił go przez małe drzwi w rogu dziedzińca. Portier stojący w bramie zignorował zupełnie jego wyjście i pan Verloc szedł z powrotem drogą swej rannej pielgrzymki jak we śnie — jak w złym śnie. Oderwanie pana Verloca od materialnego świata było tak zupełne, że choć jego śmiertelna powłoka nie zdążyła zbyt śpiesznie przez ulice, druga część jego istoty, ta, której tylko niesprawiedliwy brutal mógłby odmówić nieśmiertelności, znalazła się u drzwi sklepu natychmiast, jakby uniesiona z zachodu na wschód na skrzydłach potężnego wiatru.

Poszedł prosto za ladę i siadł na drewnianym krześle. Nikt się nie ukazał i nie zamącił jego samotności. Stevie, opięty w zielony bajowy<sup>31</sup> fartuch, pilny i sumienny, zamiatał właśnie i odkurzał górne schody, jakby się bawiąc; pani Verloc zaś, ostrzeżona w kuchni przez grzechot pękniętego dzwonka, podeszła tylko do oszklonych drzwi i odsunawszy firankę, zajrzała do ciemnego sklepu. Widząc, że jej mąż tam siedzi, barczysty, pośpenny, z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, wróciła natychmiast do gotowania. Mniej więcej po upływie godziny zdjęła bratu zielony bajowy fartuch i poleciła mu umyć ręce i twarz rozkazującym tonem, którego używała zawsze w tych okolicznościach od jakichś piętnastu lat — to jest odkąd przestała sama go myć. Po chwili, nakładając jedzenie na półmisek, rzuciła okiem na tę twarz i ręce; Stevie pokazywał je właśnie, podszedłszy do siostry z miną pewną siebie, pod którą krył się nękający go stale niepokój. Dawniej grożono mu gniewem ojca, w razie gdyby zaniedbał się umyć, lecz obecnie niewzruszony spokój pana Verloca w życiu domowym uniemożliwiał wszelką wzmiankę o gniewie, gdyż nawet biedny Stevie nie mógłby w to uwierzyć. Twierdziło się zatem, że pan Verloc byłby niewypowiedzianie zmartwiony i zgorszony, gdyby zauważył w czasie posiłku jakiegokolwiek wykroczenie przeciw czystości. Po śmierci ojca znaczną pociechą była dla Winnie myśl, że już nie potrzebuje drzeć o biednego Steviego. Nie mogła znieść, kiedy wyrządzano mu krzywdę. Doprowadzało ją to do szału. Jeszcze jako mała dziewczynka często z pałającymi oczami broniła braciszka przed porywczym kupcem. Ale teraz nic w jej wyglądzie nie świadczyło, aby była zdolna do gwałtownych wystąpień.

Skończyła przygotowywać półmiski. Stół w saloniku był już nakryty. Podszedłszy do schodów, zawołała na matkę. Po tym otworzyła szklane drzwi prowadzące do sklepu i rzekła spokojnie: „Adolfie?”. Pan Verloc siedział ciągle w tej samej pozie; widać przez półtorej godziny nie ruszył ani ręką, ani nogą. Podniósł się ciężko bez słowa i przyszedł na obiad w palcie i kapeluszu. Jego milczenie nie było samo w sobie niezwykle ani niepokojące w tym mieszkaniu za mrocznym sklepem o szmatławych, podejrzanych towarach, w cieniu niechlujnej uliczki, rzadko nawiedzanej przez słońce. Lecz owego dnia milczenie pana Verloca było najwidoczniej tak brzemienne myślami, że wywarło wrażenie na obu kobietach. Siedziały, nie odzywając się ani słowem, i śledziły baczny okiem biednego Steviego, w obawie, aby nie dostał napadu gadulstwa. Stevie siedział naprzeciw pana Verloca, bardzo grzeczny, spokojny i patrzył bezmyślnie przed siebie. Niemałym wysiłkiem

Siostra

<sup>31</sup>bajowy — wykonany z bai, miękkiej tkaniny bawełnianej. [przypis edytorski]

w życiu obu kobiet było ciągle troszczenie się o to, żeby powstrzymać Stewiego od przeskadzania panu domu w taki czy inny sposób. „Chłopiec”, jak go nazywały czule między sobą, był dla nich źródłem tego rodzaju niepokojów prawie od dnia swych urodzin. Posiadanie tak dziwnego potomka napawało jego ojca upokorzeniem, które ujawniało się skłonnością do brutalnego traktowania Stewiego; albowiem właściciel sklepu spożywczego odznaczał się delikatnością uczuć, a jego ból jako człowieka i jako ojca był najzupełniej szczery.

Z czasem trzeba było pilnować, aby Stevie nie naprzykrzał się wynajmującym pokoje lokatorom, którzy są dziwną kategorią ludzi i odznaczają się drażliwością. A przy tym niepokój o przyszłość, jaka czekała biednego chłopca, dręczył stale obie kobiety. Wizje przytułku dla niedorozwiniętych prześladowały matkę Stewiego, gdy się krzątała po pokoju śniadaniowym w suterenie obskurnego domu w dzielnicy Belgravia.

— Moja droga, gdybyś nie znalazła takiego dobrego męża — mawiała często do córki — nie wiem, co by się stało z tym biednym chłopcem.

Pan Verloc poświęcał Stewiemu tyleż uwagi, co człowiek obojętny dla zwierząt ulubionemu kotowi swej żony; była to w gruncie rzeczy uwaga tego samego rodzaju, życzliwa i obojętna. Obie kobiety przyznawały w cichości ducha, że właściwie niczego więcej nie można się było spodziewać. Wystarczyło to, aby Verloc zdobył sobie szacunek i wdzięczność teściowej. Z początku staruszka, która nie spotkała się nigdy z przyjaźnią i którą ciężkie życie usposobiło sceptycznie, pytała czasem z niepokojem:

— Jak myślisz, kochanie, czy to twego męża nie drażni, że wciąż ma Stewiego przed oczami?

Na to Winnie odpowiadała zwykle przeczącym ruchem głowy. Raz jednak odparła posępnie i wyzywająco:

— Musiałby się najpierw mną znudzić.

Zapadło długie milczenie. Matka, siedząc z nogami opartymi o stołeczek, zdawała się zgłębiać tę odpowiedź, oszołomiona jej kobiecą przenikliwością. Staruszka nigdy nie mogła właściwie pojąć, dlaczego Winnie wyszła za pana Verloca. Był to postępek bardzo rozsądny i oczywiście stało się jak najlepiej, ale dziewczyna mogła mieć przecież nadzieję, że znajdzie kogoś w wieku bardziej odpowiednim. Swego czasu Winnie lubiła się przechadzać z pewnym spokojnym młodym człowiekiem, jedynym synem rzeźnika z sąsiedniej ulicy, pomagającym ojcu w sklepie. Prawda, że był zależny od ojca, ale interesy szły dobrze i miał świetne widoki. Kilka razy zabrał Winnie do teatru. Potem, właśnie gdy matkę zdjęła obawa, że się zareczą (bo cóż by była zrobiła sama z tym dużym gospodarstwem i Steviem na głowie), flirt nagle się skończył i Winnie przez jakiś czas wyglądała bardzo posępnie. Ale zjawił się na szczęście pan Verloc, zajął frontowy pokój na pierwszym piętrze i nie wspominało się już więcej o młodym rzeźniku. To było doprawdy zrzędzenie Opatrzności.

### III

— ...Idealizowanie życia czyni je uboższym. Upiększać je, to znaczy pozbawiać je różnorodności — to znaczy je niszczyć. Zostaw to moralistom, mój drogi. Historię tworzą ludzie, ale nie tworzą jej mózgiem. Idee, które się rodzą w ludzkiej świadomości, grają rolę nieznaczną w rozwoju wypadków. Narzędzia i produkcja — potężne czynniki ekonomiczne — panują nad historią i o niej rozstrzygają. Kapitalizm stworzył socjalizm, a prawa, ustanowione przez kapitalizm dla ochrony własności, są odpowiedzialne za anarchizm. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jaką formę przybierze w przyszłości organizacja społeczna. Po cóż więc oddawać się proroczym fantazjom? W najlepszym razie odzwierciedlają one tylko duszę proroka i nie mogą mieć żadnej wartości obiektywnej. Zostaw tę rozrywkę moralistom, mój drogi.

Michaelis, apostoł uwolniony chwilowo z za krat, mówił równym, chrapliwym głosem, rzekłbyś, stłumionym przez pokład tłuszczu na piersiach. Opuścił nader higieniczne więzienie okrągły jak beczka, z ogromnym brzuchem, z wydętymi policzkami o cerze bladej, na wpół przejrzyściej; wyglądał, jakby w ciągu piętnastu lat słudzy skrzywdzonego społeczeństwa nie mieli nic innego na względzie prócz opychania go tuczającymi pokarma-

mi w wilgotnej, ciemnej celi. Nie zdołał odtąd już nigdy stracić na wadze choćby jednego grama.

Opowiadano, że przez trzy sezony z rzędu pewna stara, bardzo bogata pani wysyłała go na kurację do Marienbadu<sup>32</sup>, gdzie raz ledwie się nie stał przedmiotem publicznej ciekawości razem z pewną koronowaną głową — lecz policja zażądała, aby opuścił Marienbad w przeciągu dwunastu godzin. Zakazano mu dostępu do leczniczych wód i wskutek tego musiał dźwigać w dalszym ciągu swoje męczeństwo. Ale teraz był już zrezygnowany.

Siedział z zarzuconym na poręcz krzesła łokciem, przypominającym raczej zgięte ramię jakiegoś manekina niż ramię człowieka; pochyliwszy się trochę ku swym krótkim, olbrzymim udom, splunął w ogień.

— Tak! Miałem czas zastanawiać się nad życiem — dodał spokojnie. — Społeczeństwo dało mi dość czasu do rozmyślań.

Z drugiej strony kominka, w fotelu pokrytym włosiem, uprzywilejowanym miejscu matki pani Verloc, Karl Yundt chichotał złośliwie, wykrzywiając usta w bezzębny, ponurym grymasie. Ów terrorysta, jak sam siebie nazywał, był stary, łysy i miał rzadką, obwisłą, śnieżnobiałą kozią bródkę. Niezwykły wyraz przebiegłej złośliwości tlił się w jego wygasłych oczach. Yundt z trudem dźwignął się z miejsca; jego koścista ręka, zniekształcona przez artretyczne obrzęki, wyciągnęła się niepewnym ruchem jak ręka konającego mordercy, który zbiera resztki sił dla zadania ostatniego ciosu. Oparł się na grubym kijku drżącym pod jego drugą ręką.

— Marzyłem zawsze — wymamlał zapalczywym głosem — o grupie ludzi, którzy by z całą bezwzględnością odrzucili wszelkie skrupuły co do środków działania, ludzi dość silnych, aby przybrać otwarcie nazwę niszczycieli, ludzi wolnych od skazy tego zrezygnowanego pesymizmu, który zaraził cały świat. Takich ludzi nieznających litości dla niczego, co ziemskie, nie wyłączając siebie samych, i śmierć wprzęgniętą w służbę ludzkości — oto, co chciałem zobaczyć.

Mała łysa głowa Yundta trzęsła się, przejmując zabawnym dygotem białą kozią bródkę. Cudzoziemiec nie rozumiałby prawie nic z jego tyrady. Wyschnięte gardło i bezzębne dziąsła, do których język jakby się lepił, nie ułatwiały Yundtowi wyładowania bezsilnej pasji, przypominającej zapalczywą niemocą podniecenie lubieżnego starca. Pan Verloc, usadowiony na kanapie w drugim końcu pokoju, mruknął coś parę razy, potakując gorliwie.

Stary terrorysta pokręcił z wolną głową osadzoną na wychudłej szyi.

— I nigdy nie mogłem znaleźć choćby trzech takich ludzi. To jest odpowiedź na twój zgniły pesymizm — warknął do Michaelisa, który rozkrzyżował grube nogi podobne do kłód i nagle wsunął stopy pod krzesło na znak zniecierpliwienia.

On, Michaelis, i pesymizm! Niesłychane! Oburza go to oskarżenie! Jest tak daleki od pesymizmu, że widzi już koniec wszelkiej prywatnej własności zbliżający się logicznie, nieodparcie, po prostu na skutek rozwoju zawartego w niej zła. Posiadacze będą musieli nie tylko stawić czoło zbudzonemu proletariatu, ale i walczyć pomiędzy sobą. Tak. Walka, wojny są nieodłączne od prywatnej własności. Są nieuniknione. On, Michaelis, nie potrzebuje uczuciowych podniet dla krzepienia swej wiary, nie potrzebuje ani deklamacji, ani gniewu, ani wizji powiewających krwawych flag, ani metafor o ponurych słońcach zemsty, które wschodzą nad horyzontem społeczeństwa skazanego na zagładę. Nic podobnego! Zdrowy rozsądek jest podstawą jego optymizmu, oświadczył chępliwie. Tak, optymizmu. Mozolne sapanie ustało i Michaelis dodał, odetchnąwszy parę razy głęboko:

— Chyba rozumiesz, że gdyby nie mój optymizm, w ciągu piętnastu lat byłbym znalazł sposób, aby sobie poderznąć gardło. A w ostateczności mogłem zawsze roztrzaskać głowę o ściany celi.

Brak tchu odejmował głosowi Michaelisa wszelki zapach i wszelkie ożywienie; wielkie, blade jego policzki wisały jak pełne sakwy, bez ruchu, bez drgnięcia; niebieskie, zmrużone oczy zdawały się w coś wpatrywać z wyrazem chytrej pewności siebie, nieruchome i trochę błędne; taki sam wyraz musiał mieć ten nieugięty optymistą, gdy rozmyślał nocą

<sup>32</sup>Marienbad (niem.), ob. *Mariańskie Łaźnie* — miejscowość w Czechach, od XIX w. popularny kurort, słynny ze źródeł mineralnych. [przypis edytorski]

w swej celi. Przed Michaelisem stał Karl Yundt, z fantazją zarzuciwszy na ramię pólę wyblakłego zielonawego haweloka<sup>33</sup>. Na wprost kominka siedział towarzysz Ossipon, były student medycyny, główny autor ulotek Przyszłości Proletariatu; jego muskularne nogi były wyciągnięte, a podeszwy butów zwrócone ku żarowi ogniska. Gąszcz żółtych kręconych włosów wznosił się nad jego czerwoną piegowatą twarzą o spłaszczonym nosie i grubych wargach Murzyna; oczy kształtu migdałów rzucały powłóczyście spojrzenia znad wydatnych kości policzkowych. Miał na sobie szarą flanelową koszulę; luźne końce czarnego jedwabnego krawata spadały mu na zapiętą marynarkę; siedząc z głową odchyloną na tył krzesła, z szyją odsłoniętą, podnosił do ust papierosa w długiej drewnianej cygarnicze i pykał kłębam dymu prosto w sufit.

Michaelis snuł w dalszym ciągu myśl poczętą w samotnej celi — myśl, którą zawdzięczał więzieniu i która rozrastała się w nim jak objawiona wiara. Mówił do siebie, obojętny na współczucie lub wrogość słuchaczy, obojętny nawet na ich obecność; mówił, gdyż przywykł rozmyślać głośno i ufnie wśród samotności czterech bielonych ścian, wśród grobowej ciszy zalegającej wewnątrz olbrzymiego, głuchego stosu cegieł, który sterczał w pobliżu rzeki, złowrogi i szpetny jak kolosalny nagrobek ludzi straconych dla społeczeństwa.

Michaelis był słabym polemistą, lecz nie dlatego, aby ustępował przed pierwszym lepszym argumentem; po prostu sam dźwięk czyjegoś głosu mieszał go w przykry sposób, mącąc mu od razu tok myśli, których przez długie lata, wśród samotności ducha bardziej jałowej niż bezwodna pustynia, żaden żyjący głos nie zwalczał, nie pochwałał, nie komentował.

Nikt mu teraz nie przerywał; uczynił więc po raz drugi wyznanie swej wiary, która oświadczyła nim przemożnie i nieodparcie jak za sprawą zesłanej łaski: oto zrozumiał, że tajemnica przeznaczenia tkwi w materialnej stronie życia; stan ekonomiczny świata ponosi odpowiedzialność za przeszłość, kształtuje przyszłość; jest źródłem wszelkiej historii, wszystkich idei, przewodzi umysłowemu rozwojowi ludzkości, a nawet jej namiętnym porywom...

Szorstki śmiech towarzysza Ossipona przeciął nagle tyradę; język zaplątał się apostołowi, a jego łagodne oczy pełne uniesienia zaczęły błąkać się niespokojnie. Zamknął je z wolna na chwilę, jakby chciał zebrać rozproszone myśli. Zapadło milczenie. Dwa płomyki gazowe nad stołem i rozżarzone palenisko kominka nagrzały do niemożliwości niewielki salonik za sklepem. Pan Verloc zszedł z kanapy niechętnie i ociężale, otworzył drzwi prowadzące do kuchni, aby wpuścić więcej powietrza, i odsłonił Steviego. Chłopiec, Bogu ducha winien, siedział grzecznie i spokojnie przy sosnowym stole, rysując kręgi, kręgi, kręgi; niezliczone kręgi dośrodkowe, odśrodkowe, połyskliwy wir kręgów, które przez powikłaną mnogość kół, przez monotonię kształtu i gmatwaninę przecinających się linii przypominały wizerunek kosmicznego chaosu, dzieło jakiejś obłąkanej sztuki symbolicznej porywającej się na niepojęte. Artysta nie odwrócił głowy, przejęty do głębi swoim zadaniem; jego plecy drgały, a szczupły kark z głęboką wklęsłością u podstawy czaszki tak się naprężył, że zdało się, pęknie lada chwila.

Pan Verloc, zaskoczony tym widokiem, burknął coś z niechęcią i wrócił na kanapę. Aleksander Ossipon wstał, wysoki pod niskim sufitem w swym wytartym granatowym garniturze z szewiotu<sup>34</sup>; otrząsnął się ze sztywności wywołanej długim bezruchem i leniwymi krokami poszedł do kuchni (dwa schodki w dół), aby zajrzeć przez ramię Steviego. Wrócił, orzekając tonem wyroczni:

— Świetne. Bardzo charakterystyczne, na wskroś typowe.

— Co jest świetne? — bąknął pytająco pan Verloc, usadowiwszy się ponownie w rogu kanapy.

Ossipon wyjaśnił niedbale z odcieniem wyższości, kiwnąwszy głową w stronę kuchni:

— Typowe dla tego rodzaju zwyrodnienia; mówię o rysunkach.

— Uważacie tego chłopca za degenerata, co? — mruknął pan Verloc.

<sup>33</sup>hawelok — popularny na przełomie XIX i XX w. płaszcz męski bez rękawów, z pelerynką, pod którą umieszczone były otwory na ręce. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>szewiot — rodzaj szorstkiej, lekko połyskliwej tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

Towarzysz Aleksander Ossipon zwany Doktorem, były student bez dyplomu, a potem wędrowny prelegent przemawiający na temat higieny z socjalistycznego punktu widzenia; autor popularnej pseudomedycznej pracy (marnej broszury skonfiskowanej szybko przez policję) pod tytułem *Demoralizujące nabożeństwa klas średnich*; specjalny delegat mniej czy więcej tajemniczego Czerwonego Komitetu, wspólnie z Karlem Yundtem i Michaelisem, do spraw propagandy literackiej, zwrócił na ukrytego zausznika co najmniej dwóch ambasad wzrok pełen tej nieznośnej, beznadziejnie tępej zarozumiałości, której przeciętnie głupi ludzie nabierają tylko przez obcowanie z nauką.

— Nazwałbym go tak z naukowego punktu widzenia. On jest w ogóle świetnym okazem tego rodzaju degenerata. Dość spojrzeć na końce jego uszu. Gdybyście czytali Lombrosa<sup>35</sup>....

Pan Verloc, rozparty na kanapie, wciąż patrzył markotnie na guziki swej kamizelki, a jego policzki zabarwiły się lekkim rumieńcem. Od niedawna każde słowo pokrewne choćby w najbliższym stopniu słowu „nauka” (który to wyraz jest terminem niewinnym i nie posiada określonego znaczenia) miało dziwną właściwość: oto wywoływało w umyśle Verloca, z prawie nadnaturalną plastycznością, wizję pana Władimira we własnej osobie. Ten niezmiernie przykry objaw, należący bezwzględnie do zjawisk niezwykłych, wprawiał pana Verloca w stan lęku oraz wściekłości, skłonnej do ujawniania się w gwałtownych przekleństwach. Lecz pan Verloc milczał. Przemówił natomiast Karl Yundt, nieubłagany do ostatniego tchnienia.

— Lombroso jest osioł.

Towarzysz Ossipon odparł cios tego bluźnierstwa straszonym, bezmyślnym spojrzeniem. Oczy Yundta, wygasłe i matowe, pogłębiały cienie pod jego wielkim, kościstym czołem; mamrotał, chwytając raz po raz wargami koniec języka, jakby go żuł ze złością:

— Idiota, jakiego świat nie widział. Według niego więzień jest przestępcą. To takie proste! A kim są ci, co go zamknęli — wpakowali do więzienia przemocą? Tak, przemocą! I czymże jest zbrodnia? Czy wie coś o tym głupiec Lombroso, który zrobił karierę na tym świecie sytych kpów, przyglądając się uszom i zębom różnych pechowych nieboraków? Więc zęby i uszy piętnują przestępców — tak uważacie? A co powiemy o prawie, które piętnuje ich jeszcze skuteczniej — o tym świetnie działającym narzędziu, wymyślonym przez ludzi sytych po dziurki od nosa, po to, żeby zabezpieczyć się przed głodnymi? Dalejże z rozpalonym żelazem do nikczemnych skór nędzarzy! Czujecie swąd, słyszycie, jak skwierczy i syczy gruba skóra tych ludzi? Tak się przygotowuje zbrodniarz dla waszych Lombrosów, aby mogli wypisywać o nich swe brednie.

Nogi i galka łaski trzęsły mu się z gniewu, a tors owinięty połami haweloka trwał w słynnej pozie Yundta, pełnej wyzwania. Zdawało się, że terrorysta wciąga powietrze skażone społecznym okrucieństwem, że chwyta wytężonym uchem jego ohydne odgłosy. W postawie Yundta była nadzwyczajna siła sugestii. Ledwie zipiący weteran wojen dynamitowych był swego czasu wielkim aktorem — na estradach, na tajnych zebraniach, podczas prywatnych wywiadów. Słynny terrorysta w ciągu całego życia nigdy nie podniósł ręki na ustrój społeczny. Nie był człowiekiem czynu; nie był nawet mówcą o ognistej wymowie porywającej tłumy wśród zgiełku i wrzenia wielkiego zapału. Zamysły jego były o wiele chytrzejsze; wziął na siebie rolę bezczelnego, jadowitego budziela złowrogich porywów, które czają się w ślepej zawiści i rozjątrzonej pysze ignorancji, w cierpieniu i nędzy biedoty, we wszystkich ufnych i szlachetnych złudzeniach sprawiedliwego gniewu, współczucia, buntu. Ciężar jego złowrogich zdolności włożył się za nim dotychczas, niby zapach śmiertelnego narkotyku trzymający się starej fiaszeczki z trucizną, opróżnionej, bezużytecznej, nadającej się tylko do wyrzucenia na śmietnik jako rzecz, która swoje zrobiła.

Niewyraźny uśmiech przewinął się po zlepionych wargach Michaelisa, apostoła na urlopie; jego nalana twarz podobna do księżyca w pełni opadła na pierś ruchem melancholijnego potwierdzenia. Przecież sam był więźniem. Wyszptał cicho, że jego skóra także syczała pod dotknięciem rozpalonego żelaza. Tymczasem Ossipon, zwany Doktorem, uporał się już z ciosem zadany mu przez Yundta.

<sup>35</sup>Lombroso, Cesare (1835–1909) — włoski psychiatra i kryminolog, propagator antropometrii, twórca teorii zakładającej, że niektóre osoby mają wrodzone skłonności do zachowań przestępczych lub chorób psychicznych, co można rozpoznawać po pewnych degeneracyjnych lub atawistycznych cechach wyglądu. [przypis edytorski]



— Co wy tam rozumiecie — zaczął pogardliwie i urwał, zmieszany śmiertelną czernią zapadłych oczu, które zwracały ku niemu z wolna jakby ślepe spojrzenie, kierujące się samym dźwiękiem. Ossipon zaniechał dyskusji, wzruszając lekko ramionami.

Stevie, przyzwyczajony do tego, że nikt nie zwraca na niego uwagi, wstał od kuchennego stołu, zabierając swój rysunek do łóżka. Przechodził właśnie obok drzwi do saloniku i przystanął, porażony obrazową elokwencją Karla Yundta. Upuścił papier pokryty kręgami i wlepił oczy w starego terrorystę, przykuty do miejsca chorobliwą zgrozą i strachem, który odczuwał zawsze na myśl o bólu fizycznym. Stevie wiedział doskonale, że to bardzo boli, jeśli przytknąć do skóry rozpalone żelazo. Jego przerażone oczy zabłyśły gniewem, usta mu się otworzyły; to musi być straszny ból.

Michaelis, patrząc w ogień nieruchomym wzrokiem, odzyskał poczucie odosobnienia niezbędne dla ciągłości swych myśli. Z jego ust znowu zaczął płynąć optymizm. Widział kapitalizm skazany na zagładę już w kołysce, urodzony z jadem konkurencji zawartym w swoim systemie. Widział, jak wielcy kapitaliści pożerają małych, jak gromadzą siłę i narzędzia produkcji w wielkich ilościach, jak doskonałą wytwórczość przemysłową i w szale pomnażania swych bogactw tylko przygotowują, organizują, wzbogacają prawne dziedzictwo cierpiącego proletariatu. Wreszcie Michaelis wyrzekł wielkie słowa: „Miejcie cierpliwość” — a jego jasnoniebieskie spojrzenie, wzniesione ku niskiemu sufitowi saloniku, wyrażało ufność zaiste anielską. U drzwi stał Stevie, uspokojony i jakby ogłupiały.

Twarz towarzysza Ossipona zadrgała gniewem.

— Więc najlepiej nic nie robić... bo i po co.

— Tego nie mówię — zaprzeczył łagodnie Michaelis. Jego wizja prawdy stała się tak potężna, że dźwięk obcego głosu nie zdołał jej spłoszyć. Apostoł patrzył ciągle w głąb kominka na czerwone węgle. Torowanie dróg dla przyszłości jest konieczne; Michaelis nie przeczył temu, że wielka zmiana może przyjść wśród zamętu rewolucji. Ale dowodził, iż propaganda rewolucyjna jest subtelną pracą bardzo wrażliwego sumienia. Toż to urabianie władców świata. Taka propaganda powinna być równie staranna jak wychowywanie królów. Trzeba, aby rozpowszechniała swe zasady ostrożnie, nawet lękliwie, gdyż nie wiemy, jaki wpływ może wywrzeć taka lub inna zmiana ekonomiczna na szczęście, moralność, intelekt, na historię rodu ludzkiego. Albowiem historię tworzą narzędzia nie zaś idee, a warunki ekonomiczne zmieniają wszystko — sztukę, filozofię, miłość, cnotę... nawet prawdę!

Węgla na palenisku osunęły się z lekkim trzaskiem; Michaelis, pustelnik żyjący wizjami w więziennej samotni, powstał gwałtownie z miejsca. Okrągły na kształt balonu, rozwarł krótkie, grube ramiona, jakby usiłując we wzruszającym i beznadziejnym porywie objąć i przycisnąć do piersi wszechświat, który się sam przez się odrodził. Zadyszał się od entuzjazmu.

— Przyszłość jest równie pewna jak przeszłość: niewolnictwo, feudalizm, indywidualizm, kolektywizm. To jest stwierdzenie prawa, a nie czcze prococtwo.

Wydęte lekceważąco grube wargi towarzysza Ossipona uwydatniły murzyński typ jego twarzy.

— Bzdury — rzekł dość spokojnie. — Nie ma żadnych praw i nie ma pewności. Do licha z propagandą pedagogiczną. To, co ludzie wiedzą, nie ma żadnego znaczenia, choćby ta wiedza była jak najściślejsza. Jedyna rzecz, która ma dla nas znaczenie, to stan uczuciowy mas. Bez uczuć nie ma czynu.

Zamilkł, po czym dodał ze skromną stanowczością:

— Mówię to z punktu widzenia nauki... nauki... Co? Coście powiedzieli, Verloc?

— Nic — burknął z kanapy pan Verloc, którego znienawidzone słowo pobudziło tylko do mruknięcia: „Cholera”.

Jadowity bełkot bezzębnego terrorysty rozległ się znowu.

— Wiecie, jak bym nazwał współczesne stosunki ekonomiczne? Ludożerstwem. Ni mniej, ni więcej! Wyzyskiwacze po prostu sycają swoją chciwość drgającym mięsem i ciepłą krwią ludu.

Stevie przelknął głośno to przerażające twierdzenie i naraz, jakby pod wpływem szybkiej trucizny, osunął się, siadając bezwładnie na schodkach prowadzących do kuchni.

Po Michaelisie nie było znać, czy coś słyszał. Jego wargi wyglądały jakby sklezione na zawsze; obwisłe policzki ani drgnęły. Rozejrzał się mętными oczami za swym melo-

Rewolucja, Historia

Walka klas, Historia

Walka klas

nikiem i włożył go na okrągłą głowę. Jego kuliste, opasłe ciało, rzekłbyś, płynęło nisko między krzesłami, pod ostrym łokciem Karla Yundta. Stary terrorysta podniósł rękę drżącą, szponiastą i przesunął zawadiacko na bok czarny pilśniowy kapelusz o szerokim rondzie rzucającym cień na kości i zagłębienia zniszczonej twarzy. Ruszył powoli z miejsca, stukając kijem o podłogę za każdym krokiem. Trudno było go wyprowadzić, bo od czasu do czasu przystawał jakby w zadumie i ani myślał się ruszyć, póki Michaelis nie pociągnął go naprzód. Łagodny apostoł wziął Yundta pod ramię z braterską troskliwością, a za nimi krzepki Ossipon ziewnął z lekka, trzymając ręce w kieszeniach. Zsunięta na tył głowy granatowa czapka o lakierowanym daszku odsłaniała jego gęstą czuprynę, nadając mu wygląd norweskiego marynarza znudzonego światem po wścieklej pijatyce. Verloc wyprowadził gości na ulicę; towarzyszył im bez kapelusza, w otwartym palcie, nie odrywając oczu od ziemi.

Zamknął drzwi za ich plecami z hamowaną gwałtownością, obrócił klucz w zamku, zasunął rygiel. Nie był zadowolony ze swych przyjaciół. Wobec filozofii rzucania bomb wyłożonej przez pana Władimira wydawali się beznadziejnie jałowi. Ponieważ rola Verloca w polityce rewolucyjnej polegała na obserwacji, nie mógł podjąć zaraz inicjatywy czynu, czy to we własnym domu, czy na większych zebraniach. Musiał być ostrożny. Przejęty słusznym oburzeniem czterdziestokilkuletniego mężczyzny, zagrożonego w tym, co mu jest najdroższe — w swym spokoju i bezpieczeństwie — zapytywał siebie z pogardą, czego się właściwie mógł po tej bandzie spodziewać, po takim Karlu Yundtcie, takim Michaelisie... takim Ossiponie.

Chcąc zakręcić gaz na środku sklepu, pan Verloc przystanął i zapadł natychmiast w otchłań filozoficznych rozmyślań. Wydał sąd o tych ludziach wiedziony intuicją, której źródłem było pokrewne im usposobienie. Cóż to za leniwa zgraja — na przykład ten Karl Yundt, zdany na opiekę staruszki o kaprawych oczach, kobiety, którą odebrał kiedyś przyjacielowi i której potem nieraz usiłował się pozbyć, spychając ją do rynsztoka. Na szczęście dla Yundta za każdym razem powracała do niego wytrwale, bo inaczej któż by pomagał temu upiorowi wysiadać z omnibusu u bramy Green Parku, dokąd jeździł każdego pięknego ranka, aby zażywać zdrowotnej przechadzki, wlokąc się noga za nogą. Gdy burkliwa, nieposkromiona stara wiedźma przeniesie się do wieczności, zadzierzysty upiór też będzie musiał zniknąć — przyjdzie koniec na ognistego Karla Yundta.

Pan Verloc czuł się także urażony w swej etyce optymizmem Michaelisa. Łagodny apostoł został przygarnięty przez bogatą starą damę, która ostatnimi czasy posyłała go do swej willei na wsi. Były więzien mógł tam waleśać się całymi dniami po cienistych drózkach wśród rozkosznej, prawdziwie humanitarnej beczynności. Co się zaś tyczyło Ossipona, temu drągalowi z pewnością nie zbraknie niczego, póki są na świecie głupie dziewczęta posiadające książeczki oszczędnościowe. I pan Verloc, mając usposobienie identycznie takie samo jak jego koledzy, wynajdywał między sobą a nimi głębokie różnice na podstawie nieznaczących odchyłeń. Wynajdywał je z pewnym upodobaniem, ponieważ instynkt konwencjonalnej przyzwoitości był silnie w nim rozwinięty i ustępował tylko niechęci do wszelkiego rodzaju istotnej pracy. Ową negatywną cechę dzielił pan Verloc z wielką liczbą rewolucjonistów, reformatorów pewnego społecznego porządku. Albowiem człowiek nie buntuje się przeciw korzystnym dla niego stronom danego porządku, lecz przeciw cenie, którą trzeba zań płacić monetą ogólnie przyjętej moralności, ciężkiej pracy i panowania nad sobą. Rewolucjoniści są przeważnie wrogami dyscypliny i trudu. Trafiają się między nimi ludzie, którzy w swym poczuciu sprawiedliwości sądzą, że cena wymagana za pewien ład społeczny jest potwornie wielka, ohydna, gniotąca, uciążliwa, haniebna, że jest zdzierstwem niemożliwym do zniesienia. Ci są fanatykami. Za resztę buntowników społecznych odpowiedzialna jest próżność, matka wszystkich szlachetnych i wszystkich niskich złudzeń, towarzysza poetów, reformatorów, szarlatanów, proroków i podpalaczy.

Pan Verloc, który zapadł na całą minutę w otchłań zadumy, nie dotarł jednak do dna swych abstrakcyjnych rozważań. Może nie był do tego zdolny. W każdym razie brakowało mu czasu. Ocknął się w przykry sposób, pomyślawszy nagle o panu Władimirze, jeszcze jednym towarzyszu, którego również mógł trafnie ocenić ze względu na subtelne powinowactwa moralne. Uważał go za niebezpiecznego. Cień zawiści wśliznął się do rozmyślań pana Verloca. Wolno się było walczyć tamtym ludziom, którzy nie znali pana

Buntownik, Praca

Władimira i mogli znaleźć oparcie w kobietach; tymczasem on, Verloc, musiał łożyć na utrzymanie swojej kobiety...

Tu zwykle skojarzenie myśli stawiało pana Verloca wobec konieczności udania się wcześniej lub później na spoczynek. Czemu więc nie położyć się zaraz — natychmiast? Westchnął. Ta perspektywa nie wzniewała w nim przyjemnego uczucia, jakiego normalnie powinien był doznać mężczyzna w jego wieku i o jego temperamencie. Bał się okropnie demona bezsenności, który się zawziął na niego. Podniósłszy rękę, Verloc zakręcił płomień gazu migocący mu nad głową.

Jasne pasmo światła padało za ladę przez drzwi od saloniku. Pozwoliło to panu Verlocowi ustalić od jednego spojrzenia liczbę srebrnych monet w podręcznej kasie. Było ich bardzo mało; po raz pierwszy od chwili otwarcia sklepu Verloc spojrzał nań z handlowego punktu widzenia. Wynik tego spojrzenia był niekorzystny. Pan Verloc został kupcem bynajmniej nie w celach handlowych. A wybrał tę właśnie gałąź handlu wskutek instynktownego zamiłowania do mętnych interesów dających łatwy zarobek. Przy tym dzięki swemu sklepowi mógł pozostać w sferze, do której należał i na którą ma oko policja, co więcej, mógł zajmować w tej sferze jawne stanowisko; sytuacja kupca owej branży bardzo mu dogadzała, gdyż będąc w tajnych stosunkach z policją, spoufaliał się z nią i nic z niej sobie nie robił. Lecz jako środek utrzymania jego interes handlowy był sam przez się niewystarczający.

Wyjął z szuflady skrzynkę z pieniędzmi i opuszczając sklep, przekonał się, że Stevie jest jeszcze w kuchni.

Cóż on tam robi u licha, zapytał siebie. Co znaczą te błazeństwa? Spojrzał niepewnie na szwagra, ale nie zażądał od niego wyjaśnień. Rozmowy Verloca ze Steviem ograniczały się do niedbalego mruknięcia po rannym śniadaniu: „Trzewiki”, a nawet i to było raczej rzuconym w przestrzeń życzeniem niż wyraźnym rozkazem lub prośbą. Pan Verloc spostrzegł, nieco zdziwiony, że właściwie nie wie, co Steviemu powiedzieć. Zatrzymał się na środku saloniku i milcząc, zajrzał do kuchni. Nie wiedział także, jaki skutek miałoby jego odezwanie się. Wydało mu się to bardzo dziwne wobec świadomości, która błysnęła mu nagle, że i ten chłopiec był na jego utrzymaniu. Nigdy jeszcze na Stewiego pod tym kątem nie patrzył.

Nie miał pojęcia, jak do chłopca się zwrócić. Przypatrywał się Steviemu, który machał rękami i mruczał coś do siebie. Krążył naokoło stołu jak podniecone zwierzę w klatce. Pan Verloc zaproponował:

— Może byś tak poszedł spać?

Nie wywarło to żadnego skutku; Verloc przestał wpatrywać się w szwagra kamienym wzrokiem i przeszedł ciężkimi krokami przez salonik, trzymając w ręku kasę. Idąc po schodach, poczuł zmęczenie płynące ze źródeł czysto psychicznych i stąd zupełnie dla niego niezrozumiałe. Zaniepokoił się. Miał nadzieję, że to nie jest początek jakiejś choroby, przystanął jednak na ciemnej platformie schodów, aby zdać sobie sprawę ze swych wrażeń. Zamącił je lekki, nieustanny odgłos chrapania przenikający ciemność. Odgłos ten dochodził z pokoju teściowej. Jeszcze jedna gęba do wyżywienia, pomyślał, wchodząc do sypialni.

Gazu na górze nie było; pani Verloc zasnęła przy lampie palącej się jasno na stole obok łóżka. Światło spod abażuru padało jaskrawym blaskiem na wgłębienie białej poduszki, gdzie spoczywała głowa o zamkniętych oczach i ciemnych włosach splecionych na noc w kilka warkoczy. Winnie ocknęła się z dźwiękiem swego imienia w uszach i zobaczyła męża stojącego nad sobą.

— Winnie! Winnie!

Nie poruszyła się z początku; leżała bardzo spokojnie, patrząc na skrzynkę z pieniędzmi w rękach męża. Ale gdy zrozumiała, że jej brat „rozbija się po kuchni”, spuściła nogi z łóżka nagłym ruchem. Jej nagie stopy, jakby przebiwszy dno prostego perkalowego<sup>36</sup> worka zaopatrzonego w rękawy i zapiętego szczelnie u szyi oraz rąk, szukały po dywanie pantofli; oczy były podniesione ku twarzy męża.

— Nie umiem sobie z nim poradzić — wyjaśnił opryskliwie pan Verloc. — Nie można go zostawiać na dole samego z zapalonym gazem.

<sup>36</sup>perkalowy — wykonany z perkalu, cienkiego bawełnianego płótna. [przypis edytorski]

Nie odpowiedziała nic, przesunęła się szybko przez pokój i drzwi zamknęły się za jej białą postacią.

Pan Verloc postawił skrzynkę z pieniędzmi na nocnym stoliku i zaczął czynność rozbierania się od ciśnięcia palta na oddalone krzesło. W ślad za paltem poszły surdut i kamizelka. Chodził w skarpetkach po pokoju; jego otyła postać odbijała się raz po raz w długiej tafli lustra umieszczonego w żoninej szafie, gdy mijał ją tam i z powrotem, manewrując nerwowo rękami u szyi. Spuścił szelki z ramion, podniósł gwałtownie żaluzję i oparł czoło o zimną szybę — wątłą błonę szkła tkwiącą między nim a olbrzymim zbiorowiskiem zimnych, czarnych, mokrych, oślizłych, niegościnnych cegieł, dachówek i kamieni, rzeczy, które są z natury niemile i nieprzychylne człowiekowi.

Pan Verloc odczuwał skrytą nieżyczliwość wszystkiego, co było na dworze, odczuwał ją tak silnie, że zakrawało to na ból fizyczny. Myślał o tym, że wśród ludzi wysadzonych z siedla nikt nie czuje się równie bezradny jak tajny agent policji. „Zupełnie jakby koń padł pod człowiekiem wśród bezludnej, jałowej równiny”. Porównanie to nasunęło się panu Verlocowi, ponieważ swego czasu jeździł na różnych koniach wojskowych i miał teraz wrażenie, że grozi mu upadek. Ta perspektywa była równie mroczna jak szybą, o którą wsparł czoło. Nagle ukazała się przed nim twarz pana Władimira, wygolona i pełna dowcipu, otoczona aureolą bijącą z rumianej cery niby różowa pieczęć wyciśnięta na złowieszczej ciemności.

Owa jasna fragmentaryczna wizja wywarła na panu Verlocu tak strasznie realne wrażenie, że odskoczył od okna, spuszczać żaluzję z głośnym trzaskiem. Znękany, oniemiały ze strachu przed dalszą możliwością podobnych wizji, zobaczył żonę wchodzącą do pokoju; położyła się do łóżka spokojnie i szybko. Pan Verloc poczuł się beznadziejnie samotny. Winnie wyraziła zdziwienie, że mąż jest jeszcze na nogach.

— Jakoś nieszczególnie się czuję — mruknął, przesuwając ręką po wilgotnym czole.

— Masz zawrót głowy?

— Tak. Bardzo mi niedobrze.

Pani Verloc z niewzruszonym spokojem doświadczonej małżonki wyraziła swoje zdanie o przyczynach tego złego samopoczucia i zaproponowała zwykle na to lekarstwo, lecz jej mąż, który stał wciąż jak wryty na środku pokoju, pokręcił głową ze smutkiem.

— Zaziębisz się, jeśli tak będziesz stał nieubrany — zauważyła.

Pan Verloc z wysiłkiem skończył się rozbierać i położył się. Na wąskiej, spokojnej ulicy miarowe kroki zbliżyły się i stopniowo zamarły w oddali, nieśpieszne i stanowcze, jakby przechodzień mijający dom zamierzał maszerować przez całą wieczność od jednej latarni do drugiej, wśród nocy bez końca; senne tykanie starego zegara wiszącego na klatce schodowej dotarło wyraźnie aż do sypialni.

Pani Verloc zauważyła, leżąc na wznak i patrząc w sufit:

— Bardzo mało dziś wpłynęło do kasy.

Verloc, leżąc w tej samej pozycji, odchrząknął, jakby chciał powiedzieć coś ważnego, lecz zapytał po prostu:

— Zgasiłś gaz na dole?

— Owszem, zgasłam — odrzekła sumiennie pani Verloc. — Biedny chłopiec jest dziś strasznie podniecony — szepnęła po pauzie trwającej trzy tyknięcia zegara.

Podniecenie Stevie wcale Verloca nie obchodziło, ale był wybity ze snu i lękał się strasznie mroku i ciszy, które miały nastąpić po zgaszeniu lampy. Ten lęk skłonił go do wypowiedzenia uwagi, że Stevie puścił mimo uszu jego radę, aby pójść się położyć. Pani Verloc połknęła haczyk; zaczęła dowodzić długo i szeroko, iż to nie była wcale „zuchwałość” ze strony Stephena, tylko „podniecenie”. W całym Londynie nie znajdzie się chłopca, który by był bardziej uległy i chętny do wszystkiego, bardziej kochający i gotów do usług, i nawet pożyteczny, jeśli ludzie nie mącą mu w biednej głowinie. Obróciła się ku spoczywającemu małżonkowi; wsparta na łokciu, pochyliła się nad nim, pragnąc gorąco, aby uwierzył, że Stevie może być użytecznym członkiem rodziny. Pod wpływem tej żarliwej opiekuńczej litości, wybudanej przesadnie już w dzieciństwie i wzbudzonej nie-  
szczęściem drugiego dziecka, blade policzki Winnie pokrył ciemny rumieniec, a wielkie jej oczy błyszczały spod ciemnych powiek. Pani Verloc wydawała się młodsza, równie młoda jak przed kilku laty i znacznie bardziej ożywiona; dawna Winnie, mieszkająca

Żona

w dzielnicy Belgravia, nie pozwalała sobie nigdy na takie ożywienie w obecności lokatorów. Niepokój Verloca przeszkodził mu zdać sobie sprawę z tego, co mówiła. Było to tak, jakby jej głos rozlegał się z drugiej strony bardzo grubej ściany. Dopiero wygląd Winnie przywołał go do przytomności.

Podobała mu się ta kobieta; uświadomił to sobie, widząc na jej twarzy jakby wzruszenie, co zwiększyło jeszcze jego udrękę. Gdy głos Winnie ucichł, pan Verloc poruszył się niespokojnie i rzekł:

— Już od kilku dni czuję się niedobrze.

Może uważał to za wstęp do zwierzeń bardziej zasadniczych, ale pani Verloc położyła znów głowę na poduszce i ciągnęła dalej, patrząc w sufit:

— Chłopiec za dużo się nasłuchał wszystkiego, co się tu mówi. Gdybym wiedziała, że oni przyjdą dziś wieczór, byłabym dopilnowała, żeby poszedł spać razem ze mną. Posłyszał coś o jedzeniu ludzkiego mięsa i piciu krwi, i to go wyprowadziło z równowagi. Po cóż to gadać takie rzeczy?

Nuta oburzenia i pogardy dźwięczała w jej głosie. Pan Verloc podzielał teraz jej uczucia w całej pełni.

— Spytaj Karola Yundta — warknął dziko.

Pani Verloc orzekła z wielką stanowczością, że Karl Yundt jest „wstrętnym starym grzybem”. Wyznała otwarcie swoją sympatię dla Michaelisa. Nie nadmieniła jednak nic o Ossiponie, w którego obecności odczuwała zawsze niepokój maskowany niewzruszoną powściągliwością. I znów zaczęła mówić o bracie, który był od tylu lat przedmiotem jej opieki i niepokoju:

— To, co się tu opowiada, nie jest dla niego odpowiednie. On myśli, że to wszystko prawda. Nic z tego nie rozumie i wpada w straszny gniew, kiedy coś podobnego usłyszy.

Pan Verloc nic na to nie odpowiedział.

— Kiedy zeszedł na dół, patrzył na mnie, jakby mnie nie poznawał. Serce mu biło jak młotem. Cóż on na to poradzi, że jest taki wrażliwy. Obudziłam matkę i poprosiłam, żeby siedziała przy nim, póki nie zaśnie. On nie jest temu winien. Nie ma z nim żadnego kłopotu, jeśli mu dać spokój.

Pan Verloc milczał w dalszym ciągu.

— Żałuję, że się go posyłało do szkoły — podjęła nagle pani Verloc. — Zabiera zawsze do czytania te gazety z wystawy. Ślęczy nad nimi i dostaje wypieków. Nie sprzedaje się tego nawet dwunastu sztuk na miesiąc. Zabierają tylko miejsce na wystawie. A Ossipon przynosi co tydzień cały stos tych ulotek P. P., żeby je sprzedawać po pół pensa<sup>37</sup>. Nie dałabym pół pensa za to wszystko. To po prostu bzdury i nic więcej. Nie mają żadnego zbytu. Któregoś dnia Stevie złapał taką ulotkę; było tam opowiadanie o niemieckim oficerze, który o mało co nie oderwał rekrutowi ucha i wcale go za to nie ukarano. Co za bydle! Tego popołudnia nie mogłam sobie ze Steviem dać rady. Nic dziwnego, że na takie rzeczy krew się burzy w człowieku. Ale po co to drukować? Dzięki Bogu nie jesteśmy niewolnikami jak Niemcy. Co to nas obchodzi... nieprawdaz?

Pan Verloc nic nie odrzekł.

— Musiałam odebrać chłopcu nóż do krajania mięsa — ciągnęła pani Verloc trochę już sennie. — Krzyczał i tupał, i szlochał. Nie może znieść myśli o okrucieństwie. Byłby zadzgał tego oficera jak świnie, gdyby go wtedy zobaczył. Naprawdę. Niektórzy ludzie wcale na litość nie zasługują. — Głos pani Verloc zamilkł, a wyraz nieruchomych jej oczu robił się coraz bardziej zamyślony i mglisty podczas długiego milczenia. — Wygodnie ci, kochanie? — spytała cichym, dalekim głosem. — Czy mogę już zgasić światło?

Ponure przeświadczenie, że nie ma dla niego snu, opanowało Verloca; leżał beznaście, niemy i bezwładny w strachu przed ciemnością. Uczynił wielki wysiłek.

— Dobrze. Zgaś — rzekł w końcu głucho.

## IV

Z trzydziestu mniej więcej stolików, pokrytych czerwonymi obrusami w biały desień, większość stała przysunięta pod kątem prostym do ciemnobrunatnych boazerii podziem-

<sup>37</sup>pół pensa — w dawnym angielskim systemie pieniężnym półpensówka była najdrobniejszą monetą. [przypis edytorski]

nej sali. Brązowe świeczniki o licznych kloszach zwisały z niskiego, lekko sklepionego sufitu, a wokół ścian pozbawionych okien biegly płaskie, ciemne w kolorze freski przedstawiające sceny z polowań i uczt na świeżym powietrzu. Ludzie biorący w nich udział byli w średniowiecznych ubiorach; pacholkiwie przybrani w zielone kaftany dzierżyli myśliwskie noże, podnosząc wysoko dzbany pieniącego się piwa.

— Głowę bym dał, że wy wiecie, co tkwi w tej przeklętej sprawie — rzekł krzepki Ossipon, który siedział z nogami wciągniętymi pod krzesło, pochylony nad stołem i rozparty na łokciach. Oczy wylazły mu na wierzch z ciekawości.

Duże pianino, stojące blisko drzwi między dwiema palmami, samo z siebie zagrało nagle walca z wyzywającą biegiłością. Hałas, jaki wznieciło, był ogłuszający. Przestało grać równie nagle, jak zaczęło, a mały śniady człowieczek w okularach, siedzący naprzeciw Ossipona nad wielkim szklanym kuflem pełnym piwa, wypowiedział spokojnie coś na kształt ogólnego twierdzenia:

— W zasadzie nikt nie ma prawa wtrącać się do tego, co inni wiedzą o jakimś fakcie albo czego nie wiedzą.

— Naturalnie — potwierdził spokojnie towarzysz Ossipon ściszym głosem. — W zasadzie.

Obejmując dłońmi wielką, czerwoną twarz, patrzył w dalszym ciągu z wytężoną uwagą na śniadego człowieczka w okularach, który pociągnął spokojnie łyk piwa i postawił kufel z powrotem. Jego płaskie, wielkie uszy odstawały od czaszki, która wydawała się tak krucha, że Ossipon mógłby chyba ją zgnieść między kciukiem a palcem wskazującym. Wypukłe czoło człowieczka jakby opierało się o brzeg jego okularów; na płaskich policzkach o tłustej, niezdrowej cerze widać było smugi nędznych, rzadkich, ciemnych bokobrodów. Niewypowiedziane marna kompleksja fizyczna tego osobnika stawała się pocieszna w zestawieniu z jego obejściem pełnym najwyższej pewności siebie. Wyrażał się zwięźle, a jego milczenie wydawało się szczególnie doniosłe.

Ossipon mruknął znów poprzez palce:

— Długo byliście dziś na mieście?

— Nie. Całe rano leżałem w łóżku — odrzekł tamten. — A bo co?

— Ach, nic — rzekł Ossipon, patrząc w niego z powagą; skręcał się w duchu z pragnienia, żeby coś wymyszkować, lecz był najwidoczniej onieśmielony wyrazem przygniatającej obojętności na twarzy człowieczka. Barczysty Ossipon cierpiał od poczucia moralnej, a nawet fizycznej niższości, gdy rozmawiał z tym towarzyszem, co zresztą zdarzało się rzadko. Jednak odważył się zadać jeszcze jedno pytanie: — Czyście przyszli pieszo?

— Nie, przyjechałem omnibusem — odpowiedział człowieczek dość żwawo. Mieszkał daleko na przedmieściu Islington<sup>38</sup>, w małym domku na niechlujnej ulicy usianej słomą i brudnymi papierami; w godzinach pozaszkolnych banda przeróżnych dzieci biegała tam i kłóciła się wśród ostrych wrzasków niemających nic wspólnego z wesołością. Pokój człowieczka wychodził na podwórze i odznaczał się bardzo wielkim kredensem; lokator wynajmował ten pokój z meblami od dwóch starych panien, które za skromnym wynagrodzeniem szyły suknie dla klienteli złożonej przeważnie ze służących. Zaopatrzył kredens w wielką kłódkę, poza tym był to lokator wzorowy, niesprawiający żadnego kłopotu i niewymagający właściwie żadnych usług. Jego dziwactwa polegały na tym, że musiał być zawsze obecny przy zamiataniu pokoju, a wychodząc, zamykał drzwi i brał klucz z sobą.

Ossipon ujrzał w myśli na szczycie omnibusu te okulary w czarnej oprawie; oto suną wzdłuż ulic, a ich zarozumiałe błyski padają tu i ówdzie na ściany domów lub na głowy nieświadomego tłumu płynącego chodnikami. Cień bladego uśmiechu zmącił linię grubych warg Ossipona, który wyobraził sobie, że ściany domów się chwieją, a ludzie uciekają co sił na widok tych okularów. Gdybyż wiedzieli! Cóż by to była za panika! Mruknął pytająco:

— Dawno tu siedzicie?

— Coś około godziny — odrzekł tamten niedbale i znów pociągnął łyk czarnego piwa. Jego ruchy — sposób, w jaki ujmował kufel, sam akt picia, sposób, w jaki sta-

<sup>38</sup>Islington — dzielnica mieszkalna ok. 6 km od centrum Londynu, od połowy XIX do połowy XX w. zaniedbana i zamieszkiwana głównie przez biedotę. [przypis edytorski]

wiał ciężkie naczynie i krzyżował ręce — wszystko zdradzało stanowczość i niezawodną precyzję; natomiast wielki, muskularny Ossipon, pochylony naprzód z wlepionymi w człowieczka oczyma i wysuniętymi wargami, w porównaniu do tamtego wyglądał jak wcielenie niepewności i zaciekawienia.

— Około godziny — powtórzył. — Więc może jeszcze nie wiecie o nowinie, którą słyszałem przed chwilą na ulicy. Co?

Człowieczek uczynił głową nieznaczny ruch przeczący. Ale ponieważ nie okazał żadnego zainteresowania, Ossipon ośmielił się dodać, że usłyszał ową nowinę akurat przed wejściem do kawiarni. Mały roznosiciel gazet wrzasnął mu ją w samo ucho, a że Ossipon nie był przygotowany na fakt tego rodzaju, bardzo nim to wstrząsnęło i wyprowadziło go z równowagi. Musiał tu zająć, bo zaschło mu w gardle.

— Nie przypuszczałem nigdy, że was tu zastanę — dodał, wciąż szeptem, z łokciami opartymi o stół.

— Zachodzę tu czasami — rzekł tamten, nie zmieniając ani na jotę wyzywającego chłodu obejścia.

— To nadzwyczajne, że właśnie wy o tym nie słyszeliście — ciągnął barczysty Ossipon. Powieki jego roziskrzonych oczu zatrzepotały nerwowo. — Właśnie wy — powtórzył, ciągnąc tamtego za język. Ta widoczna powściągliwość Ossipona zdradzała niewiarygodną i zagadkową nieśmiałość wielkiego draba w stosunku do spokojnego człowieczka, który szorstkimi, pewnymi ruchami podniósł znów szklany kufel, napił się, postawił go z powrotem. I to było wszystko.

Ossipon czekał chwilę na próżno na jakieś słowo lub gest, siląc się na sztuczną obojętność. Ściszył głos jeszcze bardziej i rzekł:

— Czy wy dajecie ten wasz proch każdemu, kto was o to poprosi?

— Moją niewzruszoną zasadą jest nie odmawiać nigdy nikomu... póki mam przy sobie choć szczyptę — odrzekł człowieczek stanowczym tonem.

— To jest wasza zasada? — spytał Ossipon.

— To jest moja zasada.

— I uważacie to za rozsądne?

Wielkie, okrągłe okulary, które nadawały wybladłej twarzy człowieczka wyraz niewzruszonej pewności siebie, tkwiły naprzeciw Ossipona niby bezsenne, nieruchome oczy błyskające zimnym ogniem.

— Bezwzględnie. Zawsze. We wszystkich okolicznościach. Cóż by mnie mogło od tego powstrzymać? Dlaczego nie mam tego robić? Dlaczego mam się wahać?

Ossipon jak gdyby sapnął dyskretnie.

— Czy chcecie powiedzieć, że dalibyście waszego towaru nawet szpiclowi, gdyby przyszedł i poprosił?

Człowieczek uśmiechnął się z lekka.

— Niech któryś z nich spróbuje, a wtedy zobaczycie — odpowiedział. — Znam mnie, ale ja znam także każdego z nich. Nie zbliżą się do mnie, nie ma obawy.

Jego cienkie, sine wargi zacisnęły się mocno. Ossipon podjął znowu:

— Ale mogliby kogoś podesłać i nabić was w butelkę. Czy wy tego nie rozumiecie? Mogliby to w ten sposób od was wydostać, a potem was zaaresztować z dowodem w rękę.

— Z dowodem czego? Chyba tego, że handluję materiałami wybuchowymi bez pozwolenia. — Miało to być pogardliwe szyderstwo, lecz wyraz szczupłej, chorowitej twarzy nie zmienił się, a ton głosu był niedbały. — Nie będą się kwapili mnie zaaresztować. Wątpię, aby któryś z nich zgłosił się po rozkaz aresztowania. Choćby i najdzielniejszy. Nikt się nie zgłosi.

— Dlaczego? — zapytał Ossipon.

— Bo wiedzą bardzo dobrze, że nigdy się nie rozstają z ostatnią garścią swego towaru. Mam go zawsze przy sobie. — Dotknął lekko surduta na piersi. — W grubym szklanym flaconie — dodał.

— Słyszałem o tym — rzekł Ossipon z odcieniem podziwu w głosie. — Ale nie wiedziałem, że...

— Oni wiedzą — przerwał cierpko człowieczek, opierając się plecami o krzesło, które górowało oparciem nad jego małą głową. — Nie zaaresztują mnie nigdy. Ten kawał nie

opłaciliby się żadnemu policjantowi. Uporanie się z takim człowiekiem jak ja wymaga bezinteresownego bohaterstwa, bohaterstwa bez sławy.

Znowu zacisnął usta z miną bardzo pewną siebie. Ossipon powściągnął ruch zniecierpliwienia i odparł:

— Albo zuchwałości... albo po prostu nieświadomości. Mogliby powierzyć to zadanie komuś, kto nie wie, że nosicie w kieszeni dość materiału wybuchowego, aby wysadzić w powietrze siebie i wszystko naokoło w promieniu sześćdziesięciu jardów.

— Nie twierdziłem nigdy, że nie można mnie usunąć — odparł tamten. — Ale to by nie było aresztowanie. Przy tym nie takie to łatwe, jak się zdaje.

— Et! — zaprzeczył Ossipon. — Nie bądźcie tacy pewni siebie. Któż zaręczy, że z pół tuzina policjantów nie skoczy na was z tyłu na ulicy? Gdyby wam przygwoździli ręce do boków, to byście nie mogli nic zrobić... no bo jakże?

— Owszem, mógłbym. Wychodzę rzadko o zmroku — rzekł obojętnie człowieczek — i nigdy bardzo późno. Trzymam rękę na gumowej gruszce, którą noszę zawsze w lewej kieszeni spodni. Naciśnięcie tej gruszki oddziałuje na zapalnik w środku flakonu, znajdującego się w przedniej kieszeni marynarki. Na takiej samej zasadzie jest zbudowana migawka aparatu fotograficznego. Rurka prowadzi w górę do...

Szybkim ruchem uchylił marynarkę i Ossipon zobaczył gumową rurkę podobną do cienkiej brunatnej glisty, wychodzącą z kamizelki, z otworu pachy, i zanurzoną w wewnętrznej przedniej kieszeni marynarki. Odzienie człowieczka, nieokreślonego brązowego koloru, było wytarte i poplamione, pełne kurzu w załamekch; dziurki od guzików były obszarpane.

— Zapalnik jest częściowo mechaniczny, a częściowo chemiczny — wyjaśnił człowieczek z niedbałą łaskawością.

— Działa oczywiście natychmiast? — szepnął Ossipon z lekkim dreszczem.

— Ale gdzież tam — wyznał tamten z niechęcią, która wykrzywiła mu usta jakby skurczem bólu. — Całych dwadzieścia sekund musi upłynąć od chwili, gdy nacisnę gruszkę, aż do chwili wybuchu.

— Fiu! — gwizdnął Ossipon, do reszty przerażony. — Dwadzieścia sekund! Okropność! I wy uważacie, że moglibyście to wytrzymać? Ja bym zwariował.

— Dziura by się w niebie nie zrobiła. Oczywiście jest to słaba strona tego systemu, który przeznaczyłem tylko na własny użytek. Co gorsza, sposób, w jaki wybuch następuje, jest stale słabą stroną naszych bomb. Usiłuję wynaleźć zapalnik, który by się dostosowywał do wszystkich warunków akcji i nawet do nieoczekiwanych zmian tych warunków. Mechanizm giętki, a jednak idealnie precyzyjny. Zapalnik prawdziwie inteligentny.

— Dwadzieścia sekund — mruknął znów Ossipon. — Brr! A potem...

Człowieczek odwrócił z lekką głowę; połysk jego okularów zdawał się mierzyć objętość piwiarni mieszczącej się w podziemiach słynnej restauracji „Sylen”.

— Nikt nie uszedłby cało z tej sali — zabrzmiał wyrok, który był wynikiem oględzin. — Nawet tych dwoje idących w górę po schodach.

Pianino u stóp klatki schodowej huknęło mazura z bezczelną natarczywością. Klawisze zapadały się i podnosiły w tajemniczy sposób; wyglądało to na popis jakiegoś pospolitego i zuchwałego ducha. Potem wszystko ucichło. Przez chwilę Ossipon wyobrażał sobie tę rozgorzałą od światła salę zamienioną w straszną, czarną jamę pełną kotłującego się wstrętnego dymu, zawaloną ohydny rumowiskiem ceglanego gruzu i okaleczonymi ciałami. Ujrzał tak wyraźnie obraz zniszczenia i śmierci, że wstrząsnął się znowu. Jego towarzysz rzekł z miną spokojną i zarozumiałą:

— W gruncie rzeczy bezpieczeństwo człowieka zależy tylko od jego charakteru. Bardzo jest mało na świecie ludzi o charakterze tak opanowanym jak mój.

— Ciekawym, jakście do tego doszli — burknął Ossipon.

— Siła indywidualności — rzekł tamten, nie podnosząc głosu; krzepki Ossipon słysząc to zdanie z ust człowieka o tak nędznej postaci, przygryzł dolną wargę. — Siła indywidualności — powtórzył człowieczek z ostentacyjnym spokojem. — Mam środki po temu, aby być śmiercionośnym, ale rozumiecie, że ten fakt sam przez się nie jest dla mnie żadną ochroną. Broni mnie tylko przekonanie tych ludzi, że swoich środków użyję. Wierzą w to. Nieodparcie. I dlatego jestem śmiercionośny.

— Wśród nich są także silne indywidualności — mruknął złowrogo Ossipon.



— Możliwe. Ale widać chodzi o stopień siły, bo na przykład ja się ich nie boję. Na tym polega ich niższość. Oni nie mogą być inni. Ich charakter jest ugruntowany na konwencjonalnej moralności. Opiera się na społecznym porządku. Mój charakter wolny jest od wszystkiego, co sztuczne. Oni są skrępowani mnóstwem konwencjonalnych przepisów. Związani są z życiem, które w tym wypadku jest tworem historycznym, zależnym od różnych względów i ograniczeń, złożonym, zorganizowanym tworem wystawionym zewsząd na ataki; tymczasem ja związany jestem ze śmiercią, która nie zna żadnych ograniczeń i której atakować nie można. Moja wyższość jest oczywista.

— Ujmujecie to w sposób transcendentalny — rzekł Ossipon, śledząc zimny połysk okularów. — Słyszałem niedawno, jak Karl Yundt mówił coś bardzo podobnego.

— Karl Yundt — mruknął tamten pogardliwie — delegat Międzynarodowego Czerwonego Komitetu, był przez całe życie pozującym cieniem. Jest tu was trzech delegatów, prawda? Nie będę określał dwóch pozostałych, bo jednym z nich wy jesteście. To, co wszyscy trzej mówicie, nie ma w ogóle żadnego znaczenia. Jesteście szacownymi delegatami do spraw propagandy rewolucyjnej, ale w tym sęk, że nie tylko nie potraficie myśleć niezależnie, zupełnie jak pierwszy lepszy szanowany kupiec czy dziennikarz, lecz żaden z was nie ma siły charakteru.

Ossipon nie mógł powstrzymać odruchu oburzenia.

— Czegóż wy od nas chcecie? — wykrzyknął stłumionym głosem. — I nad czym pracujecie sami?

— Nad udoskonaleniem zapalnika — brzmiała stanowcza odpowiedź. — Cóż znaczy ta krzywa mina? Widzicie, nie możecie znieść nawet wzmianki o czymś decydującym.

— Ja się wcale nie krzywię — warknął brutalnie udręczony Ossipon.

— Wy, rewolucjoniści — ciągnął tamten ze swobodną pewnością siebie — jesteście wszyscy w niewoli u porządku społecznego, który się was obawia; w niewoli zupełnie takiej samej, jak policja broniąca tego porządku. To jasne, że jesteście jego niewolnikami, ponieważ chcecie ten porządek zrewolucjonizować. On rządzi zarówno waszą myślą, jak waszymi czynami, i dlatego ani wasze myśli, ani wasze czyny nigdy do niczego nie doprowadzą. — Zamilkł spokojnie, rzekłbyś, ostatecznie, i prawie natychmiast podjął znów: — Nie jesteście ani o włos lepsi od sił przeciw wam zgrupowanych... na przykład od policji. Któregoś dnia zetknąłem się nagle z komisarzem Heatem na rogu Tottenham Court Road. Nie spuszczał ze mnie wzroku. Ale ja na niego nie patrzyłem. Wystarczył mi jeden rzut oka. On myślał o wielu rzeczach — o swych przełożonych, o swej reputacji, o sądach, o swej pensji, o dziennikach... o tysiącu rzeczy. Ale ja myślałem tylko o swym doskonałym zapalniku. Komisarz Heat był dla mnie niczym. Był dla mnie osobistością tak mało znaczącą jak... nic równie błahego nie mogę sobie przypomnieć — z wyjątkiem może Karla Yundta. Jeden wart drugiego. I terrorysta, i policjant — obaj z tej samej beczki. Rewolucja, legalność — to przeciwne sobie posunięcia w tej samej grze, formy nieróbstwa w gruncie rzeczy identyczne. Oni prowadzą swoją grę — i wy, ideowcy, swoją. Ale ja w żadną grę się nie bawię; ja pracuję czternaście godzin na dobę i czasem przymieram głodem. Moje doświadczenia wymagają niekiedy pieniędzy, a wtedy muszę się obejść parę dni bez jedzenia. Patrzycie na moje piwo. Tak. Wypiłem już dwa kuffle i zaraz wypiję trzeci. Dziś urządziłem sobie święto i obchodzę je w samotności. Czemu nie? Mam dość sił, aby pracować samotnie, zupełnie samotnie, w absolutnej samotności. Pracuję w samotności od lat.

Ciemny rumieniec pokrył twarz Ossipona.

— Nad idealnym zapalnikiem... co? — zadrwił bardzo cicho.

— Tak — odparł tamten. — Dobrzeście to określili. Nie znaleźlibyście nic nawet w części równie ścisłego na określenie waszej działalności, włączając w to wszystkie wasze komitety i delegacje. To ja jestem prawdziwym ideowcem.

— Nie będziemy się o to spierać — rzekł Ossipon, przybierając minę wznoszenia się ponad względy osobiste. — Przykro mi, że będę jednak musiał zepsuć wam święto. Dziś rano w Greenwich Park jakiś człowiek został wysadzony w powietrze.

— Skąd o tym wiecie?

— Już od drugiej wykrzykują tę wiadomość na ulicach. Kupiłem dziennik i wbiegłem tutaj. Potem zobaczyłem, że siedzicie przy tym stoliku. Mam dziennik w kieszeni.

Buntownik

Wyciągnął gazetę — duży różowy arkusz, jakby zarumieniony od żaru swych przekonań, które były optymistyczne. Przebiegł go wzrokiem.

— Aha! Mam. Bomba w Greenwich, w parku. Mało szczegółów na razie. Pół do jedenastej. Mglisty ranek. Skutki wybuchu odczuto aż na Romney Road i Park Place. Olbrzymia wyrwa w ziemi pod drzewem, pełna zmiądzonych korzeni i połamanych gałęzi. Naokoło szczątki ludzkiego ciała rozerwanego na strzępy. To już wszystko. Reszta same dziennikarskie bzdury. Piszą, że to z pewnością zbrodniczy zamach na obserwatorium. Hm. Trudno temu uwierzyć.

Przez chwilę patrzył jeszcze w milczeniu na gazetę, wreszcie podał ją człowieczkowi, który spojrział z roztargnieniem na dziennik i odłożył go bez słowa.

Pierwszy odezwał się Ossipon tonem wciąż urażonym:

— Uważacie, szczątki tylko *jednego* człowieka. Ergo<sup>39</sup>: *sam siebie* wysadził w powietrze. To popsuje wam chyba nastrój... co? Czyście się spodziewali tego rodzaju posunięcia? Nie miałem najłżejszego wyobrażenia... nawet nie powstało mi w głowie, że knują coś podobnego, że tego rodzaju historia ma się tu stać — tu, w Anglii. Zważywszy na obecne warunki jest to po prostu zbrodnia.

Człowieczek podniósł rzadkie czarne brwi z obojętną pogardą.

— Zbrodnia! Co przez to rozumiecie? Czym jest zbrodnia? Co chcecie przez to powiedzieć?

— A jakże mam się wyrazić? Muszę używać ogólnie przyjętych słów — rzekł niecierpliwie Ossipon. — Chcę przez to powiedzieć, że owa historia może wpłynąć bardzo niekorzystnie na nasze położenie w Anglii. Mało wam jeszcze tej zbrodni? Jestem pewien, że w ostatnich czasach daliście komuś tego waszego towaru.

Ossipon patrzył bacznie w twarz człowieczka. Tamten z całym spokojem podniósł z wolna głowę i opuścił ją.

— Więc to wy! — wybuchnął dobitnym szeptem redaktor ulotek P. P. — Nie może być! Więc naprawdę rozdajecie to ot tak sobie, na żądanie, pierwszemu lepszemu durniowi, który się nawinie?

— Tak jest! Skazany na zagładę ustrój społeczny nie został zbudowany z papieru i atramentu i nie wyobrażam sobie, aby kombinacja papieru z atramentem mogła położyć mu koniec, bez względu na to, co wy sobie wyobrażacie. Tak, rozdawałbym swój proch na wszystkie strony każdemu mężczyźnie, każdej kobiecie, każdemu durniowi, wszystkim, którym by się spodobało przyjść po to do mnie. Wiem, co myślicie. Ale ja się nie kieruję wskazówkami Czerwonego Komitetu. Gdyby was stąd wszystkich wyszczuli, albo uwięzili, albo na przykład ucięli wam głowy — nawet bym palcem nie kiwnął. To, co nas spotyka indywidualnie, nie ma najmniejszego znaczenia.

Mówił niedbale, chłodno, prawie obojętnie i Ossipon, bardzo poruszony w skrytości ducha, starał się naśladować ten obojętny ton:

— Gdyby tutejsza policja stała na wysokości zadania, podziurawiliby was kulami jak sito albo w biały dzień przygnietliby was z tyłu worami z piaskiem.

Zdawało się, że człowieczek rozważył już ten punkt widzenia w swój zwykły, obojętny i pewny siebie sposób.

— Tak — potwierdził z błyskawiczną gotowością. — Ale wówczas zadarliby z własnymi ustawami. Rozumiecie? To wymaga niepośledniej siły charakteru. Siły charakteru zupełnie specjalnej.

Ossipon zmrużył oczy.

— Przypuszczam, że tak by się właśnie z wami obeszli, gdybyście założyli wasze laboratorium w Stanach. Oni się nie ceremoniuja ze swymi ustawami.

— Nie mam zamiaru tam jechać, żeby się o tym przekonać. Zresztą wasza uwaga jest słuszna — przyznał człowieczek. — Tamci mają więcej charakteru i ten charakter jest na wskroś anarchistyczny. To urodzajny dla nas grunt. Stany Zjednoczone — bardzo dobry grunt. W tej wielkiej republice tkwi zaród zniszczenia. Temperament zbiorowy jest nastawiony przeciw prawu. Doskonale! Mogą nas powystrzelać, ale...

— Jesteście dla mnie zbyt abstrakcyjni — burknął Ossipon, zatroskany i markotny.

<sup>39</sup> *ergo* (łac.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

— Jestem tylko logiczny — zaprzeczył człowieczek. — Istnieje kilka rodzajów logiki. Moja należy do kategorii właściwej ludziom oświeconym. Ameryka jest w porządku. To Anglia jest niebezpieczna ze względu na swe idealistyczne wyobrażenia o praworządności. Duch społeczny tego narodu cechują skrupuły, uprzedzenia i to dla naszego dzieła jest zgubne. Mówicie, że Anglia jest jedynym naszym schronieniem. Tym gorzej. To nasza Kapua<sup>40</sup>! Po co nam schronienie? Gadacie tu, drukujecie, knujecie i nic nie robicie. Powiedziałbym, że to jest bardzo wygodne dla takich Karlów Yundtów.

Wzruszył lekko ramionami i dodał z tą samą swobodną pewnością siebie:

— Naszym celem powinno być skruszenie przesądów oraz czci dla prawa. Najbardziej by mi się spodobało, gdyby komisarz Heat i jego banda zaczęli w biały dzień do nas strzelać ku zadowoleniu publiczności. Wówczas nasza bitwa byłaby na wpol wygrana; rozkład starej moralności zagnieździłby się u samego jej źródła. Oto cel, do którego powinniście dążyć. Ale wy, rewolucjoniści, nigdy tego nie zrozumiecie. Snujecie plany na przyszłość, gubicie się w marzeniach o systemie ekonomicznym wywodzącym się z istniejącego porządku rzeczy, a tymczasem należy zmieść wszystko, co jest, i wywieść z nicości nowe pojęcie życia. Taka przyszłość sama da sobie radę, jeśli zrobi się dla niej miejsce. I dlatego właśnie usypałbym na rogach wszystkich ulic kupy swego prochu, gdyby go tylko starczyło; a ponieważ go nie starczy, robię, co mogę, aby zbudować idealnie doskonały zapalnik.

Ossipon, który zatopił się w myślach, pochwycił to ostatnie słowo jak deskę ratunku.

— Aha. Wasz zapalnik. Nie zdziwię się wcale, jeśli to jeden z waszych zapalników zmiotł tego człowieka w parku.

Cień przykrości przesłonił stanowcze, blade oblicze tkwiące naprzeciw Ossipona.

— Trudność mojej pracy polega właśnie na tym, że muszę robić doświadczenia z różnego rodzaju zapalnikami. Przecież trzeba je wypróbować. Zresztą...

Ossipon przerwał.

— Kto to mógł być, ten człowiek? Ręczę wam, że nikt z nas w Londynie nie miał pojęcia... Czy możecie mi opisać człowieka, któremu daliście materiał wybuchowy?

Tamten zwrócił na Ossipona okulary jak podwójny reflektor.

— Opisać — powtórzył z wolna. — Teraz chyba nic temu nie przeszkadza. Opiszę go wam w jednym słowie: Verloc.

Ossipon, który z ciekawości uniósł się trochę na krześle, opadł, jakby go spoliczkowano.

— Verloc? Niemożliwe.

Opanowany człowieczek skinął lekko głową.

— Tak. To on. W tym wypadku nie możecie powiedzieć, że dałem swój materiał pierwszemu lepszemu durniowi, który się nawinął. O ile wiem, Verloc był wybitnym członkiem waszej grupy.

— Tak — odrzekł Ossipon. — Wybitnym. Choć nie, niekoniecznie. Był ośrodkiem naszego wywiadu i przyjmował zwykle kolegów, którzy tu przybywali. Umiał być pożyteczny, ale wybitny nie był. Umysł pozbawiony twórczości. Przed laty przemawiał na zebraniach... zdaje się, że we Francji. Ale nieszczególnie. Ufali mu tacy ludzie jak Latorre, Moser i cała ta stara gwardia. Jedyny talent, jakim się naprawdę wykazał, to umiejętność odwracania w jakiś sposób uwagi policji. Na przykład w tym wypadku wcale nie wygląda mi na to, aby go specjalnie śledzono. Miał, uważacie, prawowitą żonę. Zdaje się, że to za jej pieniądze założył ten sklep. Chyba mu się to opłacało.

Ossipon urwał nagle. Mruknął pod nosem: „Co też ta kobieta teraz zrobi?” i pogrążył się w myślach.

Tamten czekał z ostantacyjną obojętnością. Pochodził z niskiej sfery, a znano go ogólnie pod przydomkiem Profesora. Jego prawo do tego określenia wynikało stąd, że był kiedyś laborantem chemikiem w jakimś instytucie technicznym. Pokłócił się ze zwierzchnikami o wyrządzoną mu niesprawiedliwość. Potem dostał miejsce w laboratorium fabryki farb. Tam również potraktowano go z oburzającą niesprawiedliwością. Jego zmagania się,

<sup>40</sup>Kapua — miasto na Płw. Apenińskim; w staroż. słynące z bogactwa, luksusu i wygod, które miały doprowadzić zimujące tam po bitwie pod Kannami (216 p.n.e.) oddziały Hannibala do osłabienia ducha bojowego. [przypis edytorski]

jego niedostatek, jego zawzięte wysiłki, aby zdobyć wyższe miejsce na drabinie społecznej, napęliły go niezłomnym przeświadczeniem o własnych zasługach i dlatego bardzo było trudno obejść się z nim sprawiedliwie — gdyż pojęcie człowieka o sprawiedliwym traktowaniu zależy w wysokim stopniu od jego wytrzymałości. Profesor był człowiekiem utalentowanym, lecz brakowało mu owej wielkiej cnoty społecznej, którą jest rezygnacja.

— Jako intelekt był niczym — wyrzekł głośno Ossipon, przestając nagle rozmyślać nad osobą i stanem interesów osieroconej pani Verloc. — Indywidualność na wskroś pospolita. To źle, Profesorze, że nie utrzymujecie bliższych stosunków z towarzyszami — dodał tonem nagany. — Czy Verloc coś wam powiedział, czy zwierzył się ze swych zamarów? Nie widziałem go od miesiąca. Wydaje mi się niemożliwe, aby już nie żył.

— Powiedział mi, że to ma być zamach na jakiś budynek — rzekł Profesor. — Musiałem to wiedzieć, aby przygotować odpowiednią bombę. Zwróciłem mu uwagę, że ilość materiału wybuchowego, jaką posiadam, nie wystarcza, aby wywołać zupełne zniszczenie, lecz prosił mnie usilnie, abym zrobił, co będę mógł. Ponieważ chciał, żebym przygotował coś, co będzie można nieść w ręku, zaproponowałem, że użyję do tego starej jednogalowej<sup>41</sup> blaszanki od pokostu kopalowego<sup>42</sup>, którą miałem przypadkiem u siebie. Ta myśl mu się podobała. Było to trochę kłopotliwe, bo musiałem najpierw wyciąć dno, a potem je znów przyłutować. W blaszance znajdował się gruby szklany słoik o dużym otworze, szczelnie zakorkowany i otoczony wilgotną gliną; słoik zawierał szesnaście uncji<sup>43</sup> zielonego prochu X<sub>2</sub>. Zapalnik połączyłem z wkręconym wierzchem blaszanki. To było bardzo pomysłowe... kombinacja czasu i uderzenia. Wyjaśniłem Verlocowi ten system. Cienka rurka blaszana zawierająca...

Myśl Ossipona zwróciła się w inną stronę.

— Jak się to mogło stać? — przerwał.

— Czy ja wiem? Może przykręcił wierzch, co pociągnęło za sobą włączenie kontaktu, a potem zapomniał o terminie wybuchu, który obliczyłem na dwadzieścia minut. Ale mocny wstrząs mógł także spowodować wybuch natychmiast, ponieważ kontakt był włączony. Pewno źle obliczył czas albo po prostu upuścił bombę. W każdym razie jedno jest dla mnie jasne: kontakt był w zupełnym porządku. System działał wzorowo. Zdawałoby się, że w pośpiechu przeciętny dureń zapomniałby raczej o włączeniu kontaktu. Tego rodzaju niebezpieczeństwo najbardziej mnie niepokoiło. Ale tyle jest rodzajów głupoty, że nie można się jej ustrzec. Trudno wymagać od zapalnika, aby był zupełnie odporny na głupotę.

Kiwnął na kelnera. Ossipon siedział wyprostowany, a jego skupiony wzrok świadczył o pracy mózgu. Gdy kelner odszedł z pieniędzmi, Ossipon ocknął się z miną pełną głębokiego niezadowolenia.

— To dla mnie niezmiernie przykre — zaczął głośno rozważać. — Karl od tygodnia leży w łóżku na bronchit<sup>44</sup>. Równie dobrze może wcale już nie wstać. Michaelis używa sobie gdzieś na wsi. Modny wydawca zaproponował mu pięćset funtów za książkę. To będzie straszna kłapa. Jak wicie, odzwyczaił się w celi od logicznego myślenia.

Profesor stał, zapinając palto, i rozglądał się z niewzruszoną obojętnością.

— Co teraz zrobicie? — zapytał Ossipon znużonym głosem. Drżał przed naganą ze strony Centralnego Czerwonego Komitetu, który nigdzie stale nie przebywał i o którego składzie nie był dokładnie powiadomiony. Niepojęte szaleństwo Verloca odbiło się dotkliwie na Ossiponie, gdyby cała ta sprawa pociągnęła za sobą zniesienie skromnego subsydium udzielanego na wydawanie ulotek P. P.

— Solidaryzowanie się z krańcową formą działania jest jedną rzeczą, a głupia lekkomyślność drugą — rzekł z pewnego rodzaju ponurą brutalnością. — Nie rozumiem, co Verloca napadło. Jest w tym jakaś tajemnica. A tymczasem on zginął. Wolno wam się zapatrywać na to, jak chcecie, ale w tych okolicznościach jedynie właściwą polityką dla walczącej grupy rewolucyjnej jest odżegnanie się od wszelkiej łączności z tym waszym

<sup>41</sup>galon — anglosaska miara objętości płynów i ciał sypkich; galon angielski jest równy ok. 4,5 litra. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>kopalowy pokost — werniks malarski wykonywany z rozpuszczonego kopalu, twardej, żółtawej masy żywicznej zbliżonej do bursztynu. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>uncja — ang. jednostka objętości lub wagi, ok. 28 cm<sup>3</sup> lub 28 g. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>bronchit — zapalenie oskrzeli. [przypis edytorski]

diabelskim wybrykiem. Teraz głowię się tylko nad tym, jak zrobić, żeby takie oświadczenie wydało się wiarygodne.

Człowieczek stał w zapiętym palcie, gotów do wyjścia, ani trochę nie wyższy od siedzącego Ossipona. Wycelował okulary prosto w jego twarz.

— Moglibyście poprosić policję o świadectwo dobrego prowadzenia. Oni wiedzą, gdzie który z was spał wczoraj w nocy. Gdybyście ich poprosili, zechcieliby może ogłosić coś w rodzaju urzędowego raportu.

— Na pewno wiedzą dokładnie, że nic z tym nie mamy wspólnego — mruknął gorzko Ossipon. — A co powiedzą, to inna sprawa. — Siedział zamyślony, nie zwracając uwagi na kusą, niechlujną, sowiooką postać stojącą u jego boku. — Natychmiast muszę znaleźć Michaelisa i uprosić go, aby przemówił od serca na którymś z naszych zebrań. Publiczność ma coś na kształt sentymentalnego szacunku dla tego człowieka. Jego nazwisko jest znane, a ja pozostaję w kontakcie z kilku reporterami wielkich dzienników. To, co powie Michaelis, będzie skończoną bzdurą, ale taki ma jakiś sposób mówienia, że można to przełknąć.

— Jak lukrecję<sup>45</sup> — wtrącił dość cicho Profesor z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Zakłopotany Ossipon dalej prowadził ze sobą półgłosną rozmowę, niby człowiek rozmyślający w zupełnej samotności.

— Osioł, psiakrew! Żeby mi ściągnąć na łeb taką idiotyczną historię! I nawet nie wiem, czy...

Siedział, zaciąwszy usta. Nie uśmiechała mu się myśl, aby po prostu zasięgnąć języka w sklepie. Wyobrażał sobie, że policja zastawiła już tam pułapkę. „Będą musieli kilka osób zaarrestować” — pomyślał i uczył coś w rodzaju cnotliwego oburzenia, albowiem spokojny tryb jego rewolucyjnego życia został zagrożony wcale nie z jego winy. A znów jeśli do sklepu nie pójdzie, gotów się nie dowiedzieć o czymś bardzo ważnym. Potem przyszło mu na myśl, że jeżeli ów człowiek w parku został rozszarpany na drobne strzępy, jak piszą w gazetach, to nie potrafili go zidentyfikować. A w takim razie policja nie ma powodu do pilnowania sklepu Verloca staranniej niż każdego innego punktu zbornego wybitnych anarchistów — niż na przykład restauracji „Sylen”. Gdziekolwiek by się Ossipon udał, wszędzie natrafi na policję. Jednakże...

— Co tu teraz robić? — mruknął, radząc się siebie samego.

Chropawy głos u jego boku rzekł ze spokojną wzgardą:

— Uczepcie się tej kobiety, jeśli warta fatygi.

Wyrzekłszy te słowa, Profesor oddalił się od stolika. Ossipon, zaskoczony jego przenikliwością, targnął się na krzesło, jakby się chciał zerwać, lecz w dalszym ciągu siedział nieruchomo, patrząc przed siebie bezsilnie, rzekłbyś, przybity gwoździem do siedzenia. Samotne pianino, pozbawione nawet pomocy taboretu, uderzyło mężnie w struny i zacząwszy grać wybór narodowych pieśni, wypędziło wreszcie Ossipona melodią *Błękitnych dzwonek Szkocji*<sup>46</sup>. Przykre, wyraźne tony słabły coraz bardziej za jego plecami, gdy szedł z wolna w górę po schodach, mijał hall i wydostał się na ulicę.

Naprzeciw wielkich drzwi sterczał tuż u chodnika ponury szereg gazeciarzy, którzy sprzedawali swój towar, stojąc w rynsztoku. Był zimny, posępny dzień wczesnej wiosny; brudne niebo, błoto na ulicy, łachmany gazeciarzy harmonizowały świetnie z plikami wilgotnych szmat papieru zbrukanych farbą drukarską. Powalane błotem afisze ozdabiały jak dywany wygięty brzeg chodnika. Sprzedaż wieczornych gazet odbywała się żwawo, lecz na tle szybkiego, nieustannego ruchu przechodniów robiła wrażenie rozdawnictwa dzienników przyjmowanych obojętnie, lekceważąco. Ossipon rozejrzał się spieszenie przed wejściem w krzyżujące się prądy, ale Profesora nigdzie nie było już widać.

## V

Profesor skręcił w ulicę po lewej stronie i szedł, trzymając głowę prosto i sztywno wśród tłumu, gdzie prawie każdy przechodzień górował nad jego kusą postacią. Profesor czuł

<sup>45</sup>lukrecja — wyciąg z korzenia drzewa lukrecjowego o charakterystycznym słodko-mdłym smaku, stosowany w lecznictwie. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*Błękitne dzwoneki Szkocji* (ang. *Blue Bells of Scotland*) — popularna ballada szkocka, opublikowana po raz pierwszy w 1801 r. [przypis edytorski]

się zawiedziony; nie warto było tego przed sobą ukrywać. Ale dotyczyło to tylko jego uczuć; stoicyzmu jego myśli nie mogło zakłócić żadne niepowodzenie. Prędzej czy później zostanie wymierzony celny cios — cios naprawdę przerażający — i zarysuje się imponująca, wielka fasada gmachu prawnych pojęć, gmachu, który jest siedzibą okrutnej niesprawiedliwości społecznej.

Profesor pochodził ze skromnego środowiska; wyobraźnię rozpałiły mu wcześniej opowiadania o kolejach ludzi, którzy wzniesli się z otchłani nędzy na wyżyny władzy i bogactw, lecz wyjątkowo obskurna powierzchowność przeszkodziła mu wykorzystać wielkie przyrodzone zdolności. Jego niezmierna, prawie ascetyczna czystość myśli, połączona ze zdumiewającą nieznanymi warunków życia sprawiła, że postawił sobie za cel osiągnięcie potęgi i rozgłosu nie za pomocą chytrych, wdzięku, taktu, bogactwa, lecz siłą samej zasługi. Uznał, że na tej podstawie ma prawo do niezaprzeczonego powodzenia.

Jego ojciec, warty, posępny zapaleniec o smagłej twarzy i cofniętym czole, był swego czasu wędrownym, porywającym kaznodzieją jakiejś mało znanej i surowej sekty chrześcijańskiej; przy tym wierzył ślepo w przywileje, do których uprawniało go bogobojne życie. Synowi, mającemu silne poczucie indywidualności, nauka zastąpiła sekciarską wiarę, a jego postawa duchowa wyraziła się w zapamiętałej, na wskroś purytańskiej ambicji. Pielęgnował ją niby jakąś świecką świętość. Ambicja ta została zawiedziona, a wówczas otwarły mu się oczy na prawdziwą istotę świata; osądził, że jego etyka jest sztuczna, znieprawiona, bluźniercza. Drogę do rewolucji, nawet najbardziej usprawiedliwionych, torują samolubne popędy, ukryte pod pozorami przekonań. Profesor uznał swoje oburzenie za przyczynę decydującą, która rozgrzeszała go z tego, że wybrał zagładę jako narzędzie własnej ambicji.

Unicestwić ogólną wiarę w praworządność — oto jak brzmiała nieściska formuła jego pedantycznego fanatyzmu; natomiast ściśle i trafne było podświadome przekonanie Profesora, iż rami ustalonego społecznego porządku można zburzyć skutecznie tylko przez jakiś gwałt, zbiorowy lub indywidualny. Profesor był przeświadczony, że działa na rzecz moralności. Prowadząc swą działalność z bezlitosnym męstwem, uzyskał pozory siły i powagi. Nie wątpił o tym, a świadomość ta koła jego mściwą gorycz i niepokój; albowiem najzagorzalsi z rewolucjonistów nie robią chyba nic innego, tylko na swój sposób dążą do osiągnięcia spokoju, podobnie jak i reszta ludzkości — spokoju sytej pychy, zaspokojonych apetytów, a może i ukojonego sumienia.

Zagubiony w tłumie, drobny i niepozorny, Profesor myślał z zadowoleniem o swojej sile; ręką spoczywającą w lewej kieszeni spodni obejmował lekko gumową gruszkę, najpewniejszą rękojmiej swego złowrogięj wolności; po chwili jednak dokuczył mu widok jezdni zatłoczonej pojazdami i chodnika pełnego mężczyzn i kobiet. Znajdował się na długiej, prostej ulicy, zapełnionej tylko drobną częścią olbrzymiego zbiorowiska ludzi; lecz wokół siebie, dalej i dalej, aż po krańce widnokągu ukrytego za ogromnymi budowlami z cegieł, czuł ludzkie mrowie potężne swym ogromem. Roilo się nieprzeliczone jak szarańcza, pracowite jak mrówki, bezmyślne jak siła przyrody; prac naprzód ślepo, miarowo, pochłonięte swymi sprawami, niedostępne dla uczuć, dla logiki, a może i dla strachu.

Niedostępne dla strachu! Tęgo się lękał najbardziej. Często gdy chodził po mieście i gdy mu się zdarzyło spojrzeć na świat jakby cudzym wzrokiem, miał chwile przerażającej, trzeźwej niewiary w ludzkość. A jeśli nic nie jest w stanie jej wzruszyć? Podobne chwile nawiedzają wszystkich tych, których ambitnym celem jest bezpośredni wpływ na ludzkość — artystów, polityków, myślicieli, reformatorów lub świętych. W tym oplakany stanie ducha krzepi wyższe charaktery samotność; Profesor szedł więc i myślał z głęboką radością o swym schronieniu, o pokoju z kredensem zamkniętym na kłódkę, pokoju ukrytym wśród gąszczu ubogich domów, o tej pustelni doskonałego anarchisty.

Aby dotrzeć prędzej do miejsca, gdzie mógł wsiąść do omnibusu, Profesor skręcił nagle z rojnej ulicy w wąską i ciemną zaułek wyłożony kamiennymi płytami. Po jednej stronie stały niskie domy ceglane — puste skorupy oczekujące na zburzenie; z ich ślepych okien zasnutych kurzem wyglądała beznadziejna ruina. Po drugiej stronie zaułka życie jeszcze się tliło. Na wprost jedynej gazowej latarni rozwierała się jaskinia podrzędnego handlarza mebli, a w głębi tej jaskini, w mroku jakby wąskiej alei wijącej się wśród dziwnego lasu szaf, podszytego gąszczem nóg stołowych, jaśniało wysokie stojące lu-

Buntownik

Miasto

stro niby leśne jezioro. Przed wejściem do sklepu stała nieszczęsna, bezdomna kanapka w towarzystwie dwóch niedopasowanych krzesel.

Jedyny człowiek idący uliczką naprzeciw Profesora, wysoki i prosty, wstrzymał nagle rozkołysany swój krok.

— Hallo! — rzekł i stanął czujnie trochę z boku.

Profesor już się był zatrzymał, na wpeł się obróciwszy, tak że plecy jego znalazły się tuż pod przeciwległym murem. Prawą ręką wsparł się lekko o grzbiet kanapki skazanej na banicję, lewą zostawił nie bez celu zagłębioną w kieszeni spodni; okrągłe okulary w ciężkiej oprawie nadawały sowi wyraz jego mrocznej, niewzruszonej twarzy.

Spotkali się jakby w bocznym korytarzu domu tętniącego życiem. Wysoki mężczyzna miał na sobie ciemne palto zapięte na wszystkie guziki i trzymał parasol. Kapelusz zsunięty na tył głowy odkrywał znaczną część czoła, które w ciemności wydawało się bardzo białe. W mrocznych plamach oczodołów błyskały przenikliwie źrenice. Długie i obwisłe wąsy barwy dojrzałego zboża okalały kwadratowy wygolony podbródek.

— Nie szukałem pana — rzekł krótko.

Profesor ani drgnął. Zmieszane hałasy olbrzymiego miasta dochodziły tu w postaci głuchego, cichego szmeru. Komisarz Heat z Wydziału Przestępstw Specjalnych zmienił ton.

— Nie spieszy się pan do domu? — zapytał z szyderczą prostotą.

Mały człowieczek o chorowitym wyglądzie, moralny rozsądek zniszczenia, rozkoszował się swoim prestiżem; oto trzymał w szachu tego człowieka, któremu zagrożona społeczność powierzyła swoją obronę. Był szczęśliwszy niż Kaligula<sup>47</sup>, który dla łatwiejszego nasycenia okrutnej swej żądzы pragnął, aby rzymski senat miał tylko jedną głowę; Profesor widział w komisarzu uosobienie wszystkich wyzwanych przez siebie sił: sił prawa, własności, ucisku i niesprawiedliwości. Miał przed sobą swych wrogów i upojony pychą, nieustraszenie stawiał im czoło. Oto ich widział, zmieszanych jak wobec złowieszczonego zjawiska. Radował się w duchu przypadkowym spotkaniem, które potwierdzało jego wyższość nad mrowiem ludzkości.

Było to istotnie spotkanie przypadkowe. Komisarz Heat miał przez cały dzień przykrą robotę, już od chwili gdy jego wydział otrzymał przed jedenastą rano pierwszy telegram z Greenwich. Przede wszystkim bardzo przykry był fakt następujący: oto niespełna tydzień temu Heat zapewnił pewnego wysokiego urzędnika, że nie należy się obawiać żadnych wybryków anarchistycznych. Chyba jeszcze nigdy Heat nie czuł się tak pewny swego, jak składając ów raport. A składał go z wielkim zadowoleniem, ponieważ widział dobrze, iż wysoki urzędnik bardzo pragnął to właśnie usłyszeć. Heat oświadczył, że nawet gdyby ktoś powziął myśl zamachu, wydział byłby o tym powiadomiony w przeciągu dwudziestu czterech godzin; a oświadczył to w pełni poczucia, że jest najwybitniejszym ekspertem w swoim wydziale. Posunął się nawet do wypowiedzenia słów, od których prawdziwa mądrość byłaby go ustrzegła. Lecz komisarz Heat nie był bardzo mądry — a przynajmniej nie był prawdziwie mądry. Istotna mądrość, która niczego nie jest pewna na tym świecie pełnym sprzeczności, przeszkodziłaby mu osiągnąć stanowisko, jakie zajmował: niepokoiłaby jego przełożonych, pozbawiając go wszelkich możliwości awansu. A Heat awansował bardzo szybko.

— Nie ma wśród nich ani jednego, którego byśmy nie mogli przytrzymać każdej chwili, czy to we dnie, czy w nocy. Wiemy godzina po godzinie, co każdy z nich robi — oświadczył, a dygnitarz raczył się uśmiechnąć. Były to właśnie słowa, które urzędnik o reputacji komisarza Heata powinien był wypowiedzieć i dlatego brzmiały tak rozkosznie.

Dygnitarz zaufał temu oświadczeniu, zgodnemu z jego pojęciem o właściwym porządku rzeczy. Mądrość dygnitarza była z rodzaju mądrości urzędowych, bo inaczej zastanowiłby go pewien fakt wynikający nie z teorii, lecz z praktyki, a mianowicie to, że w gęstej sieci stosunków między spiskowcem a policją zdarzają się luki, nagle dziury w czasie i przestrzeni. Choćby strzeżono danego anarchistę krok za krokiem i minuta za minutą, może przyjść chwila, kiedy zniknie z oczu na parę godzin i wtedy zdarza się coś mniej lub więcej niepożądanego (zazwyczaj wybuch). Lecz wysoki urzędnik uśmiechnął się pod

<sup>47</sup>Kaligula, właśc. *Gaius Julius Caesar Augustus Germanicus* (12–41) — cesarz rzym. (od 37), znany z despotycznych i brutalnych rządów; *pragnął, aby rzymski senat miał tylko jedną głowę*: wypowiedź Kaliguli dotyczyła nie senatu, lecz ludu rzymskiego, tłumów zgromadzonych podczas igrzysk cyrkowych. [przypis edytorski]

wpływem swych wyobrażeń o porządku rzeczy i teraz wspomnienie tego uśmiechu było bardzo przykre dla komisarza Heata, głównego eksperta od spraw anarchistycznych.

Nie było to jedyne wspomnienie mącące zwykłą pogodę ducha wybitnego specjalisty. Drugie sięgało porannych godzin tego samego dnia. Heatowi dokuczała myśl, że gdy został nagle wezwany do prywatnego gabinetu nadinspektora, nie potrafił ukryć zdumienia. Instynkt szczęściarza nauczył go już dawno, iż reputacja człowieka zależy nie tylko od jego czynów, ale i od jego sposobu bycia. A czuł, że w chwili gdy mu pokazano telegram, zachował się nieodpowiednio. Otworzył szeroko oczy i wykrzyknął: „To niemożliwe!”, narażając się przez to na nieodpartą replikę — uderzenie palcem w telegram, który nadinspektor rzucił na biurko, przeczytawszy go głośno. Komisarz poczuł się niejako zmiądzony pod tym uderzeniem palca wskazującego, a to nie należy do przyjemności i bynajmniej nie pomaga w karierze. Co więcej, Heat wiedział, że sytuacji nie polepszył, pozwalając sobie na wyjawienie własnego zdania:

— Jedno mogę od razu powiedzieć: żaden z naszych anarchistów nie ma z tym nic wspólnego.

Opierał się na swym rozsądku dobrego detektywa, ale widział teraz, że nieprzenikniona, baczna powściągliwość wobec tego wypadku byłaby dla jego reputacji korzystniejsza. Z drugiej strony powiedział sobie w duchu, iż trudno mu będzie utrzymać swą reputację, jeśli obcy anarchiści zaczną maczać palce w sprawach tego rodzaju. Partaccy intruzi są przekleństwem i dla policji, i dla wszystkich innych fachów. Ton, jakim przemawiał nadinspektor, był tak cierpki, że Heat zacisnął zęby.

A przy tym od rannego śniadania nie miał czasu na jakikolwiek posiłek.

Zaraz po tej rozmowie wyruszył na miejsce wypadku, aby rozpocząć śledztwo, i wchłonął porządną porcję zimnej, niezdrowej mgły rozwleczonej po parku. Stamtąd udał się do szpitala, a gdy śledztwo w Greenwich dobiegało wreszcie końca, stracił zupełnie apetyt. Nie był przyzwyczajony, jak lekarze, do rozpatrywania z bliska poszarpanych ludzkich szczątków; wstrząsnął nim widok, który odsłonił się przed jego wzrokiem, gdy zdjęto nieprzemakalną płachtę ze stołu znajdującego się w jednym z oddziałów szpitala.

Druga nieprzemakalna płachta okrywała ten stół na kształt obrusa, a jej podniesione końce spoczywały na stożkowej kupie osmalonych i krwawych łachmanów, zasłaniając po części coś, co mogło ująć za surowiec przeznaczony na ucztę dla ludożerców. Trzeba było nie byle jakiej siły ducha, żeby się nie cofnąć przed tym widokiem. Komisarz Heat, sprawny urzędnik swego wydziału, wytrwał na stanowisku, ale przez całą minutę nie posunął się naprzód. Miejscowy policjant w mundurze spojrzął z ukosa na stół i rzekł spokojnie z prostotą:

— On tu jest cały. Pozbierałem go co do kawałeczka. A to nie było łatwe.

Ów policjant znalazł się pierwszy na miejscu wybuchu. Zaczął o tym znów opowiadać. Zobaczył we mgle coś na kształt wielkiej błyskawicy. Stał wówczas u drzwi King William Street Lodge, rozmawiając z dozorcą. Wstrząs targnął całym jego ciałem. Rzucił się ku obserwatorium.

— Gnałem co sił w nogach — powtarzał raz po raz.

Komisarz Heat nie przerywał mu, zginając się nad stołem ruchem ostrożnym i pełnym obrzydzenia. Dozorca szpitala i jakiś człowiek odchyłili rogi płachty i cofnęli się. Oczy komisarza badały szczegółowo ten straszny stos różnych rzeczy, które wyglądały jakby je kto pozbierał w jatkach i u gałganiarzy.

— Pan użył do tego szufli — rzekł Heat, spostrzegłszy trochę drobnego żwiru, małe kawałeczki kory i cieniutkie jak igły cząstki potrzaskanego drzewa.

— W jednym miejscu nie mogłem sobie poradzić — rzekł niewzruszony policjant. — Więc posłałem stróża po szufłę. Kiedy usłyszał, jak skrobię ziemię, oparł się o drzewo i wymiotował.

Komisarz, pochylony ostrożnie nad stołem, opanował przykre uczucie w gardle. Gwałtowny, <sup>śmierć</sup>niszczyielski wstrząs, który uczynił z tego ciała kupę nieokreślonych szczątków, robił na nim wrażenie bezlitosnego okrucieństwa, choć rozum mówił, że skutek wybuchu musiał być błyskawiczny. Kimkolwiek był ten człowiek, zginął w jednej chwili; a jednak niepodobna było uwierzyć, aby ludzkie ciało doszło do tego stanu, nie wycierpiawszy przedtem niepojętych mąk. Komisarz Heat, obcy fizjologii i jeszcze bardziej obcy metafizyce,



wzniósł się przez siłę współczucia, która jest pewną formą strachu, nad pospolite pojęcie o czasie. Błyskawiczny! Przypomniawszy sobie wszystko, co czytał w popularnych książkach o długich, przerażających snach śnionych w chwili przebudzenia; przypomniał sobie, że tonący przeżywa z okropną wyrazistością całe swoje życie w chwili, gdy po raz ostatni wynurza głowę nad powierzchnię wody. Niepojęte tajemnice świadomego istnienia osaczyły komisarza Heata, aż wreszcie doszedł do strasznego wniosku, że wieki nieludzkich fizycznych tortur i mąk duchowych mogą się zmieścić między dwoma następującymi po sobie mrugnięciami oka. Jednocześnie zaś wpatrywał się uważnie w stół z twarzą spokojną i nieco zatroskaną, niby ubogi klient, który z myślą o tanim obiedzie niedzielnym pochyła się nad czymś, co w sklepie rzeźniczym mogłoby ująć za odpadki. A przez cały ten czas wyćwiczona czujność Heata, czujność świetnego detektywa, niegardzącego żadną okazją do zdobycia wiadomości, śledziła bezładną gadaninę policjanta, który bardzo był z siebie zadowolony.

— Miał jasne włosy — stwierdził spokojnie policjant i umilkł na chwilę. — Staruszka, która rozmawiała z sierżantem, zauważyła blondyna wychodzącego z Maze Hill Station. — Znow zamilkł, po czym ciągnął powoli dalej: — A on był właśnie blondynem. Zauważyła dwóch ludzi wychodzących ze stacji po odejściu pociągu. Nie umiała powiedzieć, czy szli razem. Na wyższego mężczyznę nie zwróciła uwagi, ale spostrzegła, że ten drugi jest jasnowłosym szczupłym chłopcem i że niesie w ręku blaszankę od pokostu.

Policjant urwał.

— Pan zna tę kobietę? — mruknął komisarz, ciągle zapatrzony w stół, i mignęło mu przez myśl, że trzeba zaraz przeprowadzić śledztwo co do tego człowieka, którego tożsamości pewno się nigdy nie stwierdzi.

— Tak. Ona jest gospodynią u byłego właściciela baru i chodzi czasem do kaplicy w Park Place — rzekł policjant z powagą i urwał, zerknąwszy znowu na stół. Nagle podjął: — Więc mamy go tutaj... wszystko, co tylko mogłem znaleźć. Szczupły... dosyć szczupły. Niech pan spojrzy na tę nogę. Najpierw podniosłem nogi, jedną, a potem drugą. Rozleciał się na takie kawałeczki, że nie wiedziałem, od czego zacząć.

Policjant umilkł; przebłysk naiwnego, pełnego dumy uśmiechu nadał jego okrągłej twarzy dziecinny wyraz.

— On się potknął — oświadczył stanowczo. — Kiedy tam biegłem, potknąłem się także i rozciągnąłem się jak długi. Wszędzie tam sterczą korzenie. Potknął się o korzeń i upadł, a to, co niósł, musiało wybuchnąć akurat pod jego piersiami, jak mi się zdaje.

Słowa „tożsamość nieustalona” rozlegały się wciąż echem w duszy komisarza, doskwierając mu bardzo. Pragnął dla własnej ciekawości wysledzić tę sprawę aż do tajemniczego jej źródła. Miał ciekawość zawodowca. A ustalając tożsamość tego człowieka, pragnął dowieść ogółowi, że jego wydział funkcjonuje jak należy. Heat był dobrym urzędnikiem. Lecz w tym przypadku ustalenie tożsamości wydawało się niemożliwe. Pierwsze słowa zagadki były nieczytelne — narzucały tylko myśl o strasliwym okrucieństwie.

Aby zadosyćuczynić sumieniu, komisarz Heat, przewyciężając odrazę, bez przekonania wyciągnął rękę i podniósł najmniej zbrukany ze strzępów. Był to wąski pas aksamitu złożony z większym trójkątnym kawałkiem ciemnogrnatowego sukna. Heat podniósł go do oczu, a policjant rzekł:

— Aksamitny kołnierz. Ciekawe, że staruszka zauważyła ten aksamitny kołnierz. Ciemnogrnatowe palto z aksamitnym kołnierzem, tak nam powiedziała. To jego widziała, jak amen w pacierzu. Mamy go tu w całości, aksamitny kołnierz i wszystko. Nie zostawiłem chyba ani kawałeczka.

W tej chwili wyćwiczone zmysły Heata przestały słyszeć głos policjanta. Komisarz podszedł do okna, gdzie było jaśniej. Jego twarz, odwrócona od pokoju, wyrażała zdumienie i wytężoną uwagę; oglądał bacznie trójkątny kawałek sukna. Nagłym ruchem oderwał go i wetknął do kieszeni, po czym odwrócił się i z powrotem cisnął aksamitny kołnierz na stół.

— Zakryć to — rozkazał krótko towarzyszącym sobie ludziom i salutowany przez policjanta, nie spoglądając już ku stołowi, uniósł szybko swą zdobycz.

Pochłonięty myślami, jechał pociągiem w stronę miasta, siedząc samotnie w przedziale trzeciej klasy. Ta osmalona szmatka sukna była bezcenna; komisarz nie mógł opanować zdziwienia nad zbiegiem okoliczności, dzięki któremu wpadła mu w ręce. Zdawało się, że

sam Los wskazał mu drogę. I jak każdy przeciętny człowiek, którego ambicją jest wpływanie na bieg rzeczy, komisarz poczuł nieufność do powodzenia osiągniętego bez trudu, dzięki przypadkowi — właśnie dlatego, że wyglądało jakby mu je narzucono. Istotna wartość powodzenia jest względna, zależy w znacznym stopniu od tego, jak się na nie zapatrujemy. Ale Los jest bezwzględny i nie liczy się z niczym.

Komisarz nie uważał już, aby było wskazane ujawnić przed publicznością tożsamość człowieka, który tego ranka unicestwił się tak straszliwie i tak doszczętnie. Lecz Heat nie był pewien, jak jego wydział będzie się na to zapatrywał. Wydział jest dla swych urzędników czymś skomplikowanym, czymś, co ma własne poglądy, a nawet kaprysy. Wydział zależy od wierności i oddania swych sług, a oddanie i wierność zaufanych sług kojarzą się z pewnego rodzaju lekceważącym przywiązaniem, które niejako tę wierność podsycą. Wskutek łaskawego zrządzenia natury żaden człowiek nie jest bohaterem dla swego lokaja, chyba że sam sobie czyści ubranie. Podobnie żaden wydział nie uchodzi za idealnie mądry w oczach spoufalconych z nim pracowników. Wydział nie wie tego wszystkiego, co wiedzą niektórzy z jego sług. Będąc organizmem beznamiętnym, nie może być nigdy idealnie informowany. Gdyby wiedział zbyt wiele, nie mógłby sprawnie funkcjonować. Komisarz Heat wysiadł z pociągu w zadumie dalekiej od nieprawomyślności, lecz nie pozbawionej szczypty tego zazdrosnego powątpiewania, które tak często kiełkuje na gruncie zupełnego poświęcenia się czy kobiecie, czy też instytucji.

W takim to stanie ducha Heat, zgłodniały, lecz pod wpływem tego, co widział, wciąż jeszcze skłonny do mdłości, zetknął się z Profesorem. W tych warunkach, usposabiających do irytacji zdrowego, normalnego człowieka, spotkanie to było dla Heata szczególnie niepożądane. Nie myślał o Profesorze; nie myślał o żadnym konkretnym anarchiście. Ta skomplikowana sprawa narzuciła mu myśl, że w ogóle wszystkie ludzkie poczynania są pozbawione sensu — która to myśl nawet w teorii jest dość przykra dla człowieka niemającego nic wspólnego z filozofią, a w wypadkach konkretnych staje się nad wszelki wyraz drażniąca.

Na początku swojej kariery komisarz Heat zajmował się poważniejszymi wypadkami kradzieży. Zdobyl ostrogi na tym terenie i oczywiście zachował dlań — po awansie i przeniesieniu do innego wydziału — uczucie dość zbliżone do przywiązania. Kradzież nie jest czystym absurdem. Jest to pewien rodzaj ludzkiej pracy, oczywiście wypaczonej, lecz jednak pracy wykonywanej na tym pracowitym świecie; jest to czynność podejmowana dla tej samej przyczyny, co praca garncarza, praca w kopalniach węgla czy w polu, czy też w zakładzie szlifierskim. Ta praca różni się w praktyce od innych rodzajów pracy gatunkiem niebezpieczeństwa, które nie polega na groźbie reumatyzmu lub zatrucia się ołowiem, gazem węglowym czy pyłem z granitu; niebezpieczeństwo grożące złodziejowi polega na tym, co specjalna terminologia określa zwięźle jako „siedem lat kryminału”. Oczywiście komisarz Heat nie był obojętny na różnice natury moralnej. Ale i złodzieje, których śledził, nie byli na nie obojętni. Poddawali się z pewną rezygnacją surowym prawom moralności wyznawanej przez komisarza Heata. On zaś uważał ich za współobywateli wykolejonych na skutek złego wychowania; jednak, uwzględnivszy tę różnicę, był w stanie zrozumieć umysłowość włamywacza, ponieważ w gruncie rzeczy umysłowość i instynkty włamywacza należą do tej samej kategorii, co umysłowość i instynkty urzędnika policji. Obaj poddają się tym samym prawom, znają wzajemnie z praktyki swoje metody pracy i rutynę swoich zawodów. Rozumieją, co jest dla obu stron korzystne, i to nadaje pewnego rodzaju urok ich wzajemnym stosunkom. Obaj są wytworem tego samego mechanizmu, choć jednego z nich uważa się za wytwór użyteczny, a drugiego za szkodliwy; obaj uznają konieczność tegoż mechanizmu, uznają w sposób odmienny, lecz odnoszą się do niego w zasadzie z taką samą powagą. Umysł komisarza Heata był niedostępny dla pojęć rewolucyjnych. Ale i jego złodzieje nie byli buntownikami. Siła fizyczna Heata, jego chłodny, nieugięty sposób bycia, jego odwaga i prawość zdobyły mu wiele szacunku i nieco służalczych pochlebstw w sferze, gdzie pracował dawniej z powodzeniem. Czuł się tam szanowany i podziwiany. A teraz, stojąc o sześć kroków od anarchisty zwanego Profesorem, wspomniął z żalem świat złodziei — środowisko zdrowe, pozbawione chorobliwych ideałów, pracujące według pewnej rutyny, pełne szacunku dla ustanowionych władz, wolne od skaz nienawiści i rozpaczy.

Urzędnik

Kradzież, Urzędnik

Złożywszy hołd temu, co normalne w ustroju społecznym (albowiem pojęcie złodziejstwa wydawało się Heatowi równie normalne jak pojęcie własności), komisarz rozgniewał się na siebie za to, że się zatrzymał, że przemówił do Profesora, że w ogóle wybrał tę ulicę, która skracała drogę od stacji do głównego urzędu policyjnego. I powtórzył silnym, stanowczym głosem, przytłumionym i groźnym w brzmieniu:

— Mówię panu, że pana nie potrzebuję.

Anarchista stał dalej bez ruchu. Niemy, szydrczy śmiech odsłonił nie tylko jego zęby, ale i dziąsła, targał nim całym, nie uzewnętrzniając się najlżejszym dźwiękiem. Komisarz Heat dodał mimo woli, wbrew podszeptom zdrowego rozsądku:

— Tymczasem jeszcze nie. Kiedy przyjdzie na to czas, będę wiedział, gdzie pana znaleźć.

Były to jedyne właściwe słowa, zgodne z tradycją, odpowiednie dla urzędnika policji, który zwraca się do owieczki z powierzonego mu stada. Ale sposób, w jaki zostały przyjęte, urągał tradycji i przyzwoitości. Był oburzający. Kusa, nikła postać stojąca przed Heatem przemówiła nareszcie:

— Nie wątpię, że gazety poświęcą panu wówczas nekrolog. Pan wie najlepiej, czy to się panu opłaci. Łatwo sobie wyobrazić, jak taki nekrolog będzie wyglądał. I kto wie, czy się pan nie narazi na tę przykrość, że pochowają nas razem, choć sędzę, że pańscy przyjaciele dołożą wszelkich starań, aby rozsegregować nas możliwie najdokładniej.

Komisarz Heat czuł należytą pogardę dla uczuć dyktujących te słowa, lecz mimo to zawarta w nich straszliwa aluzja wywarła na nim wrażenie. Nie zlekceważył jej jako absurdu, gdyż był na to zbyt przenikliwy i zbyt dobrze poinformowany. Mrok wąskiej uliczki nabral czegoś złowieszczego od ciemnej, nikłej figurki opartej plecami o mur, mówiącej głosem słabym i pewnym siebie. Pełnemu sił i niewyczerpanej żywotności Heatowi nędzna postać tego stworzenia, tak widać niezdatnego do życia, wydała się złowroga; odniósł bowiem wrażenie, że gdyby miał nieszczęście urodzić się równie marnym stworem, byłoby mu wszystko jedno, czy umrze wcześniej, czy później. Tak silnie wrośnięty był w życie, że znów poczuł mdłości, a czoło zrosiło mu się potem. Gwar miejskiego życia, zgłuszony turkot kół na dwóch niewidocznych ulicach z prawej i lewej strony, dotarły do jego uszu półkolem niechlujnego zaułka; wydały mu się czymś swojskim i cennym, i pełnym nęcącej słodczy. Heat był człowiekiem z krwi i kości. Ale był także mężczyzną i nie mógł puścić takich słów mimo uszu.

— Wszystko to są strachy na Lachy — rzekł. — Jeszcze się do pana dobiore.

To było powiedziane bardzo dobrze, bez pogardy, z prawie surowym spokojem.

— Nie wątpię o tym — brzmiała odpowiedź — ale niech mi pan wierzy: obecna chwila jest wymarzona. Dla człowieka zasad to piękna sposobność do poświęcenia się. Może pan nie znajdzie drugiej tak sprzyjającej, tak humanitarnej. Nie ma nawet kota w pobliżu, a z tych starych domów skazanych na zagładę byłaby porządna kupa gruzu, tam gdzie pan stoi. Nigdy już nie będzie pan mógł mnie dopaść, narażając w tak małym stopniu życie i własność obywateli, za których ochronę pana opłacają.

— Pan nie wie, do kogo pan mówi — rzekł komisarz Heat ze stanowczością. — Gdybym teraz położył na panu rękę, byłbym tyleż wart, co i pan.

— Aha! Więc to o prawidła gry panu chodzi!

— Zapewniam pana, że w końcu nasza strona zwycięży. Może jednak trzeba będzie ludzi przekonać, że do niektórych z was powinno się strzelać jak do wściekłych psów. Wtedy nasza gra tak właśnie będzie wyglądać. Ale bodajbym zginął, jeśli wiem, co za grę wy prowadzicie. Chyba nie wiecie tego sami. Na tej drodze nigdy nic nie osiągniecie.

— A tymczasem wy nieźle na swej grze wychodzicie... jak dotąd. Idzie wam jak z płatka. Nie mówię o pana dochodach, ale czy pan nie zdobył sobie rozgłosu po prostu przez niezrozumienie tego, do czego dążymy?

— Do czegoż więc dążycie? — spytał komisarz Heat z lekceważącym pośpiechem, jak człowiek, który mało ma czasu i widzi, że go traci na próżno.

Wzorowy anarchista uśmiechnął się w odpowiedzi, nie rozchylając wąskich, bezbarwnych warg, a sławny komisarz w poczuciu swej wyższości podniósł ostrzegawczo palec:

— Bez względu na to jaki jest wasz cel, zaniechajcie go — rzekł tonem pouczającym, ale nie tak łaskawym, jak kiedy by udzielał rady słynnemu włamywaczowi. — Zaniechajcie go. Zobaczcie pan, że sobie z nami nie poradzicie.

Zastygłe w uśmiechu wargi Profesora drgnęły, jakby szyderczy duch w jego wnętrzu stracił na pewności siebie. Komisarz Heat ciągnął dalej:

— Nie wierzy mi pan, co? Więc niech się pan tylko rozejrzy. Nie poradzicie sobie. I jakoś źle się do tego bierzecie. Musicie zawsze coś sknocić. Gdyby złodzieje nie znali swego fachu lepiej, niż wy znacie swój, umarliby z głodu.

Poczucie, że za plecami tego człowieka tkwią niewyciężone tłumy, wzbudziło ponury gniew w piersi Profesora. Z jego ust znikł szyderczy i zagadkowy uśmiech. Lęk wobec nieugiętej potęgi liczb, wobec odpornej na wszystko niewzruszoności mas, był upiorem nawiedzającym jego ponurą samotność. Wargi Profesora drżały jakiś czas, nim zdołał wyrzec zdławionym głosem:

— Robię swoje lepiej niż wy.

— Dość tego — przerwał śpiesznie komisarz Heat; Profesor roześmiał się, tym razem głośno. Zaczął iść, wciąż jeszcze się śmiejąc, ale nie śmiał się długo. Gdy się wyłonił z wąskiego zaułka, był znowu nędznym człowieczkiem o smutnej twarzy. Utonął w rozgardiaszu wielkiej ulicy; szedł bezsilnym krokiem wciąż dalej i dalej, niby włóczęga obojętny na deszcz lub słońce, nieczuły w swej ponurości na wygląd nieba i ziemi. Natomiast komisarz Heat, popatrzywszy za nim przez chwilę, ruszył naprzód z celową energią człowieka, który wprawdzie sobie lekceważy nielitościwe wybryki przyrody, lecz świadom jest zarówno misji, powierzonej mu na tej ziemi, jak i moralnego poparcia bliźnich. Mieszkańcy olbrzymiego miasta, ludność całego kraju i pleniące się miliony, które walczą o byt na tej planecie, wszyscy byli po jego stronie... aż do złodziei i żebraków włącznie. Tak, nawet złodzieje sprzyjają mu na pewno w obecnej pracy. Świadomość powszechnego poparcia dodała mu ducha w zmaganiu się z tym konkretnym zagrożeniem.

Najbliższe zadanie oczekujące komisarza polegało na uporaniu się z bezpośrednim zwierzchnikiem, nadinspektorem wydziału. Jest to odwieczne zadanie zaufanych i wiernych urzędników; anarchizm nadał mu tylko specjalne zabarwienie i nic poza tym. Mówiąc szczerze, komisarz Heat nie miał wysokiego pojęcia o anarchizmie. Nie przypisywał mu zbytnej wagi i nie mógł się nigdy zmusić do brania go poważnie. Uważał, że anarchizm należy raczej do wykroczeń przeciw dobrym obyczajom; że jest nieobyczajnością, której nie przysługuje ta zrozumiała okoliczność łagodząca — pijaństwo, idące w parze z dobroduszością i sympatycznym pociąganiem do hulanki. Podobnie jak zbrodniarze, anarchiści nie są wyraźną klasą — w ogóle żadnej klasy nie tworzą. Inspektor Heat przypomniał sobie Profesora i nie zatrzymując się, mruknął przez zęby, idąc swym elastycznym krokiem:

— Wariat.

Pościg za złodziejami to zupełnie inna sprawa. Ma w sobie powagę cechującą każdy rodzaj sportu na świeżym powietrzu, sportu, w którym człowiek najdzielniejszy wygrywa na zasadzie prawideł bardzo przejrzystych. Lecz nie ma prawideł na postępowanie z anarchistami. I właśnie to przejęło Heata niesmakiem. Cała sprawa była wierutnym głupstwem, ale to głupstwo podniecało umysły, narażało osoby na wysokich stanowiskach i zahaczało o stosunki międzynarodowe. Twarda, bezlitosna pogarda zakrzepła na twarzy komisarza. Przebiegał myślą wszystkich anarchistów ze swej gromadki. Żaden z nich nie miał tej odwagi, co niektórzy ze znanych mu złodziei. Ani w połowie, ani nawet w dziesiątej części.

W centrali komisarz został wpuszczony od razu do gabinetu nadinspektora. Zastał go z piórem w rękę, pochylonego nad wielkim stołem zarzuconym papierami; wyglądało to jakby nadinspektor oddawał cześć olbrzymiemu podwójnemu kałamarzowi z brązu i kryształu. Tuby głosowe<sup>48</sup> podobne do węży były przymocowane do oparcia drewnianego fotela, a ich rozszerzone paszcze zdawały się czyhać na odpowiednią chwilę, aby ugryźć nadinspektora w łokieć. Nie zmienił pozy, tylko podniósł oczy, których powieki były ciemniejsze niż twarz i bardzo pomarszczone. Oświadczył, że raporty już wpłynęły; sprawdzono dokładnie, co robił w ostatnich czasach każdy z anarchistów.

<sup>48</sup>tuba głosowa — urządzenie złożone z dwóch stożków połączonych rurą powietrzną, przez które mowę można przetransmitować między pomieszczeniami; w XIX w. używane do komunikacji wewnętrznej na statkach i w biurach; wyparte przez telefon. [przypis edytorski]

Spuścił oczy, podpisał się szybko na dwóch pojedynczych arkuszach i dopiero wtedy, odłożywszy pióro, rozsiadł się w fotelu, zwracając badawcze spojrzenie na swego znakomitego urzędnika. Komisarz wytrzymał je, pełen szacunku, lecz niezbadany.

— Sądzę, że pan miał rację — rzekł nadinspektor — kiedy mi pan od razu powiedział, że londyńscy anarchiści nie mają z tym nic wspólnego. Doceniam to w zupełności, że pana ludzie trzymają ich pod ścisłym dozorem. Ale znów jeśli chodzi o publiczność, sprawa wygląda tak, jakbyśmy się przyznawali, że nic nie wiemy.

Nadinspektor mówił powoli, rzekłbyś, ostrożnie. Zdawało się, iż jego myśl usiłuje znaleźć drogę wśród rozlewiska błędów, przechodząc od słowa do słowa i zatrzymując się na każdym z nich jak na sterczących z wody kamieniach.

— Chyba że przywiózł mi pan z Greenwich coś pożytecznego — dodał.

Komisarz zaczął natychmiast zdawać sprawę ze swego śledztwa w sposób jasny i rzeczowy. Zwierzchnik obrócił się trochę wraz z fotelem, skrzyżował chude nogi i oparłszy się na łokciu, zasłonił ręką oczy. W tej jego zasluchanej postawie był pewien wdzięk, jakby kanciasty i smutny. Gdy w końcu pochylił z wolna czarną jak heban głowę, po jej bokach przebiegły błyski niby po świetnie wypolerowanym srebrze.

Komisarz Heat czekał, na pozór przeżywając w myśli wszystko, co dotychczas powiedział, lecz w gruncie rzeczy zastanawiając się, czy należy jeszcze coś dodać. Zwierzchnik przerwał ten namysł:

— Sądzi pan, że tam było dwóch ludzi?

Zdaniem komisarza było to więcej niż prawdopodobne. Ci dwaj ludzie rozstali się zapewne w odległości jakichś stu jardów od obserwatorium. Wyjaśnił również, jakim sposobem tamten drugi człowiek mógł wymknąć się z parku, nie będąc zauważonym. Sprzyjała mu mgła, choć niezbyt gęsta. Zdaje się, że przyprowadził na miejsce towarzysza, który miał już sam wykonać robotę. Zestawiwszy czas, w którym staruszka widziała tych dwóch ludzi wychodzących z Maze Hill Station, z czasem, kiedy usłyszano wybuch, komisarz sądził, że tamten człowiek mógł już być na Greenwich Park Station i oczekiwać najbliższego pociągu w kierunku miasta — w tej samej chwili, gdy jego towarzysz unicestwił się tak doszczętnie.

— Doszczętnie w całym tego słowa znaczeniu, co? — szepnął nadinspektor spod ręki ocieniającej twarz.

Komisarz opisał w paru jędrnych słowach wygląd szczątków.

— Komisja stwierdzająca śmierć będzie miała używanie — dodał posepnie.

Nadinspektor odsłonił oczy.

— Nie będziemy mogli dać im żadnych wyjaśnień — zauważył wyczerpanym głosem.

Spojrzał w górę i przez chwilę śledził wybitnie obojętną postawę swego komisarza. Nie należał do ludzi ulegających łatwo złudzeniom. Wiedział dobrze, iż każdy wydział jest na łasce drugorzędnych urzędników, którzy mają swoje własne pojęcie o lojalności. Jego kariera rozpoczęła się w kolonii podzwrotnikowej. Lubił swą tamtejszą robotę. Była to robota policyjna. Udało mu się wysledzić i unieszkodliwić pewne zbrodnicze tajne stowarzyszenia wśród tubylców. Potem wyjechał na długi urlop i ożenił się pod wpływem nagłego porywu. Sądząc po światowemu, stanowili z żoną bardzo dobraną parę, ale nadinspektorowa wyrobiła sobie ze słyszenia niekorzystną opinię o klimacie kolonialnym. Miała wiele wpływowych znajomości — była to świetna partia. Lecz nadinspektor nie lubił swej obecnej roboty. Czuł się zależny od zbyt wielu podwładnych i zbyt wielu zwierzchników. Bezpośrednia bliskość tego dziwnego przejawu uczuć, zwanego opinią publiczną, przygnębiała go i niepokoiła swą irracjonalnością. Nie ulega wątpliwości, że przez brak doświadczenia wyolbrzymiał sobie jej siłę czynienia dobra i zła, zwłaszcza zaś zła; przy tym ostre wschodnie wiatry angielskiej wiosny (które służyły jego żonie) pogłębiały w nim zasadniczą nieufność do pobudek rządzących ludźmi i do sprawności ich organizacji. Jałowość pracy biurowej gnębiła go szczególnie w owych dniach tak przykrych dla jego wrażliwej wątroby.

Wstał, rozprostował się w całej długości i krokiem ciężkim, zadziwiającym u człowieka tak szczupłego, ruszył przez pokój ku oknu. Szyby oczekiwały deszczem, a w dole krótka uliczka, na którą nadinspektor spoglądał, była mokra i pusta, jakby wymieciona nagle do czysta przez wielką powódź. Dzień bardzo był przykry, najpierw zdławiony przez

zimną mgłą, a teraz pławiący się w zimnej ulewie. Migotliwe, zamazane płomienie gazowych latarni jak gdyby się rozpuszczały w wodnistym powietrzu. A górnolotne pretensje ludzkości, gnębionej haniebną niepokodą, wydawały się beznadziejną, niebotyczną pychą zasługującą na pogardę, zdziwienie i litość.

„Co za ohydny czas!” — rozmyślał nadinspektor z twarzą zblizoną do szyby. „Trwa to już z dziesięć dni; nie, dwa tygodnie, dwa tygodnie”. Na chwilę przestał zupełnie myśleć. Ten absolutny bezwład jego mózgu trwał około trzech sekund. Wreszcie rzekł obojętnie:

— Czy kazał pan śledzić tamtego drugiego człowieka wzdłuż linii kolejowej?

Nie wątpił, że wszystko, co trzeba, zostało zarządzane. Komisarz Heat znał oczywiście do gruntu swój zawód — polowanie na ludzi. A to, o co pytał nadinspektor, było kwestią zwykłej rutyny, której by nie zaniedbał nawet ktoś początkujący. Kilka pytań zwróconych do urzędników odbierających bilety oraz do tragarzy na obu stacyjkach dostarczyło zapewne dalszych szczegółów co do wyglądu obu mężczyzn, a przejrzanie odebranych biletów wskazało od razu, skąd tego ranka przybyli. To była rzecz zasadnicza, nie zaniedbano jej z pewnością. Więc też komisarz odrzekł, że wszystko to załatwiono zaraz po złożeniu zeznań przez staruszkę. Wymienił nazwę stacji.

— Stamtąd właśnie przyjechali — ciągnął dalej. — Urzędnik, który odbierał bilety w Maze Hill, pamięta, że opuściło peron dwóch ludzi podobnych z wyglądu do poszukiwanych. Miał wrażenie, że to porządni rzemieślnicy wyższej kategorii — malarze szyldów lub malarze pokojowi. Ten duży wysiadł tyłem z przedziału trzeciej klasy, trzymając w ręku jasną blaszankę. Na peronie wręczył ją młodemu blondynowi, który wysiadł za nim. Wszystko zgadza się dokładnie z tym, co staruszka mówiła policjantowi w Greenwich.

Nadinspektor, ciągle zwrócony ku oknu, wyraził powątpiewanie, aby ci dwaj ludzie mieli coś wspólnego z zamachem. Cała hipoteza została zbudowana na zeznaniach starej posługaczki, której śpieszący się człowiek o mało co nie przewrócił. Nie było to źródło pewne, chyba że na staruszkę zstąpiło nagle natchnienie, co przecież trudno przypuszczać.

— Niechże pan powie szczerze, czyżby naprawdę dostała natchnienia? — zapytał nadinspektor z ironiczną powagą, stojąc wciąż tyłem do pokoju, jakby go urzekł olbrzymi zarys miasta na wpół zagubionego wśród nocy. Nie odwrócił się nawet gdy usłyszał słowo „opatrznościowy” wypowiedziane przez najwybitniejszego ze swych podwładnych, urzędnika o nazwisku pojawiającym się czasem w gazetach i znanym szerokiej publiczności jako nazwisko jednego z jej gorliwych, pracowitych obrońców. Komisarz podniósł z lekka głos.

— Widziałem wyraźnie strzępy i odłamki jasnej blachy — rzekł. — To potwierdzenie dość ważne.

— A ci dwaj mężczyźni przyjechali z tamtej wiejskiej stacyjki — zastanawiał się nadinspektor, snując głośno swe rozważania. Komisarz oświadczył mu na to, że nazwa owej stacyjki widniała na dwóch biletach z ogólnej liczby trzech oddanych w Maze Hill przez pasażerów tego pociągu. Trzecim pasażerem był przekupień z Gravesend, dobrze znany tragarzom. Komisarz udzielił tej informacji tonem niedopuszczającym sprzeciwu i nieco zirytowanym, jak to się zdarza wiernym sługom, którzy mają poczucie swego oddania i wartości swych uczciwych wysiłków. Lecz nadinspektor patrzył dalej przez szybę w mrok rozległy jak morze.

— Dwóch obcych anarchistów przybywających z tej miejscowości — rzekł jak gdyby do okna. — Trudno to sobie wytłumaczyć.

— Tak, panie nadinspektorze. Ale byłoby to jeszcze trudniejsze do zrozumienia, gdyby Michaelis nie przebywał w willi położonej niedaleko stacji.

Na dźwięk nazwiska, które padło niespodzianie w związku z tą kłopotliwą sprawą, nadinspektor pożegnał się nagle z mającą mu niejasno perspektywę codziennej partii wista<sup>49</sup> w klubie. Było to najbardziej krzepiące z jego przyzwyczajęń — dawało mu pole do popisywania się zręcznością ze skutkiem przeważnie pozytywnym i to bez żadnej pomocy podwładnych. Grywał w klubie od piątej do siódmej, przed pójściem do domu na obiad, zapominając przez te dwie godziny o wszystkich przykrościach swego życia, jakby gra w karty stanowiła dobroczynny narkotyk uśmierający męki duchowego niedosytu. Partnerami jego byli: wydawca sławnego przeglądu, odznaczający się ponurym dowci-

Gra

<sup>49</sup>wist — gra karciana dla czterech osób, popularna w XVIII i XIX w., poprzednik brydża. [przypis edytorski]

pem, małowówny, podeszły wiekiem adwokat z małymi złośliwymi oczkami oraz bardzo marsowy, prostoduszny, stary pułkownik o nerwowych brunatnych rękach. Znajomości te były ściśle klubowe. Nadinspektor spotykał się z tymi ludźmi wyłącznie przy kartach. Ale wszyscy czterej przystępowali do gry w charakterze, rzekłbyś, współcierpiętników, jakby karty były zaiste narkozą na tajne dolegliwości życia; i co dzień, w chwili gdy słońce staczało się za niezliczone dachy miasta, słodka, przyjemna niecierpliwość, przypominająca tęsknotę za serdecznym i niezawodnym przyjacielem, przynosiła nadinspektorowi ulgę w zawodowej pracy. A teraz to przyjemne uczucie zagasło w nim, przejmując go jak gdyby fizycznym wstrząsem, i zostało zastąpione przez osobliwe zainteresowanie dla własnych zajęć polegających na opiekowaniu się społeczeństwem — zainteresowanie niewłaściwe; najlepiej można by je określić jako nagłą i czujną nieufność do broni trzymanej w ręku.

## VI

Dobroczyzna opiekunka Michaelisa, apostoła nadziei humanitarnych, była jedną z najbardziej wpływowych i dystygnowanych znajomych nadinspektorowej; mówiła jej po imieniu: „Annie” i traktowała ją jak niezbyt mądrą i zupełnie niedoświadczoną panienkę. Ale zgodziła się nawiązać z jej mężem przyjacielskie stosunki, na co bynajmniej nie wszystkie znajome nadinspektorowej się zdobyły. Opiekunka Michaelisa, wydana za mąż w zamierzchłej przeszłości bardzo młodo i bardzo świetnie, patrzyła jakiś czas z bliska nie tylko na wielkie sprawy, ale i na wielkich ludzi. Pochodziła z wysokiej arystokracji. Choć stara ilością przeżytych lat, miała ten wyjątkowy temperament, który opiera się czasowi z szyderczym lekceważeniem, jakby czas był gminną konwencjonalnością uznawaną tylko przez ludzi niższej kategorii. Zgodnie ze swym charakterem, odrzuciła wiele innych konwencjonalnych form — z którymi łatwiej sobie poradzić niż z czasem, niestety! — bo te formy albo ją nudziły, albo przeszkadzały jej gardzić ludźmi lub obdarzać ich sympatią. Zachwyty był dla niej uczuciem zupełnie nieznanym (zarzucał jej to w skrytości ducha wysoko urodzony małżonek) — po pierwsze dlatego, że zatracca mniej lub więcej popolitością, a po drugie dlatego, że jest poniekąd przyznaniem się do niższości. Jej natura obu tych uczuć po prostu nie rozumiała. Otwarte, nieustraszone wypowiedzianie własnego zdania łatwo jej przychodziło, ponieważ sądziła o wszystkim tylko z punktu widzenia swego społecznego stanowiska.

Tak samo nie krępowała się nigdy w czynach; a że jej takt płynął z uczuć na wskroś ludzkich, że zachowała wiele fizycznych sił i ujawniała swą wyższość w sposób pogodny i serdeczny, była przedmiotem podziwu trzech pokoleń, a ostatnie pokolenie, jakie zapewne danym jej było oglądać, zawyrokowało, że jest kobietą niepospolitą. Inteligentna, pełna wyniosłej prostoty i w gruncie rzeczy ciekawa — ale nie tylko towarzyskich plotek, jak wiele kobiet — urządziła sobie na starość rozrywkę, przyciągając do swego salonu, który się cieszył wielką, prawie historyczną sławą — wszystko, co słusznie lub niesłusznie wznosiło się nad przeciętny ludzki poziom przez pozycję towarzyską, dowcip, śmiałość, powodzenie lub klęskę. Członkowie królewskich rodów, artyści, ludzie nauki, młodzi politycy oraz szarlatani najróżniejszego wieku i kondycji, co pozbawieni treści i wagi wylaniają się na wierzch jak korki i pokazują najlepiej kierunek płytkich prądów — wszyscy byli przyjmowani gościnnie w tym domu; gospodyni słuchała ich, przenikała na wskroś, rozumiała, szacowała — ku własnemu zbudowaniu. Mówiła, że lubi śledzić, ku czemu świat idzie. A ponieważ miała do świata stosunek rzeczowy, jej sądy o ludziach i wydarzeniach, choć oparte na specjalnych przesądach, były rzadko zupełnie mylne i prawie nigdy uparte.

Na całym świecie salon jej był chyba jedynym miejscem, gdzie nadinspektor policji mógł się spotkać ze zwolnionym czasowo więźniem, spotkać się na gruncie niezawodnym i nieoficjalnym. Nadinspektor nie pamiętał dokładnie, kto pewnego dnia przyprowadził tam Michaelisa. Miał wrażenie, że to musiał być pewien wysoko skoligacony członek parlamentu o nieprzeciętnych sympatiach, dostarczających stale tematu gazetom humorystycznym. Różni znakomici ludzie, nawet ci, którzy cieszyli się tylko chwilowym rozgłosem, wprowadzali się nawzajem swobodnie do tej świątyni, gdzie królowała niebanalna ciekawość starej kobiety. Niepodobna było przewidzieć, kogo się zastanie w poufnej pogawędce z gospodynią za niebieskim parawanem z wyblakłego jedwabiu, ujętego

Pozycja społeczna

Salon

w złote ramy. Parawan ów oddzielał od wielkiego salonu przytulny kącik z kanapką i kilku fotelami; naokoło rozbrzmiewał gwar głosów i grupy ludzi stały lub siedziały w świetle sześciu wielkich okien.

Michaelis wywołał nagły przewrót w uczuciach publiczności, tej samej, która przed laty oklaskiwała okrutny wyrok skazujący go na dożywotne więzienie za uczestnictwo w wariackim zamachu, mającym na celu porwanie kilku więźniów jadących policyjną karetką. Spiskowcy postanowili zastrzelić konie i obezwładnić eskortę. Na nieszczęście został też zastrzelony jeden z policjantów; zostawił żonę i troje małych dzieci. Całe królestwo, dla którego obrony, dobrobytu i chwały ludzie giną co dzień na posterunku, zawrzało jak długie i szerokie wściekłym oburzeniem i zapamiętałą, niepohamowaną litością dla ofiary. Trzej główni sprawcy zamachu zostali powieszani. Smukły i młody Michaelis, ślusarz z zawodu, uczęszczający pilnie do szkół wieczornych, nie wiedział nawet, że kogoś zabito, bo rola jego i kilku innych sprzysiężonych polegała na wyłamaniu drzwi z tyłu więziennej karetki. W chwili gdy go ujęto, miał pęk wytrychów w jednej kieszeni, wielkie dłuto w drugiej i krótki lewar w ręku — zupełnie jak włamywacz. Ale żaden włamywacz nie zostałby skazany tak ciężko. Śmierć policjanta była dla Michaelisa ciosem, tak samo jak niepowodzenie spisku. Nie zataił ani jednego, ani drugiego z tych uczuć przed sądzącymi go rodakami, a tego rodzaju skrucha wydała się gorsząco niedoskonałą publiczności przepelniającej salę sądu. Sędzia, ogłaszając wyrok, rozwodził się z przejęciem nad znieprawieniem i zatwardziałością młodego więźnia.

Takim to sposobem skazujący go wyrok nabrał bezpodstawnego rozgłosu; uwolnienie zaś Michaelisa stało się sławne z przyczyn równie mało uzasadnionych. Rozgłosili o nim ludzie, którzy chcieli wyzyskać więzienną karę Michaelisa, uwydatniając jej stronę uczuciową — dla własnych celów lub też dla jakichś celów niezrozumiałych. Michaelis w naiwności serca i prostocie ducha nie przeciwstawił się temu. Uważał, że jego dzieje osobiste nie mają żadnego znaczenia. Był jak ci świątobliwi ludzie, których indywidualność zatracą się w rozpamiętywaniu wyznawanej przez nich wiary. Jego idee nie były w ścisłym znaczeniu tego słowa przekonaniem, ponieważ były niedostępne dla rozumowań. Pełne przeciwieństw i niejasności, składały się na niezłomną wiarę przesiąkniętą humanitaryzmem, wiarę, którą wyznawał raczej, niż głosił — z łagodnym uporem, z uśmiechem pełnym spokojnej pewności siebie; naiwne niebieskie oczy miał zawsze spuszczone, ponieważ widok ludzkich twarzy mącił mu natchnienie, które zawdzięczał samotności.

Nadinspektor ujrzał go pierwszy raz w tej charakterystycznej pozie, wzruszającego groteskową, nieuleczalną otyłością, którą były więźniom musiał dźwigać do końca życia jak niewolnik na galerze swą kulę. Michaelis wypełniał sobą uprzywilejowany fotel za parawanem. Siedział tam u wezłowia kanapki zajętej przez panią domu; spokojny, rozprawiający łagodnym głosem, nieświadom siebie jak malutkie dziecko, miał także coś z dziecięcego wdzięku — pociągającego wdzięku ufności. Wierzył w przyszłość, której tajne drogi zostały mu objawione w czterech ścianach głośniego więzienia i nie miał powodu podejrzewać nikogo. Choć nie mógł udzielić zaciekawionej pani domu dokładnego pojęcia o tym, ku czemu świat dąży, potrafił bez wysiłku wyrzucić na niej silne wrażenie wiarą bynajmniej nie zgorzkniałą i głębią optymizmu.

Pewna prostota myśli wspólna jest duszom pogodnym, choćby się znajdowały na przeciwległych krańcach towarzyskiej drabiny. Wielka pani była na swój sposób pełna prostoty. Poglądy i wierzenia Michaelisa nie zawierały nic, co by ją mogło zgorszyć lub przestraszyć, ponieważ osądzała je ze swej społecznej wyżyny. Jej sympatie skłaniały się szczerze ku ludziom w jego rodzaju. Nie była wyzyskującym kapitalistą; znajdowała się niejako ponad grą czynników ekonomicznych. I umiała przejąć się głęboką litością dla jaskrawych przejawów zwykłej ludzkiej nędzy, właśnie dlatego, że były jej tak bardzo obce i że musiała przeobrazić je sobie w myśli na cierpienia duchowe, aby pojąć ich okrucieństwo.

Nadinspektor pamiętał dokładnie rozmowę prowadzoną przez tych dwoje. Słuchał w milczeniu. Było to poniekąd równie ciekawe, nawet wzruszające w swej beznadziejnej jałowości, jak próby duchowego porozumienia między mieszkańcami odległych planet. Lecz Michaelis — groteskowe wcielenie uczuć humanitarnych — przemawiał do wyobraźni. W końcu podniósł się, ujął wyciągniętą ku niemu rękę wielkiej pani, uściśnął ją



i przez chwilę zatrzymał w ogromnej, pulchnej dłoni z serdecznością pełną swobody, po czym odwrócił się od poufnego zakątka, ukazując potężne kwadratowe plecy, które wyglądały jak rozdęte pod kusą kurtką z miękkiej wełny. Rozglądał się pogodnie, życzliwie i sunął ku odległym drzwiom między grupami gości, kiwając się z boku na bok. Szmer rozmów cichł naokoło niego. Uśmiechnął się do brodu do wysokiej, pięknej panny, gdy oczy ich się spotkały, i wyszedł z salonu, nieświadom ścigających go spojrzeń.

Pierwszy występ Michaelisa w świecie bardzo się udał; były więzień wzbudził szacunek niezamącony ani jednym szyderczym szeptem. Przerwane rozmowy potoczyły się we właściwym tonie, lekkim albo poważnym. Tylko zgrabny, długonogi mężczyzna lat czterdziestu, o wyglądzie pełnym energii, rozmawiając blisko okna z dwiema paniami, zauważył głośno z niespodzianą głębią uczucia:

— On waży przeszło dwieście pięćdziesiąt funtów<sup>50</sup>, a ma najwyżej pięć stóp i sześć cali<sup>51</sup>. Biedak! To straszne... straszne.

Pani domu, patrząc z roztargnieniem na nadinspektora, który został z nią sam na sam za parawanem, zdawała się porządkować swoje wrażenia; na jej pięknej nieruchomej twarzy malowała się zaduma. Tymczasem podeszli z lekka uśmiechnięci panowie o siwych wąsach i okrągłych czerstwych obliczach, gromadząc się wokół parawanu; zbliżyło się kilka innych osób — dwie dojrzałe kobiety z poważnymi twarzami pełnymi stanowczości i wdzięku, jakiś wygolony mężczyzna o zapadłych policzkach i wyglądzie staroświeckiego dandysa, bawiący się złotym monoklem zawieszonym na szerokiej czarnej wstążce. Przez chwilę panowało milczenie pełne szacunku choć nie pozbawione zastrzeżeń, wreszcie pani domu wykrzyknęła, bez oburzenia, tylko jakby wyrażając swój protest:

— I ten człowiek jest uznany oficjalnie za rewolucjonistę! Co za absurd.

Spojrzała bacznie na nadinspektora, który szepnął usprawiedliwiająco:

— Może nie za groźnego rewolucjonistę.

— Tego by jeszcze brakowało! To wyznawca idei, po prostu święty — oświadczyła stanowczo wielka pani. — A oni trzymali go pod kluczem przez dwadzieścia lat. Człowiek otrząsa się na taką głupotę. A teraz, kiedy jest wolny, wszyscy jego bliscy wyprowadzili się gdzieś albo poumierali. Rodzice mu umarli; dziewczyna, z którą miał się żenić, umarła podczas jego pobytu w więzieniu; utracił sprawność potrzebną do wykonywania swego rzemiosła. Opowiedział mi to wszystko z największą słodyczą i oświadczył, że za to miał dużo czasu do rozmyślań nad różnymi rzeczami. Ładna rekompensata! Jeśli tak wyglądają rewolucjoniści, niektórzy z nas powinni zbliżyć się do nich na kolanach — ciągnęła trochę żartobliwie, a tymczasem banalne towarzyskie uśmiechy zastygły na twarzach zwróconych ku niej z konwencjonalnym szacunkiem. — Oczywiście nieborak nie będzie w stanie na siebie zarobić. Ktoś musi trochę się nim zająć.

— Trzeba by mu poradzić, żeby przeprowadził jakąś kurację — rozległ się w pewnej odległości żołnierski, poważny głos mężczyzny o energicznym wyglądzie. Ów mężczyzna wyglądał kwitnąco na swoje lata i nawet materiał jego żakietu robił wrażenie sprężystości i zdrowia, jakby był żywą tkanką. — Właściwie to on jest kaleką — dodał ze szczerem przejęciem.

Inne głosy, widać rade z nadarżającej się sposobności, szeptały śpiesznie wyrazy współczucia:

— Przerażające.

— Potworne.

— Cóż to za przykry widok!

Chudy pan z monoklem na szerokiej wstążce orzekł z przesadną wytwornością: „Istna groteska”. Goście stojący obok niego uśmiechnęli się do siebie z trafności tej uwagi.

Nadinspektor nie wyraził swego zdania ani wówczas, ani też później, ponieważ jego stanowisko nie pozwalało mu ujawnić niezależnej opinii o więźniu wypuszczonym czasowo na wolność. Lecz w gruncie rzeczy zgadzał się w zapatrywaniach z przyjaciółką i opiekunką swej żony; był pewien, że Michaelis jest humanitarnym uczuciowcem, trochę narwanym, lecz w gruncie rzeczy niezdołnym do skrzywdzenia muchy.

<sup>50</sup>funt — dawna angielska jednostka wagi równa ok. 0,45 kg; 250 funtów to ok. 114 kg. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>pięć stóp i sześć cali — wzrost wyrażony w dawnych ang. miarach długości, równy 1,68 m. [przypis edytorski]

Więc też gdy nazwisko Michaelisa wypłynęło nagle w związku z przykrą sprawą wybuchu, nadinspektor uprzytomnił sobie niebezpieczeństwo grożące apostołowi na urlopie i od razu przyszła mu na myśl zagorzała sympatia starej damy do Michaelisa. Jej despotyczna dobroć nie ścierpiałaby, aby go pozbawiono wolności. Opiekunka Michaelisa miała dlań przywiązanie głębokie, spokojne, ugruntowane. Nie tylko czuła, że jest nieszkodliwy, ale wszystkim to opowiadała i stopniowo — przez pomieszenie pojęć — własny pogląd na tę sprawę stał się dla niej niewzruszonym dowodem. Zdawało się po prostu, że ją urzekł potworny wygląd tego człowieka o niewinnych dziecięcych oczach i uśmiechu tłustego anioła. W końcu prawie uwierzyła w jego teorię przyszłych czasów, ponieważ idee Michaelisa nie raziły w niczym jej uprzedzeń. Nie podobał się jej nowy żywioł plutokratyczny<sup>52</sup> w składzie społeczeństwa, a uprzemysłowienie jako metoda rozwoju ludzkości wydawało jej się dziwnie odrażające, ponieważ było mechaniczne i nieczułe.

Humanitarne nadzieje łagodnego apostoła nie dążyły do zniweczenia istniejącego porządku rzeczy, tylko do jego ruiny ekonomicznej. Opiekunka Michaelisa naprawdę nie rozumiała, jakie zło moralne mogłoby stąd wyniknąć. Przepadłoby całe mnóstwo parweniuszów, których nie lubiła i którym nie ufała; a nie ufała im bynajmniej nie dlatego, że coś osiągnęli (bo nie uznawała ich osiągnięć), ale dlatego, że grzeszyli głęboką nieznaną jomością świata, co było zasadniczą przyczyną niedojrzałości ich zapatrywań i jałowości serc. Wskutek unicestwienia wszystkich kapitałów przepadliby parweniusze, lecz wszechświatowa ruina (koniecznie wszechświatowa, jak to zostało objawione Michaelisowi) nie naruszyłaby wartości społecznych. Zniknięcie ostatniej sztuki pieniądza nie mogło dotknąć ludzi na wysokich stanowiskach; opiekunka Michaelisa nie rozumiała, w czym mogłoby zmienić na przykład jej położenie. Wyłuszczyła nadinspektorowi te swoje odkrycia z nieulekłą pogodą starej kobiety, która zdołała uniknąć zarazy obojętności.

Nadinspektor postanowił, że będzie słuchał tego rodzaju wynurzeń w milczeniu, a ze względów taktycznych i z wrodzonego popędu starał się, aby to milczenie nie było irytujące. Miał serdeczny sentyment dla starej adeptki Michaelisa, uczucie skomplikowane, trochę zależne od uznania, jakim się cieszyła, i od jej cech indywidualnych, ale wpływające przede wszystkim z wdzięczności za pogłaskaną miłość własną. Czuł, że jest naprawdę lubiany w tym domu. Gospodyni była wcieloną dobrocią. I posiadała także mądrość praktyczną właściwą kobietom doświadczonej. Szlachetnie uznała w całej rozciągłości prawa towarzyskie nadinspektora jako męża Annie, przez co jego pożycie małżeńskie stało się znacznie łatwiejsze. Miała nieoceniony wpływ na Annie, kobietę pożeraną przez małostkowy egoizm, małostkową zazdrość, małostkową zawiść. Niestety i dobroć, i mądrość adeptki Michaelisa były nieobliczalne, na wskroś kobiece i nieraz trudno było z nią sobie radzić. Pozostała w pełni kobietą przez całe swoje życie; nie zrobiło się z niej — jak to bywa — coś w rodzaju starego mężczyzny w spódnicy, kapryśnego i obrzydliwego. Nadinspektor myślał o niej zawsze jak o kobiecie — o tym najwyższym typie kobiecości, z którego się wywodzą tkliwe, naiwne, zażarte opiekunki wszelkiego rodzaju mężczyzn przemawiających pod wpływem uczuć szczerych lub udanych, strażniczki kaznodziejów, wizjonerów, proroków lub reformatorów.

Nadinspektor wysoko cenił wybitną i zacną przyjaciółkę swej żony, a zarazem i swoją, więc też zaniepokoił się losem skazańca Michaelisa. Gdyby go aresztowano na podstawie podejrzeń, że brał choćby najmniejszy udział w tym zamachu, nie dałoby się chyba uniknąć uwięzienia go i musiałby przynajmniej odsiedzieć dawną karę. A to by go zabiło; nigdy by już z więzienia nie wyszedł. Tu nadinspektor uczynił w duchu uwagę bardzo nieodpowiednią ze względu na jego urzędowe stanowisko, a zarazem nieprzynoszącą zaszczytu jego uczuciom:

— Jeśli przymkną znów Michaelisa, ona nigdy mi tego nie daruje.

Tej szczerzej myśli sformułowanej po cichu musiał towarzyszyć pewien szyderczy samokrytycyzm. Człowiek, zajmujący się tym, czego nie lubi, traci wiele zbawczych złudzeń co do własnej osoby. Kiedy się ma niechęć do swej pracy, kiedy się nie widzi w niej żadnego uroku, jest się skłonny przemieścić te uczucia na siebie samego. Tylko wtedy można zakosztować pociechy całkowitych złudzeń w stosunku do własnej osoby, gdy

<sup>52</sup>plutokracja — warstwa społeczna ludzi bogatych i wpływowych. [przypis edytorski]

przeznaczona nam czynność harmonizuje szczęśliwym trafem ze skłonnościami właściwymi naszemu charakterowi.

Nadinspektor nie lubił swojej pracy w kraju. Jego poprzednią działalność policyjną w pewnym odległym punkcie kuli ziemskiej uprzyjemniało podobieństwo do wojny partyzanckiej lub przynajmniej do sportu na wolnym powietrzu, sportu pełnego ryzyka i podniecenia. Zamiłowanie do przygód łączyło się u nadinspektora z wybitnymi zdolnościami natury głównie administracyjnej. Przykuty do biurka wśród czterech milionów ludzi, uważał się za ofiarę ironii losu — tego samego losu, który doprowadził go do małżeństwa z kobietą wyjątkowo wrażliwą na klimat podzwrotnikowy, a przy tym wybredną i pod innymi względami, co świadczyło o wykwincie jej natury i upodobań.

Choć nadinspektor odniósł się złośliwie do swego niepokoju, nie mógł odegnąć tamtej gorszącej myśli. Miał instynkt samozachowawczy silnie rozwinięty. Powtórzył w duchu z bluźnierczym naciskiem, wyrażając się jeszcze dobitniej:

— A niech to jasna cholera! Jeśli ten przeklęty Heat postawi na swoim, Michaelisa tłuszcz zaleje w więzieniu i ona nigdy mi tego nie przebaczy.

Czarna, szczupła postać nadinspektora trwała bez ruchu; z tyłu głowy, pod srebrzystym polyskiem krótko strzyżonych włosów, odcinała się biała pręga kołnierza. Cisza przeciągnęła się tak długo, że komisarz Heat ośmielił się chrząknąć. Wywarło to pewien skutek. Nieruchomy zwierzchnik, zwrócony wciąż ku oknu, zapytał inteligentnego i gorliwego urzędnika:

— Pan myśli, że Michaelis ma jakiś związek z tą sprawą?

Komisarz Heat był bardzo pewien siebie, lecz ostrożny.

— Hm, panie nadinspektorze — rzekł — mamy chyba na czym się oprzeć. Bądź co bądź człowiek tego rodzaju nie powinien być na wolności.

— Trzeba mieć jakiś niezaprzeczony dowód jego winy — rozległa się szeptem uwaga.

Komisarz Heat podniósł brwi, patrząc na wąskie, czarne plecy odwrócone uporczywie od jego inteligencji i gorliwości.

— Wyszukanie oczywistych dowodów przeciw niemu nie będzie wcale trudne — rzekł z cnotliwym zadowoleniem. — Może mi pan w tym względzie zaufać, panie nadinspektorze — dodał zupełnie niepotrzebnie z pełni serca, albowiem uważał za okoliczność bardzo korzystną, że miał w ręku tego człowieka i że będzie mógł go rzucić na pastwę publiczności, w razie gdyby jej się spodobało podnieść ryk oburzenia. Ale niepodobna było przewidzieć, czy publiczność będzie ryczała, czy też nie. W danym wypadku zależało to oczywiście od dzienników. Tak czy owak komisarz Heat, zawodowy dostawca materiału do więzień, człowiek o instynktach prawnych, uważał, że według wszelkich zasad logiki więzienie powinno przypaść w udziale każdemu jawnemu wrogowi prawa. Siła tego przekonania przyprawiła go o nietakt. Pozwolił sobie na krótki, zarozumiały śmiech i powtórzył:

— Panie nadinspektorze, proszę mi pod tym względem zaufać.

Tego już było za wiele dla nadinspektora, który przez półtora roku z górą ukrywał pod wymuszonym spokojem irytację na metody panujące w biurze i na podwładnych. Czuł się niby czworokątny hak wbity do okrągłej dziury i uważał dzień w dzień za obelgę tę z dawien dawna ustaloną gładką okrągłość, do której człowiek o mniej ostrych i kanciastych kształtach byłby się przystosował z rozkoszą, wzruszywszy parę razy ramionami. Najbardziej mierziło go właśnie to, że musiał brać tyle rzeczy na wiarę. Usłyszawszy śmiech komisarza Heata, odwrócił się szybko na pięcie, jakby go prąd elektryczny odepchnął od okna. Przechwycił na twarzy podwładnego nie tylko ukryte pod wąsami, zrozumiałe w tej chwili zadowolenie z siebie, lecz i resztki badawczej czujności w okrągłych oczach. Te oczy na pewno tkwiły przed chwilą w plecach nadinspektora, a teraz spotkały się z jego wzrokiem, zanim ich wyteżona uwaga zdążyła ustąpić wyrazowi zwykłego zadziwienia.

Nadinspektor miał istotnie pewne kwalifikacje odpowiadające swemu stanowisku. Nagle ocknęła się w nim podejrzliwość. Bezstronność każe przyznać, że łatwo było obudzić jego nieufność do metod policji, jeśli nie chodziło o oddział na wpół wojskowy i przez niego zorganizowany. Podejrzliwość drzemała w nim czasem po prostu ze zmęczenia, ale zawsze miała jedno oko otwarte. Nadinspektor oceniał dość średnio gorliwość i zdolności Heata, a to wykluczało wszelkie doń zaufanie.

„On coś knuje” — wykrzyknął w duchu i z miejsca się rozgniewał. Podeszedłszy do biurka gwałtownymi krokami, rzucił się na fotel. „Grzęzną tu w tym śmietniku papierów — rozmyślał z bezpodstawną złością — ludziom się zdaje, że trzymam w ręku wszystkie nici, tymczasem trzymam tylko to, co mi tamci wetkną do ręki i nic więcej. A drugie końce nici mogą umieścić, gdzie im się żywnie podoba”.

Podniósł głowę i zwrócił ku swemu urzędnikowi długą, chudą twarz o wydatnych rysach energicznego Don Kichota.

— No, co tam pan ma w zanadru?

Heat utkwiał wzrok w zwierchniku. Patrzył bez mrugnięcia okrągłymi, nieruchomymi oczyma, jak zwykł był patrzeć na różnych członków warstwy przestępczej, gdy mimo wielokrotnych ostrzeżeń składali zeznania w tonie urażonej niewinności albo fałszywej prostoty, albo niechętniej rezygnacji. Ale za tym kamiennym, zawodowym wzrokiem kryło się zdziwienie, bo komisarz Heat, prawa ręka swego wydziału, nie był przyzwyczajony, aby zwracano się doń podobnym tonem, łączącym harmonijnie wzdargę z niecierpliwością. Zaczął mówić, przewlekając wyrazy, jak człowiek zaskoczony przez coś nowego i niespodziewanego.

— Pan pyta, panie nadinspektorze, jakie mam dowody przeciw Michaelisowi?

Nadinspektor patrzył bacznie na tę okrągłą głowę, na końce wąsów zwisających poniżej silnie rozwiniętych szczęk, jak u normandzkiego korsarza, na okrągłą i bladą twarz, której stanowczość kryła się pod warstwą tłuszczu, na przebiegle zmarszczki rozchodzące się od oczu ku skroniom — i z tej celowej kontemplacji cennego i zaufanego urzędnika wysnuł przekonanie tak nagłe, że poczuł się jakby natchniony.

— Mam powód do przypuszczeń — rzekł tonem opanowanym — że wchodząc do tego pokoju, nie myślał pan o Michaelisie; że nie myślał pan głównie o nim... a może nawet i wcale.

— Pan ma powód do przypuszczeń, panie nadinspektorze? — mruknął komisarz Heat z wszelkimi pozorami zdziwienia, które do pewnego stopnia było prawdziwe. Odkrył, że w całej tej sprawie jest jakaś strona delikatna i kłopotliwa, narzucająca mu pewną dozę fałszu — tego rodzaju fałszu, który pod nazwą sprytu, ostrożności, rozwagi wylania się bardzo często w jakimś punkcie ludzkich spraw. Heat poczuł w owej chwili to samo, co by czuł linoskoczek, gdyby podczas jego popisu dyrektor music hallu wybiegł nagle ze swego dyrektorskiego ustronia i zaczął potrząsać liną. Gniew, rozterka ducha wywołana postępkami tak zdradliwym i strach przed skręceniem karku przyprawiłyby artystę o gęsią skórę, jak to się mówi. Poza tym linoskoczek czułby zgorzienie i troskę o dobre wykonanie swej sztuki, albowiem człowiek musi się utożsamiać z czymś bardziej uchwytnym niż jego własna osobowość, musi umieścić w czymś swoją dumę, czy to w swym stanowisku społecznym, czy w rodzaju pracy, którą jest obarczony, czy też po prostu w doskonałości swego próżniactwa, jeśli jest w tej szczęśliwej sytuacji, że może się nim rozkoszować.

— Tak — rzekł nadinspektor — mam do tego powód. Nie chcę powiedzieć, że pan nie myślał wcale o Michaelisie. Ale uderza mnie to, że pan sam nie bardzo wierzy, aby wymieniony przez pana fakt miał taką wielką wagę. Jeśli ślady zbrodni istotnie tam prowadzą, dlaczego pan nie zaczął ich tropić od razu, czy to udając się osobiście do tej wsi, czy też wysyłając kogoś ze swych ludzi?

— Więc pan myśli, panie nadinspektorze, że tego zaniedbałem? — zapytał komisarz tonem, któremu usiłował nadać odcień wyłącznie refleksyjny. Zmuszony niespodzianie do ześrodkowania wszystkich sił, aby zachować równowagę, uczeplił się tego punktu i naraził się na zgromienie: nadinspektor ściągnął z lekka brwi i zauważył, że to pytanie jest bardzo nie na miejscu.

— Ale ponieważ już je pan wypowiedział — ciągnął chłodno — odpowiem panu, że nie miałem tego na myśli.

Urwał i zapadłymi oczami spojrzął komisarzowi prosto w twarz, co było pełnym równoważnikiem niedopowiedzianych słów: „i pan to wie doskonale”. Naczelnik tak zwanego Wydziału Przestępstw Specjalnych, odcięty przez swe stanowisko od tropienia na własną rękę tajemnic kryjących się w sercach winowajców, skłonny był ćwiczyć na własnych podwładnych swój wybitny talent do wykrywania w ludziach podejrzanych cech charakteru. Ten szczególny instynkt trudno by nazwać słabością. Był naturalny. Nadinspektor

urodził się detektywem. Przy wyborze kariery ów instynkt wpłynął nań nieświadomie; jeśli zawiódł go kiedy w życiu, to chyba w jednej jedynej wyjątkowej okoliczności: przy wyborze żony — co było też naturalne. A że ten instynkt nie mógł szukać sobie żeru po świecie, karmił się takim materiałem ludzkim, jaki mu był dostępny przy urzędowym odosobnieniu nadinspektora. Nigdy nie możemy przestać być sobą.

Nadinspektor, szef Wydziału Przestępstw Specjalnych, wsparł się łokciem o biurko, objął szczupłą ręką policzek i skrzyżowawszy chude nogi, pogrążył się ze wzrastającym zajęciem w sprawę zamachu. Komisarz Heat, choć nie był przeciwnikiem godnym w pełni przenikliwości nadinspektora, był jej w każdym razie najgodniejszy w zasięgu swego zwierzchnika. Nieufność do ustalonych reputacji harmonizowała ściśle ze zdolnościami detektywistycznymi nadinspektora. Przyszedł mu na myśl pewien stary tłuścioch, bogaty naczelnik plemienia w odległej kolonii, któremu tradycyjnie ufali kolejni gubernatorowie i o którym mieli wysokie mniemanie; był według nich niezłomnym przyjacielem białych, podporą zaprowadzonego przez nich ładu i prawnego porządku. Otóż nadinspektor ustosunkował się do niego sceptycznie i odkrył, że ów naczelnik jest zasadniczo swym własnym przyjacielem i niczym innym. Nie był właściwie zdrajcą, ale jego wierność miała wiele niebezpiecznych zastrzeżeń, wypływających z należytych względów dla własnej korzyści, wygody i bezpieczeństwa. Jego naiwna dwulicowość, w znacznej mierze nieświadoma, była mimo to niebezpieczna. Nadinspektor zużył na zdemaskowanie go dość dużo czasu. Ten naczelnik był również wysokim, tęgim mężczyzną i (oczywiście poza kolorem skóry) komisarz Heat go przypominał, choć podobieństwo nie leżało właściwie ani w oczach, ani w ustach. To było szczególne. Ale czyż Alfred Wallace<sup>53</sup> nie opowiada (w swojej świetnej książce o Archipelagu Malajskim), że wśród mieszkańców wysp Aru odkrył w starym, nagim dzikusie koloru sady dziwaczne podobieństwo do swego bliskiego przyjaciela w kraju?

Nadinspektor poczuł, pierwszy raz od czasu, gdy objął swe stanowisko, że wykona jakąś istotną pracę w zamian za pobieraną pensję. I wrażenie to było przyjemne. „Odwróć go podszewką na wierzch jak znoszoną rękawiczkę” — pomyślał, patrząc w zadumie na komisarza Heata.

— Nie, tego nie miałem na myśli — podjął znów. — Nie wątpię, że pan jest dobrym fachowcem, nie wątpię o tym bynajmniej, i właśnie dlatego... — Urwał i dodał odmiennym tonem: — Jaki bezsporny dowód może pan wysunąć przeciw Michaelisowi? Oczywiście poza faktem, że tych dwóch podejrzanych ludzi — pan jest pewien, że dwóch — przyjechało ze stacji odległej o trzy mile<sup>54</sup> od wsi, w której Michaelis mieszka obecnie?

— Już i to jest dla nas poszlaką wystarczającą, panie nadinspektorze, jeśli chodzi o człowieka tego rodzaju — rzekł komisarz, odzyskując spokój. Lekki potakujący ruch głowy nadinspektora ukoił w znacznej mierze zdumienie i gniew głośnego urzędnika. Albowiem komisarz Heat był człowiekiem łagodnym, wzorowym mężem, przywiązany ojcem; a zaufanie swego wydziału i publiczności, jakim się cieszył, pozytywnie oddziaływało na jego pogodny charakter, usposabiając go życzliwie względem kolejnych nadinspektorów, którzy przewijali się przez ten oto pokój. Za pamięci Heata było ich trzech. Pierwszy, porywczy, czerwonolicy człowiek o białych brwiach, żołnierskim obejściu i wybuchowym temperamencie, dawał się prowadzić na jedwabnej nitce. Opuścił wydział, przekroczywszy granicę wieku. Drugi, skończony dżentelmen, znał najdokładniej i swoje, i cudze miejsce, a gdy zrezygnował, aby objąć wyższe stanowisko poza granicami kraju, dostał order — w gruncie rzeczy za zasługi komisarza Heata. Praca z nim była zaszczytem i przyjemnością. Trzeci od samego początku nie cieszył się sympatią wydziału, a po upływie osiemnastu miesięcy ten stan rzeczy trwał w dalszym ciągu. Komisarz Heat, mimo dziwactw swego zwierzchnika, uważał go właściwie za nieszkodliwego.

Nadinspektor mówił, a Heat słuchał z wszelkimi pozorami szacunku (taki szacunek niczego nie dowodzi, ponieważ jest obowiązujący), w gruncie rzeczy zaś z dobrotliwą wyrozumiałością.

<sup>53</sup>Wallace, Alfred Russel (1823–1913) — bryt. podróżnik, przyrodnik, antropolog; niezależnie od K. Darwina sformułował teorię ewolucji drogą doboru naturalnego; autor wielu publikacji, m.in. książki *Archipelag Malajski* (1869). [przypis edytorski]

<sup>54</sup>mila angielska — dawna miara odległości równa ok. 1,6 km; trzy mile to ok. 5 km. [przypis edytorski]

— Czy Michaelis zameldował, że opuszcza Londyn i udaje się na wieś?

— Tak, panie nadinspektorze. Zameldował.

— Co też on tam robi? — ciągnął nadinspektor, który był o tym najdokładniej powiadomiony.

Michaelis siedział w starym drewnianym fotelu, wciśnięty weń niewygodnie, przed dębowym stołem stoczonym przez robaki, na pierwszym piętrze czteropokojowej willi pokrytej omszałą dachówką — i pisał dzień i noc drżącym, pochyłym pismem ową *Autobiografię więźnia*, która miała się stać księgą objawienia w dziejach ludzkości. Warunki jego pracy — ograniczona przestrzeń, odosobnienie i samotność w małej czteropokojowej willi — sprzyjały jego natchnieniu. Była to jakby cela więzienna, z tą tylko różnicą, że nikt mu nie przeszkadzał w ohydny zamiarze wyciągnięcia go na spacer, zgodnie z tyrańskimi przepisami jego dawnego mieszkania, to jest więzienia. Nie zdawał sobie sprawy, czy słońce jeszcze świeci nad ziemią, czy też nie świeci. Pot wyciśnięty literackim trudem spływał mu z czoła. Nagliła go rozkoszna gorliwość. Było to dlań wyzwolenie wewnętrznego życia, wylot duszy w szeroki świat. A gorliwość jego niewinnej próżności (obudzonej przez wydawcę, który ofiarował pięćset funtów za druk pamiętników) wydawała się czymś świętym.

— Ścisłe informacje w tym względzie byłyby oczywiście jak najbardziej pożądane — nalegał chytrze nadinspektor.

Heat, czując nowy przyływ irytacji wobec tej ostentacyjnej skrupulatności, powiedział, że miejscowa policja hrabstwa została natychmiast powiadomiona o przyjeździe Michaelisa i że dokładny raport można mieć w przeciągu paru godzin. Zatelegrafuje się do tamtejszego komisarza...

Mówił dość wolno i zdawał się rozmyślać nad skutkami takiego telegramu. Świadczyła o tym lekka zmarszczka na czole. Przerwało mu pytanie:

— Wysłał pan już ten telegram?

— Nie, panie nadinspektorze — odrzekł jakby ze zdziwieniem.

Nadinspektor rozkrzyżował nagie nogi. Szybkość tego ruchu była w sprzeczności z niedbałym tonem, jakim zapytał:

— Czy pan sądzi, że Michaelis miał coś do czynienia na przykład z przygotowaniem tej bomby?

Komisarz zaczął się niby to namyślać.

— Tego bym nie powiedział. I po co mamy wypowiadać teraz jakieś przypuszczenia. Michaelis zadaje się z ludźmi, którzy są uznani za niebezpiecznych. Został delegatem Czerwonego Komitetu w niespełna rok po chwilowym opuszczeniu więzienia. Wygląda mi to na dowód uznania.

Tu komisarz Heat roześmiał się na wpół gniewnie a na wpół pogardliwie. W stosunku do takiego Michaelisa skrupuły byłyby czymś niewłaściwym i nawet nielegalnym. Po jego wyjściu z więzienia przed dwoma laty kilku sentymentalnych dziennikarzy, czyhających na okazję do nadzwyczajnego dodatku, obdarzyło go sławą i ta sława stanowiła wciąż dla Heata jątrzące wspomnienie. Aresztowanie tego człowieka za najłżejszą poszlaką było na wskroś legalne. Było legalne i pożądane w danych okolicznościach. Dwaj poprzedni zwierzchnicy Heata byłiby to od razu zrozumieli, gdy tymczasem ten, nie mówiąc ani tak, ani nie, siedział jak pogrążony w zadumie. Co więcej, uwięzienie Michaelisa było nie tylko legalne i pożądane, ale rozwiązywało pewną drobną, a dokuczliwą kwestię, którą Heat miał na wątrobie.

Owa kwestia wiązała się z reputacją i spokojem Heata, a nawet ze sprawnym wykonywaniem jego obowiązków. Zdaniem komisarza Michaelis na pewno wiedział coś niecoś o zamachu, lecz nie wiedział o nim zbyt wiele. Była to okoliczność pomyślna. Wiedział o nim znacznie mniej — Heat o tym nie wątpił — niż pewni ludzie, których Heat miał na myśli. Lecz uwięzienie tych ludzi uważał za niepożądane, nie mówiąc już o tym, że byłaby to sprawa znacznie trudniejsza ze względu na „pravidła gry”. Owe pravidła nie ochraniały w tym samym stopniu Michaelisa, który karę więzienia już odsiadywał. Byłoby idiotyzmem nie wyciągnąć korzyści z prawnych ułatwień, dziennikarze zaś, którzy wynosili Michaelisa pod niebiosa w sentymentalnym wylewie uczuć, strąca go z piedestału, rzucając nań sentymentalne gromy.

Ta perspektywa, do której Heat się odnosił z otuchą, miała dlań urok osobistego tryumfu. A gdzieś na dnie jego nieskazitelnej duszy przeciętnego żonatego obywatela, czaiła się prawie nieświadoma, lecz mimo to potężna niechęć do zderzenia się z desperackim okrucieństwem Profesora — do czego wypadki mogły go zmusić. Ową niechęć wzmocniło przypadkowe zetknięcie się z Profesorem w uliczce. Spotkanie to nie zostawiło Heatowi miłego posmaku wyższości, który członkowie policji wynoszą z nieoficjalnych a poufnych stosunków ze światem przestępczym; takie poczucie wyższości głaszcze próżność płynąca z władzy i zaspakaja pospolitą żądzę panowania nad bliźnimi w sposób, na jaki żądza ta zasługuje.

Komisarz Heat nie uważał, aby wzorowy anarchista, Profesor, był jego bliźnim. To człowiek niemożliwy — wściekły pies, którego należy unikać. Komisarz nie lękał się go bynajmniej; przeciwnie, zamierzał kiedyś się z nim porachować. Ale jeszcze nie teraz; gdy nadejdzie właściwy czas, chciał go wziąć w swoje obroty należycie i skutecznie, według wszelkich prawideł gry. Chwila obecna nie była odpowiednia do pokuszenia się o to, nie była odpowiednia z wielu względów, i osobistych, i służbowych. Komisarz Heat czuł to bardzo wyraźnie i dlatego wydało mu się rzeczą słuszną i odpowiednią, aby sprawę zamachu zepchnąć z mętłego i niewygodnego tropu, który wiódł Bóg wie dokąd i wprowadzić ją na spokojną (i legalną) bocznicę zwąca się Michaelisem. Powtórzył zatem, jakby zastanawiając się sumiennie nad słowami zwierzchnika:

— Więc co do tej bomby... Nie, tego bym nie powiedział. Może się to nigdy nie wyjaśni. Ale najwidoczniej Michaelis jest związany z tą sprawą w jakiś sposób, który możemy wykryć bez wielkich zachodów.

Na jego twarzy malowała się ta pełna powagi, przygniatająca obojętność, znana kiedyś dobrze wybitniejszym złodziejom, którzy się jej bardzo lękali. Komisarz Heat, choć był tak zwanym człowiekiem, nie umiał się uśmiechać<sup>55</sup>. Lecz był zadowolony z biernej i uważnej postawy nadinspektora, który mruknął łagodnie:

— Więc pan myśli naprawdę, że trzeba skierować śledztwo w tę stronę?

— Naprawdę, panie nadinspektorze.

— Jest pan o tym przekonany?

— Tak, panie nadinspektorze. To jest kierunek, który musimy obrać.

Nadinspektor cofnął tak nagle dłoń, na której wspierała się jego przechylona głowa, że zważywszy na znużoną jego postawę, mogło to grozić osunięciem się całego ciała. Lecz stało się wprost przeciwnie: wyprostował się w fotelu żwawo i czujnie, a ręka jego opadła na biurko z głośnym stukiem.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego dopiero teraz przyszło to panu do głowy?

— Dopiero teraz przyszło mi do głowy? — powtórzył komisarz bardzo wolno.

— Tak. Dopiero w chwili, kiedy pan został wezwany do tego pokoju... o czym pan dobrze wie.

Komisarz doznał wrażenia, że powietrze między jego ubraniem a skórą rozgrzało się w przykry sposób. Było to uczucie niebywale i niewiarygodne.

— Oczywiście — rzekł niezmiernie wolno, rozciągając sylaby do ostatecznych granic — jeśli istnieje jakiś nieznany mi powód, aby więźnia Michaelisa zostawić w spokoju, to może i dobrze się stało, że nie puściłem w ruch tamtejszej policji.

Zużył tyle czasu na wypowiedzenie tych słów, iż niesłabnące napięcie uwagi, z jakim zwierzchnik go słuchał, zakrawało na wytrzymałość wręcz bohaterską. Nadinspektor odparł natychmiast:

— Nie wiem nic o żadnym takim powodzie. No, no, komisarzu, te chytre wykręty są w stosunku do mnie wysoce niestosowne... wysoce niestosowne. A przy tym, uważa pan, postępuje pan niełojalnie. Do czego to podobne, żebym musiał sam nad takimi rzeczami się głowić. Jestem naprawdę zdumiony.

Umilkł i dodał gładko:

— Chyba nie potrzebuję mówić, że nasza rozmowa jest ściśle prywatna.

Te słowa bynajmniej komisarza nie ułagodziły. Zawrzał gniewem jak zdradzony li-noskoczek. Jego duma zaufanego sługi została urażona zapewnieniem, że zwierzchnik

<sup>55</sup>choć był tak zwanym człowiekiem, nie umiał się uśmiechać — aluzja do zdania Arystotelesa, iż człowiek to jedyne zwierzę, które się śmieje (*O częściach zwierząt*). [przypis edytorski]

potrzęsa liną bynajmniej nie po to, aby go przyprawić o złamanie karku. Heat uznał to wręcz za bezczelność. Kto by się tam bał! Nadinspektorów zmieniają jak rękawiczki, lecz dobry komisarz nie jest w biurze zjawiskiem efemerycznym. Heat wcale się złamania karku nie lękał. Ale zepsuto mu popisową scenę i to usprawiedliwiało aż nadto żar jego szlachetnego oburzenia. A ponieważ myśląc o ludziach, nie robimy sobie z nimi ceremonii, myśli komisarza Heata przybrały postać groźną i proroczą. „Mój stary — zwrócił się w duchu do zwierzchnika, utkwivszy w jego twarzy okrągłe, zwykle błakające się oczy — mój stary, ty nie umiesz wcale zachować się na swym stanowisku i ręczę, że wkrótce z niego wylecisz”.

Jakby w wyzywającej odpowiedzi na tę myśl, coś na kształt uprzejmego uśmiechu przewinęło się po wargach nadinspektora. W sposób swobodny i rzeczowy przystąpił znów do szarpania naciągniętej liny.

— A teraz zajmijmy się tym, co pan odkrył na miejscu — rzekł.

„Dłużej klasztora niż przeora” — ciągnął komisarz Heat swe prorocze myśli. Ale natychmiast przyszła mu do głowy refleksja, że wysoki urzędnik, nawet „wylany” (tak sobie to właśnie wyobrażał), w trakcie wylatywania przez drzwi ma jednak dość czasu, aby wymierzyć szpetnego kopniaka któremuś z podwładnych. Nie łagodząc zbytnio bazylijskiego spojrzenia, rzekł obojętnie:

— Właśnie się do tego zbliżamy, panie nadinspektorze.

— Dobrze. No więc co pan przynosi?

Komisarz, który postanowił zeskoczyć z liny, znalazł się na ziemi, pośepny i szczery.

— Przynoszę adres — rzekł bez pośpiechu, wyciągając z kieszeni osmalony strzęp granatowego sukna. — To jest część palta, które miał na sobie człowiek rozszarpany na sztuki. Naturalnie palto mogło do niego nie należeć i mogło nawet być skradzione. Ale takie przypuszczenie odpada, jeśli się spojrzy na to.

Komisarz podszedł do biurka, wyglądając starannie granatowy łachmanek. Zabrał go z odrażającego stosu w kostnicy, bo wiedział, że pod kołnierzem znajduje się czasem nazwisko krawca. Rzadko się to przydaje, a jednak... Właściwie to się nie spodziewał, że znajdzie tam dla siebie coś użytecznego, ale jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył przyszyty starannie — wcale nie pod kołnierzem, lecz pod klapą — czworokątny kawałek perkalu z adresem wypisanym tuszem do znakowania.

Komisarz cofnął rękę, którą gładził strzęp sukna.

— Zabrałem to nieznacznie, tak że nikt nie zauważył — rzekł. — Sądziłem, że tak będzie lepiej. W razie potrzeby można to zawsze pokazać.

Nadinspektor, uniósłszy się lekko na krześle, przyciągnął do siebie gałganek. Siedział, patrząc nań w milczeniu. Na kawałku perkalu trochę większym niż bibułka do papierosów były wypisane tuszem liczba 32 i nazwa Brett Street. Zdziwił się szczerze.

— Nie rozumiem, dlaczego on chodził po świecie zaopatrzony w taką etykietę — rzekł, podnosząc oczy na komisarza. — To wprost niepojęte.

— Spotkałem raz w hotelowej palarni starszego pana, który miał zawsze przy sobie swoje nazwisko i adres wszyte we wszystkie ubrania, w przewidywaniu jakiegoś wypadku lub nagłej choroby — rzekł komisarz. — Twierdził, że ma osiemdziesiąt cztery lata, ale na to nie wyglądał. Mówił mi, że boi się stracić raptem pamięć, jak ludzie, o których czytywał w gazetach.

Nagle pytanie nadinspektora, który chciał się dowiedzieć, co jest pod numerem 32 na Brett Street, przerwało komisarzowi tok wspomnień. Strącony na ziemię za pomocą nieuczciwych sztuczek, Heat postanowił iść drogą zupełnej otwartości. Wierzył nieugięcie, iż nie jest wskazane, aby jego wydział był zbyt dobrze poinformowany, lecz uważał, że rozsądne zatajenie informacji dla dobra sprawy jest najdalszym krańcem, do którego lojalność pozwala mu się posunąć. Skoro nadinspektor chciał wszystko popsuć, nic go oczywiście nie mogło od tego powstrzymać. Ale ze swej strony komisarz nie czuł się bynajmniej zobowiązany do pośpiechu. Tedy odpowiedział zwięźle:

— To sklep, panie nadinspektorze.

Nadinspektor, z oczami spuszczoneymi na strzęp granatowego sukna, oczekiwał dalszych informacji. Ponieważ nie nastąpiły, zabrał się z anielską cierpliwością do zadawania pytań. W ten sposób wyrobił sobie pojęcie o rodzaju handlu pana Verloca, o jego wyglądzie, i usłyszał w końcu jego nazwisko. Podczas przerwy w rozmowie nadinspektor



podniósł oczy i spostrzegł pewne ożywienie na twarzy Heata. Patrzyli na siebie bez słowa.

— Tego człowieka nie ma oczywiście na liście wydziału — rzekł Heat.

— Czy któryś z moich poprzedników był powiadomiony o tym, co mi pan przed chwilą powiedział? — zapytał nadinspektor, opierając łokcie na stole i podnosząc złożone ręce przed twarzą, jakby zamierzał się modlić, tylko że jego oczy nie miały pobożnego wyrazu.

— Nie, panie nadinspektorze; naturalnie, że nie. I w jakim celu? Ujawnienie człowieka tego rodzaju nie pociągnęłoby za sobą dobrych skutków. Wystarczało mi, że wiem kim on jest i że posługuję się nim w sposób, który można jawnie wykorzystać.

— I pan uważa, że tego rodzaju prywatne wiadomości zgadzają się z urzędowym stanowiskiem, jakie pan zajmuje?

— Oczywiście, panie nadinspektorze. Uważam to za zupełnie właściwe. Pozwolę sobie zauważyć, że dzięki tym zasadom doszedłem do swego stanowiska... a uchodzę za człowieka, który zna swoje rzemiosło. Tamto jest moją sprawą prywatną. Mój znajomy z policji francuskiej dał mi do zrozumienia, że ten człowiek jest szpiegiem na żołdzie ambasady. Prywatna znajomość, prywatna informacja, prywatne jej użytkowanie — oto mój punkt widzenia.

— Rozumiem — rzekł spokojnie nadinspektor, odkładając na razie ów temat; spostrzegł przy tym, że stan duszy głośnego urzędnika, rzekłbyś, oddziałuje na kształt jego dolnej szczęki, jakby właściwe komisarzowi żywe poczucie jego wysokiej klasy zawodowej gnieździło się właśnie w tej części ciała. Potem rzekł, oparłszy policzek na złożonych dłoniach:

— No więc... mówmy prywatnie, jeśli pan woli... jak długo był pan w prywatnym kontakcie z tym szpiegiem ambasady?

Dyskretna odpowiedź komisarza na to pytanie, tak dyskretna, że nie zawarła się wcale w wypowiedzianych słowach, brzmiała:

— Długo przedtem, nim przyszło komu do głowy zawezwać cię na twoje stanowisko.

Natomiast tak zwana jawna odpowiedź była znacznie ściślejjsza:

— Zobaczyłem go pierwszy raz przeszło siedem lat temu, kiedy dwie osoby z cesarskiej rodziny i kanclerz cesarstwa bawili w Londynie. Polecono mi zorganizować wszystko dla zapewnienia im bezpieczeństwa. Baron Stott-Wartenheim pełnił wówczas funkcje ambasadora. Był to starszy pan bardzo nerwowy. Raz wieczorem, na trzy dni przed bankietem w Guildhall<sup>56</sup>, zawiadomił mnie, że chciałby zamienić ze mną parę słów. Kiedy przyszedł, powozy czekały już u bramy, aby zawieźć do opery członków cesarskiej rodziny i kanclerza. Poszedłem zaraz na górę. Zastałem barona w stanie okropnego zdenerwowania; chodził po sypialni tam i z powrotem ze splecionymi kurczowo rękami. Zapewnił mnie o swym zaufaniu do naszej policji i do moich zdolności, a potem powiedział, że ma u siebie człowieka, który dopiero co przyjechał z Paryża i którego informacjom można wierzyć bezwzględnie. Chciał, żebym wysłuchał, co ten człowiek ma do powiedzenia. Zaprowadził mnie natychmiast do sąsiedniej ubieralni, gdzie zastałem barczystego człowieka w grubym palcie; siedział na krześle, trzymając w jednej ręce kapelusz i laskę. Baron powiedział do niego po francusku: „Może pan wszystko mówić”. Pokój był oświetlony dość lichy. Rozmawiałem z tym człowiekiem może jakichś pięć minut. Udzielił mi rzeczywiście wiadomości bardzo zastraszających. Potem baron, wciąż niespokojny, wziął mnie na bok i zaczął go przede mną wychwalać, a kiedy się znów odwróciłem, nie było już tego człowieka, znikł jak kamfora. Widać wstał i wymknął się jakimś tylnym wyjściem. Nie było czasu biec za nim, bo musiałem zejść prędko za ambasadorem frontowymi schodami i dopilnować, aby całe towarzystwo wyruszyło bezpiecznie do opery. Ale tej samej nocy zastosowałem się do otrzymanych wiadomości. Trudno powiedzieć, czy były prawdziwe, lecz wyglądały dość wiarygodnie. Bardzo być może, że oszczędziły nam grubych nieprzyjemności w dniu cesarskich odwiedzin w City<sup>57</sup>.

<sup>56</sup>bankiet w Guildhall — doroczny bankiet wydawany przez lorda majora (burmistrza) Londynu w ratuszu miejskim. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>City — tu: *City of London*, historyczny rdzeń Londynu, stare centrum, w którym skupia się większość działalności handlowo-finansowej. [przypis edytorski]

— W jakiś czas później, mniej więcej w miesiąc po mej nominacji na komisarza, zwrócił moją uwagę wysoki, tęgi mężczyzna, który wydał mi się znajomy; wychodził spieszenie ze sklepu złotnika na Strandzie<sup>58</sup>. Poszedłem za nim, bo mi to było po drodze na Charing Cross; doszedłszy tam, zobaczyłem po drugiej stronie ulicy jednego z naszych detektywów, więc kiwnąłem na niego, pokazałem mu tego człowieka i poleciłem, aby śledził go przez parę dni, a potem zdał mi raport. Zaraz nazajutrz po południu mój agent zjawił się i doniósł, że ów człowiek tego samego dnia o pół do jedenastej wziął ślub w urzędzie cywilnym z córką właścicielki pensjonatu, gdzie mieszkał i odjechał z nią na tydzień do Margate<sup>59</sup>. Nasz agent widział, jak wynosili ich rzeczy do dorożki. Na jednej torbie znajdowały się paryskie nalepki. Ten człowiek nie mógł mi jakoś wyjść z głowy i za najbliższą podróżą służbową do Paryża rozmawiałem o nim z tym moim znajomym z francuskiej policji. Otóż mój znajomy powiedział, co następuje: „Sądząc z pana słów, zdaje się, że chodzi tu o dość znanego emisariusza i satelitę Czerwonego Komitetu Rewolucyjnego. Mówi, że jest Anglikiem. Naszym zdaniem on już od kilku lat jest tajnym agentem jednej z londyńskich ambasad”. Wówczas przypomniałem sobie wszystko dokładnie. To on był owym jegomościem, którego zobaczyłem siedzącego na krześle w ubieralni barona Stott-Wartenheima. Odrzekłem swemu znajomemu, że ma najzupełniejszą słuszność — że ten człowiek jest z pewnością tajnym agentem. Znajomy zadał sobie trud wyszukania w kartotece dokładnych wiadomości o tym człowieku. Uważałem za wskazane dowiedzieć się możliwie najwięcej, ale nie sądzę, aby pan zechciał wysłuchiwać teraz jego historii.

Nadinspektor potrząsnął głową wspartą na rękach.

— Na razie chodzi mi tylko o pana stosunki z tym pożytecznym osobnikiem — rzekł i przymknął powoli znużone, osadzone głęboko oczy, po czym otworzył je szybko, spoglądając wzrokiem znacznie rzeźwiejszym.

— W moich stosunkach z tym człowiekiem nie ma nic urzędowego — rzekł komisarz z goryczą. — Zaszedłem raz wieczorem do jego sklepu, powiedziałem, kim jestem, i przypomniałem mu o naszym pierwszym spotkaniu. Ani mrugnął. Powiedział, że się ożenił i ustatkował, a teraz pragnie tylko, żeby mu nie przeszkadzać w prowadzeniu niewielkiego interesu. Obiecałem na swoją odpowiedzialność, że o ile nie popełni czegoś rażącego, policja zostawi go w spokoju. To było dla niego bardzo ważne, bo wystarczało mi szepnąć słówko w urzędzie celnym i zaraz by otworzyli w Dover<sup>60</sup> którąś z tych paczek, co przychodzą do niego z Paryża i Brukseli; skonfiskowałyby je na pewno i w rezultacie może wytoczono by mu proces.

— To handel bardzo niepewny — mruknął nadinspektor. — Dlaczego on wziął się do tego?

Inspektor podniósł brwi z obojętną pogardą.

— Pewno ma na kontynencie jakieś stosunki, jakichś znajomych wśród ludzi handlujących tym towarem. Towarzystwo dla niego jak ulał. A przy tym to wałkoń... jak oni wszyscy.

— A czym się on panu wywdzięcza za tę protekcję?

Komisarz nie miał ochoty rozwodzić się nad wartością usług Verloca.

— Komu innemu nie przydałby się na nic. Trzeba tkwić w tym po uszy, żeby umieć posługiwać się takim człowiekiem. Ja umiem się orientować w informacjach, których mi dostarcza. A kiedy potrzebuję jakiejś wskazówki, Verloc potrafi mi ją zwykle wydostać.

Heat popadł nagle w dyskretną zadumę, a nadinspektor powstrzymał się od uśmiechu na myśl, że reputacja komisarza Heata mogła być w wielkiej mierze dziełem tajnego agenta Verloca.

— Przydaje nam się także w ogólniejszym zakresie; nasi ludzie z Wydziału Prześstępstw Specjalnych pełniący służbę na stacjach Charing Cross i Victoria mają rozkaz, aby śledzić bacznie wszystkich, z którymi się go widuje. On spotyka się często z nowo przybyłymi, a potem ich śledzi. Przypuszczam, że wyznaczono mu tę funkcję. Gdy potrzebuję natychmiast czyjegós adresu, mogę zawsze dostać go od Verloca. Naturalnie umiem

<sup>58</sup> *Strand* — gł. arteria w gminie Westminster, w środkowej części Londynu. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *Margate* — nadmorskie miasto w hrabstwie Kent, w pld. Anglii, popularny ośrodek wypoczynkowy. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *Dover* — nadmorskie miasto z przeprawą promową, położone w hrabstwie Kent, w Anglii, nad Cieśniną Kaletańską, w najwęższym miejscu kanału La Manche. [przypis edytorski]

naszymi stosunkami odpowiednio kierować. W ciągu ostatnich dwóch lat widziałem go najwyżej trzy razy. W razie czego posyłam mu parę słów bez podpisu, a on odpowiada mi w ten sposób pod moim adresem prywatnym.

Od czasu do czasu nadinspektor potakiwał ruchem prawie niedostrzegalnym. Heat dodał, że nie sądzi, aby Verloc cieszył się pełnym zaufaniem wybitnych członków Międzynarodowego Komitetu Rewolucyjnego, ale nie ma wątpliwości, iż na ogół mu wierzą.

— Ile razy miałem powód przypuszczać, że coś się święci — zakończył — Verloc umiał zawsze dostarczyć mi pożytecznych informacji.

Nadinspektor zauważył znacząco:

— Zawiódł pana tym razem.

— Skądinąd też żadnych wiadomości nie miałem — odparł Heat. — Nie pytałem go o nic, więc też nic mi nie mógł powiedzieć. Nie jest u nas na służbie. Żadnej pensji od nas nie pobiera.

— Tak — mruknął nadinspektor. — Jest szpiegiem na żołdzie obcego rządu. Nie moglibyśmy nigdy mu zaufać.

— Muszę sobie radzić na swój sposób — oświadczył Heat. — Gdyby było trzeba, wszedłbym w porozumienie z samym diabłem i wziąłbym za to odpowiedzialność. Są rzeczy, których rozgłaszać się nie powinno.

— Pana wyobrażenie o tajności polega zdaje się na tym, żeby ukrywać co się da przed szefem swego wydziału. Czy pan nie posuwa się trochę za daleko? A gdzie on mieszka? przy swoim sklepie?

— Kto? Verloc? Ach, tak. Mieszka przy sklepie. Zdaje się, że razem z nim mieszka jego teściowa.

— Czy dom jest śledzony?

— O nie. I po cóż? Śledzi się niektórych ludzi, co tam przychodzą. Według mego zdania on o tej sprawie nic nie wie.

— A jak mi pan to wyjaśni? — nadinspektor kiwnął głową w stronę granatowego strzępu sukna leżącego przed nim na stole.

— Wcale tego nie wyjaśnię, panie nadinspektorze. To jest po prostu nie do wyjaśnienia. Na podstawie swoich wiadomości wytłumaczyć tego nie mogę. — Heat uczynił te zeznania ze szczerością człowieka, którego reputacja jest niewzruszona. — A w każdym razie jeszcze nie teraz. Myślę, że człowiekiem, który najwięcej miał z tym do czynienia, okaże się Michaelis.

— Tak pan myśli?

— Tak, panie nadinspektorze, ponieważ odpowiadam za wszystkich innych.

— No a tamten drugi człowiek, który jakoby uciekł z parku?

— Chyba jest już teraz daleko — oświadczył Heat.

Nadinspektor popatrzył na niego bacznie i raptem wstał, jakby powziąwszy jakiś plan działania. Naprawdę zaś w tej samej chwili uległ rozkosznej pokusie. Heat usłyszał, że szef pozwala mu odejść i wydaje polecenie, aby stawił się nazajutrz wczesnym rankiem w celu dalszej narady nad sprawą. Przyjął to do wiadomości z nieprzeniknioną twarzą i opuścił pokój miarowym krokiem.

Jakimkolwiek był plan nadinspektora, nie miał nic wspólnego z ową biurową pracą, która zatruwała mu życie przez zamknięcie go w czterech ścianach i przez swą pozorną nierealność. Ów plan nie mógł mieć nic wspólnego z pracą w biurze, bo inaczej skądby się wzięła żwawość, która ogarnęła nadinspektora. Natychmiast po wyjściu Heata rozejrzał się żywo za kapeluszem i włożył go na głowę. Potem usiadł z powrotem, aby całą rzecz przemyśleć. Ale ponieważ już przedtem się zdecydował, jego namysł trwał krótko. Heat był jeszcze daleko od swego domu, gdy nadinspektor opuścił gmach policyjny.

## VII

Szedł krótką i wąską uliczką podobną do mokrego, błotnistej rowu, potem przeciął bardzo szeroką aleję, wszedł do rządowego budynku i nawiązał rozmowę z młodym (i bezpłatnym) sekretarzem wielkiego dygnitarza.

Ów jasnowłosy młodzian o gładkiej twarzy i symetrycznym uczesaniu, które nadawało mu wygląd wielkiego, schludnego ucznia, wysłuchawszy prośby nadinspektora, spojrział na niego niepewnie i rzekł ściszonego głosem:

— Czy on zechce z panem się widzieć? Nic panu powiedzieć nie umiem. Przyszedł z parlamentu godzinę temu, aby pomówić z podsekretarzem stanu, a teraz właśnie ma tam wrócić. Przecież mógł podsekretarza stanu wezwać do siebie, ale przyszedł pewnie dlatego, żeby zażyć trochę spaceru. To jedyny spacer, na który mu brak czasu pozwala w ciągu tej sesji. Ja się na to nie skarżę; lubię dość te przechadzki. Opiera się na moim ramieniu i przez cały czas ust nie otworzy. Widzi pan, on jest bardzo zmęczony i... hm... nie powiem, aby był teraz w najlepszym humorze.

— Przychodzę w sprawie tej historii w Greenwich.

— Ou! Do licha! Strasznie jest na was rozgoryczony. Ale pójdę i zobaczę, jeśli panu na tym zależy.

— Doskonale. To zacnie z pana strony — rzekł nadinspektor.

Bezpłatny sekretarz był pełen podziwu dla jego męstwa. Przybrawszy niewinny wyraz twarzy, otworzył drzwi i wszedł do sąsiedniego pokoju z rezerwowością grzecznego dziecka pieszczocha. Ukazał się zaraz z powrotem i kiwnął głową ku nadinspektorowi, który przekroczył te same drzwi uchylone przed sobą i znalazł się sam na sam z dygnitarzem w obszernym pokoju.

Dygnitarz był wysoki, pokaźnej tuszy; jego długa, blada twarz kształtu jaja, rozszerzona u dołu przez obfity podbródek, była otoczona frędzlą rzadkich siwawych bokobrodów, a cała postać miała taki wygląd, jakby mogła zwiększać swoją objętość. W pasie czarnego surduta tworzyły się poprzeczne fałdy, wzmacniając jeszcze wrażenie, że guziki ledwie mogą wytrzymać napór ciała; z krawieckiego punktu widzenia wyglądało to nieszczerze. Głowa dygnitarza była odchyłona w tył na grubej szyi; podpuchnięte oczy o na wpół przymkniętych powiekach patrzyły wyniosłe z obu stron orlego nosa, rysującego się szlachetnie i wyzywająco na wielkim bladym obliczu. U końca długiego stołu błyszczący cylinder oraz para znoszonych rękawiczek leżały w pogotowiu i także robiły wrażenie rozdętych, olbrzymich.

Dygnitarz stał w wielkich, wygodnych trzewikach na dywanie przed kominkiem; nie powitał nadinspektora ani słowem.

— Chciałbym wiedzieć, czy to jest początek nowej dynamitowej kampanii — rzekł natychmiast głębokim, bardzo równym głosem. — Niech pan nie wchodzi w szczegóły. Nie mam na to czasu.

W zestawieniu z tą wielką, toporną postacią nadinspektor miał kruchą wiotkość trzciny zwracającej się do dębu. I rzeczywiście dzieje rodu owego człowieka przewyższyły liczbą stuleci wiek najstarszego dębu w kraju.

— Nie. O ile w ogóle można coś twierdzić, zapewniam pana, że tak nie jest.

— Aha. Ale zdaje mi się, że zapewnienia, które od was stamtąd wychodzą — rzekł wielki człowiek, wskazując pogardliwym ruchem ręki okno od strony szerokiej alei — dążą głównie do tego, aby wystrychnąć sekretarza stanu na dudka. Przed niespełna miesiącem zapewniano mnie w tym pokoju, że coś podobnego jest wprost nie do pomyślenia.

Nadinspektor popatrzył spokojnie w stronę okna.

— Pozwoli mi pan zauważyć, sir Ethelredzie, że dotychczas nie miałem sposobności dawać panu jakichkolwiek zapewnień.

Wyniosłe spojrzenie na wpół przymkniętych oczu zogniskowało się teraz na twarzy nadinspektora.

— To prawda — wyznał głęboki, równy głos. — Posyłałem po Heata. Pan jest jeszcze raczej nowicjuszem na swym obecnym stanowisku — A jakże się panu tam powodzi?

— Mam wrażenie, że każdego dnia czegoś się uczę.

— Oczywiście, oczywiście. Spodziewam się, że pan da sobie radę.

— Dziękuję, sir Ethelredzie. Dziś także nauczyłem się czegoś i to w ciągu ostatniej godziny. Cała ta sprawa różni się wybitnie od zwykłego anarchistycznego zamachu; to uderza, jeśli głębiej w nią wejrzeć. Dlatego właśnie tu jestem.

Dygnitarz wsparł się wielkimi dłońmi pod boki.

— Doskonale. Proszę mówić dalej. Tylko bez szczegółów. Niech mi pan oszczędzi szczegółów.

— Nie myślę nudzić pana szczegółami — zaczął nadinspektor ze spokojem i niezruszoną pewnością siebie.

Podczas gdy mówił, wskazówki na zegarze za plecami dostojnika posunęły się o siedem minut. Ów zegar, tykający posępnie i słabo, był ciężką, połyskliwą machiną, całą w masywnych wolutach<sup>61</sup> z tego samego ciemnego marmuru co kominiek. Nadinspektor mówił, używając często nawiasów, w których umieszczał wszystkie drobne fakty, to jest szczegóły — w taki sposób, że były tam bardzo na miejscu. Żaden pomruk, żaden gest nie przerwał opowiadania. Wielki człowiek mógł ująć za posąg któregoś ze swych książęcych przodków, posąg огоłocony ze zbroi krzyżowca i odziany w źle skrojony surdut. Nadinspektor miał wrażenie, że może mówić swobodnie choćby i godzinę. Ale miał się na baczności i po upływie wyżej wspomnianych siedmiu minut zakończył nagłym wnioskiem; powtórzył w nim tezę postawioną na początku i zaskoczył przyjemnie sir Ethelreda wybitną zwięzłością i siłą tego wniosku.

— Rozpatrując ową sprawę, nieprzedstawiającą skądinąd większego znaczenia, spotykamy się z faktem niebywałym, przynajmniej w tej właśnie postaci, i wymagającym specjalnego potraktowania.

Głos sir Ethelreda pogłębił się i nabrał pewności:

— Ja myślę! Jeśli ambasador obcego mocarstwa jest w to wplątany!

— Ech, ambasador — zaprotestował tamten, smukły i prosty, pozwalając sobie na półśmiech. — Byłoby z mej strony głupotą, gdybym twierdził coś w tym rodzaju. Zresztą to zbyt bezczelne, bo jeśli mój domysł jest trafny, wszystko jedno, czy wchodzi tu w grę ambasador, czy portier.

Sir Ethelred otworzył szeroko usta niby jaskinię, do której zakrzywiony nos zdawał się z ciekawością zaglądać; z tych ust wydobył się stłumiony gromowy odgłos, jak dźwięk dalekich organów nastawiony na pogardę i oburzenie.

— Daję słowo, ci ludzie stracili miarę. Widać myślą, że wolno im tu wprowadzać swoje tatarskie metody! Turek okazałby więcej przyzwoitości.

— Zapomina pan, sir Ethelredzie, że właściwie mówiąc, nie wiemy jeszcze nic pewnego.

— No tak. Ale jakby pan to określił? Krótko i węzłowato?

— Jako bezwstydne zuchwałstwo, a zarazem dziecinny wybryk osobliwego rodzaju.

— Nie możemy tu znosić naiwnych wybryków obrzydliwych dzieci — rzekła wielka, rozdęta persona, jakby jeszcze trochę bardziej się nadymając. Wyniosłe spojrzenie na wpół przymkniętych oczu uderzyło miażdżąc o dywan u stóp nadinspektora. — Trzeba dać im porządnie po nosie za tę historię. Musimy być zdolni do... Jak pan to sobie w krótkości wyobraża? Nie potrzebuje pan wchodzić w szczegóły.

— Doskonale. Otóż powiedziałbym, że zasadniczo nie powinniśmy tolerować istnienia tajnych agentów, ponieważ skłonni są wyolbrzymiać niebezpieczeństwo zła, przeciw któremu ich się używa. Że szpieg fabrykuje swe informacje, to jest już zwykły komunał. Ale w sferze działalności polityczno-rewolucyjnej, polegającej częściowo na gwałcie, zawodowy szpieg ma wszelkie możliwości po temu, aby wziąć się do fabrykowania samych faktów, co ma podwójny zły skutek: z jednej strony wznieca zbrodnicze współzawodnicstwo, a z drugiej wywołuje popłoch, śpieszne zmiany w prawodawstwie, ślepą nienawiść. Lecz ponieważ ten świat jest niedoskonały...

Przerwał mu głęboki głos dostojnika, który wtrącił szybko, stojąc bez ruchu na dywanie przed kominkiem, z rękoma wspartymi o boki i rozstawionymi wielkimi łokciami:

— Niech pan wyraża się jasno.

— Dobrze, sir Ethelredzie... ten świat jest niedoskonały. Więc skoro tylko zaczęło mi świtać, jakiego to rodzaju sprawa, pomyślałem, że trzeba ją poprowadzić ze szczególną dyskrecją i pozwoliłem sobie tu przyjsć.

— Bardzo słusznie — pochwalił z zadowoleniem wielki człowiek, spoglądając znad tłustego podbródka. — Cieszę się, że w waszej budzie jest ktoś, kto uważa, że i sekretarzowi stanu można czasem zaufać.

Nadinspektor uśmiechnął się wesoło.

<sup>61</sup>woluta — ornament architektoniczny w formie zwoju lub spirali. [przypis edytorski]

— Właściwie to przyszło mi na myśl, że może by było lepiej, aby w tym stadium sprawy Heat został zastąpiony przez...

— Aha! Heat? Osiół, co? — wykrzyknął dostojnik z wyraźną niechęcią.

— Nic podobnego. Bardzo pana proszę, sir Ethelredzie, niech pan nie tłumaczy sobie mych słów tak niesprawiedliwie dla Heata.

— No więc? Pewno za sprytny?

— I to nie... przynajmniej nie zawsze. To on dostarczył mi podstaw do domysłów. Sam z siebie odkryłem jedynie to, że posługiwał się tym człowiekiem prywatnie. Czy można go za to potępić? On bardzo dawno pracuje w policji. Powiedział mi właściwie, iż musi mieć do pracy jakieś narzędzia. Przyszło mi na myśl, że to konkretne narzędzie powinno służyć całemu Wydziałowi Przystępstw Specjalnych, zamiast stanowić prywatną własność komisarza Heata. Według mego przekonania obowiązkiem naszego wydziału jest pozbycie się tajnych agentów. Ale Heat pracuje w wydziale od dawna. Zarzuciłby mi, że wypaczam moralność wydziału i szkodzę jego sprawności. Określiłby mój projekt z goryczą jako ochronę zbrodniczej klasy rewolucjonistów. Tak by to osądził.

— No tak. Ale co pan o tym myśli?

— Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, co następuje: marna to pociecha jeśli stwierdzimy, że jakiś akt gwałtu — uszkodzenie czyjejś własności lub zabójstwo — nie jest wcale dziełem anarchizmu tylko czegoś zupełnie innego, mianowicie pewnej kategorii tolerowanego łotrstwa. Zdaje mi się, że bywa tak znacznie częściej, niż przypuszczamy. Dalej widzimy, że istnienie ludzi pozostających na żołdzie obcych mocarstw niszczy w pewnej mierze sprawność naszego nadzoru. Szpieg tego rodzaju może sobie pozwolić na większą zuchwałość niż najzuchwalsi ze spiskowców. Jego fach nie podlega żadnym ograniczeniom. Szpieg ma zbyt mało wiary, aby być zdolnym do zupełnej negacji i zbyt mało poczucia prawa, aby popełniać bezprawie. Po trzecie, istnienie tych szpiegów wśród grup rewolucyjnych — którym udzielamy przytułku, ściągając na siebie zarzuty — wyklucza wszelką pewność. Niedawno odebrał pan uspokajający raport od komisarza Heata. Ów raport nie był wcale bezpodstawny — a jednak wiadomy epizod się zdarzył. Nazywam go epizodem, bo ta sprawa, pozwalam sobie twierdzić, jest epizodyczna; nie stanowi części żadnego ogólnego planu, choćby i najszańszego. Właśnie te szczególne jej cechy, które zaskakują i zbijają z tropu komisarza Heata, ustalają w mych oczach jej charakter. Wystrzegam się szczegółów, sir Ethelredzie.

Dygnitarz, stojący wciąż na dywanie przed kominkiem, słuchał z głęboką uwagą.

— Otóż to właśnie. Niech pan streszcza się możliwie najbardziej.

Nadinspektor zaznaczył gestem pełnym powagi i szacunku, że usiłuje być możliwie zwięzły.

— W przeprowadzeniu tego zamachu tkwi szczególna głupota i niedołęstwo, stąd mam jak najlepsze nadzieje, że ją zgłębię i znajdę w niej coś innego niż indywidualny wybryk fanatyzmu. Jest to z całą pewnością rzecz uknuta. Tak to wygląda, jakby sprawcę zamachu dostawiono na miejsce, a potem porzucono spieszenie, zostawiając go własnej przemyślności. Stąd wniosek, iż został sprowadzony z zagranicy w celu popełnienia tego zamachu. Przy tym albo musimy przypuścić, że znał za mało angielski, aby pytać o drogę, albo też przyjmujemy fantastyczne założenie, że był głuchoniemy. Chciałbym teraz wiedzieć... lecz moja ciekawość jest bezcelowa. Oczywiście wyleciał w powietrze przypadkiem. Nie był to przypadek nadzwyczajny. Ale zaszedł pewien drobny fakt istotnie nadzwyczajny: do jego ubrania był przyszyty adres, znaleziony również przypadkiem. Ten fakt jest niewiarygodny, tak dalece niewiarygodny, że okoliczności, które go wytłumaczają, powinny rzucić światło na całą sprawę. Otóż zamiast polecić Heatowi, aby prowadził śledztwo w dalszym ciągu, mam zamiar zająć się tym osobiście — i szukać wyjaśnienia w miejscu, gdzie można je znaleźć. Tym miejscem jest pewien sklep na Brett Street, a wyjaśnienie powinienem otrzymać z ust pewnego tajnego agenta, który był ongi zaufanym szpiegiem nieboszczyka barona Stott-Wartenheima, ambasadora wielkiego mocarstwa przy Dworze Świętego Jakuba<sup>62</sup>.

Nadinspektor umilkł i dodał po chwili:

<sup>62</sup>*Dwór Św. Jakuba* (ang. *Court of St James's*) — tradycyjna nazwa brytyjskiego dworu królewskiego, używana w dyplomacji; od pałacu Św. Jakuba, oficjalnej rezydencji władców. [przypis edytorski]

— Ci ludzie to istna plaga.

Wielki człowiek stojący przed kominkiem, chcąc spojrzeć spod przymkniętych powiek na nadinspektora, odchyłał głowę w tył coraz bardziej, co nadało mu wygląd niezmiernie wyniosły.

— Dlaczego pan nie zostawi tego Heatowi?

— Ponieważ jest w naszym wydziale zasiedziały. Tacy ludzie mają swoją własną moralność. Uznałby mój sposób prowadzenia śledztwa za skandaliczne wynaturzenie obowiązku. Dla niego jest jasne jak słońce, że obowiązek rozkazuje uznać winnymi tylu wybitnych anarchistów, ilu się tylko da, i to na podstawie bardzo niepewnych poszlak, które zebrał podczas śledztwa na miejscu zamachu; o mnie zaś powiedziałby, że usiłuję wykazać niewinność tychże anarchistów. Staram się przedstawić panu możliwie jasno tę mętną sprawę, nie zapuszczając się w szczegóły.

— Więc wyraziłby się o panu w ten sposób — mruknął sir Ethelred z dumnie wzniesioną głową.

— Obawiam się, że tak... i to z oburzeniem i wstrętem, o których ani pan, ani ja nie mamy wyobrażenia. Urzędnikiem jest świetnym. Nie trzeba wystawiać jego lojalności na zbyt ciężką próbę. To jest zawsze błędem. Poza tym chcę mieć zupełną swobodę... taką, jakiej nie uważałbym może za wskazane udzielić komisarzowi Heatowi. Nie mam najmniejszego zamiaru oszczędzać tego Verloca. Wyobrażam sobie, że zaskoczy go bardzo tak prędkie wykrycie jego związku z tą sprawą, bez względu na to, jaki jest ów związek. Nie będzie trudno go zastraszyć. Ale nasz prawdziwy cel leży gdzieś poza tym człowiekiem. Chciałbym, aby mnie pan upoważnił do obiecania mu takich warunków bezpieczeństwa, jakie uznam za stosowne.

— Zgoda — rzekł dostojnik, stojąc wciąż na dywanie przed kominkiem. — Niech pan wyśledzi, co tylko się da; niech pan użyje do tego własnych sposobów.

— Muszę zabrać się do roboty natychmiast, jeszcze dziś wieczór — rzekł nadinspektor.

Sir Ethelred wsunął rękę pod poły surduta i odchyliwszy głowę, przypatrywał się spokojnie nadinspektorowi.

— Posiedzenie przeciągnie się do późna w nocy — powiedział. — Proszę, aby pan przyszedł do parlamentu donieść mi o swych odkryciach, jeśli się jeszcze nie rozejdziemy. Zawiadomię Toodlesa<sup>63</sup>, żeby na pana czekał. Zaprowadzi pana do mego pokoju.

Liczni krewni oraz przyjaciele sekretarza o młodzieńczym wyglądzie żywili dlań nadzieję poważnej, wspaniałej przyszłości — a tymczasem sfera towarzyska, którą w wolnych chwilach ozdabiał swoją osobą, wybrała dla swego faworyta wyżej wymienione przezwisko. Sir Ethelred słyszał je co dzień z ust żony i córek (przeważnie przy śniadaniu) i uczynił przezwisku ten zaszczyt, że je zaadaptował z powagą.

Nadinspektor był zaskoczony i uradowany.

— Naturalnie, że stawię się w parlamencie, aby podzielić się z panem swymi odkryciami, jeśli pan będzie miał chwilę czasu, aby...

— Nie będę miał czasu — przerwał wielki człowiek. — Ale zobaczę się z panem. Teraz też nie mam czasu... Czy panu nikt nie będzie towarzyszył?

— Nikt. Sądzę, że tak będzie najlepiej.

Wielki człowiek odchylił głowę tak bardzo, aby nie spuszczać wzroku z nadinspektora, że musiał prawie zamknąć powieki.

— Hm! Aha! A jak pan zamierza... Czy pan się za kogoś przebierze?

— Właściwie to nie! Ale oczywiście zmienię ubranie.

— Oczywiście — powtórzył wielki człowiek jakby z wyniosłym roztargnieniem. Odwrócił z wolna dużą głowę i przez ramię rzucił z ukosa dumnym wzrokiem na ciężki marmurowy zegar, który tykał chytrze i słabo. Złocene wskazówki skorzystały tymczasem ze sposobności i przesunęły się za plecami dostojnika o całych dwadzieścia minut.

Nadinspektor, który nie mógł dojrzeć wskazówek, zdenerwował się trochę w czasie tej przerwy. Lecz wielki człowiek zwrócił ku niemu oblicze spokojne i niezamącone.

— Doskonale — powiedział i umilkł, jakby w zdecydowanej pogardzie dla urzędowego zegara. — Ale co przede wszystkim skierowało pana na tę drogę?

<sup>63</sup>toodles (pot. ang.) — na razie, cześć. [przypis edytorski]

— Zawsze byłem zdania... — zaczął nadinspektor.

— No tak, naturalnie, że pan był zdania... To się samo przez się rozumie. Ale pytam o powód bezpośredni.

— Jakże mam to określić? Antagonizm nowego człowieka w stosunku do starych metod. Chęć dowiedzenia się czegoś z pierwszej ręki. Trochę niecierpliwości. Pracuję wciąż w tym samym zakresie, tylko że uprząż jest inna. Uwierała mnie trochę w paru czułych miejscach.

— Mam nadzieję, że się panu powiedzie — rzekł łaskawie wielki człowiek, wyciągając rękę miękko w dotknięciu, lecz szeroką i potężną jak dłoń monumentalnego farmera. Nadinspektor uściskał ją i wyszedł.

W sąsiednim pokoju Toodles, który czekał, siedząc na brzegu stołu, podszedł do nadinspektora, miarkując wrodzoną sobie wesołość.

— No jakże? Zadowolony pan? — zapytał żywo z powagą.

— Najzupełniej. Winienem panu wieczną wdzięczność — odrzekł nadinspektor; jego długie oblicze wyglądało jak wyciosane z drzewa, w przeciwieństwie do niby to poważnej twarzy sekretarza, gotowej lada chwila rozpląnąć się w uśmiechu i chichocie.

— To świetnie. Ale mówię panu, nie może pan sobie wyobrazić, jaki on jest rozdrażniony z powodu tych ataków na jego prawo o upaństwowieniu łowisk. Nazywają to początkiem rewolucji społecznej. Naturalnie, że to jest krok rewolucyjny. Ale tamci są wprost pozbawieni przyzwoitości. Te ataki osobiste...

— Ja czytam dzienniki — zauważył nadinspektor.

— Ohydne! Prawda? A pan nie ma pojęcia, jakie on mnóstwo roboty musi dzień w dzień odwalić. Sam wszystko załatwia, jakby nikomu nie ufał w sprawie tych łowisk.

— A jednak poświęcił całe pół godziny na rozpatrywanie mojej drobnej sprawy — wtrącił nadinspektor.

— Drobnej! Naprawdę? Bardzo mnie to cieszy. Wobec tego szkoda, że go pan tym zaprzętał. Ta walka strasznie go dużo kosztuje. Coraz bardziej jest wyczerpany. Czuję to, gdy opiera się na moim ramieniu w drodze do parlamentu. A czy on naprawdę jest na ulicy bezpieczny? Dziś po południu Mullins rozstawił tu swój oddział. Przy każdej latarni sterczy policjant i co drugi człowiek, którego spotykamy po drodze do Palace Yard, jest oczywistym szpiclem. On wkrótce będzie miał tego dosyć. Proszę pana, chyba to niemożliwe, aby któryś z tych zagranicznych łotrów podniósł na niego rękę... jak pan myśli? To by była klęska narodowa. Jakżeby kraj bez niego się obszedł?

— Nie mówiąc już o panu. Przecież on wspiera się na pana ramieniu — zauważył chłodno nadinspektor. — Zginęlibyście obaj.

— Byłby to dla młodego człowieka łatwy sposób przejścia do historii. Zamordowano tak niewielu brytyjskich ministrów, że nie przeszłoby to bez wrażenia. Ale mówiąc poważnie...

— Jeśli pan chce przejść do historii, będzie pan musiał coś w tym celu uczynić. Mówię poważnie, że poza przepracowaniem nie grozi obu panom żadne niebezpieczeństwo.

— Mnie łowiska nie uśmiercą, a do przesiadywania późno w nocy jestem przyzwyczajony — oświadczył Toodles z niewinną lekkomyślnością. Ale poczuł natychmiast skruchę i jął przybierać minę posępną, a dyplomatyczną, jakby naciągał rękawiczki. — Jego potężny intelekt da sobie radę choćby z największym nawałem pracy. Ja się boję tylko o jego nerwy. Banda reakcjonistów z tym gburowatym bydlęciem Cheesemannem na czele wciąż go znieważa.

— A jeśli będzie chciał rozpętać rewolucję? — mruknął nadinspektor.

— Nadszedł już czas; on jest jedynym człowiekiem dość wielkim na to, aby się podjąć tego dzieła — zapewnił wywrotowy Toodles, zapalając się pod spokojnym, rozważnym wzrokiem nadinspektora. Gdzieś na korytarzu daleki dzwonek zabrzmiał nagłą i młody człowiek nadstawił ucha ze zbożną czujnością. — Już jest gotów do wyjścia — wyszeptał gorączkowo, porwał kapelusz i znikł z pokoju.

Nadinspektor wyszedł innymi drzwiami krokiem mniej elastycznym. Przeciął znów szeroką aleję, potem szedł śpiesznie wąską uliczką i powrócił do gmachu, gdzie mieścił się jego wydział. Nie zwalniając kroku, znalazł się u drzwi swego gabinetu. Nim zdążył je zamknąć, jego oczy pobiegły do biurka. Stał chwilę bez ruchu, potem przeszedł kilka kroków, rozejrzał się po podłodze, siadł na fotelu, zadzwonił i czekał.



- Czy komisarz Heat jut poszedł?  
— Tak jest, panie nadinspektorze. Pół godziny temu.  
Nadinspektor skinął głową.  
— Dobrze.

Siedząc nieruchomo, w kapeluszu zsuniętym z czoła, pomyślał, że to wygląda zupełnie na bezczelność Heata, żeby jakby nigdy nic zabrać z sobą jedyny dowód rzeczowy. Ale pomyślał to bez niechęci. Dawni, cenieni słudzy pozwalają sobie na takie rzeczy. Lepiej było istotnie, aby się nie poniewierał ów kawałek palta z przyszytym adresem. Porzuciwszy myśli o tym dowodzie nieufności ze strony komisarza Heata, napisał i wysłał parę słów do żony, polecając jej, aby usprawiedliwiła jego nieobecność przed opiekunką Michaelisa, u której mieli być na obiedzie tego wieczoru.

W zasłoniętej kotarą alkowie zawierającej umywalnię, rząd drewnianych kołków i półkę, nadinspektor przebrał się w marynarkę i włożył płaski kapelusz, który podkreślił w sposób uderzający długość jego poważnej, brunatnej twarzy. W pełnym świetle pokoju wyglądał jak chłodny, rozważny Don Kichot o ruchach bardzo powolnych i o zapadłych oczach płonących posępnym zapalem. Szybki i dyskretny jak cień, opuścił przybytek swej codziennej pracy. Wyszedł na ulicę podobną do zamulonego akwarium, z którego wyciekła woda. Ogarnęła go mroczna, ponura wilgoć. Ściany domów były mokre, błoto na jezdni błyszcząco, rzekłbyś, fosforycznie, a gdy się wynurzył na Strand z wąskiej uliczki obok stacji Charing Cross, atmosfera dzielnicy wchłonęła go zupełnie. Można było pomyśleć, że nadinspektor jest jednym z owych podejrzanych cudzoziemców, których spotyka się wieczorem w tej okolicy, snujących się po ciemnych zaułkach.

Nadinspektor przystanął tuż przy brzegu chodnika i czekał. Jego wprawne oko wysłedziło na jezdni, wśród niewyraźnej gry cieni i światła, że zbliża się, pełznąco, dorożka. Nie kiwnął na nią, ale gdy niski stopień sunący wzdłuż chodnika znalazł się u jego nóg, wskoczył zręcznie do środka przed wielkim, toczącym się kołem i przez zasuwane okienko przemówił do dorożkarza, który tkwił z tyłu na wysokim koźle i patrzył przed siebie obojętnie, nie spostrzegłszy, że ktoś wsiadł do jego wehikułu.

Jazda trwała dość krótko. Na znak dany przez nadinspektora skończyła się raptem w nieokreślonym miejscu, między dwiema latarniami, przed wielkim składem bławatnym o długim rzędzie okien wystawowych już przesłoniętych na noc falistą blachą żelazną. Pasażer podał monetę przez zasuwane okienko i wymknął się, zostawiając dorożkarza pod dziwnym wrażeniem, upiornym i niesamowitym. Ale wyczuwalna dotykami objętość monety była zadowalająca, a że dorożkarz nie posiadał wykształcenia literackiego, nie uległ więc obawie, aby pieniądz stał się zeschniętym liściem w jego kieszeni<sup>64</sup>. Wywyższony nad świat pasażerów przez warunki swego zawodu, zapatrywał się na ich czyny bez wielkiego zainteresowania. Zawrócił ostro z miejsca, wyrażając tym swój światopogląd.

Tymczasem nadinspektor zamawiał już u kelnera potrawy we włoskiej restauracyjce za rogiem — długiej, wąskiej, nęcącej perspektywą luster i białych obrusów typowej pułapce na głodnych. Restauracyjka była pozbawiona powietrza, lecz posiadała swoistą atmosferę podejrzanej kuchni, służącej do nabierania nędznej ludzkości przy zaspokajaniu najbardziej natarczywej z jej marnych potrzeb. Nadinspektor, rozmyślający o swoim przedsięwzięciu w tej niemoralnej atmosferze, zdawał się zatracać coraz bardziej swą tożsamość. Miał poczucie osamotnienia i niebezpiecznej swobody. Było to raczej przyjemne. Gdy zapłaciwszy za krótki posiłek, wstał i czekał na resztę, ujrzał siebie w lustrzanej tafli; zdziwił się, spostrzegłszy, że wygląda zupełnie na cudzoziemca. Wpatrzył się w swój obraz melancholijnym, badawczym wzrokiem i pod wpływem nagłego natchnienia podniósł kołnierz marynarki. Uznał ten pomysł za dobry i uzupełnił go, podkreślając końce czarnych wąsów. Był zadowolony z subtelnej zmiany, którą wprowadził do swego wyglądu przez te drobne poprawki. „Tak jest doskonale” — pomyślał. „A przy tym będę trochę mokry, trochę zbryzganym błotem”.

Spostrzegł, że kelner stoi u jego boku i że na stole leży przed nim mała kupka srebrnych pieniędzy. Kelner czuwał nad nią jednym okiem, a drugim śledził długie plecy wy-

<sup>64</sup>nie posiadał wykształcenia literackiego, nie uległ więc obawie, aby pieniądz stał się zeschniętym liściem — motyw przemiany złota w liście występuje w *Księdze tysiąca i jednej nocy*, w XIX w. pojawiał się m.in. w baśniach braci Grimm, w tekstach Alphonse'a Daudeta, Wilkie Collinsa, Charlesa Dickensa. [przypis edytorski]

sokiej, niezbyt młodej kobiety, która szła ku odległemu stolikowi i, rzekłbyś, nie spostrzegła nikogo z wyżyn swej niedostępności. Była widać codziennym gościem.

Wychodząc, nadinspektor stwierdził w duchu, że klienci tej restauracji zatracili w obcowaniu z podejrzaną kuchnią wszelkie cechy narodowe i osobiste. Była to rzecz dziwna, ponieważ włoskie restauracje są instytucją tak wybitnie brytyjską. Tymczasem owi ludzie byli równie wyzbyci z cech narodowych jak stawiane przed nimi potrawy o wyglądzie przyzwoitym, choć nieokreślonym. Nie posiadali także żadnych cech charakterystycznych, które by świadczyły o ich zawodzie, środowisku lub rasie. Mogło się zdawać, że zostali stworzeni dla włoskiej restauracji, a kto wie, może włoska restauracja została stworzona dla nich. Ta druga hipoteza była jednak nie do przyjęcia, ponieważ tych zagadkowych ludzi nie można było spotkać nigdzie poza jadalniami owego typu. Tylko tam się ich widywało. Nikt nie mógłby wytworzyć sobie dokładnego wyobrażenia, jakim zajęciom oddawali się we dnie i gdzie kładli się spać w nocy. Nadinspektor poczuł się także człowiekiem nigdzie nie przynależnym. Niepodobna było odgadnąć, jaki jest jego zawód, a gdy pomyślał o udaniu się na spoczynek, ogarnęły go wątpliwości. Nie żywił ich wprawdzie co do miejsca tego spoczynku, ale za to co do czasu, kiedy będzie mógł się położyć. Przyjemne uczucie niezależności owładnęło nim, gdy posłyszał, że drzwi zamknęły się z głuchym trzaskiem za jego plecami. Znalazł się natychmiast wśród bezmiaru tłustego błota, mokrych murów, rozsianych tu i ówdzie latarni, a cały ten bezmiar ogarniała, gnębiła, przenikała, dławiała i dusiła czerni wilgotnej nocy londyńskiej, składającej się sadzy i deszczu.

Brett Street leżała niezbyt daleko. Początek tej wąskiej ulicy wypływał z trójkątnej przestrzeni otoczonej przez ciemne i tajemnicze domy, świątynie drobnego handlu opuszczone nocą przez kupców. Tylko stragan z owocami na rogu ulicy gorzał blaskiem i jaskrawością barw. Poza tym wszystko było czarne; nielicznym przechodniom mijającym stragan wystarczał jeden krok, aby zanurzyć się w ciemność tuż za rozjarzonymi stosami pomarańcz i cytryn. Odgłos kroków przepadał bez echa. Nigdy się ich już nie posłyszysz. Rozmiłowany w przygodach szef Wydziału Przestępstw Specjalnych śledził z odległości ciekawym okiem tych znikających ludzi. Było mu lekko na sercu, jakby się przyczaił w zasadzce, samotny wśród dżungli odległej o wiele tysięcy mil od urzędowych pulpitów i kałamarzy. Ta wesołość i rozstrzelenie myśli wobec dość ważnego zadania świadczyły chyba, że nasz świat nie jest właściwie sprawą tak poważną, jak by się mogło zdawać. Albowiem nadinspektor z natury nie był skłonny do lekkomyślności.

Policjant obchodzący swój rewir zarysował się ciemną sylwetką na tle jaśniejących wspaniale pomarańcz i cytryn i bez pośpiechu zagłębił się w Brett Street. Nadinspektor, zupełnie jakby należał do klasy przestępczej, zwolnił kroku, by uczynić się niewidocznym w oczekiwaniu na jego powrót. Ale zdawało się, że ów policjant przepadł na zawsze. Nie wrócił już; widać odszedł drugim końcem ulicy.

Nadinspektor, powziąwszy to przekonanie, wszedł z kolei na Brett Street i napotkał wielki wóz, stojący przed mętnie oświetlonym oknem gospody dla woźniców. Furman posilał się w gospodzie, a konie, ze łbami spuszczone do ziemi, żuły spokojnie paszę z worków. Nieco dalej, po przeciwnej stronie ulicy, druga podejrzana plama mętnego światła padała ze sklepu pana Verloca, z wystawy pełnej wiszących dzienników, zarysów książek i niewyraźnych stosów tekturowych pudełek. Nadinspektor stał, przyglądając się wystawie poprzez jezdnię. Nie miał wątpliwości, że to jest sklep, o który mu chodzi. Obok wystawy zapełnionej cieniami rzeczy nieokreślonych, przez uchylone drzwi padała na chodnik wąska, jasna smuga gazowego światła.

Za nadinspektorem wóz i konie, stopione w jedną masę, wydawały się czymś żywym — jakimś zagradzającym pół jezdni potworem o czworokątnym grzbiecie; dochodziły stamtąd nagle uderzenia podków o bruk, gwałtowne pobrzęki i ciężkie sapanie. U przeciwnego końca Brett Street, po drugiej stronie szerokiej jezdni, znajdował się wielki, licznie uczęszczany szynk, buchający hałaśliwą wesołością i złowieszczym blaskiem. Ta przegroda jaskrawego światła przeciwstawiała się cieniom otaczającym skromny przybytek rodzinnego szczęścia pana Verloca i odpierając te cienie, czyniła mrok ulicy jeszcze bardziej posępnym, groźnym, złowrogim.

## VIII

Wytrwała natarczywość matki pani Verloc osiągnęła wreszcie swój cel; staruszka zdołała przewyciężyć uprzejmy chłód kilku kupców (niegdyś przyjaciół jej świętej pamięci pechowego małżonka) i zapewniła sobie miejsce w przytułku dla podupadłych wdów stanu kupieckiego, ufundowanym przez bogatego oberżystę.

Staruszka dążyła ze stanowczością do celu, który powzięła skrycie i przebiegle, nękana serdecznym niepokojem. W tym właśnie czasie córka jej nie mogła się powstrzymać od uwagi wypowiedzianej do pana Verloc:

— Przez ostatni tydzień matka prawie co dzień wydawała na dorożki to pół korony<sup>65</sup>, to pięć szylingów.

Ale słowa te nie tchnęły niechęcią. Winnie odnosiła się z szacunkiem do słabych stron matki. Zdziwiła ją tylko ta nagła mania lokomocji. Pan Verloc, na swój sposób dość hojny, zbył słowa Winnie niecierpliwym mruknięciem, bo przeszkodziły mu w rozmyślaniach. A rozmyślania te były częste, długie, głębokie; dotyczyły sprawy ważniejszej niż pięć szylingów. O wiele ważniejszej i bez porównania trudniejszej do wszechstronnego rozważenia z filozoficzną pogodą ducha.

Osiągnąwszy swój cel przebiegle i skrycie, bohatera staruszka zwierzyła się ze wszystkim pani Verloc. Tryumfowała w duchu, lecz serce jej z lęku zamierało. Matka Winnie podziwiała córkę, jej spokój, jej opanowanie, a zarazem czuła przed nią wielki respekt, bo niezadowolenie Winnie było groźne i przejawiało się różnymi rodzajami przykrego milczenia. Staruszka ukryła jednak trapiący ją lęk, aby zachować swoje atuty, płynące z czcigodnego spokoju, jakim tchnęła jej postać dzięki okazałej tuszy, potrójnemu podbródkowi i bezwładowi nóg.

Wstrząs wywołany tą wiadomością był tak nagły, że pani Verloc przerwała swe zajęcie, choć rozmowa nigdy nie była dla niej przeszkodą w pracy. Winnie ścierała właśnie kurz w saloniku za sklepem. Zwróciła głowę ku matce.

— Dlaczegoż mama to zrobiła? — wykrzyknęła ze zgrozaniem.

Musiała być bardzo wstrząśnięta, jeśli odrzuciła to, co stanowiło w życiu jej siłę i jej ochronę, a mianowicie obojętność, brak docieklivosti i bierne poddanie się wypadkom.

— Czy mamie było u nas nie dość wygodnie?

Wyrwało się jej tych parę pytań, ale już w następnej chwili ocaliła linię swego postępowania, zabierając się do ścierania kurzu, podczas gdy staruszka siedziała załękła i niema w przybrudzonym białym czepku i ciemnej matowej peruce.

Winnie skończyła odkurzać fotel; przesuwiała teraz ściereczką po mahoniowym oparciu wypełnionej końskim włosiem kanapy, na której pan Verloc bardzo lubił wypoczywać w palcie i kapeluszu. Zajęta była pilnie odkurzaniem, ale pozwoliła sobie na jeszcze jedno pytanie:

— Jakże mama zdołała to przeprowadzić?

Tego rodzaju ciekawość była wybaczalna, gdyż nie dotyczyła istoty rzeczy, z zasady przez panią Verloc pomijanej. Pytanie odnosiło się tylko do sposobów, jakich matka użyła. Staruszka powitała skwapliwie ów temat, jako coś, o czym można było rozmawiać z całą szczerością.

Dostarczyła więc córce obszernej odpowiedzi naszpikowanej różnymi nazwiskami i obfitującej w uboczne komentarze o niszczyielskich wpływach czasu na ludzkie oblicza. Wymienione przez nią nazwiska były przeważnie nazwiskami kupców kolonialnych — „przyjaciół biednego tatusia, kochanie”. Rozwodziła się ze szczególnym uznaniem nad dobrocią i łaskawością bogatego piwowara, baroneta i członka parlamentu, przewodniczącego związku wszystkich instytucji dobroczynnych. Wyrażała się o nim tak gorąco, ponieważ dostąpiła zaszczytu rozmowy z jego sekretarzem — „bardzo grzecznym panem, całym w czerni; miał łagodny, smutny głos, taki cichutki i spokojny. Wyglądał zupełnie jak cień, moja droga”.

Winnie przedłużyła czynność ścierania kurzu, chcąc wysłuchać opowiadania aż do końca, i przeszła z saloniku do kuchni (dwa schodki w dół) jak zwykle, nie rzekłszy ani słowa.

<sup>65</sup>korona — dawna angielska jednostka monetarna równa pięciu szylingom, tj. sześćdziesięciu pensom. [przypis edytorski]

Matka pani Verloc wylała kilka łez radości z powodu łagodnego zachowania się córki wobec tej groźnej sprawy i wysiliła całą swą przebiegłość przy podziale mebli, które były jej własnością; żalowała chwilami, że je posiada. Bohaterstwo bohaterstwem, ale zdarzają się okoliczności, kiedy rozporządzenie kilku stołami, krzesłami, mosiężnymi łózkami i tak dalej może kryć w sobie skutki nieobliczalne i zgubne. Staruszka potrzebowała sama trochę mebli, ponieważ fundacja, która po wielu staraniach przygarnęła ją do miłosiernego łona, przeznaczyła dla przedmiotów swej troskliwości tylko gołe deski i cegły oklejone tanią tapetą. Matka pani Verloc wybrała przez delikatność najmniej cenne i najbardziej zniszczone meble, ale Winnie tego nie spostrzegła, ponieważ filozofią jej było pomijanie istoty faktów; uważała, że matka wzięła to, co jej najbardziej odpowiadało. Co zaś do pana Verloca, głęboka zaduma — niby coś na kształt chińskiego muru — odcinała go zupełnie od zjawisk tego świata, pełnego daremnych usiłowań i złudnych pozorów.

Po dokonaniu wyboru podział reszty mebli stał się dla matki pani Verloc kwestią szczególnie kłopotliwą. Oczywiście chciała zostawić wszystko na Brett Street. Ale miała dwoje dzieci. Przyszłość Winnie była zabezpieczona przez rozsądny związek z jej idealnym mężem. Natomiast Stevie nie posiadał nic — i był trochę dziwaczny. Należało zastanowić się nad jego położeniem, nie licząc się z wymaganiami prawa, a nawet z podszeptami serca. Posiadanie tych mebli nie zabezpieczyłoby Steviego w żadnym wypadku. Niebiorak powinien by właściwie je dostać. Ale gdyby mu je matka oddała, zupełna zależność chłopca zostałaby tym samym naruszona. Ta jego zależność była jakby osłoną, którą matka lękała się osłabić. A przy tym może by drażliwość pana Verloca nie zniosła poczucia, że zawdzięcza swemu szwagrowi krzesła, na których siedzi. Wskutek długoletnich doświadczeń z lokatorami matka pani Verloc wyrobiła sobie niekorzystne, choć pełne rezygnacji pojęcie o kapryśności ludzkiej natury. A gdyby panu Verlocowi przyszło nagle do głowy powiedzieć Steviemu, żeby zabrał się precz ze swymi przeklętymi gratami? Z drugiej strony podział mebli między rodzeństwo, choćby dokonany najostrożniej, mógłby się stać dla Winnie kamieniem obrazy. Tak! Stevie musi pozostać ubogi i zależny. Jego matka, opuszczając Brett Street, rzekła do Winnie:

— Po co czekać na moją śmierć? Wszystko, co tu zostawiam, jest odtąd twoją własnością, moje dziecko.

Winnie, już w kapeluszu, stała bez słowa za plecami matki, poprawiając kołnierz jej płaszczka. Wzięła torebkę, parasol; twarz jej była nieporuszona. Nadeszła chwila, kiedy trzeba było wydać trzy szylingi i sześć pensów na jazdę dorożką, zapewne ostatnią w życiu jazdę matki pani Verloc. Wyszły przez sklep na ulicę.

Oczekujący ich wehikuł mógł być symbolem przysłowia: „Rzeczywistość bywa okrutniejsza od karykatury”, gdyby takie przysłowie istniało. Za cherlawym koniem pełzła na chwiejnych kołach stołeczna dorożka, a na jej koźle siedział dorożkarz kaleka. Ta ostatnia okoliczność wywołała pewien zamęt. Matka pani Verloc spostrzegła żelazne narzędzie w kształcie haka wystające z lewego rękawa dorożkarza i nagle straciła bohaterską odwagę, którą odznaczała się tymi dniami. Niepodobna przecież powierzyć się takiemu dorożkarzowi. „Jak myślisz, Winnie?” Zaczęła się wahać. Dorożkarz ją się gwałtownych wymówek, które brzmiały jakby je wyszarpywał ze zduszonego gardła. Pochylony na koźle, szeptał z tajemniczym oburzeniem: „O cóż pani chodzi? Jak można tak człowiekowi ubliżać?”. Jego ogromna, nieumyta twarz gorzała purpurą na błotnistym tle ulicznej perspektywy. „Czy bym miał pozwolenie na jazdę — pytał z gniewem — gdybym...”

Miejscowy policjant uspokoił go przyjaznym spojrzeniem i zwracając się do obu kobiet, rzekł bez zbytniego szacunku:

— On jest dorożkarzem już od dwudziestu lat. Nie słyszałem nigdy, aby mu się zdarzył jakiś wypadek.

— Wypadek! — rozległ się donośny, pogardliwy szept dorożkarza.

Zaświadczenie policjanta rozstrzygnęło kwestię. Skromne zbiegowisko siedmiu osób, przeważnie małoletnich, rozproszyło się. Winnie wsiadła za matką do dorożki. Stevie wdrapał się na kozioł. Jego otwarte usta i strapione spojrzenie świadczyły o głębokim przejęciu się tym, co się działo.

Na wąskich ulicach Winnie i jej matka orientowały się w szybkości jazdy według bliskich domów, których fronty sunęły w tył powoli i chwiejnie przy akompaniamencie ogłuszającego grzechotu oraz brzęku szkła, jakby miały się zawalić natychmiast po

przejeździe dorożki; a cherlawy koń, o uprzęży wiszącej na spiczastym grzbiecie i trzepocącej się luźno wkoło ud, drobił kroki, rzekłbyś, tańcząc niezmordowanie i cierpliwie na czubkach kopyt. Dalej, na szerszej przestrzeni Whitehall<sup>66</sup>, wszelkie dowody wzrokowe, świadczące, że dorożka sunie naprzód, były niedostrzegalne. Grzechot i brzęk szkła trwał wciąż jednostajnie na wprost długiego budynku Ministerstwa Skarbu — i czas jak gdyby zatrzymał się w biegu.

Wreszcie Winnie zauważyła:

— Ten koń wydaje mi się nieszczególny.

Oczy jej błyszczały w mroku dorożki; siedziała bez ruchu, patrząc naprzód. Na koźle Stevie najpierw zamknął usta, a potem wykrzyknął z przejęciem:

— Nie wolno!

Dorożkarz, trzymając wysoko lejce okręcone naokoło haka, nie zwrócił na to uwagi. Może nie słyszał. Piers Stewiego falowała.

— Nie wolno bić!

Dorożkarz zwrócił doń powoli obrzmiałą wilgotną twarz, wielobarwną i najeżoną białym zarostem. Czerwone jego oczka połyskiwały wilgocią. Grube wargi miały odcień fioletowy. Nie rozchylił ich. Brudnym wierzchem ręki trzymającej bat potarł szczecinę kielkującą na ogromnych szczękach.

— Nie wolno bić — wyjąkał Stevie gwałtownie — to boli.

— Nie wolno bić? — wyszeptał tamten z zadumą i natychmiast zaciął konia. Uczynił to nie z powodu okrutnej duszy i złego serca, ale po prostu dlatego, że musiał zarabiać. Przez chwilę mury Świętego Szczepana<sup>67</sup> o licznych wieżach i wieżyczkach patrzyły nieruchomo w milczeniu na klekocącą dorożkę, która sunęła jednak naprzód. Lecz gdy jechali przez most, wszczęło się zamieszanie; Stevie zaczął nagle zlązić z kozła. Rozległy się krzyki, podbiegli ludzie, dorożkarz ściągnął lejce, klnąc szeptem, gniewny i zdumiony. Winnie spuściła okno i wytknęła głowę, blada jak papier. W głębi dorożki matka jej wołała niespokojnie:

— Czy się chłopcu coś stało? Czy się chłopcu coś stało?

Stewiemu nic się nie stało, nawet nie upadł, lecz jak zwykle wskutek podniecenia nie mógł mówić do rzeczy, tylko bełkotał, stojąc przy oknie dorożki:

— Za ciężko. Za ciężko.

Winnie położyła mu rękę na ramieniu.

— Stevie! Wróć się natychmiast na kozioł; żebyś mi się stamtąd nie ruszał!

— Nie. Nie. Iść. Muszę iść.

Usiłując wyjaśnić, co go do tego zmusza, bełkotał coraz mniej zrozumiale. Wykonanie jego kaprysu nie było wcale niepodobieństwem. Stevie mógł z łatwością dotrzymać kroku cherlawemu, pływającemu koniowi i nawet by się nie zadyszał. Ale siostra stanowczo ponowiła zakaz.

— Też pomysł! Czy kto kiedy słyszał o czymś podobnym? Biec za dorożką!

Matka, wystraszona i bezradna w głębi wehikułu, błagała:

— Nie pozwól mu, Winnie. Jeszcze by się zgubił. Nie pozwól.

— Naturalnie, że nie pozwolę. Jeszcze czego! Stevie, pan Verloc zmartwi się, kiedy posłyszysz o tym wybryku... już ja ci mówię. Zmartwi się bardzo.

Myśl o zmartwieniu pana Verloca jak zwykle podziałała silnie na Stewiego, który był zasadniczo posłuszny; zaniechał oporu i wspiął się znowu na kozioł z twarzą pełną rozpacz.

Dorożkarz zwrócił srogo ku niemu olbrzymie, rozplamione oblicze.

— Tylko niech mi panicz znowu nie zacznie tych głupich kawałów.

Wypowiedziawszy to groźnym szeptem, wysilonym do ostateczności, jechał dalej, poważny i zadumany. Całe zajście przedstawiało mu się dość zagadkowo. Ale jego umysł nie był pozbawiony niezależności ani rozsądku, choć utracił dawną żywotność wskutek długich, otępiających lat bezruchu i narażania się na niepogodę. Z powagą odrzucił hipotezę, że Stevie jest pijanym łobuzem.

<sup>66</sup>Whitehall — ulica w środkowej części Londynu (w gminie Westminster), wokół której skupione są budynki rządowe; jej nazwa jest często używana jako synonim brytyjskiego rządu. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>Święty Szczepan — tu: budynek Klubu Św. Szczepana, w gminie Westminster, w Londynie; wzniesiony w 1874, istniejący do 1994 w miejscu obecnego Portcullis House. [przypis edytorski]

Milczenie, w jakim obie kobiety znosiły ramię w ramię wstrząsy, zgrzyty i brzęki dorożki, zostało naruszone przez wybryk Steviego. Winnie rzekła do matki:

— Zrobiła mama to, co chciała. I tylko samej sobie mama podziękuje, jeśli nie będzie się czuła szczęśliwa. A wątpię, żeby mama mogła się czuć szczęśliwa. Bardzo wątpię. Czy mamie było u nas źle? I co też ludzie na to powiedzą, że mama tak się narzuciła dobroczynności?

— Moje dziecko — zawołała żarliwie staruszka, przekrzykując hałas — byłaś dla mnie najlepszą z córek. A co do twojego męża, to...

Zabrakło jej słów na określenie doskonałości pana Verloca i utkwiała starcze, załamane oczy w dachu dorożki. Potem odwróciła głowę, udając, że wygląda przez okno, aby zobaczyć, jak prędko posuwają się naprzód. Jechali bardzo wolno, tuż przy chodniku. Noc, wczesna, mglista noc, posępna, zgiełkliwa, beznadziejna noc południowego Londynu zaskoczyła staruszkę podczas jej ostatniej jazdy dorożką. W gazowym świetle sklepów o niskich wystawach jej duże policzki gorzały ceglastym rumieńcem pod czarno-fioletową kapotką<sup>68</sup>.

Cera teściowej Verloca pożółkła z wiekiem wskutek skłonności do cierpień wątrobianych, którym sprzyjały utrapienia ciężkiego, udręczonego życia, najpierw w stanie małżeńskim, a potem wdowim. Pod wpływem rumieńca jej policzki nabierały barwy ceglastej. I oto ta kobieta, skromna, lecz zahartowana w ogniu przeciwności, zacerwieniła się wobec córki, choć była w wieku, kiedy człowiek już się nie czerwieni. Rumieniec wstępu, wywołany przez wyrzuty sumienia, starała się ukryć przed własnym dzieckiem, jadąc dorożką do przytułku złożonego z długiego rzędu domków; zważywszy na drobne rozmiary tych domków i skromność ich urządzeń, obmyślono je chyba w tym dobrotliwym celu, aby ich mieszkanki mogły się przygotować zawczasu do pomieszczenia w rozmiarach jeszcze bardziej ograniczonych — do grobu.

Co ludzie sobie pomyślą? Matka Winnie wiedziała dobrze, co pomyślą ludzie, o których napomknęła jej córka — dawni przyjaciele nieboszczyka męża, a także ci inni, do których współczucia odwołała się ze skutkiem tak pomyślnym. Nie zdawała sobie przedtem sprawy, jak dobrze potrafi żebrać. Ale odgadła doskonale, co za wnioski zostały wyciągnięte z jej próśb. Nie wglądano bliżej w warunki jej życia wskutek tej płochliwej delikatności, która współistnieje w męskim charakterze z zaczepną brutalnością. Staruszka zapobiegała wszelkim badaniom ostentacyjnym zaciśnięciem ust i wzruszeniem malującym się na twarzy wymownej, a niemej. Wówczas mężczyźni, jak to mężczyźni, przestawali nagle się dopytywać. Matka pani Verloc winaowała sobie nieraz, że nie ma do czynienia z kobietami, które, jako twardsze z natury i chciwe szczegółów, byłyby chciały dowiedzieć się dokładnie, co to za niegodziwe postępy córki i zięcia doprowadziły staruszkę do tak smutnej ostateczności. Tylko raz, w ciągu rozmowy z sekretarzem wielkiego piwowara, członka parlamentu i prezesa towarzystw dobroczynnych, matka pani Verloc rozplakała się głośno, jakby zagnana w położenie bez wyjścia; a rozplakała się dlatego, że ów sekretarz, działając w imieniu swego pracodawcy, poczuwał się do sumiennego wejrzenia w istotne warunki życia petentki. Szczupły i uprzejmy pan spojrział na matkę pani Verloc „jak rażony piorunem” i zrejęterował ze swego stanowiska, zasypując staruszkę kojącymi uwagami. Nie trzeba się martwić. Statut dobroczynny nie żąda bynajmniej, aby wdowy były bezdzietne; jej kandydatura nie jest wykluczona. Ale panowie z komitetu, których dyskrecji można ufać bezwzględnie, muszą być dokładnie poinformowani. Każdy rozumie doskonale, że ona (matka pani Verloc) nie chce się stać ciężarem, itd., itd. Tu staruszka zaczęła znów płakać jeszcze gwałtowniej, ku dotkliwej przykrości sekretarza.

Łzy tej otyłej kobiety w ciemnej, zakurzonej peruce i staromodnej jedwabnej sukni, przybranej festonami<sup>69</sup> z brudnej białej nicianej koronki, były łzami szczerzego bólu. Płakała, ponieważ była bohaterka i pozbawiona skrupułów, i pełna miłości dla obojga swych dzieci. Często poświęca się dziewczyny dla dobra chłopców. W tym wypadku poświęciła Winnie. Przemilczając prawdę, rzuciła na córkę potwarz. Winnie była oczywiście niezależna i nie potrzebowała dbać o opinię ludzi, z którymi nigdy nie miała się zetknąć,

<sup>68</sup>kapotka (tu daw.) — rodzaj damskiego kapelusza wiązanego pod brodą. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>feston — girlanda; element dekoracyjny w formie podwieszonych po bokach kwiatów lub upiętej tkaniny. [przypis edytorski]

gdy tymczasem biedny Stevie nie posiadał na świecie nic prócz bohaterstwa swej matki — bohaterstwa wyzbytego ze skrupułów.

Uczucie bezpieczeństwa, jakie staruszka miała po ślubie Winnie, minęło z czasem (albowiem nic nie trwa wiecznie); matka pani Verloc, odosobniona w swym pokoju od strony podwórza, rozpamiętywała nauki płynące z doświadczenia, którego świat wdowom nie szczędzi. Ale w tych rozpamiętywaniach nie było bezpłodnej goryczy; wielka rezygnacja staruszki sięgała niemal dostojeństwa. Matka Winnie mówiła sobie ze stoicyzmem, że wszystko na tym świecie niszczy i się zużywa; że należy ułatwiać ludziom życzliwym wyświadczanie dobroci; że jej córka Winnie jest najlepszą z siostr i bardzo pewną siebie żoną. Sceptycyzm staruszki załamywał się tylko wobec miłości siostrzanej Winnie. Wyłączała to uczucie spod ogólnego prawa zniszczenia, któremu podlegają wszystkie rzeczy ludzkie, a także i niektóre z boskich. Nie mogła myśleć inaczej; ogarnąłby ją zbyt wielki strach. Ale co do warunków pożycia małżeńskiego córki pozbyła się stanowczo wszelkich pochlebnych złudzeń. Zajęła stanowisko trzeźwe i rozsądne, przekonana, że im mniej się wyzyska dobroć pana Verloca, tym dłużej będzie można na nią liczyć. Naturalnie, że idealny ten człowiek kocha żonę, ale z pewnością wolałby łożyć na utrzymanie tylko tyłu jej krewnych, ilu mu utrzymywać wypada ze względu na małżeńskie uczucia. Lepiej, aby z rezultatu tych uczuć korzystał tylko biedny Stevie. Tedy bohatera staruszka postanowiła odejść od swych dzieci, co było nie tylko aktem poświęcenia, ale i posunięciem głęboko politycznym.

Istota owej polityki polegała na tym (matka pani Verloc była na swój sposób przebiegła), że słuszne prawa Steviego zostaną w ten sposób wzmocnione. Nieborak — taki dobry, użyteczny chłopiec, tyle tylko, że trochę oryginalny — nie miał wystarczająco mocnej pozycji. Został zabrany razem ze swoją matką, mniej więcej w taki sam sposób jak meble z ich dawnego mieszkania i tylko na tej podstawie, że razem z meblami należał do staruszki. „Co się stanie” — zapytywała siebie matka pani Verloc (gdyż nie była pozbawiona wyobraźni) — co się stanie po mojej śmierci?” To pytanie napełniało ją przerażeniem. Straszna również była myśl, że nie będzie miała wówczas możliwości wiedzieć, co się dzieje z biednym chłopcem. Ale odchodząc od syna i tym samym przekazując go siostrze, staruszka stwarzała dla niego korzystne warunki, polegające na zależności bezpośredniej. Był to subtelniejszy motyw bohaterstwa i bezwzględności wykazanych przez matkę pani Verloc. Porzucając dzieci, chciała syna zabezpieczyć, zapewnić mu trwałą pozycję w życiu. Inni ludzie ponosili w tym celu ofiary materialne, ona zaś chciała osiągnąć swój zamiar na tej drodze — bo inaczej tego zrobić nie mogła. A przy tym pragnęła widzieć na własne oczy, jak to pójdzie. Czy pójdzie dobrze, czy źle, staruszka uniknie straszliwej niepewności na łóżu śmierci — niepewności co do losu syna. Ale teraz ciężko jej było na duszy, bardzo ciężko, okrutnie ciężko.

Dorożka klekotała, zgrzytała, trzęsła — a trzęsła wręcz niewiarygodnie. Niesamowita gwałtowność oraz częstotliwość tych wstrząsów zacierały uczucie posuwania się naprzód; wskutek tego delikwent, który dostał się do środka dorożki, odniósł wrażenie, że jest podrzucany na miejscu w jakimś przyrządzie podobnym do średniowiecznych narzędzi tortur lub do nowomodnego aparatu dla leczenia leniwej wątroby. Było to niezmiernie dokuczliwe i gdy matka pani Verloc zaczęła mówić podniesionym tonem, jej głos brzmiał niby jęk bólu.

— Ja wiem, kochanie, że będziesz mnie odwiedzała, kiedy ci tylko czas pozwoli. Prawda?

— Naturalnie — odrzekła krótko Winnie, patrząc prosto przed siebie.

Dorożka telepała się wzdłuż buchającego parą szynku, wśród blasku gazowego światła i zapachu smażonych ryb.

Staruszka jęknęła znowu:

— I pamiętaj, kochanie, co niedziela muszę się widzieć z naszym biednym chłopcem. Chyba zgodzi się spędzać ten dzień ze starą matką...

Winnie krzyknęła obojętnym głosem:

— Czy się zgodzi! Ja myślę! Jak on biedaczek bez matki wytrzyma? Szkoda, że mama o tym nie pomyślała.

Nie pomyślała o tym! Bohatera staruszka przelknęła coś na kształt bilardowej kuli, figlarnej i kłopotliwej, która usiłowała wyskoczyć z jej gardła. Winnie nic nie mówiła

przez chwilę, nadąsana, wpatrzona przed siebie, i wygarnęła w końcu niezwykłym u niej tonem:

— Nie mam pojęcia, jak na początku dam sobie z nim radę, taki będzie niespokojny...

— Tylko w żadnym razie nie pozwól, aby się naprzykrzał twemu mężowi, kochanie.

W taki to sposób rozprawiły poufnie o warunkach nowego położenia. A dorożka miotła się wciąż. Matka pani Verloc zaczęła znów wypowiadać swoje obawy. Czy można zaufać Steviemu i pozwolić, żeby sam odbywał całą tę drogę? Winnie utrzymywała, że jest teraz znacznie mniej „roztargniony”. Zgadzały się na tym punkcie. Było to oczywiste. Znacznie mniej... prawie wcale. Wśród hałasu krzyczały jedna do drugiej z pewną otuchą. Lecz nagle niepokój matczyny wybuchł na nowo. Przecież Stevie będzie musiał przesiąść się z jednego omnibusu na drugi, a pomiędzy nimi iść kawałek pieszo. To dla chłopca za trudne! Staruszka dała upust zmartwieniu i wątpliwościom.

Winnie patrzyła wciąż przed siebie.

— Niechże się mama nie denerwuje. Mama musi go naturalnie widywać.

— Nie, kochanie. Będę się starała wcale go nie widywać.

Otarła oczy tonące we łzach.

— Przecież ty nie masz czasu z nim jeździć. Stevie może się zagapić, zmylić drogę, a jeśli ktoś do niego ostro przemówi, chłopiec gotów zapomnieć swego nazwiska i adresu, i przez Bóg wie ile dni nie będzie można się go doszukać...

Stanął jej przed oczami Stevie umieszczony w przytułku, choćby tylko na czas przeprowadzenia dochodzeń, i serce jej się ścisnęło. Albowiem matka Winnie miała swoją dumę. Wzrok Winnie stwardniał, zaprzątnięty czymś, wynalazczy.

— Nie mogę odwozić go sama co tydzień — krzyknęła. — Ale niech się mama nie martwi. Już ja zadbam, że chłopiec nie zgubi się na długo.

Odczuły szczególne szarpnięcia; za rozklekotanymi oknami dorożki tkwiły ceglane słupy; okropne wstrząśnienia i hałaśliwe brzęki nagle ustały, zapadła głęboka cisza i oszołomiła obie kobiety. Co się stało? Siedziały nieruchome i zalekłe, aż wreszcie drzwiczki się otworzyły i rozleł się szorstki, wyteżony szept:

— No to i już!

Rząd małych domków o spiczastych dachach ciągnął się wzdłuż ciemnego, przestronnego gazonu<sup>70</sup> usianego krzewami; ogrodzenie dzieliło go od lataniny świateł i cieni na szerokiej ulicy, rozbrzmiewającej głuchym turkotem ruchu kołowego. Każdy domek miał na parterze ciemnożółte okno. Dorożka zatrzymała się przed jednym z tych drobnych domków, takim, którego małe okienko na parterze nie było oświetlone. Matka pani Verloc pierwsza wysiadła tyłem z dorożki, trzymając klucz w ręku. Winnie przystanęła na ścieżce wyłożonej flizami, aby zapłacić dorożkarzowi. Stevie, pomógłszy wnieść do domku mnóstwo drobnych paczek, wrócił i stanął w świetle gazowej latarni, stanowiącej własność fundacji dobroczynnej. Dorożkarz przypatrywał się srebrnym monetom; wydawały się bardzo małe na jego wielkiej, brudnej dłoni i były niejako symbolem znikomych wyników nagradzających ambitną odwagę i znój ludzkości, której dni na tej ziemi są policzone.

Dorożkarz otrzymał przyzwoitą zapłatę — cztery pojedyncze szylingi — i przypatrywał im się w zupełnej ciszy, jakby były zdumiewającym rozwiązaniem melancholijnej zagadki. Powolne umieszczenie tego skarbu w jednej z wewnętrznych kieszeni wymagało wiele pilnego gmerania w głębiach zniszczonej odzieży. Postać dorożkarza była krępa i pozbawiona giętkości. Smukły Stevie o barkach trochę podniesionych i rękach wciśniętych głęboko w kieszenie ciepłego palta, stał na skraju chodnika, odąwszy wargi.

Dorożkarz nagle przerwał swe powolne ruchy, jakby uderzony jakimś mglistym wspomnieniem.

— Aha! No to i już, paniczu — wyszeptał. — Poznałbyś tę szkapę od razu, co?

Stevie wpatrywał się w konia, którego tylne kłęby wydawały się niesamowicie wysokie z powodu jego niezmiernie chudości. Mały, sztywny ogon był jakby wetknięty w ciało dla jakiegoś bezlitosnego żartu; na drugim końcu kadłuba chuda, płaska szyja, podobna do deski pokrytej zniszczoną końską skórą, opadała ku ziemi pod ciężarem olbrzymiego, kościstego łba. Uszy zwisały niedbale każde pod innym kątem, a nad ponurą postaćią

<sup>70</sup>gazon — ozdobny trawnik obsadzony kwiatami i krzewami. [przypis edytorski]



tego niemego mieszkańca ziemi unosiła się para dymiąca z żeber i krzyża w mglistym, nieruchomym powietrzu.

Dorożkarz dotknął lekko piersi Stewego żelaznym hakiem wystającym z obszarpanego, wytłuszczonego rękawa.

— Słuchaj no, młody paniczu. Co byś powiedział, gdyby ci kazano sterczeć za tym oto koniem może i do drugiej nad ranem?

Stevie patrzył bezmyślnie w srogie małe oczka o powiekach obrzeżonych czerwienią.

— On wcale nie jest kulawy — szeptał dorożkarz z energią. — I nic mu nie dolega. On już taki jest. A co byś powiedział —

Jego wyteżony, zagasły głos nadawał słowom cechę żarliwej tajemniczości. Bezmyślność w oczach Stewego zamieniała się powoli w strach.

— Cóż tak na mnie patrzysz, paniczu. Trzeba sterczeć na koźle do trzeciej, czwartej rano. Zimno. Głód. Czeka człowiek na tych pasażerów. Na pijaków.

Jowialne, fioletowe policzki dorożkarza jeżyły się białą szczecią; podobny do Wirgiliuszowego Sylena<sup>71</sup>, co z twarzą umazaną sokiem jagód rozprawiał o bogach Olimpu wobec naiwnych sycylijskich pastuszków, opowiadał Stewiemu o domowych sprawach i interesach ludzi, których cierpienia są wielkie, a nieśmiertelność bynajmniej nie zapewniona.

— Jestem nocny dorożkarz, tak — szeptał jakby z chępliwym rozjątrzeniem. — Muszę brać takiego konia, jakiego mi, psiakrew, wetkną tam w stajni. Mam w domu swoją starą i czworo drobiazgu.

Świat jak gdyby oniemiał na potworne oświadczenie stwierdzające ojcostwo tego człowieka. Zapanowała cisza; boki starej szkap, apokaliptycznego rumaka niedoli, dymiły w świetle dobroczynnej latarni.

Dorożkarz mruknął coś pod nosem, a potem dodał swym tajemniczym szeptem:

— Nie tak to łatwo żyć na świecie.

Twarz chłopca drgała czas jakiś i wreszcie uczucia jego wybuchły jak zwykle w zwiężłym okrzyku:

— Źle! Źle!

Oczy Stewego tkwiły w żebrach konia, świadome rzeczy i ponure, jakby lękał się rozzejrzeć po złym świecie. A jego wiotkość, różowe wargi i blada, jasna cera nadawały mu wygląd delikatnego chłopczyny mimo puszystego, złotego zarostu na policzkach. Wydał lękliwie wargi jak dziecko. Dorożkarz, krępy i szeroki, patrzył nań bacznymi srogimi oczkami, które zdawały się go boleć od przejrzystego, gryzącego płynu.

— Ciężko koniom, ale jeszcze ciężiej takim biedakom jak ja — wysapał ledwie do słyszalnym szeptem.

— Biedny! Biedny! — wyjąkał Stevie z gwałtownym współczuciem, wpychając ręce jeszcze głębiej w kieszenie. Nie mógł powiedzieć nic więcej, bo jego wrażliwość na ból i nędzę oraz chęć, aby uszczęśliwić i konia, i dorożkarza, spotęgowały się aż do dziwacznej zachcianki: zapragnął wziąć obu do łóżka. Ale wiedział, że to jest niemożliwe. Bo Stevie nie był wariatem. Pragnął tego niejako symbolicznie, a jednocześnie bardzo wyraźnie, gdyż pragnienie jego wywodziło się z doświadczenia, które jest matką mądrości. Kiedy Stevie — jeszcze będąc dzieckiem — krył się w jakimś ciemnym kącie, zastrachany, nieszczęśliwy, obolały i przygnieciony beznadziejną zgryzotą, przychodziła siostra Winnie i zabierała go do swego łóżka, jak do nieba pełnego spokoju i ukojenia. Chłopiec, skłonny zapominać fakty, na przykład takie jak własne nazwisko i adres, pamiętał dobrze swoje uczucia. Znaleźć się w łóżku kogoś współczującego był to lek najskuteczniejszy i miał tylko jedną złą stronę: trudność stosowania go na szeroką skalę. Stevie przyglądał się dorożkarzowi i rozumiał to jasno, ponieważ był rozsądny.

Dorożkarz w dalszym ciągu przygotowywał się do odjazdu, jakby Stevie wcale nie istniał. Zabrał się do włożenia na koziół, ale w ostatniej chwili zaniechał tego z jakiejś nieznannej przyczyny, może po prostu z niechęci do jazdy dorożką. Natomiast podszedł do nieruchomego współnika swej pracy i pochyliwszy się, aby wziąć lejce, dźwignął na

<sup>71</sup>Sylen (mit. gr.) — towarzysz boga wegetacji i wina Dionizosa, przedstawiany jako tłustawy mężczyzna z końskimi uszami, nogami i ogonem. *Wirgiliuszowego Sylena, co (...) rozprawiał o bogach Olimpu wobec naiwnych sycylijskich pastuszków*: w wierszu rzym. poety Wergiliusza (*Eklogi*, VI). [przypis edytorski]

wysokość ramienia wielki, ciężki łeb jednym wysiłkiem prawej ręki, jakby popisował się siłą.

— Jazda — szepnął tajemniczo.

Prowadził dorożkę i kulał. Odjazdowi temu towarzyszyła pewna jak gdyby surowość; żwir na jezdni skrzypiał ugniatany obracającymi się wolno kołami, ascetycznie chude końskie uda poruszały się z rozważą, dążąc od światła ku mrokowi otwartej przestrzeni, otoczonej przez niewyraźnie zarysowane spiczaste dachy i słabo jaśniejące okna małych przytułków. Skarga żwiru wędrowała powoli, zataczając krąg na jezdni. Sunący z wolna orszak ukazał się znów na chwilę, oświetlony latarniami stojącymi u dobroczynnej bramy: krępy, tęgi mężczyzna kulał, zaafierowany, trzymając podniesioną wysoko głowę konia, wychudłe zwierzę kroczyło ze sztywną i bezsilną godnością, a ciemne, niskie pudło na kołach sunęło zabawnie za nimi, jakby kiwając się z boku na bok. Skręcili na lewo. Był tam niedaleko szynk, jakieś pięćdziesiąt jardów od bramy przytułku.

Obok prywatnej latarni fundacji pozostał Stevie z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie i patrzył przed siebie z posepną bezmyślnością. Jego niezdarne, słabe ręce zacisnęły się mocno na dnice kieszeni w gniewne pięści. Wszystko, co budziło w nim — bezpośrednio albo pośrednio — chorobliwy lęk przed bólem, doprowadzało go w końcu do gniewu. Szlachetne oburzenie rozpiekało mu wątle piersi, że ledwie nie pękły, a szczere oczy wykrzywił zez. Stevie posiadał mądrość najwyższą, bo zdawał sobie sprawę ze swej bezsilności, ale nie był na tyle roztropny, by móc opanować swoje porywy. Czulość jego wszechogarniającego miłosierdzia miała dwie postacie, złączone z sobą tak nierozdzielnie jak dwie strony medalu. Po męce bezgranicznego współczucia następował ból niewinnej, lecz srogiej wściekłości: oba te stany przejawiały się zupełnie tak samo niespokojnymi, bezcelowymi ruchami. Winnie oddziaływała kojąco na podniecenie brata, lecz nie odgađła nigdy tej podwójnej cechy jego zdenerwowania. Pani Verloc nie marnowała ani krzty mijającego szybko życia na przezieranie rzeczy do dna. Była to pewnego rodzaju oszczędność, mająca wszystkie pozory przezorności i niektóre z jej dobrych stron. Nieraz lepiej jest dla człowieka, gdy nie rozumie zbyt wiele. Taki pogląd na rzeczy odpowiada świetnie wrodzonej opieszalności.

Owego wieczoru, kiedy matka pani Verloc, odszedłszy od swych dzieci, rzekłbyś, odeszła od życia, Winnie nie badała ze szczególną uwagą stanu ducha Steviego. Nic dziwnego, że biedny chłopiec był podniecony. Zapewniła raz jeszcze stojącą w progu staruszkę, że znajdzie sposób, aby Stevie nie gubił się na długo w ciągu pielgrzymek do matki i w końcu odeszła, wzięwszy brata pod ramię. Stevie nawet do siebie nie pomrukiwał, ale pani Verloc czuła tym szczególnym zmysłem siostrzanej miłości, rozwiniętym w niej od najwcześniejszego dzieciństwa, że chłopiec był naprawdę bardzo podniecony. Ujęła mocno jego ramię, udając, że się na nim opiera, i szukała w myśli słów odpowiednich do okoliczności.

— A teraz, Stevie, musisz bardzo na mnie uważać, kiedy będziemy przechodzili przez ulicę i wsiądziesz pierwszy do omnibusu, jak dobremu bratu przystoi.

Stevie przyjął ze zwykłą uległością ten apel do swej męskiej opieki. Pochlebilo mu to. Podniósł głowę i wyprostował się.

— Nie denerwuj się, Winnie. Nie trzeba się denerwować. Z omnibusem wszystko pójdzie dobrze — odpowiedział porywczym, niewyraźnym bełkotem, mającym coś z lęklivosti dziecka i stanowczego tonu mężczyzny. Kroczył nieustraszenie obok kobiety wspierającej się na nim, ale jego dolna szczęka opadła. Mimo to byli tak do siebie podobni, gdy szli ramię w ramię chodnikiem, że musiało to uderzać przechodniów mijających ich na szerokiej, brudnej ulicy, której ubóstwo i wyzucie ze wszystkich powabów życia były głupio wystawione na pokaz przez niezliczone gazowe latarnie.

Przed drzwiami szynku na rogu, gdzie obfitość światła zakrawała wprost na złośliwość, u samego skraju chodnika stała dorożka. Na koźle nie było nikogo; zdawało się, że ją porzucono w rynsztoku z powodu jej beznadziejnego zniszczenia. Pani Verloc poznała wehikuł. Jego wygląd był tak rozpaczliwy, przedstawiał tak skończony obraz groteskowej nędzy o cudacznych, ponurych szczegółach, jakby to była dorożka samej Śmierci. Pani Verloc zawołała ze współczuciem, z tym pobudliwym współczuciem, jakie nieraz mają kobiety dla koni (zwłaszcza jeśli za nimi nie siedzą):

Współczucie, Zło,  
Sprawiedliwość

— Biedne zwierzę!

Stevie zatrzymał się nagle i szarpnął siostrę, pociągając ją wstecz.

— Biedne! Biedne! — wykrzyknął potakująco. — Dorożkarz także biedny. Sam mi powiedział.

Widok cherlawego, samotnego rumaka pochłonął chłopca całkowicie. Potrącany przez przechodniów, uparcie nie ruszał się z miejsca, usiłując wyrazić nowe myśli, pobudzone litością dla ludzkiej i końskiej niedoli, tak ściśle z sobą związanych. Ale to było bardzo trudne. „Biedne zwierzę, biedni ludzie!” — powtarzał, nie mogąc wymyślić nic innego. Wydało mu się to zbyt słabe i zakończył gniewnym bełkotem:

— Wstyd!

Stevie nie był mistrzem słowa i może właśnie dlatego jego myślom zbywało na jasności i precyzji. Ale jego uczuciom nie brakowało pełni i głębokości. W owym krótkim słowie zawarł całe swe oburzenie i zgrozę wobec nędzy, która musi żerować na męce drugiej nędzy — wobec biednego dorożkarza, bijącego biednego konia, poniekąd w imię czekających w domu biednych swych dzieci. A Stevie wiedział, co to jest być bitym. Wiedział z doświadczenia. Żle jest na świecie! Żle! Żle!

Pani Verloc, jedyna jego siostra i opiekunka, nie mogła rościć sobie praw do tak głębokiej wnikliwości. A przy tym nie doświadczyła na sobie czarodziejskiej wymowy dorożkarza. Nie umiała przeniknąć, co było powodem słowa: „Wstyd”. I rzekła spokojnie:

— Chodź, Stevie. Nic na to nie poradzisz.

Potulny Stevie ruszył z miejsca; ale nie kroczył już dumnie, tylko powłóczył nogami, szepcząc jakieś półsłówka, a nawet i całe słowa, które nie były jednak słowami, bo się składały z niepasujących do siebie połówek. Stevie jak gdyby usiłował zestawić ze swymi uczuciami wszystkie wyrazy, które mógł sobie przypomnieć, chcąc uchwycić myśl odpowiadającą owym uczuciom. I rzeczywiście pochwycił ją w końcu. Przystanął, aby natychmiast się wypowiedzieć:

— Świat jest zły dla biednych ludzi.

Ledwie wyraził tę myśl, od razu zdał sobie sprawę, że już zna jej wszystkie następstwa. Umocniło to w nim poczucie słuszności, pogłębiając zarazem jego gniew. Czuł, że kogoś powinno się za to ukarać — i to bardzo surowo. Ponieważ nie był sceptykiem, tylko istotą moralną, rządziły nim niejako wybuchy jego sprawiedliwego gniewu.

— Wstrętny! — dodał zwięźle.

Pani Verloc widziała teraz jasno, że Stevie bardzo jest podniecony,

— Nikt na to nie poradzi — rzekła. — No, chodźmy. To tak się mną opiekujesz?

Stevie przyśpieszył posłusznie kroku. Był dumny z tego, że jest dobrym bratem. Wy magała tego jego moralność, moralność doskonała. Ale zmartwił się, usłyszawszy odpowiedź swojej siostry Winnie — która była dobra. Nikt nie może temu zaradzić! Szedł posępnie, lecz nagle poweselał. Jak i reszta ludzkości, bezradna wobec tajemnicy wszechświata, miał chwilę kojącej wiary w zorganizowane potęgi tej ziemi.

— Policja — podsunął ufnie.

— Policja nie jest od tego — oświadczyła niedbale pani Verloc, idąc spiesznym krokiem.

Twarz Stewego bardzo się wydłużyła. Rozmyślał. Im bardziej natęzał umysł, tym luźniej zwisała jego dolna szczęka. Gdy wreszcie zaniechał intelektualnych dociekań, na twarzy jego malowała się zupełna bezmyślność.

— Nie jest od tego? — wymamrotał, zrezygnowany, lecz zaskoczony. — Nie jest od tego?

Wyrobił sobie o stołecznej policji idealne wyobrażenie, jako o dobrotliwej instytucji służącej do usunięcia zła. Pojęcie dobrotliwości kojarzyło się jak najściślej z jego przekonaniem o potędze granatowych mundurów. Lubił serdecznie wszystkich policjantów, czuł do nich szczere zaufanie. Więc się zmartwił. A przy tym zaczął podejrzewać, że członkowie policji są dwulicowi i to go rozgniewało. Gdyż Stevie był szczery i otwarty bez granic. Więc dlaczego oni udają? W przeciwieństwie do siostry, która ufała pozorom, Stevie pragnął sięgnąć do dna każdej sprawy. Prowadził dalej badania, pytając gniewnie i wyzywająco:

— Więc od czego oni są, Winnie? Od czego oni są? Powiedz.

Państwo, Sprawiedliwość,  
Rozczarowanie

Winnie nie lubiła dyskusji. Ale podjęła rozmowę, lękając się bardzo, aby Stevie z tęsknoty za matką nie poddał się zgnębieniu. Odpowiedź Winnie, daleka od ironii, brzmiała jednak w sposób, który był dość naturalny u żony pana Verloca, delegata Czerwonego Komitetu Centralnego, osobistego przyjaciela pewnych anarchistów oraz gorliwego zwolennika rewolucji socjalnej.

— Nie wiesz, od czego są policjanci, Stevie? Są od tego, żeby ci, którzy nie mają nic, nie zabierali pieniędzy tym, którzy coś mają.

Wystrzegą się czasownika „kraść”, gdyż to słowo niepokoiło jej brata. Stevie bardzo był wrażliwy na punkcie uczciwości. Wpojono mu tak starannie pewne proste zasady (ze względu na jego „oryginalność”), że same nazwy niektórych przestępstw napępiały go zgrozą. Żywe słowo robiło na nim zawsze wielkie wrażenie. Teraz również był pod wrażeniem słów Winnie; zdumiały go i pobudziły jego intelekt.

— Jak to? — spytał natychmiast niespokojnie. — Nawet jeśli są głodni? Nawet wtedy nie wolno im nic zabrać?

Zatrzymali się oboje.

— Nawet choćby byli nie wiem jak głodni — rzekła pani Verloc ze spokojem osoby, której nie obchodzi zagadnienie rozdziału bogactw, przy czym spojrzała w głąb ulicy, wypatrując omnibusu właściwej barwy. — Nawet wtedy. Ale po co o tym wszystkim mówić? Ty przecież nigdy nie jesteś głodny.

Rzuciła szybko wzrokiem na chłopca, który wyglądał u jej boku jak młodzieniec. Uważała, że jest miły, pociągający, serdeczny i tylko trochę, troszeczkę oryginalny. Nie mogła widzieć go innym, gdyż to, co wiązało ją z bratem, było urokiem silnych uczuć w jej życiu pozbawionym wszelkiego powabu — uczuć oburzenia, męstwa, litości, nawet zaparcia się siebie. Nie dopowiedziała: „I nie będziesz głodny, póki ja żyję”. Ale mogła była to dodać, gdyż poczyniła skuteczne kroki w tym celu. Pan Verloc był bardzo dobrym mężem. A Winnie wyobrażała sobie, że niepodobna Stewiego nie lubić. Nagle zawołała:

— Prędko, Stevie. Zatrzymaj ten zielony omnibus.

Stevie, nieśmiały i pełen powagi u boku siostry wspartej o jego ramię, podniósł drugie ramię wysoko nad głową przed zbliżającym się omnibusem, co wywarło pożądaną skutek.

W godzinę później pan Verloc podniósł oczy znad dziennika — czytał go lub w każdym razie patrzył nań, siedząc za ladą — i wśród zamierającego grzechotu dzwonka ujrzał Winnie, swą żonę — która przeszła przez sklep, kierując się na górę — oraz idącego za nią szwagra, Stewiego. Widok Winnie sprawiał panu Verlocowi przyjemność. Miał manię na punkcie żony. Postać szwagra nie przeniknęła do jego świadomości, albowiem w ostatnich czasach ponure zamyślenie Verloca odgradzało go jak zasłona od zjawisk zmysłowego świata. Wpatrzył się w żonę bez słowa, jakby była widziadłem. Głos pana Verloca, ten od domowego użytku, chrypliwy i spokojny, nie rozległ się owego dnia ani razu. Nie rozległ się też przy kolacji, do której pan Verloc został wezwany przez Winnie w zwykły krótki sposób: „Adolfie”. Zasiadł bez przekonania, aby spożyć posiłek, zsunąwszy kapelusz na tył głowy. Zwyczaj posilania się w kapeluszu, nadający cechę bezceremonialnej niestałości wiernemu przywiązaniu pana Verloca do domowego ogniska, nie wypływał z zamiłowania do życia poza domem, lecz z przyzwyczajenia do cudzoziemskich kawiarni.

Pan Verloc wstawał dwa razy na grzechot pękniętego dzwonka; bez słowa zniknął w sklepie i wracał, milcząc. Gdy wychodził, pani Verloc, którą nękało puste miejsce po prawej ręce, patrzyła przed siebie kamiennym wzrokiem, cierpiąc nad nieobecnością matki; Stevie zaś z tego samego powodu szurał wciąż nogami, jakby podłoga pod stołem stała się dokuczliwie gorąca. Gdy pan Verloc wracał i zasiadał na swoim miejscu, niby wcielony symbol milczenia, wyraz oczu pani Verloc podlegał subtelnej zmianie, a Stevie przestawał wiercić nogami ze względu na wielki, lękliwy szacunek dla męża siostry. Spoglądał na szwagra raz po raz ze współczuciem i poważaniem. Pan Verloc smucił się. Winnie wbiła chłopcu w głowę (jeszcze w omnibusie), że zastaną pana Verloca pogrążonego w wielkim smutku i że nie trzeba mu przeszkadzać. Gniew ojca, drażliwość lokatorów i skłonność pana Verloca do bezgranicznych cierpień były głównymi źródłami, z których Stevie czerpał opanowanie. Ze wszystkich tych uczuć, które tak łatwo było wywołać, ale nie zawsze łatwo zrozumieć, smutek pana Verloca wywierał największe wrażenie, albowiem pan Verloc był dobry. Matka i siostra Stewiego oparły ten fakt etyczny na niewzruszonych podstawach. Oparły go, ugruntowały i uświęciły bez wiedzy pana Verloca dla przyczyn

niemających nic wspólnego z abstrakcyjną moralnością. Pan Verloc wcale sobie z tego sprawy nie zdawał. Sprawiedliwość każe stwierdzić, że nie wyobrażał sobie bynajmniej, aby Stevie go miał za dobrego. A jednak tak było. Pan Verloc był nawet jedynym człowiekiem, którego chłopiec miał za dobrego, ponieważ lokatorzy zmieniali się często i mieli z chłopcem zbyt luźny kontakt, tak że w oczach Stewiego różnili się chyba tylko obuwiami; co się zaś tyczyło ojca, jego system pedagogiczny był tego rodzaju, że matka i siostra nie mogły się zdobyć na wpojenie chłopcu teorii o dobroci rodzica. Byłoby to zanadto okrutne. I kto wie, czy by Stevie temu uwierzył. Natomiast jeśli chodziło o pana Verloca, nic nie stało na przeszkodzie, aby Stevie ufał jego dobroci. Pan Verloc był najoczywiściej, choć tajemniczo dobry. A cierpienie człowieka dobrego jest wzniosłe.

Stevie rzucał na szwagra wzrokiem pełnym sympatii i szacunku. Pan Verloc był smutny. Brat Winnie nigdy jeszcze nie czuł się tak zespolony z tajemniczą dobrocią tego mężczyzny. Smutek pana Verloca był zrozumiały. Stevie był także smutny. Bardzo smutny. I z tego samego powodu. Przypomniał sobie o swym zmartwieniu, szurgnął nogami. Uczucia Stewiego przejawiały się zawsze ruchami nóg albo rąk.

— Spokojnie z nogami, kochanie — rzekła pani Verloc tkliwie i rozkazująco, po czym zwróciła się do męża i zapytała tonem obojętnym, który był mistrzowskim dziełem jej wrodzonego taktu:

— Czy wyjdiesz dziś wieczór?

Zdawało się, że sama myśl o wyjściu na miasto budzi wstręt w panu Verlocu. Potrząsnął markotnie głową i siedział bez ruchu ze spuszczonej oczami, patrząc przez całą minutę w kawałek sera leżący na talerzu. Po upływie zaś tej minuty wstał i wyszedł — po prostu wyszedł na ulicę wśród grzechotu wejściowego dzwonka. Postąpił tak niekonsekwentnie wcale nie w zamiarze, aby żonie dokuczyć; wynikło to z niepokoju, który go dręczył. Wyjście z domu nie miało żadnego sensu. Tego, czego pragnął, nie mógł znaleźć w całym Londynie. Ale wyszedł. Włókł za sobą orszak ponurych myśli wzdłuż mrocznych ulic, w poprzek jasnych ulic, wchodził do dwóch barów, jakby zamierzał spędzić tam noc, i znów wychodził, aż w końcu wrócił do swego zagrożonego domu i siadł zmęczony za ladą, a myśli skupiły się natarczywie wkoło niego jak sfera zgłodniałych czarnych ogarów. Gdy po zamknięciu domu i zgaszeniu światła szedł na górę, zabrał je z sobą — straszliwą eskortę dla człowieka udającego się na spoczynek. Żona wyprzedziła go już od pewnego czasu; roztargnione spojrzenie pana Verloca padło na jej okrągłe kształty rysujące się niewyraźnie pod kołdrą, na głowę wciśniętą w poduszkę i rękę podłożoną pod policzek; najwidoczniej była już śpiąca, co świadczyło o równowadze jej ducha. Wielkie oczy pani Verloc patrzyły bez drgnienia w przestrzeń, ciemne na tle śnieżnie białej pościeli. Nie poruszała się wcale.

Winnie miała dużo równowagi ducha. Czuła wyraźnie, że życie nie znosi, aby zanadto je zgłębiać. Na tym instynkcie ugruntowała swą mądrość i siłę. Lecz milczenie pana Verloca ciążyło jej dotkliwie już od wielu dni. Denerwowało ją. Rzekła spokojnie, leżąc bez ruchu:

— Zaziębisz się, chodząc tak w samych skarpetkach.

Te słowa, naturalne w ustach troskliwej małżonki i przezornej kobiety, zaskoczyły pana Verloca. Zostawił trzewiki na dole, a że zapomniał włożyć pantofle, kręcił się teraz bezgłośnie po sypialni jak niedźwiedź w klatce. Na głos Winnie przystanął i patrzył w nią tak długo bezmyślnym wzrokiem lunatyka, że przesunęła z lekka nogi pod kołdrą. Ale nie poruszyła ani czarną głową, spoczywającą na białej poduszce, ani dłoń wsuniętą pod policzek; wielkie, ciemne, nieruchome jej oczy nawet nie drgnęły.

Pod bezmyślnym wzrokiem męża Winnie poczuła dojmujący ucisk samotności, pamiętając wciąż o pustym pokoju z drugiej strony schodów. Nigdy przedtem nie rozstawała się z matką. Wspierały się obie nawzajem. Czuła to wyraźnie; a teraz mówiła sobie, że matka odeszła — odeszła na zawsze. Pani Verloc nie miała złudzeń. Lecz pozostał Stevie. Rzekła do męża:

— Matka postawiła na swoim. Nie widzę w tym najmniejszego sensu. Nie mogła przypuszczać, abyś jej miał dosyć. To po prostu brzydko z jej strony, że nas tak porzuciła.

Pan Verloc nie był człowiekiem czytany; zakres jego literackich aluzji był ograniczony, ale ten szczególny zbieg okoliczności nasunął mu myśl o szurkach opuszczających statek skazany na zagładę. O mało co nie wyraził głośno tej myśli. Stał się podejrzliwy

i rozgoryczony. Czyżby ta stara miała taki dobry nos? Ale bezsens tego rodzaju podejrzeń był oczywisty i pan Verloc ugryzł się w język. Jednak nie poskutkowało to w całej pełni. Mruknął niewyraźnie:

— Może to i dobrze.

Zaczął się rozbiierać. Pani Verloc leżała bez ruchu, zupełnie bez ruchu i patrzyła w przestrzeń sennym, spokojnym wzrokiem. Ale serce jej na cząstkę sekundy jakby także znie-ruchomiło. Tego wieczoru nie była, jak to mówią, „w swojej skórze” i poczuła wyraźnie, że zwykle zdanie może zawierać różne znaczenia — przeważnie nieprzyjemne. Dlaczego powiedział: może to i dobrze? Jak rozumieć te słowa? Nie pozwoliła sobie jednak pograć się w płonnych i czczych dociekaniach. Raczej utwierdziła się w przekonaniu, że życie nie znosi, aby zanadto je zgłębiać. Praktyczna i na swój sposób przebiegła, podjęła, nie tracąc czasu, temat Steviego, bo wyłączność, z jaką dążyła do celu, nabrała w niej nieomyślnej siły instynktu.

— Naprawdę, nie mam pojęcia, co zrobię, żeby przez te pierwsze dni trochę Steviego rozweselić. Będzie się gryzł od rana do wieczora, zanim się przyzwyczai do tego, że matki nie ma. A to taki dobry chłopiec. Nie mogłabym sobie bez niego poradzić.

Pan Verloc pozbywał się w dalszym ciągu odzienia wśród zadumy tak skupionej i ode-rwanej, jakby się rozbiierał samotnie w rozległej, beznadziejnej pustyni. Albowiem nadobna ziemia, nasze wspólne dziedzictwo, przedstawiała się umysłowi pana Verloca pod owym niegościnnym aspektem. I w domu, i na dworze panowała tak wielka cisza, że samotne tykanie zegara wiszącego na klatce schodowej wkradło się do pokoju, jakby szukając towarzystwa.

Pan Verloc, ległszy na łóżku po swojej stronie, za plecami pani Verloc, obrócił się, milcząc, twarzą do poduszki. Jego grube ramiona leżały na kołdrze jak poniechana broń, jak porzucone narzędzia. W owej chwili był o włos od wyznania żonie wszystkiego. Chwila wydawała mu się sprzyjająca. Zerkając bokiem, widział krągłe barki Winnie obleczone w biel, tył jej głowy z włosami zaplecionymi na noc w trzy warkocze związane u końców czarną tasiemką. Ale się powstrzymał. Pan Verloc kochał żonę tak, jak żonę kochać należy, to znaczy ze wszystkimi względami, które mężczyzna powinien mieć dla swej najcenniejszej własności. Ta głowa uczesana na noc, te krągłe barki wyglądały jak rodzinna świętość — świętość domowego spokoju. Winnie leżała bez ruchu, masywna, o kształtach zarysowanych niewyraźnie, jak szkic do leżącego posągu; pan Verloc przypomniał sobie jej szeroko rozwarte oczy patrzące w przestrzeń. Była w niej tajemniczość istot żywych. Sławny tajny agent z alarmujących raportów świętej pamięci barona Stott-Wartenheima nie był człowiekiem, który by śmiał się porwać na tajemnicę tego rodzaju. Ulegał łatwo onieśmieleniu. A przy tym cechowało go lenistwo, które tak często jest ukrytym źródłem dobroduszości. Zaniechał więc wdzierania się w tajemnicę żony, wiedziony miłością, nieśmiałością oraz lenistwem. Zawsze jeszcze będzie na to dość czasu. Przez kilka minut zmagął się, milcząc, ze swym cierpieniem wśród sennej ciszy i wreszcie zamącił ją stanowczymi słowami:

— Jadę jutro na kontynent.

Może żona już spała. Nie wiedział. Tymczasem pani Verloc usłyszała te słowa. Oczy jej były szeroko rozwarte; leżała w zupełnym bezruchu, umocniona w swym instynktowym przeświadczeniu, że życie nie znosi, aby zanadto je zgłębiać. A jednak tego rodzaju wyjazd pana Verloca nie miał w sobie nic nadzwyczajnego. Pan Verloc zaopatrywał się w towary w Paryżu i Brukseli. Często udawał się na kontynent, aby osobiście poczynić zakupy. Wokół sklepu przy Brett Street zaczynało się tworzyć niewielkie, dobrane kółko amatorów jego towaru, tajne kółko dostosowane świetnie do wszelkich interesów prowadzonych przez pana Verloca, któremu mistyczna harmonia między jego charakterem a twardą koniecznością wyznaczyła funkcję tajnego agenta do końca życia.

Poczekał chwilę i dodał:

— Nie będzie mnie tydzień, może i dwa. Zawiadom panią Neale, żeby przychodziła sprzątać.

Pani Neale posługiwała na Brett Street. Była ofiarą małżeństwa ze stolarzem nadużywającym trunków i zapracowywała się, aby zadosyćuczynić potrzebom swych licznych drobnych dzieci. Ta kobieta o czerwonych rękach, opięta po pachy w fartuch z worko-

wego płótna, ziała udręką biedy, wydzielając zapach mydlin i rumu, szorując hałaśliwie, brząkając blaszanymi wiadrami.

Pani Verloc, pełna chytrych zamysłów, odezwała się tonem najzupełniej obojętnym:

— Nie potrzebuję brać posługaczki na cały dzień. Poradzę sobie bardzo dobrze z pomocą Steviego.

Pozwoliła samotnemu zegarowi na schodach rzucić piętnaście tyknień w otchłań wieczności i rzekła:

— Czy zgasić światło?

Pan Verloc warknął na żonę ochrypłym głosem:

— Zgaś.

## IX

Pan Verloc wrócił z kontynentu po upływie dziesięciu dni, niepokrzepiony na duchu cudami oglądanymi w czasie podróży, a powrót do domowych pieleszy nie rozweselił mu oblicza. Wszedł do sklepu wśród grzechotu dzwonka, ponury, zdrożony i gniewny. Z torbą w ręku, ze spuszczoną głową, udał się zaraz wielkimi krokami za ladę i opadł na krzesło, jakby przebył pieszo całą drogę, poczynając od Dover. Był wczesny ranek. Stevie, który odkurzał różne przedmioty rozłożone na wystawie, odwrócił się i wpatrzył w niego z otwartymi ustami, pełen czci i lęku.

— Weź to — rzekł pan Verloc, kopnąwszy z lekka torbę leżącą na podłodze. Stevie rzucił się na torbę, porwał ją i uniósł z miną pełną tryumfu i uwielbienia. Uwinął się tak szybko, że pan Verloc był tym wyraźnie zaskoczony.

Na grzechot dzwonka pani Neale, która czyściła grafitem palenisko kominka, zajrzała przez drzwi i dźwignąwszy się z kolan, poszła w fartuchu, ubrudzona od ustawicznego znoju, powiedzieć w kuchni pani Verloc, że „pan właśnie wrócił”.

Winnie podeszła tylko do drzwi łączących salonik ze sklepem.

— Zjesz pewno śniadanie — rzekła z daleka.

Pan Verloc poruszył z lekka rękami, jakby mu narzucano coś niemożliwego. Lecz zwabiony do saloniku, nie odmówił ustawionego przed sobą śniadania. Jadł z kapeluszem zsuniętym na tył głowy, jakby siedział w publicznym lokalu, a poły grubego płaszcza zwisały trójkątnie po obu stronach krzesła. Oddalona o całą długość stołu pokrytego brunatną ceratą, Winnie, jego żona, ciągnęła zwyczajem żon swoją opowieść, z pewnością równie zręcznie przystosowaną do okoliczności jego powrotu, jak opowieść Penelopy<sup>72</sup> do powrotu wędrownego Odysa. Lecz pani Verloc nie była zajęta tkaniem podczas nieobecności małżonka; dopilnowała natomiast, aby wszystkie pokoje na piętrze zostały porządnie sprzątnięte, sprzedawała trochę towaru i kilka razy widziała się z Michaelisem. Powiedział jej ostatnim razem, że wyjeżdża na dłuższy pobyt do pewnej willi na wsi, gdzieś na linii Londyn–Chatham–Dover. Karl Yundt także raz przyszedł, prowadzony pod rękę przez tę swoją starą, złą gospodynię. Yundt jest „obrzydliwym starym dziadem”. O wizycie Ossipona, którego przyjęła chłodno zsańca lady, z kamienną twarzą i wzrokiem jakby nieobecny, nie powiedziała nic, a jej wspomnienie o krępkim anarchiście zaznaczyło się krótką przerwą w opowiadaniu i prawie niedostrzegalnym rumieńcem. Przy pierwszej sposobności wprowadziła Stewiego w tok domowych wydarzeń i powiedziała, że chłopiec bardzo był przygnębiony.

— A wszystko to dlatego, że matka nas opuściła.

Pan Verloc nie powiedział ani „Cholera!”, ani „Do diabła z tym Steviem!”. Pani Verloc zaś, niewtajemniczona w myśli męża, nie mogła ocenić szlachetności jego opanowania.

— Ale pomimo to pracował równie dobrze jak zwykle — ciągnęła dalej. — Przydał mi się bardzo. Chyba nie ma rzeczy, której by dla nas nie zrobił.

Pan Verloc rzucił na Stewiego niedbałe, senne spojrzenie; chłopiec siedział na prawo od szwagra, delikatny, blady; jego różowe wargi były bezmyślnie rozchylone. Spojrzenie pana Verloca nie zawierało krytycyzmu. Rzucił je machinalnie. A jeśli mu przemknęło

<sup>72</sup>Penelopa (mit. gr.) — opisana w *Odysei* żona Odysusza, która przez 20 lat wiernie czekała na powrót męża z wojny trojańskiej. W tym czasie zwodziła ubiegających się o jej rękę zalotników, obiecując, że wyjdzie ponownie za mąż, gdy skończy tkać całun dla teścia, lecz każdej nocy pruć robioną w dzień tkaninę. [przypis edytorski]

przez głowę, że brat jego żony wygląda na skończonego niedojdę, była to myśl niewyraźna i przelotna, pozbawiona tej siły oraz trwałości, które sprawiają, że myśl niekiedy zdolna jest dźwignąć świat z posad. Pan Verloc zdjął kapelusz i rozparł się na krześle. Zanim jego wyciągnięta ręka zdołała odłożyć kapelusz, Stevie rzucił się nań i z szacunkiem zaniósł go do kuchni. Pan Verloc poczuł się znów zaskoczony.

— Ty mógłbyś zrobić wszystko z tym chłopcem, Adolfie — rzekła pani Verloc z wyrazem niezmałconego spokoju. — On by w ogień poszedł za ciebie, on....

Urwała, nasłuchując bacznie z uchem zwróconym w stronę kuchni.

Pani Neale szorowała tam podłogę. Na widok Stewiego stęknęła żałośliwie, albowiem zauważyła już dawno, że łatwo go skłonić do ofiarowania na rzecz jej drobnych dzieci szylinga, którym siostra Winnie obdarzała go od czasu do czasu. Pani Neale zaczęła więc od zwykłego wstępu, pełzając na czworakach wśród kałuż rozlanych po podłodze, mokra i utyłana, niby jakieś ziemnowodne zwierzę domowe żyjące w popielniku i brudnej wodzie.

— Tobie to dobrze na świecie, nic nie robisz jak jaki hrabia.

I ciągnęła dalej w tym sensie odwieczną, wzruszając kłamliwą skargę nędzarzy, skargę, która nabierała wiarygodności od okropnego zapachu mydlin i taniego rumu. Pani Neale szorowała z zawziętością, pociągając wciąż nosem i mówiąc bez przerwy. Była najzupełniej szczerą. A z obu stron jej cienkiego, czerwonego nosa kaprawe i zamglone oczy tonęły we łzach, albowiem z rana dolegał jej zawsze brak jakiegoś podniecającego środka.

W saloniku pani Verloc powiedziała ze znajomością rzeczy:

— Pani Neale piłuje znów opowiadaniem o swoich drobnych dzieciach. To niemożliwe, żeby wszystkie były takie małe, jak twierdzi. Starsze musiały już powyrastać i powinny zabrać się do roboty. Ta gadanina tylko irytuje Stewiego.

Odgłos podobny do uderzenia pięścią w stół potwierdził te słowa. Serce Stewiego jak zwykle wezbrało współczuciem i chłopiec wpadł w złość, nie znalazłszy w kieszeni szylinga. Nie mogąc ulżyć natychmiast losowi „drobiazgu” pani Neale, poczuł, że to się musi na kimś skrupić. Pani Verloc wstała i poszła do kuchni, aby położyć kres „tym głupstwom”. Zrobiła to stanowczo, lecz łagodnie. Wiedziała doskonale, że pani Neale natychmiast po dostaniu pieniędzy uda się za róg ulicy do nędznego, zatęchłego szynku — nieuniknionej stacji na *via dolorosa*<sup>73</sup> jej życia.

— To nic dziwnego, cóż ona pocznie, musi się jakoś pokrzepić. Jestem pewna, że na jej miejscu robiłabym to samo.

Ta uwaga pani Verloc uderzała niespodziewaną głębią, gdyż pochodziła od osoby wcale nie skłonnej do badania zjawisk życiowych.

Tego samego dnia po południu pan Verloc długo drzemał przed kominkiem, budząc się od czasu do czasu; nagle ocknął się na dobre ze wstrząsem i oświadczył, że idzie na spacer. Winnie odezwała się do niego ze sklepu:

— Chciałabym, żebyś zabrał z sobą chłopca, Adolfie.

Po raz trzeci w tym dniu pan Verloc poczuł się zaskoczony. Wybałuszył idiotycznie oczy na żonę. A Winnie mówiła dalej spokojnie. Chłopiec, o ile nie jest czymś zajęty, gryzie się i nudzi w domu, a to ją niepokoi i denerwuje. Te słowa w ustach spokojnej Winnie wyglądały przesadnie. Ale Stevie czuł się naprawdę nieszczęśliwy — zupełnie w taki sam sposób, jak się to zdarza zwierzętom domowym. Wchodził na schody i w ciemności siadał tam u stóp wielkiego zegara, podciągnąwszy kolana i objąwszy głowę rękami. Przykro było spojrzeć nagle jego wybladłą twarz i wielkie oczy połyskujące w mroku; myśl, że on tam siedzi na górze, nie dawała Winnie spokoju.

Pan Verloc oswoił się z dziwnym pomysłem żony. Kochał ją tak, jak mąż kochać powinien — to znaczy całym sercem. Ale przyszło mu do głowy ważne zastrzeżenie i zaraz je wypowiedział:

— Jeszcze straci mnie z oczu i zgubi się na ulicy — rzekł.

Pani Verloc pokręciła głową ze świadomością rzeczy.

— Nie zgubi się. Ty go nie znasz. Ten chłopiec wprost cię ubóstwia. Ale gdyby się gdzieś zapodział...

Pani Verloc zatrzymała się na chwilę, lecz tylko na chwilę.

<sup>73</sup>*via dolorosa* (łac.) — dosł.: droga cierpienia; droga krzyżowa. [przypis edytorski]



— Po prostu idź dalej i dokończ spaceru. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Nic mu się nie stanie. Zjawi się wkrótce z powrotem zdrów i cały.

Ten optymizm sprawił panu Verlocowi czwartą w owym dniu niespodziankę.

— Tak? — mruknął z powątpiewaniem. Lecz może jego szwagier nie był takim idiotą, na jakiego wyglądał. Żona musi przecież wiedzieć najlepiej. Odwrócił od niej ociężałe oczy, rzekł chrypliwie: — No więc niech idzie — i popadł znów we władzę ciężkiej zgryzoty, która może i woli tkwić za plecami jeźdźca<sup>74</sup>, ale potrafi także następować na pięty ludziom niemogącym sobie pozwolić na trzymanie koni, jak na przykład pan Verloc.

Winnie, stojąc u drzwi sklepu, nie widziała owej złowrogiej towarzyszki pana Verloca. Śledziła obu mężczyzn idących nędzną uliczką — jeden był wysoki i tęgi, drugi szczupły, drobny, o cienkiej szyi i chudych barkach nieco wzniesionych pod dużymi, na wpół przezrystymi uszami. Palta ich obu były z tego samego materiału, a kapelusze czarne i okrągłe. Uderzona podobieństwem ich odzienia, pani Verloc puściła wodze wyobraźni:

— Zupełnie jak ojciec z synem — powiedziała sobie. Przyszło jej także na myśl, iż jeśli biedny Stevie mógł kogo w życiu nazwać ojcem, to tylko pana Verloca. Zdawała sobie również sprawę, iż to było jej dziełem. Pełna spokojnej dumy, powinszowała sobie decyzji, którą powzięła przed kilku laty, decyzji okupionej dużym wysiłkiem i nawet łzami.

Winszowała sobie jeszcze bardziej, gdy po pewnym czasie zauważyła, że pan Verloc zaczął się odnosić jakby łaskawie do towarzysza swych spacerów. Kiedy był gotów do wyjścia, wołał głośno na chłopca — mniej więcej takim tonem, jakim przyzywamy domowego psa, aby nam towarzyszył — choć oczywiście trochę inaczej. W domu można było nieraz zauważyć, że pan Verloc przypatrywał się Steviemu z ciekawością. W zachowaniu Verloca zaszła zmiana. Milczący był wciąż, ale mniej obojętny. Pani Verloc uważała, że chwilami jest dość zdenerwowany. Można to było uznać za postęp. Natomiast Stevie już się nie gryzł, przycupnąwszy pod zegarem, lecz mruczał do siebie po kątach groźnym tonem. Na zapytanie: „Co ty tam mówisz, Stevie?” otwierał usta i spoglądał na siostrę z ukosa. Czasem zaciskał pięści bez żadnej widocznej przyczyny; często zastawało się go, jak siedział samotnie, spoglądając groźnie na ścianę, a papier do rysowania kół był pusty i leżał na kuchennym stole obok beczynnego ołówka. Była to również zmiana, ale nie na lepsze. Pani Verloc, określając te wszystkie dziwactwa ogólną nazwą podniecenia, zaczęła przypuszczać, że Stevie przysłuchuje się za często rozmowom męża z przyjaciółmi. W ciągu swych „przechadzek” pan Verloc oczywiście spotykał różnych ludzi i wiódł z nimi rozmowy. Inaczej być nie mogło. Spacerowały stanowiły niezbędną część jego działalności poza domem, działalności, w którą żona nigdy bliżej nie wglądała. Pani Verloc czuła, że sytuacja jest delikatna, lecz odnosiła się do niej z tym samym nieprzeniknionym spokojem, który uderzał, nawet zdumiewał klientów sklepu i sprawiał, że goście odwiedzający Verloców trzymali się trochę z daleka z pewnym zdziwieniem. Tak! Pani Verloc obawiała się, że Stevie słyszy różne rzeczy dla niego szkodliwe, i oświadczyła to mężowi. Dodała, iż takie rozmowy tylko rozdrażniają Steviego na próżno, bo przecież chłopiec nie może złemu zaradzić. Nikt złemu zaradzić nie może.

Działo się to w sklepie. Pan Verloc nic nie odrzekł. Nie odrzekł nic, choć odpowiedź sama się nasuwała. Ale powstrzymał się od przypomnienia żonie, że pomyślał, aby Stevie towarzyszył mu na spacerach, nie wyszedł od nikogo innego, tylko od niej. Bezstronnemu obserwatorowi byłby się pan Verloc wydał w owej chwili nadludzki w swej wspaniałomyślności. Zdjął z półki małe tekturowe pudełeczko, zajrzał doń, aby sprawdzić, czy jego zawartość jest w porządku, i położył je z wolna na ladzie. Dopiero wówczas przerwał milczenie, aby powiedzieć, że Steviemu na pewno by świetnie zrobiło, gdyby go wysłać na jakiś czas z miasta, tylko że Winnie pewno nie mogłaby bez niego się obejść.

— Nie mogłabym bez niego się obejść — powtórzyła z wolna pani Verloc. — Nie mogłabym bez niego się obejść, kiedy chodzi o jego dobro! Cóż znowu! Naturalnie, że mogę bez niego się obejść. Ale on nie ma dokąd pojechać.

Pan Verloc wydobyl arkusz brunatnego papieru i kłębek sznurka, przy czym mruknął, że Michaelis przebywa na wsi w małej willi. Nie odmówiłby Steviemu pokoju, gdzie by

<sup>74</sup>ciężkiej zgryzoty, która może i woli tkwić za plecami jeźdźca — nawiązanie do słów ody rzym. poety Horacego (*Pieśni* III, 1): *Za plecami jeźdźca siedzi czarna troska.* [przypis edytorski]

chłopiec mógł nocować. Nikt tam nie przyjeżdża i żadnych rozmów nie będzie. Michaelis pisze książkę.

Pani Verloc oświadczyła, że ma dla Michaelisa dużo sympatii, napomknęła, iż nie cierpi Karla Yundta, tego „wstrętnego starca”, Ossipona zaś pominęła milczeniem. Naturalnie, że to by zrobiło Steviemu wielką przyjemność. Michaelis był dla niego zawsze taki miły i serdeczny. Pewnie lubi chłopca. No bo też to taki dobry chłopiec.

— Zdaje mi się, że w ostatnich czasach ty także go polubiłeś — dodała po chwili z niezłomną pewnością siebie.

Pan Verloc, obwiązując tekturowe pudełko, które miał wysłać pocztą, zerwał sznurek wskutek nieostrożnego szarpnięcia i wymruczał pod nosem kilka przekleństw. Potem rzekł głośniejszym ochryplym tonem, że zabierze na wieś Stewiego i zostawi go tam pod opieką Michaelisa.

Wykonał swój projekt nazajutrz. Stevie nie miał nic przeciw wyjazdowi. Odnosił się do tego projektu nawet z pewnym zapalem, choć był jakby oszołomiony. Raz po raz zwracał badawczo naiwne oczy na duże oblicze pana Verloca, zwłaszcza, kiedy siostra na nich nie patrzyła. Wyraz jego twarzy był dumny, a zarazem lękliwy i skupiony, jak u małego dziecka, któremu pierwszy raz powierza się pudełko z zapalnikami, pozwalając jedną zapalić. Pani Verloc, ucieszona powolnością Stewiego, przykazała mu, aby na wsi nie zbrudził ubrania. Słyszając to, Stevie zwrócił na swoją siostrę i opiekunkę spojrzenie, któremu pierwszy raz w życiu zbywało na głębokiej dziecięcej ufności. Było wyniosłe i chmurne. Pani Verloc uśmiechnęła się.

— Mój ty Boże, nie potrzebujesz się obrażać. Przecież wiesz, Stevie, jak się zawsze ubrudzisz, kiedy ci się zdarzy sposobność.

Pan Verloc był już na ulicy i szedł naprzód.

Tedy na skutek bohaterskiego postępków matki oraz wyjazdu na wieś brata, pani Verloc częściej niż zwykle przebywała samotnie nie tylko w sklepie, ale i w mieszkaniu. Albowiem pan Verloc musiał odbywać swoje spacerunki. W dniu, kiedy nastąpił zamach w Greenwich Parku, Winnie była samotna dłużej niż zwykle, bo pan Verloc wyszedł z rana bardzo wcześnie i wrócił dopiero o zmierzchu. Winnie nie miała nic przeciw samotności. Wychodzić jej się nie chciało. Pogoda była okropna i w sklepie było przyjemniej niż na ulicy. Winnie szła coś, siedząc za ladą, i nie podniosła oczu, kiedy pan Verloc wszedł wśród napastliwego grzechotu dzwonka; poznała jego kroki rozlegające się po trotuarze.

Nie podniosła oczu, ale gdy pan Verloc w kapeluszu nasuniętym na czoło skierował się, milcząc, wprost do drzwi saloniku, rzekła pogodnie:

— Cóż za okropny czas. Byłeś może u Stewiego?

— Nie! nie byłem — rzekł cicho pan Verloc i zatrzasnął za sobą szklane drzwi z niedziewaną energią.

Pani Verloc siedziała czas jakiś beczynnym z robotą spoczywającą na kolanach, wreszcie schowawszy ją pod ładę, wstała z krzesła, aby zapalić gaz. Potem weszła do saloniku, kierując się do kuchni. Pan Verloc będzie zaraz chciał herbaty. Znając siłę swych wdzięków, Winnie w codziennym życiu nie wymagała od męża ceremonialnej uprzejmości i dwornego obejścia; były to formy co najmniej czcze i przestarzałe, zapewne nigdy ściśle nie przestrzegane, lekceważone dziś nawet w najwyższych sferach, a zawsze obce zwyczajom jej środowiska. Nie spodziewała się po mężu ugrzecznienia. Ale był dobrym mężem i lojalnie uznawała jego prawa.

Byłaby przeszła przez salonik w drodze do kuchni, dokąd wzywały ją obowiązki gospodyni — byłaby przeszła z niezamąconą pogodą kobiety ufającej sile swych wdzięków, ale wpadł jej w ucho lekki, bardzo lekki i szybki odgłos jakby szczekania. Pochłonął jej uwagę, dziwny i niepojęty. Gdy zrozumiała wreszcie, co to za odgłos, stanęła jak wryta, zdumiona i zakłopotana. Potarłszy zapalnik o pudełko trzymane w ręku, odkręciła i zapaliła nad stołem jeden z dwóch palników gazowych, a że funkcjonował nieco wadliwie, gwizdnął jakby ze zdziwienia, a potem zaczął mruzczyć niby zadowolony kot.

Pan Verloc, wbrew zwyczajowi, zrzucił z siebie palto. Leżało na kanapie. Kapelusz, widać też odrzucony, spoczywał pod kanapą. Pan Verloc siedział na krześle przysuniętym tuż do kominka, pochylony nisko nad żarem, z głową w dłoniach i nogami zbliżonymi do ognia. Zęby mu szczękały z niepohamowaną gwałtownością i cały jego ogromny grzbiet drgał w takt tego szczekania. Pani Verloc się złąła.

— Przemokłeś — powiedziała.

— Nie bardzo — zdołał wyjąkać pan Verloc, wzdrygnąwszy się mocno. Zdobył się na wielki wysiłek i przestał szczękać zębami.

— Jeszcze mi się rozchorujesz — rzekła z prawdziwym niepokojem.

— Chyba nie — odrzekł pan Verloc, dysząc chrapliwie przez nos.

Widać zdołał się paskudnie zaziębić między siódmą rano i piątą po południu. Pani Verloc patrzyła na jego zgięte plecy.

— Gdzieżeś był dzisiaj? — spytała.

— Nigdzie — odrzekł przez nos cichym, zduszonym głosem. Jego poza zdradzała przygnębienie albo silny ból głowy. Wykrętność i nieszczerłość tej odpowiedzi uwydatniła się w przykry sposób wśród głuchoj ciszy pokoju. Odchrząknął, jakby chcąc się usprawiedliwić, i rzekł:

— Byłem w banku.

Pani Verloc nadstawiła ucha.

— Tak? — rzekła obojętnie. — A po co?

Pan Verloc mruknął z nosem zwieszonym nad paleniskiem, nie ukrywając niechęci;

— Podjąłem pieniądze.

— Jak to? Wszystkie?

— Tak. Wszystkie.

Pani Verloc rozłożyła starannie kusą ceratę, wyjęła z szuflady w stole dwa noże oraz dwa widelce i nagle przerwała te codzienne czynności.

— Po coś to zrobił?

— Może będą wkrótce potrzebne — sapnął ogólnikowo pan Verloc, znalazłszy się u kresu celowych zwierzeń.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała jego żona tonem zupełnie obojętnym, lecz stanęła jak wryta między stołem a kredensem.

— Wiesz, że możesz mi ufać — odezwał się pan Verloc do paleniska głosem ochrypłym i pełnym uczucia.

Pani Verloc zwróciła się powoli w stronę kredensu i rzekła po namyśle:

— O tak. Ufam ci.

I wzięła się z powrotem do swych metodycznych czynności. Postawiła dwa talerze, wyjęła chleb i masło, krzątając się spokojnie między stołem a kredensem wśród ciszy domowego ogniska. W chwili gdy wyjmowała marmoladę, pomyślała rzeczowo: „Będzie głodny, cały dzień był poza domem” i wróciła jeszcze raz do kredensu po zimną pieczeń. Postawiła ją pod mruczającym płomykiem gazu; rzuciwszy przelotne spojrzenie na męża, który podsyczał ogień, zeszła po dwóch schodkach do kuchni. Dopiero gdy wróciła, trzymając nóż do krajania mięsa i widelec, odezwała się znowu:

— Gdybym ci nie ufała, nie byłabym za ciebie wyszła.

Zgięty pod gzymsem kominka, pan Verloc trzymał się za głowę oburącz i zdawał się spać. Winnie, przygotowawszy herbatę, wezwała go półgłosem:

— Adolfe.

Pan Verloc wstał natychmiast i zatoczył się nieco, nim usiadł przy stole. Winnie obejrzała ostrze noża, położyła go na półmisku i poczęstowała męża pieczenią. Nie zareagował na to i siedział z głową opuszczoną na piersi.

— Zziąbłeś, więc powinieneś coś zjeść — zawyrokowała pani Verloc.

Spojrzał na nią i potrzęsął głową. Oczy nabiegły mu krwią, twarz była czerwona, a czupryna w swawolnym nieporządku. Jego podejrzany wygląd zdradzał niepokój, irytację i ponurość, jak po wyzudanej rozpustnie. Lecz pan Verloc nie był rozpustny. Prowadził się bez zarzutu. Taki wygląd mógł być spowodowany atakiem febry. Wypił trzy filiżanki herbaty, ale nie tknął jedzenia. Wzdrażał się chmurnie ze wstrętem, kiedy pani Verloc podsuwała mu potrawy. W końcu rzekła:

— Czy nie przemoczyłeś nóg? Włóż pantofle. Nie wyjdiesz już chyba dziś wieczór.

Pan Verloc dał do zrozumienia gestami i osowiałym pomrukiem, że nóg nie przemoczył i że w ogóle nic go to nie obchodzi. Propozycję włożenia pantofli pominął jako niezasługującą na uwagę. Ale na kwestię wyjścia z domu zareagował w sposób nieoczekiwany. Nie zamierzał wyjść teraz z domu. Układał w myśli szersze plany. Z jego markotnych,

Gospodyni

urywanych zdań wynikało, że rozpatrywał możliwość emigracji. Trudno było wyrozumieć, czy ma na myśli Francję, czy też Kalifornię.

To mętne oświadczenie, w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, ujawniło się tak niespodzianie i było do tego stopnia niepojęte, że nie sprawiło należytego wrażenia. Pani Verloc odpowiedziała z najzupelniejszym spokojem, jakby mąż groził jej końcem świata:

— Też pomysł!

Pan Verloc oświadczył, że jest chory, że wszystko go męczy, a w dodatku...

Przerwała mu:

— Zaziębiłeś się porządnie.

I rzeczywiście pan Verloc był w dziwnym stanie, i fizycznym, i nawet duchowym. Posępne niezdecydowanie odjęło mu głos na chwilę. Potem wymruczał kilka złowróżbnych ogólników o twardej konieczności.

— Będziesz musiał emigrować? — powtórzyła Winnie, siedząc spokojnie ze złożonymi rękami naprzeciw męża. — Chciałabym wiedzieć, kto cię do tego zmusi. Przecież nie jesteś niewolnikiem. Nikt tutaj nie jest niewolnikiem... i ty także nie potrzebujesz robić z siebie niewolnika. — Zamilkła na chwilę i ciągnęła dalej z niewzruszonym spokojem: — Interes idzie nieźle. Dom masz wygodny.

Rozejrzała się po saloniku, od stojącego w rogu kredensu aż do ognia palącego się na kominku. Mieszkanie Verloców, ukryte bezpiecznie i zacisznie za sklepem o podejrzanych towarach, o tajemniczo przyćmionym oknie i drzwiach uchylonych dwuznacznie na ciemną, wąską uliczkę, było bez zarzutu pod względem podstawowych zalet przyzwyczajenia i wygody. W owej chwili Winnie odczuwała w nim brak ukochanego brata, który rozkoszował się pobytami na wilgotnej wsi wśród łąk Kentu, pod opieką pana Michaelisa. Brakowało jej Steviego dotkliwie, tęskniła za nim całą siłą opiekuńczej miłości. Ten dom był również domem jej chłopca — ten dach i kredens, i ogień podsycany na kominku. Na tę myśl pani Verloc wstała, podeszła do przeciwległego końca stołu i rzekła z pełni serca:

— I znudzić ci się nie znudziłam.

Pan Verloc milczał. Winnie oparła się z tyłu o ramię męża i przycisnęła wargi do jego czoła. Trwała tak czas jakiś. Żaden szmer nie przenikał do nich z zewnętrznego świata. Odgłosy kroków na chodniku zamierały w dyskretnym półcieniu sklepu. Tylko płomyk gazu nad stołem mruczał równo, jak kot, w ponurej ciszy saloniku.

Gdy wargi Winnie dotknęły niespodzianie czoła męża, pan Verloc chwycił się rękami brzegów krzesła, zachowując hieratyczny bezruch. Z chwilą gdy pocałunek się skończył, puścił krzesło, podniósł się i zbliżył do kominka. Nie odwracał się już od pokoju. Wodził oczami za każdym ruchem żony; twarz miał opuchniętą i wyglądał jakby był pod wpływem narkotyku.

Pani Verloc krzątała się pogodnie, sprząając ze stołu. Jej spokojny głos omawiał zwykłym tonem, rozsądnym i swojskim, myśl rzuconą przez męża. Ten projekt nie wytrzymał krytyki. Potępiła go ze wszystkich względów — ale w gruncie rzeczy chodziło jej tylko o Steviego. Zważywszy na pewną jego „dziwaczność”, sądziła, że nie jest wskazane wywozić go nagle za granicę. O to jej tylko chodziło. Omawiając tę kwestię, stała się niemal popędliwa. Jednocześnie szybkimi ruchami włożyła fartuch, aby zmyć filizanki. I jakby podniecona dźwiękiem własnego głosu, któremu nikt się nie przeciwstawił, posunęła się tak daleko, że oświadczyła tonem prawie cierpkim:

— Jeśli się wybierasz za granicę, będziesz musiał jechać beze mnie.

— Ty wiesz, że bez ciebie bym nie pojechał — rzekł chrypliwie pan Verloc, a matowy głos, którego używał w życiu prywatnym, drżał od zagadkowego wzruszenia.

Pani Verloc już pożałowała wypowiedzianych słów. Zabrzmiały mniej uprzejmie, niż to leżało w jej zamiarze. Przy tym był w nich nierozsądek, jak i we wszystkim, co zbyteczne. W gruncie rzeczy nie chciała tego powiedzieć. Te słowa były jakby podszeptem przez demona złych natchnień. Lecz wiedziała, jak je wymazać z pamięci męża.

Odwróciła głowę i znad ramienia rzuciła mężczyźnie stojącemu ciężko przed kominkiem na wpół zalotne, na wpół okrutne spojrzenie wielkich oczu — spojrzenie, do którego nie byłaby nigdy zdolna dawna Winnie, z czasów gdy mieszkała jeszcze w Belgravi, albowiem cechowały ją wówczas skromność i naiwność. Lecz ten mężczyzna był teraz

Miłość

jej mężem, a naiwną być już przestała. Nie zdejmując z niego oczu przez całą sekundę, patrzyła z twarzą poważną, nieruchomą jak maska i w końcu rzekła żartobliwie:

— Nie mógłbyś beze mnie wyjechać. Znadto byś za mną tęsknił.

Pan Verloc ruszył naprzód.

— Otóż to właśnie — rzekł głośniejszym głosem i szedł ku niej, wyciągnawszy ramiona. Coś dzikiego i mętnego w jego twarzy nasuwało wątpliwość, czy chce udusić żonę, czy też ją objąć. Ale grzechot dzwonka wejściowego odwrócił uwagę pani Verloc od tego przejawu uczuć.

— Dzwonek, Adolfie. Idź do sklepu.

Przystanął; jego ramiona z wolna opadły.

— No idźże — powtórzyła pani Verloc. — Ja jestem w fartuchu.

Pan Verloc usłuchał i odwrócił się jak drewniany automat o kamiennym wzroku i twarzy pomalowanej na czerwono. A to podobieństwo do automatu było tak zupełne, że miał nawet idiotyczny wyraz twarzy, niby automat zdający sobie sprawę z tkwiącej w nim maszyny.

Zamknął drzwi od saloniku, pani Verloc zaś poszła żwawo do kuchni, odnosząc tacę. Pomyła filiżanki i trochę innych naczyń, a potem przerwała pracę i zaczęła nasłuchiwać. Żaden dźwięk nie dosięgnął jej uszu. Widocznie któryś z klientów zasiedział się w sklepie. Był to klient, bo pan Verloc nie wprowadził go do mieszkania. Rozwiązawszy szybkim ruchem tasemki fartucha, cisnęła go na krzesło i wróciła powoli do saloniku.

W tej samej chwili ukazał się we drzwiach pan Verloc.

Wyszedł z saloniku czerwony. Wrócił dziwnie blady — jak papier. Jego twarz nie była już oziębiała niby pod wpływem gorączki lub narkotyku; malowały się na niej pomieszanie i zgrzyzota. Podeszedł wprost do kanapy i stanął, spoglądając na leżące tam swoje palto, jakby się bał go dotknąć.

— Co się stało? — zapytała pani Verloc stłumionym głosem. Przez uchylone drzwi dostrzegła, że klient jeszcze nie wyszedł.

— Okazuje się, że będę musiał wyjść — rzekł pan Verloc. Nie schylił się jednak po palto.

Bez słowa Winnie udała się do sklepu i zamknawszy za sobą drzwi, poszła za ladę. Nie spojrziała otwarcie na klienta, póki nie usadowiła się wygodnie na krześle. Ale spostrzegła, że gość był wysoki i szczupły, a wąsy miał podkręcone. I właśnie w owej chwili poprawiał ich spiczaste końce. Jego długa, koścista twarz wychylała się z podniesionego kołnierza. Był trochę obryzany błotem, trochę mokry od deszczu. Śniady brunet; jego kości policzkowe rysowały się wyraźnie pod nieco zakłębionymi skroniami. Zupełnie obcy człowiek. Wcale nie klient. Pani Verloc przyglądała mu się spokojnie.

— Pan przyjeżdża z kontynentu? — odezwała się po chwili.

Wysoki, szczupły nieznajomy, nie patrząc właściwie na panią Verloc, odpowiedział tylko nikłym, dziwnym uśmiechem.

Spokojny i obojętny wzrok pani Verloc spoczywał na nim.

— Pan rozumie po angielsku, nieprawdaż?

— O tak. Rozumiem po angielsku.

W jego akcencie nie było nic cudzoziemskiego, tylko wymawiał słowa wolno, jakby mu to przychodziło z trudnością. Pani Verloc, opierając się na różnorodnych swych doświadczeniach, doszła do wniosku, że niektórzy cudzoziemcy mówią lepiej po angielsku niż sami Anglicy. Powiedziała, nie odwracając oczu od drzwi saloniku:

— Czyba pan nie zamierza pozostać w Anglii na stałe?

Nieznajomy znów się uśmiechnął, milcząc. Miał miły wyraz ust i bystre oczy. Zapreczył głową jakby z pewnym smutkiem.

— Mój mąż pomoże panu i wszystko będzie dobrze. A tymczasem najlepiej pan zrobi, jeśli pan zamieszka na kilka dni u Guiglianigo, w hotelu Continental. To coś w rodzaju pensjonatu. Spokojnie tam. Mój mąż pana zaprowadzi.

— Dobra myśl — rzekł szczupły brunet, którego wzrok nagle stwardniał.

— Pan znał już przedtem mojego męża, co? Może we Francji?

— Słyszałem o nim — przyznał gość; mówił powoli, mozolnie, przy czym czuło się z jego tonu, że nie chce się wdawać w rozmowę.

Zapadło milczenie. Potem nieznajomy odezwał się znowu tonem znacznie naturalniejszym:

— Może pani mąż wyszedł już i czeka na mnie na ulicy?

— Na ulicy! — powtórzyła zaskoczona pani Verloc. — To niemożliwe. Nie ma tu innego wyjścia z mieszkania.

Przez chwilę siedziała obojętnie, potem wstała z krzesła i zajrzała do saloniku, uchylwszy oszklonych drzwi. Nagle je otworzyła i znikła.

Pan Verloc przez cały ten czas tylko włożył palto. Ale dlaczego stanął potem przy stole, wsparty o niego oburącz, jakby czuł zawrót głowy lub mdłości? Winnie nie mogła nic z tego zrozumieć.

— Adolfie — zawołała półgłosem, a gdy się wyprostował, dodała szybko: — Czy znasz tego człowieka?

— Ze słyszenia — odszepnął niespokojnie pan Verloc, rzucając na drzwi wściekłym wzrokiem.

W pięknych, obojętnych oczach Winnie zapaliła się błyskawica wstrętu.

— To pewno jeden z przyjaciół Karla Yundta... tego przebrzydłego starego grzyba.

— Ach, nie — zaprzeczył pan Verloc, zajęty wydostawaniem kapelusza spod kanapy. Ale, wyprostowawszy się, trzymał go w rękę, jakby nie zdając sobie sprawy, do czego służy kapelusz.

— No więc... on czeka na ciebie — rzekła w końcu pani Verloc. — Słuchaj, Adolfie, czy to nie jest któryś z tych ludzi z ambasady, co to przyczynili ci ostatnio tyle kłopotu?

— Przyczynili mi ostatnio tyle kłopotu? — powtórzył pan Verloc, wstrząsnąwszy się ze zdumienia i strachu. — Kto ci mówił o ludziach z ambasady?

— Ty sam.

— Ja? Ja? Mówiłem ci o ambasadzie?

Pan Verloc wydawał się zmieszany i przerażony bez granic. Żona mu wyjaśniła:

— W ostatnich czasach mówiłeś czasem przez sen, Adolfie.

— Co... co ja mówiłem? Co ty wiesz?

— Nic szczególnego. Przeważnie mówiłeś od rzeczy. Zrozumiałam tylko, że coś cię dręczy.

Pan Verloc włożył kapelusz. Purpurowa fala gniewu zalała mu twarz.

— Więc mówiłem od rzeczy? Och, ci z ambasady! Darłbym pasy z nich wszystkich. Ale niech się strzegą. Mam język w gębie.

Kipiał ze złości, chodząc tam i na powrót między stołem a kanapą; jego rozpięte palto zawadzało o wszystkie rogi. Czerwona fala gniewu odpłynęła i twarz zblęiała mu znowu, a nozdrza wciąż drgały. Dla uproszczenia sytuacji pani Verloc przypisała te objawy zaziębieniu.

— No więc kimkolwiek jest ten człowiek, pozbądź się go możliwie najprędzej i wracaj — rzekła. — Muszę cię doglądać przez jakichś parę dni.

Pan Verloc uspokoił się i z wyrazem zdecydowania na bladej twarzy otworzył drzwi, lecz żona odwołała go szeptem:

— Adolfie! Adolfie! — Wrócił strwożony. — A co z tymi pieniędzmi, które wyjąłeś z banku? — spytała. — Masz je przy sobie? Czy nie byłoby lepiej...

Pan Verloc patrzył czas jakiś bezmyślnie na dłoń, którą żona wyciągnęła do niego i w końcu uderzył się w czoło.

— Pieniądze! Tak! Tak! Nie rozumiałem, o co ci chodzi.

Wyciągnął z kieszeni na piersiach nowy portfel ze świńskiej skóry. Pani Verloc wzięła go bez słowa i stała w miejscu, póki nie ucichł dzwonek grzechoczący po wyjściu pana Verloca i jego gościa. Dopiero wtedy wyciągnęła banknoty i rzuciła na nie okiem. Po tej inspekcji rozejrzała się bacznie, rzekłbyś, nie dowierzając ciszy i samotności domu. Przybytek jej małżeńskiego życia wydał jej się taki odludny i niepewny, jakby się znajdował w lesie. Rozglądała się po solidnych, ciężkich meblach, lecz każda skrytka, która przychodziła jej na myśl, robiła na niej wrażenie niepewnej i szczególnie ponętnej dla złodzieja. A włamywacz, którego sobie wyobrażała, był ideałem włamywacza, obdarzonym najwyższymi zdolnościami i cudotwórczą przenikliwością. O szufladzie nie było co nawet myśleć. Każdy złodziej zajrzy tam przede wszystkim. Pani Verloc rozpięła śpiesznie parę haftek i wsunęła portfel za stanik. Rozporządziwszy w ten sposób kapitałem męża,

usłyszała z pewnym zadowoleniem grzechot dzwonka oznajmającego o czyimś przybyciu. Poszła za ladę, przybierając niewzruszony wyraz twarzy i kamienne spojrzenie, którym zwykle witała klientów.

Mężczyzna stojący w środku sklepu rozglądał się szybko chłodnym, badawczym wzrokiem. Przebiegł spojrzeniem po ścianach, ogarnął nim sufit, podłogę — a wszystko to w mgnieniu oka. Końce długich, jasnych wąsów opadały mu poniżej szczęk. Uśmiechnął się jak dawny, choć daleki znajomy i pani Verloc uprzytomniła sobie, że go już widywała. To nie był klient. Jej wzrok „od klientów” zmiękł i nabrał zwykłej obojętności; stała naprzeciw gościa, oddzielona od niego ladą.

Podszedł bliżej z pewną poufałością, której jednak nazbyt nie uwydatniał.

— Czy mąż pani jest w domu? — zapytał swobodnie.

— Nie. Wyszedł.

— Bardzo mi przykro. Wstąpiłem, aby zasięgnąć od niego pewnej poufnej informacji.

Była to ścisła prawda. Komisarz Heat wrócił do domu i nawet miał już zamiar włożyć pantofle, ponieważ — jak stwierdził przed samym sobą — usunięto go właściwie poza obręb tej sprawy. Pozwolił sobie na kilka wzgardliwych i gniewnych myśli, uznał jednak tego rodzaju zajęcie za tak nieprzyjemne, że postanowił szukać wytchnienia poza domem. Nic mu nie przeszkadzało złożyć panu Verlocowi przyjazną wizytę — niby to przypadkiem. Opuścił więc dom w charakterze prywatnego obywatela i użył tych samych środków lokomocji co zwykle. Prowadziły wszystkie do ogniska domowego pana Verloca. Komisarz Heat przestrzegał tak pilnie prywatnego charakteru swej wyprawy, że zadał sobie specjalny trud, aby uniknąć policjantów stojących na swych stanowiskach lub obchodzących dzielnicę w sąsiedztwie Brett Street. Ta ostrożność była znacznie bardziej wskazana dla niego niż dla nieznanego nikomu nadinspektora.

Prywatny obywatel Heat wszedł na Brett Street, manewrując w sposób, który by napiętnowano jako skradanie się, gdyby Heat należał do klasy przestępców. Kawalek sukna znaleziony w Greenwich spoczywał w jego kieszeni. Nie zamierzał jednak bynajmniej wydobyć go z ukrycia, albowiem jego wyprawa miała charakter prywatny. Chciał się tylko przekonać, co pan Verloc będzie skłonny powiedzieć mu z własnej woli. Miał nadzieję, że to, co usłyszy, pozwoli mu obwinić Michaelisa. Ta nadzieja łączyła się ściśle z jego fachem, ale posiadała także stronę etyczną. Albowiem komisarz Heat był sługą sprawiedliwości. Nie zastawszy pana Verloca, uczył rozczarowanie.

— Poczekalbym trochę, gdybym był pewien, że niedługo wróci — powiedział.

Pani Verloc nie zdobyła się na żadne zapewnienie.

— Wiadomość, o którą mi chodzi, jest ściśle prywatna — powtórzył. — Rozumie pani, co mówię? Czy nie mogłaby mi pani wskazać, dokąd poszedł pani mąż?

Pani Verloc potrząsnęła głową.

— Nie umiem panu nic powiedzieć.

Odwróciła się i zaczęła porządkować pudełka stojące na półkach za ladą. Komisarz Heat patrzył na nią czas jakiś w zadumie.

— Chyba pani wie, kim jestem? — zapytał.

Pani Verloc spojrzała nań przez ramię. Komisarz Heat był zdumiony jej chłodem.

— Jak to! Przecież pani wie, że jestem z policji — rzekł ostro.

— Niewiele mnie to obchodzi — zauważyła pani Verloc, zabierając się znów do porządkowania pudełek.

— Nazywam się Heat. Komisarz Heat z Wydziału Przystępstw Specjalnych.

Pani Verloc ustawiła dokładnie na właściwym miejscu małe tekturowe pudełko i zwróciła się znów do Heata, spoglądając nań spod ociężałych powiek; jej ręce zwiślały beczynnie. Przez chwilę panowało milczenie.

— Więc mąż pani wyszedł przed kwadrans! A nie powiedział, kiedy wróci?

— Nie wyszedł sam — rzuciła obojętnie pani Verloc.

— Wyszedł ze znajomym?

Pani Verloc dotknęła z tyłu swych włosów. Były w najzupełniejszym porządku.

— Nie, z jakimś obcym panem.

— Aha. A jak ten obcy pan wyglądał? Może pani zechce mi powiedzieć?

Pani Verloc nie miała nic przeciwko temu. A Heat, usłyszawszy, że ów nieznajomy był wysokim, chudym brunetem o długiej twarzy i podkręconych wusach, zaniepokoił się i wykrzyknął:

— A niech go diabli, domyślałem się tego! Ten człowiek nie tracił czasu.

W skrytości ducha komisarz bardzo był zgorzony nieformalnym postępkami swego zwierzchnika. Lecz nie miał w sobie nic z Don Kichota; odeszła go chęć doczekania się pana Verloca. Nie wiedział, dlaczego wyszli, ale przypuszczał, że pewno wrócą razem. Całą tę sprawę prowadzi się Bóg wie jak, partacka robota, pomyślał z goryczą.

— Chyba nie będę miał czasu doczekać się pani męża — powiedział.

Pani Verloc wysłuchiwała niedbale tego oświadczenia. Jej obojętność zastanawiała Heat'a od samego początku, a w tej chwili pobudziła szczególnie jego ciekawość. Heat nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć; namiętności miały nim, jakby był pierwszym lepszym z obywateli.

— Mam wrażenie — rzekł, patrząc spokojnie na Winnie — że gdyby pani zechciała, mogłaby mi pani dać całkiem dokładne informacje o tym, co zaszło.

Pani Verloc zmusiła swe piękne leniwe oczy do odwzajemnienia jego wzroku i szepnęła:

— O tym, co zaszło... A co takiego mogło zajść?

— Mam na myśli sprawę, o której chciałem porozmawiać z pani mężem.

Tego dnia pani Verloc jak zwykle rzuciła okiem na poranny dziennik. Ale nie wyszła ani na krok z domu. Roznosiciele gazet nie zapuszczali się nigdy na Brett Street. Ten teren nie nadawał się do ich handlu. Echa ich okrzyków, rozlegających się wzdłuż ludnych ulic, zamierały wśród brudnych murów ceglanych, nie docierając do progu sklepu. Pan Verloc nie przyniósł z sobą wieczornej gazety. W każdym razie Winnie jej nie widziała. Nie miała pojęcia o żadnej sprawie i powiedziała to spokojnym głosem, w którym brzmiała szczerze zdziwienie.

Komisarz Heat ani przez chwilę nie dał wiary tak zupełnej nieświadomości. W krótkich, mało uprzejmych słowach streścił to, co zaszło.

Pani Verloc odwróciła od niego oczy.

— Uważam to za głupotę — wyrzekła z wolna i zamilkła. — My tutaj nie jesteśmy niewolnikami, którymi można poniewierać.

Komisarz słuchał bacznie. Nic więcej nie powiedziała.

— A mąż pani nie wspominał o niczym, kiedy wrócił do domu?

Pani Verloc tylko pokręciła głową na znak przeczenia. Przeciągłe, kłopotliwe milczenie zaległo w sklepie. Komisarz Heat pomyślał, że tego już naprawdę za wiele.

— Jest jeszcze pewna drobna sprawa — zaczął obojętnym tonem — o której chciałem z mężem pani pomówić. Doszło naszych rąk coś, co — jak przypuszczamy — jest skradzionym paltem.

Pani Verloc, szczególnie zaprzątnięta tego wieczoru myślami o złodziejach, dotknęła przelotnie stanika na piersi.

— Żadne palto nam nie zginęło — rzekła spokojnie.

— To dziwne — ciągnął prywatny obywatel Heat. — Widzę, że państwo trzymacie tu mnóstwo tuszu do znakowania...

Wziął do ręki małą buteleczkę i spojrział na nią pod światło gazu palącego się w środku sklepu.

— Fioletowy... prawda? — zauważył, odstawiając buteleczkę. — Jak już wspomniałem, to jest naprawdę dziwne. Bo tamto skradzione palto ma pod spodem wszytą etykietę z waszym adresem wypisanym tuszem.

Pani Verloc pochylili się nad ladą z cichym okrzykiem.

— To palto mojego brata!

— Gdzie jest pani brat? Czy mógłbym go zobaczyć? — spytał porywczo komisarz.

Pani Verloc pochylili się trochę niżej nad ladą.

— Nie. Nie ma go tu. Ten adres napisałam ja sama.

— A gdzie jest obecnie pani brat?

— Pojechał na wieś do... do znajomego.

— To palto pochodzi ze wsi. A jak się nazywa ten znajomy?

— Michaelis — wyznała pani Verloc lekliwym szepciem.



Komisarz Heat gwizdnął. Oczy mu zabłyśły.

— To, to, to. Świetnie. A teraz co do pani brata, jak on wygląda? Tęgi brunet, co?

— Ach, nie! — wykrzyknęła żarliwie pani Verloc. — To musiał być złodziej. Stevie jest szczupły i jasnowłosy.

— W porządku — rzekł komisarz potakująco. A gdy pani Verloc patrzyła w niego, wahając się między niepokojem i ciekawością, zaczął ją wypytывать. Dlaczego przyszyła ten adres do pałta? I dowiedział się, że zmiażdżone szczątki, które badał rano z niezmierną odrazą, są szczątkami młodego chłopca, roztargnionego nerwowca, trochę dziwaka i że rozmawiająca z nim, komisarzem, kobieta opiekowała się tym chłopcem od wczesnego dzieciństwa.

— Czy on daje się łatwo podniecić? — zapytał komisarz.

— O tak. Bardzo łatwo. Ale jak się to mogło stać, że zgubił pałto...

Komisarz Heat wyciągnął nagle z kieszeni różową gazetę, którą kupił z pół godziny przedtem. Interesował się bardzo końmi. Ponieważ jego zawód narzucał mu postawę nieufności i podejrzeń w stosunku do współobywateli, komisarz Heat musiał dać ujście instynktowi łatwowierności, gnieźdzącemu się w ludzkiej piersi i dawał je, pokładając nieograniczoną ufność w prorocत्वach sportowych tej właśnie gazety wieczornej. Rzuciwszy nadzwyczajny dodatek na ladę, Heat zanurzył rękę w kieszeni i wyciągnął skrawek sukna, którym go los obdarzył, ściągając nań jego uwagę wśród stosu rzeczy, wyglądających jakby je kto pozbiierał w jatkach i u gałganiarzy. Ten skrawek komisarz dał pani Verloc do obejrzenia.

— Pani to zapewne poznaje?

Wzięła machinalnie gałganek w obie ręce. Oczy jej zdawały się rosnać, w miarę jak patrzyła.

— Tak — szepnęła. Podniosła głowę i zatoczyła się z lekka w tył.

— Dlaczego to jest oddarte?

Komisarz sięgnął szybko przez ladę i wyrwał szmatkę z rąk Winnie, która siadła ciężko na krześle. Pomyślał: „Identyfikacja nie pozostawia nic do życzenia”. W tej samej chwili błysnęła mu zdumiewająca prawda. Verloc był tamtym „drugim mężczyzną”.

— Proszę pani — rzekł — jestem przekonany, że pani wie o tej historii z bombą więcej, niż się pani zdaje.

Pani Verloc siedziała bez ruchu, oszołomiona, ogarnięta bezgranicznym zdumieniem. Co to wszystko ma znaczyć? Zesztywniała na całym ciele i nie była w stanie odwrócić głowy, gdy zaterkotał dzwonek. Natomiast prywatny wywiadowca Heat obrócił się w mig na pięcie. Pan Verloc zamknął drzwi i przez chwilę obaj mężczyźni stali naprzeciw siebie oko w oko.

Pan Verloc, nie spojrzawszy na żonę, podszedł do komisarza, który odetchnął z ulgą, widząc, że gospodarz domu powrócił sam.

— Pan tutaj! — mruknął Verloc niewyraźnie. — Kogo pan szuka?

— Nikogo — odpowiedział po cichu komisarz. — Chciałbym zamienić z panem parę słów.

Pan Verloc, wciąż błydy, miał teraz oblicze pełne stanowczości. Nadal nie patrzył na żonę.

— Więc niech pan tu wejdzie — powiedział i zaprowadził Heata do saloniku.

Ledwie się drzwi zamknęły, pani Verloc zerwała się z krzesła, pobiegła do nich, jakby chciała je otworzyć szarpnięciem, lecz zamiast tego padła na kolana, przykładając ucho do dziurki od klucza. Obaj mężczyźni zatrzymali się widać tuż za progiem, bo słyszała wyraźnie głos komisarza, choć nie mogła widzieć, że Heat przycisnął mocno palec do piersi jej męża.

— Pan jest tamtym drugim mężczyzną. Widziano dwóch ludzi wchodzących do parku.

A głos pana Verloca odrzekł:

— Więc niech mnie pan aresztuje. Cóż panu w tym może przeszkodzić? Pan jest w swoim prawie.

— O, nie! Wiem doskonale, komu pan się zwierzył. Niech on sam radzi sobie z tą sprawą. Ale wiedz pan, że to ja pana wykryłem.

Potem pani Verloc słyszała już tylko szepty. Komisarz Heat pokazał widać panu Verlocowi strzęp z palta Steviego, bo Winnie, jego siostra i opiekunka, usłyszała głos męża:

— Nie miałem pojęcia, że przyszło jej do głowy coś podobnego.

I znów przez jakiś czas pani Verloc słyszała tylko szepty, których tajemniczość mniej była dla niej koszmarna niż straszliwe insynuacje słów. Teraz z kolei głos komisarza Heata rozległ się po drugiej stronie drzwi:

— Pan musiał być chyba szalony.

A głos pana Verloca odrzekł jakby z mroczną wściekłością:

— Byłem szalony przez jakiś miesiąc, ale teraz już nie jestem szalony. To przeszło. Wyciągnę wszystko na jaw i niech się dzieje, co chce.

Zapadła krótka cisza, a potem prywatny obywatel Heat mruknął:

— Co pan wyciągnie na jaw?

— Wszystko — krzyknął pan Verloc i natychmiast zniżył głos do szeptu.

Po chwili znów mówił głośniej:

— Zna mnie pan od wielu lat i przekonał się pan, że jestem użyteczny. Pan wie, że byłem zawsze człowiekiem uczciwym. Tak, uczciwym.

Ten apel do dawnej znajomości musiał komisarz uznać za bardzo niesmaczny. W głosie jego zabrzmiała przestroga.

— Niech pan nie polega tak bardzo na tym, co panu obiecano. Gdybym był na pana miejscu, postarałbym się zwiąć. Nie sądzę, abyśmy pana ścigali.

Rozległ się krótki śmiech pana Verloca.

— Ach, tak, pan ma nadzieję, że inni pana wyręcą i uporają się ze mną, co? Nie, nie, teraz się pan mnie nie pozbędzie. Zbyt długo postępowałem uczciwie z tamtymi ludźmi; teraz wszystko musi wyjść na jaw.

— Więc niech wszystko wychodzi na jaw — zgodził się obojętnie komisarz Heat. — Ale teraz proszę mi powiedzieć, jak się pan stamtąd wydostał?

— Szedłem w stronę Chesterfield Walk — posłyszała pani Verloc głos męża — kiedy rozległ się huk. Wtedy zacząłem biec. Była mgła. Nie widziałem nikogo, póki nie dobiegłem do końca George Street. Zdaje się, że nie spotkałem nikogo.

— Tak łatwo panu poszło! — zdumiał się głos komisarza Heata. — Huk musiał pana przestraszyć, co?

— Tak; rozległ się za wcześniej — wyznał mroczny, chrypliwy głos pana Verloca.

Pani Verloc przyciskała ucho do dziurki od klucza; wargi jej były sine, ręce zimne jak lód; dwoje oczu robiło wrażenie dwóch czarnych dziur na bladej twarzy, która piekła ją żywym ogniem.

Po drugiej stronie drzwi głosy ściszyły się bardzo. Pani Verloc chwytła od czasu do czasu jakieś słowo, to wypowiedziane głosem męża, to znów równym tonem komisarza. Dosłyszała, jak ten ostatni powiedział:

— Według naszego zdania musiał się potknąć o korzeń jakiegoś drzewa.

Nastąpił chrypliwy, potoczysty szept, który trwał czas jakiś, a potem komisarz rzekł z naciskiem, jakby odpowiadając na pytanie:

— Naturalnie. Rozsadziło go na drobne kawałeczki: ręce, nogi, żwir, odzienie, kości, drzazgi... wszystko się pomieszało. Mówię panu, że trzeba było szuffi, aby go pozbierać.

Pani Verloc porwała się nagle z podłogi; zatknąwszy uszy, zatoczyła się między ladę i półki przy ścianie. Jej oszalałe oczy dostrzegły dziennik sportowy zostawiony przez komisarza; objając się o ladę, chwyciła dziennik, padła na krzesło, rozdarła przez środek różową, optymistyczną gazetę, usiłując ją otworzyć, a potem rzuciła na podłogę. Z drugiej strony drzwi komisarz Heat mówił do pana Verloca, tajnego agenta:

— A więc pana obrona będzie właściwie przyznaniem się do wszystkiego?

— Tak. Mam zamiar opowiedzieć całą tę historię.

— Nie uwierzą panu tak, jak pan sobie wyobraża.

I komisarz Heat popadł w zamyślenie. Obrót, jaki przybierała ta sprawa, oznaczał wydobyć na światło dzienne wielu rzeczy — oznaczał zaprzepaszczenie rozległych pól informacji, które to pola, uprawiane przez zręcznego człowieka, miały wybitną wartość i dla poszczególnych ludzi, i dla społeczeństwa. A wszystko to było rezultatem nieznośnego, oplakanego wścibstwa. Za sprawą tego wścibstwa Michaelis pozostanie nietknięty; domowy przemysł Profesora będzie wywleczony na światło dzienne i cały system

nadzoru się rozpręganie; podniesie się hałas w dziennikach, które w nagłej błyskawicy przenikliwości wydały się Heatowi pisane przez szaleńców ku zbudowaniu kpów. Zgodził się w duchu ze słowami wyrzeczonymi przez pana Verloca, który odpowiedział na jego ostatnią uwagę:

— Może i nie uwierzą. Ale to utraci wiele rzeczy. Byłem człowiekiem uczciwym i będę się trzymał uczciwie tego, co...

— Jeśli panu na to pozwolą — rzekł cynicznie komisarz. — Z całą pewnością pouczę pana, co mówić, zanim pan stanie przed sądem. I jeszcze w końcu może pan dostać wyrok, który pana zaskoczy. Nie ufalbym zbyt człowiekowi, z którym pan mówił.

Pan Verloc słuchał ze zmarszczonymi brwiami.

— Moja rada brzmi, aby pan zwiął, póki to możliwe. To jest moje osobiste zdanie. Niektórzy spomiędzy nich — ciągnął komisarz Heat, kładąc szczególny nacisk na słowie „nich” — myślą, że pan już się przeniósł na tamten świat.

— Doprawdy! — wyrwało się panu Verlocowi. Choć od powrotu z Greenwich spędził większą część czasu w małym szynku, nie spodziewał się wcale tak korzystnych wiadomości.

— Takie mają przekonanie. — Komisarz kiwnął znacząco głową. — Niech pan zniknie. Niech pan zwieje.

— Dokąd? — warknął pan Verloc. Podniósł głowę i mruknął z przejęciem, patrząc na zamknięte drzwi prowadzące do sklepu: — Chciałbym bardzo, aby pan mnie zabrał jeszcze dziś. Poszedłbym za panem spokojnie.

— Ja myślę — rzekł szyderczo komisarz, spoglądając w tym samym kierunku.

Czoło pana Verloca zrosiło się drobnym potem. Zniżył głos i zaczął szeptać poufnie do niewzruszonego komisarza.

— Chłopiec był niepoczytalnym półgłówkiem. Każdy sąd byłby się o tym zaraz przekonał. Miejscem odpowiednim dla niego był tylko przytułek. I to najgorsza rzecz, która byłaby mu groziła, gdyby...

Komisarz, trzymając rękę na klamce, szepnął panu Verlocowi prosto w twarz:

— Może on i był półgłówkiem, ale pan był chyba szalony. Kto panu tak pomieszał w głowie?

Verloc nie przebiegał w słowach, gdy chodziło o pana Władimira.

— Taka jedna świnia z północy — syknął z wściekłością. — Taki, jak to się mówi, džentelmen.

Komisarz, nie zmieniając wyrazu twarzy, kiwnął głową na znak, że rozumie i otworzył drzwi. Pani Verloc słyszała zapewne jego kroki, lecz nie widziała, jak odchodził ścigany zaczepnym grzechotem dzwonka. Tkwiła za ladą na swym zwykłym posterunku. Siedziała na krześle, sztywna, wyprostowana; u jej stóp leżały dwa kawałki brudnego, różowego papieru. Dłonie cisnęła konwulsyjnie do twarzy, a końce palców wparła kurczowo w czoło, jakby skóra była maską, którą chciała zedrzyć gwałtownie. Kamienny bezruch jej postaci wyrażał wściekłość i rozpacz, całą potencjalną gwałtowność tragicznych namiętności — wyrażał te uczucia potężniej niż pospolity wybuch krzyków i bicie oszalałej głowy o ścianę. Komisarz Heat, mijając sklep szybkim, elastycznym krokiem, rzucił na żonę Verloca tylko przelotne spojrzenie. A gdy pęknięty dzwonek przestał drżeć na wygiętej taśmie stalowej, wszystko zastygło w bezruchu wokół pani Verloc, jakby obezwładniająca moc czaru biła z jej postaci. Nawet płomyki gazu, tkwiące na kształt motyli u końców wiszącego palnika podobnego do odwróconej litery „T”, nawet te płomyki paliły się bez drgnienia. W sklepie pełnym podejrzanych towarów, rozmieszczonych na tanich półkach barwy ciemnobrunatnej, która zdawała się pożerać światło, złote kółko obrączki na lewej ręce pani Verloc świeciło jaskrawym blaskiem, niezamąconym, wspaniałym jak wyjęty ze skarbca klejnot, rzucony do skrzyni ze śmieciem.

## X

Nadinspektor, jadący szybko dorożką od Soho w stronę Westminsteru, wysiadł w samym środku imperium, nad którym słońce nigdy nie zachodzi<sup>75</sup>. Salutowało mu kilku dziel-

<sup>75</sup>imperium, nad którym słońce nigdy nie zachodzi — określenie globalnego mocarstwa tak rozległego, że zawsze w jakiejś jego części trwa dzień; w XIX w. używane w odniesieniu do brytyjskiego imperium kolonial-

nych policjantów; nie wydawali się szczególnie przejęci obowiązkiem czuwania nad tym dostojnym terenem. Nadinspektor dostał się przez portal bynajmniej nie wysoki w obręb parlamentu — przedmiotu czci wielu milionów ludzi — i tam spotkał się wreszcie z płochym rewolucjonistą Toodlesem.

Ów schludny, miły młodzian ukrył zdziwienie, ujrawszy tak prędko nadinspektora, którego polecono mu oczekiwać mniej więcej około północy. Uznał jego przedwczesne ukazanie się za niechybną oznakę tego, że sprawa, jakkolwiek była, nie została załatwiona pomyślnie. Z natychmiastową gotowością do współczucia, która u sympatycznych młodzieńców kojarzy się często z wesołym usposobieniem, zmartwił się ze względu na Wielkiego Dostojnika — nazywał go „szefem” — a także i ze względu na nadinspektora, którego twarz wydała mu się złowróźnie drewniana, bardziej niż kiedykolwiek — i niepomiernie długa.

„Jakąż on ma cudaczną powierzchowność, wygląda zupełnie na cudzoziemca” — pomyślał, uśmiechając się doń już z daleka wesoło i życzliwie. Kiedy znaleźli się obok siebie, zaczął natychmiast mówić w dobroduszej intencji, aby ukryć w powodzi słów kłopotliwą porażkę nadinspektora. Oświadczył, że jego zdaniem wielki atak, który groził wieczorem, spali na panewce. Jakiś podrzędny stronnik „tego bydlęcia Cheesemanna” zanudza niechętnie bardzo nielicznych posłów bezwstydną sfalszowaną statystyką. Toodles ma nadzieję, że posłowie będą się z nudów wymykać i lada chwila posiedzenie zostanie odroczone ze względu na brak *quorum*<sup>76</sup>. Ale może ów poseł umyślnie tak mowę przeciąga, aby żarłok Cheesemann mógł swobodnie zjeść obiad. W każdym razie jemu, Toodlesowi, nie udało się namówić szefa, żeby poszedł do domu.

— Z pewnością zaraz pana przyjmie. Siedzi sam w gabinecie i myśli o rybach ze wszystkich mórz — zakończył Toodles lekkim tonem. — Chodźmy.

Mimo swej życzliwej natury młody prywatny sekretarz (pracujący honorowo) podlegał zwykłemu ludzkim słabościom. Nie chciał zadrasnąć nadinspektora, który według niego wyglądał zupełnie jak człowiek mający na sumieniu jakąś wielką niezręczność. Ale ciekawość sekretarza była zbyt silna, aby się poddać współczuciu. Kiedy szli razem, Toodles nie mógł się powstrzymać i rzucił lekko przez ramię:

— A jakże tam pańska szprotka?

— Schwytana — odrzekł nadinspektor zwięźle, lecz tonem bynajmniej nie odpychającym.

— Świetnie. Nie ma pan pojęcia, jak dalece ci wielcy ludzie nie znoszą małych rozczarowań.

Wypowiedziawszy tę głęboką uwagę, doświadczony Toodles zdawał się namyślać. W każdym razie nie powiedział nic przez całe dwie sekundy. Wreszcie rzekł:

— Bardzo się cieszę. Ale, proszę pana, czy to naprawdę taka drobnostka, jak pan twierdzi?

— Wie pan co można zrobić ze szprotką? — zapytał z kolei nadinspektor.

— Czasem kładzie się ją do pudełka od sardynek — zachichotał Toodles, którego erudycja w zakresie przemysłu rybnego była świeża i — w porównaniu z jego absolutną ignorancją we wszelkich innych sprawach przemysłu — olbrzymia. — Na hiszpańskim wybrzeżu są fabryki, gdzie się pakuje sardynki do pudełek, i...

Nadinspektor przerwał początkującemu statyście.

— Tak, tak. Ale czasem rzuca się z powrotem szprotkę do wody, aby złowić wieloryba.

— Wieloryba? Fiu! — gwizdnął Toodles z zapartym oddechem. — Więc pan poluje na wieloryba?

— Właściwie to nie. Zwierzyna, którą ścigam, podobniejsza jest do psa morskiego<sup>77</sup>. Ale może pan nie wie, jak wygląda pies morski?

---

nego, którego terytorium osiągnęło wówczas rozmiar większy niż jakiegokolwiek innego imperium w historii świata. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*quorum* (łac.) — kworum, czyli minimalna liczba osób niezbędna do prowadzenia obrad i podjęcia wiążących decyzji. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>*pies morski* — w oryg.: *dogfish* (dosł.: psia ryba), określenie różnych gatunków ryb z rodziny rekinkowatych. Psem morskim (*sea dog*) nazywano dawniej rekina, ale także fokę pospolitą. [przypis edytorski]

— Owszem, wiem. Toniemy po szyję w specjalnych książkach... półki są nimi zachowane... dużo tam drzeworytów... To taka szkodliwa, obmierzła bestia o łotrowskim wyglądzie i gładkim pysku ozdobionym wąsami.

— Jakbym go widział — potwierdził nadinspektor. — Tylko ten mój jest zupełnie wygolony. Pan go zna. Sprytna bestia.

— Znam go? — rzekł Toodles z niedowierzaniem. — Nie mam pojęcia, gdzie mogłem z nim się spotkać.

— W Klubie Podróżników — rzekł spokojnie nadinspektor. Usłyszawszy nazwę tak bardzo ekskluzywnego klubu, Toodles przystanął, jak gdyby się zląkł.

— To niemożliwe — oświadczył, lecz w głosie jego zabrzmiała zgroza. — Co pan chce przez to powiedzieć? Członek klubu?

— Honorowy — mruknął przez zęby nadinspektor.

— Wielki Boże!

Toodles był tak przerażony, że nadinspektor uśmiechnął się z lekka.

— To wszystko ściśle między nami — dodał.

— Potworne! Pierwszy raz w życiu słyszę coś podobnego — rzekł Toodles słabym głosem, jakby zdumienie odjęło mu nagle całą siłę i rzeźkość.

Nadinspektor spojrział nań z powagą. Póki się nie znaleźli u drzwi wielkiego człowieka, Toodles zachowywał zgorzone i uroczyste milczenie; rzekłbyś, obraził się na nadinspektora za odkrycie tak niesmacznego i niepokojącego faktu. Ten fakt zrewolucjonizował wyobrażenie Toodlesa o krańcowej ekskluzywności Klubu Podróżników, o jego towarzyskiej nieskazitelności. Toodles był rewolucjonistą tylko w zakresie polityki; swoje zasady społeczne i osobiste przekonania pragnął zachować nietknięte w ciągu wszystkich dni wyznaczonych mu na tej ziemi, którą uważał na ogół za całkiem miłe miejsce pobytu.

Usunął się na bok.

— Niech pan wejdzie bez pukania — powiedział.

Dzięki abażurom z zielonego jedwabiu, tkwiącym nisko na wszystkich lampach, w gabinecie panował półmrok głęboki i jakby leśny. Dumne oczy dygnitarza były słabą stroną jego organizmu. Utrzymywano to w tajemnicy. Ale gdy się tylko nasuwała sposobność, wielki człowiek dawał swym oczom wypoczynek.

Nadinspektor zobaczył najpierw tylko dużą, białą rękę podpierającą dużą głowę i zasłaniającą górną część dużej bladej twarzy. Otwarte pudełko z depezbami stało na biurku obok kilku podłużnych arkuszy papieru i rozrzuconej wiązki gęsich piór. Na obszernym, poziomym blacie nie było już nic więcej poza małą brązową statuetką w udrapowanej todze, zagadkową i czujną w swym tajemniczym bezruchu. Nadinspektor usiadł, zaproszony skinieniem ręki. W przyćmionym świetle wyglądał bardziej niż kiedykolwiek na cudzoziemca dzięki swym cechom charakterystycznym — długiej twarzy, czarnym włosom i chudości.

Wielki człowiek nie zdradził ani zdziwienia, ani zapału, ani w ogóle żadnego uczucia. Jakby zatopiony w głębokiej zadumie, pozwalał wypoczywać swym zagrożonym oczom. Po wejściu nadinspektora wcale nie zmienił pozy. Ale ton jego głosu był trzeźwy.

— No! Co tam pan wynalazł? Więc natknął się pan od razu na coś, czego pan nie oczekiwał.

— Niekoniecznie, sir Ethelredzie. Natknąłem się przede wszystkim na pewien stan psychiczny.

Wielki człowiek poruszył się nieznacznie.

— Niech pan mówi wyraźniej.

— Dobrze, sir Ethelredzie. Zapewne pan wie, że większość przestępców czuje w pewnych chwilach nieodpartą potrzebę spowiedzi — wyznania komuś wszystkiego... byle komu. I nieraz czyni te wyznania policji. Ów Verloc, którego Heat chciał koniecznie osłonić, znajdował się właśnie w owym stanie psychicznym. Mówiąc w przenośni, rzucał mi się po prostu na szyję. Dość było szepnąć, kim jestem i dodać: „Wiem, że pan jest wmieszany w tę sprawę”. Musiało wydać mu się cudem, że już o wszystkim wiemy, ale prędko się z tym oswoił. Nadzwyczajność faktu nie zastanowiła go ani przez chwilę. Pozostawało mi tylko zadać mu dwa pytania: „Kto pana do tego nakłonił?” i: „Kto to wykonał?”. Na pierwsze pytanie odpowiedział bardzo dobitnie. Co się zaś tyczy drugiego

pytania, domyślam się, że człowiekiem, który rzucił bombę, był jego szwagier — niemal wyrostek — słaby na umyśle... To dość ciekawa historia... może za długa, aby ją szczegółowo opowiadać.

— Więc czego się pan dowiedział? — spytał wielki człowiek.

— Przede wszystkim dowiedziałem się, że były więzień Michaelis nie ma z tym nic wspólnego, choć istotnie chłopiec przebywał chwilowo razem z nim na wsi aż do dzisiaj, do ósmej rano. Jest więcej niż prawdopodobne, że Michaelis nie wie nic o wszystkim aż do tej chwili.

— Pan jest tego pewien? — zapytał wielki człowiek.

— Zupełnie pewien, sir Ethelredzie. Ten Verloc pojechał tam dziś rano i zabrał chłopca niby to na przechadzkę. Ponieważ działo się to nie po raz pierwszy, Michaelis nie mógł w tym widzieć nic niezwykłego. Zresztą Verloc, oburzony do żywego, wyjawiał mi wszystko bez wyjątku. Okazało się, że po prostu stracił głowę, zastraszone niesłychaną sceną, której ani pan, ani ja nie wzięlibyśmy na serio; na nim zrobiła jednak wielkie wrażenie.

Nadinspektor wyłożył zwięźle wielkiemu człowiekowi, który siedział bez ruchu i osłaniał dłońią oczy zażywające wypoczynku, jak pan Verloc ocenił postępowanie i charakter pana Władimira. Zdawało się, że nadinspektor nie odmawia tej ocenie pewnej słuszności. Lecz wielka osobistość wypowiedziała uwagę:

— To wszystko wygląda mi bardzo fantastycznie.

— Prawda? Niby jakiś okrutny żart. Ale nasz Verloc wziął to zdaje się na serio. Poczul się zagrożony. Przedtem, jak pan wie, porozumiewał się bezpośrednio z samym Stott-Wartenheimem i nabrał przekonania, że usługi jego, Verloca, są niezbędne. Otrzeźwiono go w sposób niezmiernie brutalny. Najwidoczniej stracił głowę. Rozgniewał się i przestraszył. Według mego przekonania wyobraził sobie, że ci ludzie z ambasady mogą go nie tylko wyrzucić, ale i wydać w taki lub inny sposób...

— Jak długo pan z nim rozmawiał? — rozległ się nagle zza ręki głos wielkiego dygnitarza.

— Jakieś czterdzieści minut, sir Ethelredzie, w mocno podejrzanym hotelu Continental; siedzieliśmy zamknięci w pokoju, który wzięłem na noc. Okazało się, że Verloc jest pod wpływem reakcji następującej po zbrodniczym wysiłku. Nie można nazwać tego człowieka zatwardziałym przestępcą. Najwidoczniej nie przewidywał śmierci owego nieszczęsnego chłopca — swojego szwagra. Jego śmierć zrobiła na Verlocu wstrząsające wrażenie — widziałem to wyraźnie. Może jest bardzo wrażliwy. Może nawet lubił chłopca... któż to wie? Spodziewał się zapewne, że chłopiec ucieknie, a wówczas byłoby prawie niemożliwe ustalić, kto jest winowajcą. W najgorszym wypadku przewidywał co najwyżej aresztowanie szwagra.

Nadinspektor przerwał swe dociekania i przez chwilę rozmyślał.

— Ale jak mógł się w takim razie spodziewać, że jego udział w tej historii pozostanie ukryty, to jest dla mnie niezrozumiałe — podjął znowu, gdyż nie wiedział o uwielbieniu Steviego dla pana Verloca (który był dobry) ani o niezłomności, z jaką chłopiec potrafił milczeć. Dowiodła tego jeszcze owa dawna historia z fajerwerkami na schodach; Stevie opierał się wówczas przez całe lata prośbom i pieczytom, i gniewowi, i wszelkim innym środkom badania stosowanym przez ukochaną siostrę. Bo Steviemu można było zaufać... — Nie mam pojęcia — ciągnął dalej nadinspektor. — Może wcale o tym nie myślał? A teraz powiem coś, co wyda się dziwaczne, sir Ethelredzie: oto widok przerażonego Verloca przywiódł mi na myśl kogoś, kto odebrał sobie życie, aby położyć kres swym udęczeniom, i nagle przekonuje się, że samobójstwo wcale mu nie pomogło.

Nadinspektor wypowiedział to porównanie takim tonem, jakby za nie przeproszał. Ale pewna przesada stylu ma to do siebie, że uwydatnia treść wypowiedzanej myśli i wielki człowiek nie poczuł się urażony. Lekki skurcz targnął jego dużym ciałem, mało widocznym w półmroku zielonych jedwabnych abażurów, i dużą głową wspartą na dużej dłoni, a temu skurczowi towarzyszył przerywany, zduszony, lecz potężny odgłos: wielki człowiek roześmiał się.

— Co pan z nim zrobił?

Nadinspektor odrzekł natychmiast:

— Ponieważ śpieszyło mu się widać bardzo do żony, która została w sklepie, pozwoliłem mu odejść, sir Ethelredzie.

— Jak to? Przecież on ucieknie.

— Pozwolę sobie być innego zdania. Dokąd by mógł uciec? A przy tym trzeba pamiętać, że Verloc musi także się strzec niebezpieczeństwa grożącego mu ze strony kolegów. Tam w sklepie jest na swym stanowisku. Jak by mógł wyjaśnić opuszczenie tego stanowiska? Ale nawet gdyby miał zupełną swobodę ruchów, nic by teraz nie zrobił. Brak mu dostatecznej energii, aby powziąć jakiegokolwiek postanowienie. Niech mi też będzie wolno zaznaczyć, że gdybym go był uwięził, musielibyśmy trzymać się pewnej linii postępowania, co do której pragnę najpierw usłyszeć pana zdanie.

Wielka osobistość dźwignęła się z krzesła — imponująca, niewyraźna w zielonawym mroku pokoju.

— Zobaczę się dziś z prokuratorem i poślę po pana jutro rano. Czy pan ma jeszcze coś do powiedzenia?

Nadinspektor podniósł się także, smukły i giętki.

— Sądzę, że nie, sir Ethelredzie, mógłbym tylko wejść w szczegóły, które...

— Nie, nie. Żadnych szczegółów.

Wielka, niewyraźna postać, rzekłbyś, cofnęła się, jakby w fizycznym lęku przed szczegółami, lecz zaraz potem podeszła do inspektora, rozdęta, olbrzymia, imponująca, wyciągając dużą rękę.

— I pan mówi, że ten człowiek ma żonę?

— Tak, sir Ethelredzie — rzekł nadinspektor, ściskając z szacunkiem wyciągniętą dłoń. — Ma naprawdę żonę, z którą żyje w poprawnym małżeńskim stosunku. Powiedział mi, że po rozmowie w ambasadzie byłby wszystko rzucił, byłby usiłował sprzedać sklep i wyjechać z kraju, ale był pewien, że jego żona nie zechce nawet słyszeć o wyjeździe za granicę. To bardzo charakterystyczne dla małżeńskich stosunków — ciągnął nieco chmurnie nadinspektor, którego żona również nie chciała słyszeć o wyjeździe za granicę. — Tak, to jest autentyczna żona. A delikwent był autentycznym szwagrem. Mamy tu pewnego rodzaju dramat rodzinny.

Nadinspektor roześmiał się z lekka, ale myśli wielkiego człowieka powędrowały już daleko, może do spraw polityki wewnętrznej kraju; był to teren jego mężnej krucjaty przeciw poganinowi zwanemu Cheesemannem. Nadinspektor wyszedł cicho z pokoju; uszło to uwadze dygnitarza, który poniekąd zapomniał już o swym urzędniku.

W nadinspektorze także grały instynkty krzyżowca. Sprawa, która z tych lub innych względów zniechęciła do siebie komisarza Heata, wydała mu się opatrnościowym punktem wyjścia dla własnej krucjaty. Rozpoczęcie jej leżało mu bardzo na sercu. Szedł z wolna ku domowi, rozmyślając po drodze o swym przedsięwzięciu i analizując psychologię pana Verloca z odrazą nie pozbawioną zadowolenia. Całą drogę odbył pieszo. Przekonawszy się, że w salonie jest ciemno, poszedł na górę i spędził czas jakiś między ubieralnią a pokojem sypialnym, przebierając się i chodząc tu i tam niby zamyślony lunatyk. Ale otrząsnął się z zadumy i wyszedł znów na ulicę, aby się udać do wielkiej pani, która opiekowała się Michaelisem.

Wiedział, że będzie tam życzliwie przyjęty. Wchodząc do mniejszego z dwóch salonów, spostrzegł żonę w małej grupce gości obok fortepianu. Młodociany kompozytor, będący na drodze do sławy, siedział na taborecie, rozmawiając z dwoma tęgimi panami, których plecy wyglądały staro, i z trzema smukłymi kobietami, których plecy wyglądały młodo. Za niebieskim parawanem tylko dwie osoby towarzyszyły opiekunce Michaelisa: mężczyzna i kobieta; siedzieli obok siebie na fotelach u końca szezlongu<sup>78</sup>. Wielka pani wyciągnęła rękę do nadinspektora.

— Nie spodziewałam się wcale, że zobaczę pana dziś wieczór. Annie mówiła mi...

— Tak. Sam nie miałem pojęcia, że uporam się tak prędko z robotą.

Nadinspektor dodał ściszoneg głosem:

— Miło mi panią zawiadomić, że Michaelis jest zupełnie wyłączony z tej sprawy...

Protektorka byłego więźnia przyjęła to z oburzeniem.

— Jak to? Czyżby byli u nas idioci, podejrzewający go o związek z...

<sup>78</sup>szezlong — kanapa w kształcie wydłużonego fotela, na której można odpoczywać w pozycji półleżącej. [przypis edytorski]

— Bynajmniej nie idioci — przerwał z szacunkiem nadinspektor. — Nawet całkiem zręczni ludzie... zupełnie wystarczająco jak na swoje potrzeby.

Zapadło milczenie. Mężczyzna u końca szezlongu przestał rozmawiać z sąsiadką i przyglądał się nadinspektorowi z niewyraźnym uśmiechem.

— Nie pamiętam, czy panowie już się spotkali — rzekła wielka pani.

Pan Władimir i nadinspektor, przedstawieni sobie, stwierdzili nawzajem swoje istnienie z drobiazgową i czujną uprzejmością.

— Ten człowiek mnie nastraszył — oświadczyła nagle dama siedząca obok pana Władimira i kiwnęła głową w jego stronę. Nadinspektor znał ową damę.

— Nie wygląda pani na przestraszoną — wyrzekł, przyjrzawszy się jej sumiennie swym zmęczonym, spokojnym wzrokiem. A jednocześnie pomyślał, że w tym domu wcześniej lub później można było się zetknąć z każdym. Różowa twarz pana Władimira mieniła się uśmiechem, albowiem był dowcipny, lecz oczy jego zachowały powagę, jak u człowieka, który wie, o co mu chodzi.

— W każdym razie usiłował mnie nastraszyć — poprawiła się znajoma nadinspektora.

— Może to jego zwyczaj — rzekł nadinspektor pod wpływem nieodpartego natchnienia.

— Pan Władimir groził społeczeństwu przeróżnymi okropnościami — ciągnęła dama, wymawiając słowa z wolna i jakby pieszczotliwie — a wszystko z powodu tego wybuchu w Greenwich Park. Okazuje się, że powinniśmy wszyscy drżeć ze strachu przed tym, co nastąpi, jeśli ci ludzie nie zostaną wytępieni na całym świecie. Nie miałam pojęcia, że to taka ważna sprawa.

Pan Władimir, udając, że nie zwraca na te słowa uwagi, pochylił się ku szezlongowi, mówiąc coś miłym, ściszym głosem, ale usłyszał, jak nadinspektor rzekł:

— Jestem przekonany, że pan Władimir ma bardzo dokładne pojęcie o istotnym znaczeniu tej sprawy.

Pan Władimir zadał sobie pytanie, do czego zmierza ten przekłety, natrętny policjant. Jako potomek pokoleń, które były ofiarą narzędzi służących samowładczej potędze, bał się policji rasowo i narodowo, a poza tym bał się jej indywidualnie. Była to słabość dziedziczna, zupełnie niezależna od jego rozsądku, czy rozumu, czy doświadczenia. Taki już się urodził. A uczucie to, przypominające irracjonalny wstręt, jaki niektórzy mają do kotów, bynajmniej się nie sprzeciwiało niezmiernej pogardzie, którą pan Władimir żywił dla policji angielskiej. Skończył zdanie skierowane do pani domu i obrócił się trochę na krześle.

— Pan chce zapewne powiedzieć, że my mamy duże doświadczenie, jeśli chodzi o tych ludzi. Tak jest istotnie; cierpimy wiele od ich działalności, podczas gdy państwo tutaj — pan Władimir zawahał się chwilę, uśmiechnięty i jakby zakłopotany — podczas gdy państwo cierpicie z zadowoleniem obecność ich między sobą — zakończył, ukazując dołki w świeżo wygolonych policzkach. Potem dodał poważniej: — Powiedziałbym nawet, że cierpimy przez nich tyle właśnie dlatego, że państwo cierpicie ich między sobą.

Gdy pan Władimir przestał mówić, nadinspektor spuścił oczy i rozmowa się urwała. Prawie bezpośrednio potem pan Władimir pożegnał się z gospodynią. Skoro się tylko odwrócił od szezlongu, nadinspektor wstał również.

— Myślałam, że pan zostanie z nami i zabierze Annie do domu — rzekła opiekunka Michaelisa.

— Przypomniałem sobie, że muszę dziś jeszcze trochę popracować.

— W związku z...?

— No tak, do pewnego stopnia.

— Niechże mi pan powie, co to jest właściwie, ta okropna historia?

— Trudno powiedzieć, co to jest, ale może wyniknie z tego *une cause célèbre*<sup>79</sup> — rzekł nadinspektor.

Wyszedł spieszenie z salonu i zastał jeszcze w hallu pana Władimira, otulającego starannie szyję dużym szalikiem. Za nim stał lokaj, trzymając palto. Drugi lokaj czekał u drzwi, aby je w odpowiedniej chwili otworzyć. Nadinspektorowi podano płaszcz; wyszedł natychmiast. Zstąpiwszy z kilku frontowych schodów przystanął, jakby się namy-

<sup>79</sup>*cause célèbre* (fr.) — głośna sprawa, słynny proces sądowy. [przypis edytorski]



ślając, w którą by stronę się udać. Pan Władimir dostrzegł to przez drzwi, które pozostały otwarte i zatrzymał się jeszcze w sieni, aby wyjąć cygaro i poprosić o ogień. Starszy mężczyzna we fraku podał mu zapalkę z miną pełną spokojnej troskliwości. Ale zapalka zgasła; wówczas lokaj zamknął drzwi i pan Władimir zapalił powoli i starannie duże hawańskie cygaro. Gdy nareszcie wydostał się z domu, spostrzegł z odruchem wstrętu, że ten „przekłety policjant” sterczy jeszcze wciąż na chodniku.

„Czyżby na mnie czekał?” — pomyślał pan Władimir, rozglądając się za dorożką. Nie było żadnej. Parę prywatnych wehikułów czekało tuż przy chodniku. Latarnie ich paliły się równo, konie stały w zupełnym spokoju jak wyrzeźbione z kamienia, stangreci siedzieli bez najłżejszego ruchu w obszernych futrzanych pelerynach; białe, skórzane końce wielkich batów wisiały nieporuszenie. Pan Władimir zaczął iść, a „przekłety policjant” szedł krok w krok obok niego, nie mówiąc ani słowa. Za czwartym krokiem pan Władimir poczuł wściekłość i niepokój. Dłużej tak trwać nie mogło.

— Wstrętny czas — warknął dziko.

— Ciepło — rzekł beznamiętnie nadinspektor. Przez chwilę milczał. — Schwytaliśmy człowieka nazwiskiem Verloc — stwierdził niedbale.

Pan Władimir nie potknął się, nie zatoczył, nie zmienił kroku. Ale wyrwał mu się okrzyk:

— Co takiego?

Nadinspektor nie powtórzył swego oświadczenia.

— Pan go zna — ciągnął tym samym tonem.

Pan Władimir zatrzymał się i rzekł gardłowym głosem:

— Na jakiej podstawie pan to mówi?

— To nie ja mówię, tylko Verloc.

— Łże jak pies — rzekł pan Władimir, wyrażając się w sposób nieco wschodni. Ale w głębi ducha był wręcz przerażony zakrawającą na cud zręcznością angielskiej policji. W jego zapatrywaniach na ten temat nastąpiła zmiana tak gwałtowna, że zrobiło mu się trochę słabo. Odrzucił cygaro i ruszył znów naprzód.

— Cała ta sprawa dogadza mi z tego względu — ciągnął powoli nadinspektor — że jest takim doskonałym punktem wyjścia dla pewnego zadania, które mi leży na sercu, mianowicie dla pozbycia się z kraju wszystkich tych cudzoziemskich szpiegów politycznych, policjantów i w ogóle tego rodzaju... tego rodzaju... psów. Moim zdaniem są okropnie szkodliwi, a przy tym stanowią czynnik niebezpieczny. Ale wyszukiwanie każdego z nich oddzielnie przedstawia pewne trudności. Jedyne sposoby, jaki nam pozostaje, to obrzydzić posługiwanie się nimi tym, którzy ich zatrudniają. Obecny stan rzeczy staje się wprost nieprzyzwoity. A przy tym niebezpieczny dla nas, Anglików.

Pan Władimir przystanął znów na chwilę.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Śledztwo wytoczone przeciwko Verlocowi wykaże publiczności niebezpieczeństwo i nieprzyzwoitość praktyk tego rodzaju.

— Nikt nie uwierzy temu, co taki człowiek będzie opowiadał — rzekł pogardliwie pan Władimir.

— Obfitość i dokładność szczegółów przekonają szeroką publiczność — odpowiedział łagodnie nadinspektor.

— Więc naprawdę zamierza pan to uczynić?

— Schwytaliśmy człowieka; nie mamy żadnego wyboru.

— To będzie tylko żer dla łotrowskiej hipokryzji rewolucjonistów — zapewnił pan Władimir. — Po co robić taki skandal? Chodzi panu o moralność, czy jak tam?

Niepokój pana Władimira był oczywisty. Nadinspektor upewnił się dzięki temu, że musi być trochę prawdy w zeznaniach Verloca, i rzekł obojętnie:

— W tej sprawie obchodzi nas także i strona praktyczna. Mamy naprawdę już dosyć roboty z pilnowaniem prawdziwych anarchistów. Nie może pan nam zarzucić braku sprawności. Ale pod żadnym pretekstem nie pozwolimy na to, aby nam dokuczali prowokatorzy.

Ton pana Władimira stał się wyniosły.

— Jeśli chodzi o mnie, nie podzielam pana zapatrywań. Są bardzo egoistyczne. O uczuciach, jakie żywię dla swego kraju, wątpić nie można; a jednak czułem zawsze, że poza patriotyzmem winniśmy być także dobrymi Europejczykami — stosuje się to i do rządów, i do poszczególnych ludzi.

— Tak — odrzekł nadinspektor z prostotą. — Tylko że wy patrzycie na Europę od drugiego jej końca. Jednakże — ciągnął dobronudnym tonem — obce rządy nie mogą się skarżyć na niedołęstwo naszej policji. Na przykład ten zamach; wypadek szczególnie trudny do wysledzenia, ponieważ chodziło o prowokację. W niecałych dwanaście godzin ustaliliśmy tożsamość człowieka literalnie rozerwanego na strzępy, odnaleźliśmy organizatora zamachu i uzyskaliśmy pojęcie, kto jest podżegaczem. A mogliśmy się posunąć jeszcze dalej; tylko zatrzymaliśmy się u granic naszego terytorium.

— A więc ta pouczająca zbrodnia została uknuta za granicą — rzekł szybko pan Władimir. — Pan jest zdania, że uknuto ją za granicą?

— W teorii. Tylko w teorii powstała na obcym terytorium, za granicą zaś jedynie w przenośni — rzekł nadinspektor, robiąc aluzję do eksterytorialnego charakteru ambasad, które się uważa za części poszczególnych krajów reprezentowanych przez te ambassy. — Ale to szczegół. Mówiłem z panem o tej sprawie, ponieważ właśnie pana rząd skarży się najczęściej na naszą policję. Więc widzi pan, że tak źle z nami nie jest. Zależało mi specjalnie na tym, aby powiadomić pana o naszym powodzeniu.

— Bardzo panu jestem obowiązany — mruknął przez zęby pan Władimir.

— Każdej chwili możemy położyć rękę na wszystkich tutejszych anarchistach — ciągnął nadinspektor, jak gdyby przytaczając słowa komisarza Heata. — Teraz pozostaje nam tylko skończyć raz na zawsze z prowokatorami, aby osiągnąć pełne bezpieczeństwo.

Pan Władimir kiwnął ręką na przejeżdżającą dorożkę.

— Nie wstąpi pan tutaj? — zapytał nadinspektor, spoglądając na budynek o szlachetnych wymiarach i gościnnym wyglądzie; przez oszklone drzwi wejściowe padało z wielkiej sieni światło na szerokie schody prowadzące do wnętrza.

Ale pan Władimir siedział już w dorożce i patrząc przed siebie kamiennym wzrokiem, odjechał bez słowa.

Nadinspektor również nie wstąpił do wspaniałego gmachu. Był to Klub Podróżników. Mignęła nadinspektorowi myśl, że pana Władimira, honorowego członka klubu, nie będzie się tam w przyszłości często widywało. Popatrzył na zegarek. Dopiero pół do jedenastej. Spędził wieczór pełen wrażeń.

## XI

Po wyjściu komisarza Heata pan Verloc krążył po saloniku. Przez otwarte drzwi od czasu do czasu spoglądał na żonę.

„Wie już o wszystkim” — myślał z ulgą, pełen współczucia dla jej smutku. Dusza pana Verloca, której może zbywało na wielkości, była zdolna do tkliwych uczuć. Robiło mu się zimno i gorąco na myśl, że musi zawiadomić żonę o tym, co zaszło. Tymczasem komisarz Heat uwolnił go od tego zadania. Było to do pewnego stopnia pomyślne. Teraz pozostało mu już tylko być świadkiem jej bólu.

Pan Verloc nie spodziewał się wcale, że jego żona będzie musiała cierpieć z powodu śmierci, katastrofy, na którą nie poradzą ani wymowne argumenty, ani wyszukane rozumowanie. Nie leżało w jego zamiarach, aby Stevie zginął śmiercią tak gwałtowną. Nie leżało w jego zamiarach, aby Stevie w ogóle zginął. Stevie po śmierci sprawiał znacznie więcej kłopotu niż za życia. Pan Verloc przewidywał pomyślny skutek swego przedsięwzięcia, licząc nie na inteligencję chłopca, bo inteligencja płata niekiedy ludziom dziwne figle, lecz na jego ślepe posłuszeństwo i oddanie. Pan Verloc nie był biegły w psychologii, przeniknął jednak skłonność chłopca do głębokiego fanatyzmu. Cieszył się nadzieją, że Stevie odejdzie zdrów i cały spod murów obserwatorium, tak jak mu polecono, że pójdzie drogą, którą mu przedtem pan Verloc kilka razy pokazał, i że poza obrębem parku połączy się ze swym mądrym i dobrym szwagrem. Piętnaście minut powinno było wystarczyć największemu idiocie do podłożenia bomby i wycofania się. A Profesor zaręczył, że wybuch nastąpi najprędzej po upływie piętnastu minut. Lecz Stevie potknął się w pięć minut po chwili, gdy się rozstali.

Pan Verloc był moralnie zmiażdżony. Przewidywał wszystko, prócz tego, co się stało. Przewidywał, że Stevie straci głowę i zbladzi — że on, Verloc, będzie musiał szukać chłopca i znajdzie go wreszcie na posterunku policji lub w którymś z prowincjonalnych przytułków. Przewidywał, że Stewiego zaarrestują — i wcale się tego nie obawiał, gdyż pokładał w nim wielkie zaufanie, a podczas licznych spacerów wpoił mu starannie zasadę, że milczenie w całej tej sprawie jest wręcz nieodzowne. Wędrując wzdłuż ulic londyńskich niby filozof perypatetyk<sup>80</sup>, pan Verloc zmienił pogląd Stewiego na policję za pomocą rozmów pełnych subtelnego rozumowania. Żaden mędrzec nie miał ucznia bardziej uważnego i pełnego podziwu. Oddanie chłopca i jego uwielbienie były takie widoczne, że pan Verloc zaczął dla niego odczuwać coś w rodzaju sympatii. W żadnym zaś wypadku nie przewidywał, iż związek jego, Verloca, z tą sprawą zostanie tak szybko wykryty. Nie miał najlżejszego pojęcia, że jego żona powzięła myśl, aby umieścić adres chłopca na podszewce palta. Niepodobieństwem<sup>81</sup> jest wszystko przewidzieć. A więc to dlatego Winnie mu oświadczyła, że się nie potrzebuje kłopotać, gdyby zgubił Stewiego podczas spaceru! Zapewniła go, że chłopiec się znajdzie. No i znalazł się, rzeczywiście!

— Hm, hm — dziwował się pan Verloc. W jakim celu ona to zrobiła? Aby mu oszczędzić kłopotu czuwania nad Steviem? Z pewnością miała dobre zamiary. Tylko powinna była uprzedzić męża o tym środku ostrożności.

Pan Verloc poszedł za ładę. Nie miał zamiaru czynić żonie gorzkich wymówek. Pan Verloc nie czuł rozgoryczenia. Niezwykły rozwój wypadków uczynił z niego fatalistę. Teraz nic już nie można było poradzić. Rzekł:

— Ja nie chciałem chłopca skrzywdzić.

Pani Verloc wstrząsnęła się, usłyszawszy głos męża. Nie odsłoniła twarzy. Zaufany tajny agent nieboszczyka barona Stott-Wartenheima patrzył na nią jakiś czas uporczywie poważnym, tępym wzrokiem. Rozdarta wieczorna gazeta leżała u jej stóp. Chyba niewiele się z niej dowiedziała. Pan Verloc czuł potrzebę rozmowy z żoną.

— To ten przeklęty Heat, co? To on wytrącił cię z równowagi. Co za bydlę, żeby kobiecie tak wszystko wygarnąć. Namyslałem się bez końca, jak ci to powiedzieć, ledwie mi głowa nie pękła. Przesiedziałem długie godziny w „Cheshire Cheese”<sup>82</sup>, nie wiedząc, jak się do tego wziąć. Chyba rozumiesz, że za nic nie chciałem, aby chłopcu stała się krzywda.

Pan Verloc, tajny agent, mówił prawdę. Ten przedwczesny wybuch ugodził przede wszystkim w jego miłość do żony.

— Niezbyt mi było wesoło, kiedy tam siedział, myśląc o tobie — dodał.

Zauważył znów, że żona wstrząsnęła się z lekka i to go dotknęło w przykry sposób. Ponieważ nie odejmowała rąk od twarzy, pomyślał, że lepiej zostawić ją samą na chwilę. Pod wpływem tych delikatnych uczuć wycofał się znów do saloniku, gdzie płomyk gazu mruczał jak zadowolony kot. Pani Verloc w swej małżeńskiej przezorności zostawiła na stole zimną pieczeń wraz z nożem do krajania i widelcem oraz pół bochenka chleba na kolację dla męża. Zauważył to teraz po raz pierwszy; ukradł kawałek chleba i mięsa, zaczął jeść.

Jego apetyt nie dowodził zatwardziałości serca. Tego dnia pan Verloc nie jadł wcale śniadania. Wyszedł z domu na czczo. Nie był człowiekiem energicznym i siłę do czynu czerpał z nerwowego podniecenia, które, rzekłbyś, trzymało go za gardło. Nie mógł nic przełknąć. A domek Michaelisa był równie ogołocony z zapasów żywności jak cela więzienna; wypuszczony zza krat apostoł żywił się odrobiną mleka i skórkami czerstwego chleba. Przy tym, kiedy pan Verloc się zjawił, Michaelis był już po skromnym śniadaniu i znajdował się na piętrze. Pograżony w znoju i rozkoszy literackiej twórczości, wcale panu Verlocowi nie odpowiedział, gdy ten krzyknął, stojąc u stóp ciasnej klatki schodowej:

— Zabieram tego młodzieńca na parę dni do domu.

<sup>80</sup>*perypatetyk* — uczeń Arystotelesa lub zwolennik jego filozofii; określenie wywodzone od zwyczaju przechadzania się podczas wykładów i dyskusji (gr. *peripatetikos*: przechadzający się), panującego w szkole Arystotelesa. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*niepodobieństwo* (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*Cheshire Cheese* — nazwa fikcyjnego londyńskiego pubu (baru, gdzie podaje się głównie piwo); taką lub podobną nazwę nosiło kilka lokali w Londynie, położonych jednak daleko od sklepu Verloca w Soho. [przypis edytorski]

Prawdę powiedziawszy, pan Verloc nie czekał na odpowiedź, lecz wyszedł zaraz z domu, a za nim posłuszny Stevie.

Teraz, gdy już było po wszystkim, gdy losy pana Verloca wymknęły mu się z rąk tak szybko i niespodzianie, poczuł, że jest straszliwie głodny. Krajał mięso, krajał chleb i pożerał kolację, stojąc przy stole i rzucając od czasu do czasu wzrokiem na żonę. Winnie siedziała wciąż bez ruchu i to przeszkadzało mu posilać się spokojnie. Wrócił do sklepu i podszedł blisko do żony. Jej ból i zasłonięta twarz niepokoiły pana Verloca. Spodziewał się naturalnie, że Winnie będzie bardzo zgnębiona, ale pragnął, aby się opanowała. Potrzebował jej pomocy i jej oddania wobec nowych warunków, z którymi w swym fatalizmie już się pogodził.

— Nie ma na to rady — rzekł tonem ponurego współczucia. — No, Winnie, trzeba myśleć o jutrze. Będziesz musiała mieć głowę na karku, kiedy mnie zabiorą.

Umilkł. Pierś pani Verloc zakolysała się gwałtownie. Nie wpłynęło to kojąco na pana Verloca; uważał, że położenie, jakie się wytworzyło, wymaga od nich obojga spokoju, stanowczości oraz innych cech niedających się pogodzić z rozprężeniem ducha właściwym gwałtownemu bólowi. Pan Verloc miał wrażliwe serce; wracając do domu, postanowił uszanować w całej rozciągłości siostrzane uczucia żony. Ale nie rozumiał ani rodzaju tych uczuć, ani ich siły. Należało mu to wybaczyć, bo musiały przestać być sobą, aby pojąć miłość Winnie do brata. Czuł się zaskoczony, rozczarowany, i to ujawniło się w jego słowach pewną szorstkością tonu.

— Mogłabyś przynajmniej na mnie spojrzeć — zauważył po chwili.

Zgłuszona, niemal żalosna odpowiedź jakby przedarła się gwałtem poprzez ręce zakrywające twarz pani Verloc:

— Nie chcę cię już nigdy widzieć.

— Co? Jak to?

Pan Verloc przestraszył się tylko powierzchownej i dosłownej treści tego oświadczenia. Sprzeczne z rozsądkiem, było po prostu okrzykiem przesadnego bólu. Rzucił nań zasłonę małżeńskiej pobłażliwości. Jego umysłowi brakowało głębi. Miał fałszywe wyobrażenie, że wartość jednostek polega na tym, czym są same przez się, i nie był w stanie zrozumieć, jaką wartość przedstawiał Stevie dla pani Verloc. Pomyślał w duchu, że ona bierze to jednak zbyt tragicznie. A wszystkiemu winien ten przeklęty Heat. Po co ją wytrącił z równowagi? Dla jej własnego dobra nie można pozwolić, aby się zachowywała w ten sposób, bo w końcu zupełnie straci władzę nad sobą.

— Posłuchaj! Nie możesz tkwić tu w sklepie bez końca — rzekł z udaną surowością, w której było i trochę prawdziwego rozdrażnienia, gdyż musiał omówić z żoną różne naglące sprawy, choćby przyszło obojgu całą noc przesiedzieć. — Ktoś może tu wejść lada chwila — dodał i znów czekał. Nie odniosło to żadnego skutku. W czasie tej pauzy nasunęła się panu Verlocowi myśl o nieodwołalności śmierci. Zmienił ton. — Daj spokój, Winnie. Nie przywrócisz go do życia — rzekł łagodnie, gotów wziąć ją w ramiona i przycisnąć do piersi, w której sąsiadowały z sobą współczucie i niecierpliwość. Panią Verloc wstrząsnął krótki dreszcz, ale poza tym wydała się zupełnie obojętna na siłę tego straszliwego truizmu. Natomiast pan Verloc poczuł się wzruszony. W prostocie ducha spróbował skłonić Winnie do zapanowania nad sobą, podkreślając swe własne prawa.

— No, Winnie, bądźże rozsądna. Co by to było, gdybyś mnie utraciła?

Miał nikłą nadzieję, że jego słowa wywołają okrzyk na usta żony. Lecz ani drgnęła. Odchyliła się nieco w tył i zastygła w zupełnym, nieprzeniknionym bezruchu. Serce pana Verloca zaczęło bić szybciej z rozjątrzenia i jakby niepokoju. Położył rękę na jej ramieniu, mówiąc:

— Dostyc tych głupstw, Winnie.

Nie dała znaku życia. Niepodobna dogadać się z kobietą, której twarzy się nie widzi. Pan Verloc chwycił żonę za ręce, ale były jakby przyrośnięte do twarzy. Pochyliła się naprzód pod jego szarpnięciem i niemal zsunęła się z krzesła. Zaskoczony jej bezsilnością, Verloc starał się posadzić żonę z powrotem, lecz nagle zeszywniała, wyrwała mu się i pobiegnęła przez salonik do kuchni. To się stało bardzo szybko. Ujrzał przelotnie jej twarz, oczy i wiedział, że nie spojrziała na niego.

Wszystko to wyglądało jak walka o krzesło, bo pan Verloc w mgnieniu oka siadł na nim. Nie zakrył twarzy rękami, ale mroczna zaduma przesłoniła mu rysy. Nie mógł unik-

nać więzienia. I unikać go nie chciał. Więzienie było miejscem zabezpieczającym przed bezprawną zemstą równie niezawodnie jak grób, z tą różnicą, że więzienie nie wykluczało nadziei. Tedy pan Verloc widział przed sobą najpierw więzienie, a potem szybkie odzyskanie wolności i życie gdzieś za granicą, co już przewidywał na wypadek, gdyby mu się nie powiodło. No więc nie powiodło mu się, ale to niepowodzenie wyglądało inaczej, niż sobie wyobrażał. Znajdował się już tak blisko pomyslnego wyniku, który by przeraził pana Władimira tajemniczą sprawnością, a przy tym położyłby kres okrutnym drwinom sekretarza. Tak się przynajmniej zdawało panu Verlocowi. Byłby się postawił nadzwyczajnie wobec ambasady, gdyby... gdyby jego żona nie wpadła na ten nieszczęsny pomysł, aby przyszyć do palta adres Steviego.

Pan Verloc nie był głupi i spostrzegł w lot, że jego wpływ na szwagra ma w sobie coś niezwykłego, choć nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze źródła tego wpływu — które to źródło stanowiła doktryna o nieporównanej mądrości i dobroci pana Verloca, wpojona Steviemu przez troskające się o niego kobiety. Przewidując wszelkie możliwe ewentualności, pan Verloc liczył słusznie na wrodzoną prawosć Steviego i jego niewzruszoną dyskreję. Ale wypadek, którego nie przewidział, wstrząsnął nim jako człowiekiem humanitarnym i kochającym małżonkiem. Ze wszystkich zaś innych względów była to ewentualność raczej korzystna. Nic nie dorówna wieczystemu milczeniu śmierci.

Pan Verloc mimo woli zdał sobie z tego sprawę, gdy siedział znękany i przerażony w małej salce baru „Cheshire Cheese”, albowiem uczuciowość nie przeszkadzała mu patrzeć jasno na rzeczy. Wprawdzie gwałtowna śmierć Steviego była faktem przykrym, lecz ustalała powódzenie zamachu, bo przecież panu Władimirowi chodziło nie o zwalenie ściany, lecz o wstrząśnięcie społeczeństwem. Można było uznać, że to zostało osiągnięte kosztem wielu zabiegów i strapiień pana Verloca. Gdy jednak najnieoczekiwanej cała sprawa wróciła do swego punktu wyjścia na Brett Street, pan Verloc, który szamotał się niby w strasznym śnie, chcąc ocalić swoje stanowisko, poddał się w końcu ciosowi jak człowiek wierzący w przeznaczenie. Utracił stanowisko właściwie z niczyjej winy. Przyczynił się do tego drobny fakt bez znaczenia. Wyglądało to tak, jakby ktoś pośliznął się w ciemności na odrobinie pomarańczowej skórki i złamał nogę.

Pan Verloc westchnął ciężko. Nie żywił do żony najmniejszej urazy. Pomyślał: „Będzie musiała pilnować sklepu, kiedy się znajdę pod kluczem”. Pomyślał także, jak dotkliwie będzie jej z początku brakowało Steviego, i ogarnęła go wielka troska o jej zdrowie i nerwy. Jakże ona wytrzyma to odosobnienie, sama jedna w całym domu? Byłoby to fatalne, gdyby się rozchorowała, podczas gdy on będzie siedział w więzieniu. Co by się wówczas stało ze sklepem? Sklep przedstawiał pewną wartość. Choć pan Verloc dzięki swemu fatalizmowi pogodził się z utratą stanowiska tajnego agenta, nie miał zamiaru dopuścić do swej zupełnej ruiny, przede wszystkim — trzeba to przyznać — ze względu na żonę.

Winnie była w kuchni poza zasięgiem jego wzroku i milczała wciąż, co go przestraszało. Gdyby przynajmniej miała przy sobie matkę. Ale ta stara idiotka... Gniew i popłoch ogarnęły pana Verloca. Musi się rozmówić z żoną. Trzeba jej wytłumaczyć, że w pewnych warunkach człowiek może być doprowadzony do ostateczności. Ale nie poszedł do żony natychmiast, aby jej udzielić owej informacji. Przede wszystkim uznał, że ten wieczór nie nadaje się do przyjmowania klientów. Wstał, aby zamknąć drzwi od ulicy i zgasić gaz w sklepie.

Zapewniwszy tym samym zacisznosc domowemu ognisku, pan Verloc znalazł się w saloniku i rzucił wzrokiem w głąb kuchni. Pani Verloc siedziała na miejscu Steviego, tam gdzie nieborak sadowił się pod wieczór z papierem i ołówkiem, aby się zabawić rysowaniem połyskliwych, niezliczonych kół przywodzących na myśl chaos i wieczność. Ramiona Winnie leżały na stole, a głowa spoczywała na ramionach. Pan Verloc patrzył jakiś czas na jej plecy i węzeł włosów, a potem odszedł od drzwi kuchni. Filozoficzny, niemal pogardliwy brak ciekawości charakteryzujący panią Verloc, grunt ich wspólnego pożycia, sprawiał, że bardzo było trudno nawiązać z nią kontakt teraz, kiedy zaszła tragiczna tego potrzeba. Pan Verloc odczuwał tę trudność dotkliwie. Chodził po saloniku naokoło stołu, podobny jak zwykle do wielkiego zwierza w klatce.

Ponieważ ciekawość jest jedną z form, które ujawniają ludzką naturę, osoba nieokazująca nigdy ciekawości jest zawsze trochę tajemnicza. Za każdym razem, gdy pan Verloc przechodził obok drzwi kuchennych, spoglądał niespokojnie na żonę. Nie można powie-

dzieć, aby się jej lękał — wyobrażał sobie przecież, że ta kobieta go kocha — ale nie był przyzwyczajony do zwierzania się żonie. A zwierzenie, które chciał teraz uczynić, sięgało w głąb jego psychiki. Jakże wypowiedzieć to, co sam czuł bardzo mętnie: że czasem los sprzysięgnie się na człowieka; że nieraz jakaś myśl póty rozrasta się w duszy, póki nie zacznie żyć życiem własnym, oderwanym i wreszcie staje się siłą od nas niezależną, a zarazem wnikliwym podszeptem. Nie mógł zwierzyć się żonie, że czyjaś twarz — pulchna, dowcipna, wygolona — może prześladować człowieka do tego stopnia, iż w końcu najszałeński sposób pozbycia się jej wydaje się aktem mądrości.

Na myśl o pierwszym sekretarzu potężnej ambasady pan Verloc zatrzymał się we drzwiach i patrząc z góry w głąb kuchni z gniewną twarzą i zaciśniętymi pięściami, powiedział do żony:

— Ty nie wiesz, z jakim ja bydlęciem musiałem się mozolić.

Obszedł znów naokoło stół; znalazłszy się z powrotem u drzwi, przystanął, spoglądając nienawistnie z wysokości dwóch schodków:

— Ten bałwan, ten kpiarz, groźny bydlak bez piątej klepki... Żeby po tylu latach!... takiego człowieka jak ja! Przecież to była gra bardzo dla mnie niebezpieczna. Ty nie wiedziałas o niczym. I tak być powinno. Po co miałem ci mówić, że przez tych siedem lat, odkąd się pobraliśmy, byłem każdej chwili narażony na żgnięcie nożem. To się po mnie nie pokaże, żebym dręczył kobietę, która jest do mnie przywiązana. Nie powinnaś była o tym wiedzieć.

Pan Verloc w przypiływie gniewu obszedł znowu salonik.

— Jadowita bestia — podjął, znalazłszy się z powrotem u drzwi. — Dla kaprysu wyrzucił mnie na bruk, żebym zdechl z głodu. Takiego człowieka jak ja! Widziałem dobrze, że uważa to za świetny kawał. Posłuchaj, Winnie! Wśród najpotężniejszych władców są tacy, którzy tylko dzięki mnie chodzą zdrowi i cali po świecie. Widzisz, kogo masz za męża, moje dziecko!

Spostrzegł, że żona wyprostowała się. Jej ręce w dalszym ciągu leżały wyciągnięte na stole. Pan Verloc wpatrzył się w plecy żony, jakby mógł z nich wnioskować o skutku swoich słów.

— W ciągu ostatnich jedenastu lat wciąż narażałem życie, zapobiegając wszystkim morderczym zamachom. Wysyłałem w świat mnóstwo tych, psiakrew, rewolucjonistów z bombami w kieszeni, po to, żeby ich wyłapywali na granicy. Stary baron wiedział dobrze, jak się zasłużyłem jego krajowi. A tu nagle zjawia się taka świnią... zarozumiała świnią, która o niczym nie ma pojęcia!

Pan Verloc zszedł powoli z dwóch schodków, wszedł do kuchni, wziął z półki szklankę i trzymając ją w ręku, podszedł do zlewu, nie patrząc wcale na żonę.

— Stary baron nie był złośliwym idiotą, żeby mnie wzywać o jedenastej rano! Jest tu paru ludzi w mieście, którzy by nie robili sobie ze mną ceremonii, zobaczywszy, że wchodzę do ambasady; dostaliby od nich po łbie wcześniej czy później. Cóż to za idiotyczne okrucieństwo, żeby narażać niepotrzebnie takiego człowieka jak ja!

Pan Verloc odkręcił kurek nad zlewem i raz po raz wlał sobie do gardła trzy szklanki wody, chcąc ugasić żar swego oburzenia. Postępowanie pana Władimira padło jak zarzewie w głąb duszy Verloca, rozpalając w nim gwałtowny gniew. Nie mógł się uspokoić nad krzywdzącym obejściem sekretarza. Pan Verloc unikał wszystkich uciążliwych zadań, którymi społeczeństwo obarcza skromniejszych obywateli, lecz wykonywał swe tajne rzemiosło z niewyczerpanym oddaniem. Nie brakowało mu pewnego rodzaju lojalności. Był wierny swym chlebodawcom oraz sprawie równowagi społecznej. Był także wierny swym przywiązaniom. Postawiwszy szklankę w zlewie, dał wyraz tej wierności, odwracając się do żony ze słowami:

— Gdyby nie myśl o tobie, byłbym złapał za gardło tego wściekłego bydlaka i wpakował go w ogień na kominku. Dałbym sobie radę jak nic z tym różowiuchnym, wygolonym...

Pan Verloc nie dokończył zdania, jakby końcowe słowo żadnych wątpliwości nie nasuwało. Po raz pierwszy w życiu zwierzał się żonie, kobiecie pozbawionej ciekawości. Osobliwość tego faktu oraz siła i ważkość uczuć pobudzonych ową spowiedzią wymazały doszczętnie z jego pamięci los Steviego. Istnienie jękającego się chłopca, wypełnione lękiem i oburzeniem, oraz gwałtowny jego koniec znikły na pewien czas ze świadomości

pana Verloca. Dlatego też został zaskoczony szczególnym wyrazem oczu Winnie. Nie były błędne ani roztargnione, ale baczny ich wzrok zrobił na panu Verlocu wrażenie dziwaczne i przykre, ponieważ tkwił jakby gdzieś poza jego osobą. To wrażenie podziało nań tak silnie, że się obejrzał. Nie było za nim nic oprócz białej ściany. Wzorowy małżonek Winnie Verloc nie ujrzał na tej ścianie żadnego napisu<sup>83</sup>. Zwrócił się znowu do żony, powtarzając z naciskiem:

— Byłbym go chwycił za gardło. Gdyby nie pamięć o tobie, jakim żyw, przyduśliłbym łotra porządnie, nimbym go puścił. I nie myśl, że wołałby na policję. Nie śmiałby wołać. A rozumiesz dlaczego?

Mrugnął znacząco.

— Nie — rzekła bezdźwięcznie pani Verloc, wcale na niego nie patrząc. — O czym ty mówisz?

Wielkie zniechęcenie — skutek fizycznego wyczerpania — ogarnęło pana Verloca. Miał dzień pełen wrażeń; jego nerwy były przemęczone do ostateczności. Po miesiącu dokuczliwej udręki, zakończonej nagłą katastrofą, miotany burzą duch pana Verloca tęsknił za wytchnieniem. Jego kariera tajnego agenta zakończyła się w sposób, którego nikt nie byłby przewidział; może teraz nareszcie będzie mógł spokojnie przespać noc. Ale zwątpił o tym, spojrzawszy na żonę. Brała tę sprawę bardzo tragicznie — wcale nie tak, jak można się było spodziewać. Uczynił wysiłek, aby do niej przemówić:

— Będziesz musiała nad sobą zapanować, moje dziecko — rzekł współczująco. — Co się stało, to się nie odstanie.

Winnie wdrygnęła się lekko, choć ani jeden mięsień nie drgnął na jej zblakłej twarzy. Pan Verloc ciągnął dalej tęym głosem:

— A teraz idź spać. Dobrze by ci zrobiło, gdybyś się porządnie wyplakała.

Za tym zdaniem pana Verloca przemawiało tylko jedno: jest to zdanie całej ludzkości. Jakby kobiece wzruszenia były czymś równie nieistotnym jak sunące po niebie opary, uważa się za pewnik, że każde z tych wzruszeń musi zakończyć się deszczem. I bardzo możliwe, że gdyby Stevie umarł na swym łóżku, w oczach zrozpaczonej siostry, otoczony jej opiekuńczymi ramionami, ból Winnie znalazłby ujście w potoku gorzkich, czystych łez. Pani Verloc, podobnie jak inne ludzkie istoty, posiadała pewien zasób podświadomej rezygnacji, wystarczający dla stawienia czoła normalnym przejawom ludzkiej doli. Nie brała nic zbyt do serca, zdając sobie sprawę, że „życie nie znosi, aby zanadto je zgłębiać”. Lecz straszne warunki w jakich Stevie zginął — warunki, które dla pana Verloca były tylko epizodem wielkiej klęski — właśnie one sprawiły, że lzy Winnie wyschły u samego źródła, jakby przesunięto jej po oczach rozpalonym do białości żelazem. Jednocześnie zaś jej serce, stwardniałe, zastygłe w kawał lodu, przejmowało ją wewnętrznym drżeniem i ścięło mroźną, nieruchomą zadumą rysy zwrócone ku białej ścianie — na której nie było napisu. Gdy Winnie odrzucała swą filozoficzną powściągliwość, jej usposobienie było macierzyńskie i gwałtowne; ponosiło ją teraz i sprawiało, że myśli kłębiły się w jej nieruchomej głowie. Myśli te wcielały się raczej w obrazy niż w słowa. Pani Verloc była dziwnie małowówna i w życiu domowym, i w stosunku do klientów. Ze wściekłością i przerażeniem kobiety oszukanej widziała teraz przed sobą całe swe życie w wizjach związanych głównie z egzystencją Steviego, ciężką od samego początku. Życie Winnie było przeniknięte jednym celem i natchnione jedną szlachetną myślą, podobnie jak te nieliczne żywoty, które wycisnęły piętno na myślach i uczuciach rodzaju ludzkiego. Ale obrazy przesuwające się przed panią Verloc nie były ani wspaniałe, ani imponujące. Widziała siebie kładącą chłopca do łóżka przy jednej świeczce, na opustoszałym poddaszu wielkiej kamienicy mieszczącej prawie same sklepy i biura, ciemnej u góry i jarzącej się na poziomie ulicy od świateł i kryształowych szyb. Ten handlowy przepych był jedyną wspaniałością w wizjach pani Verloc. Potem zobaczyła siebie czeszącą chłopca, wiążącą mu fartuszek (sama chodziła wówczas jeszcze w fartuszku); zobaczyła, jak małe, przerażone stworzonko pociesza drugie trochę mniejsze i jeszcze bardziej przerażone; poczuła razy, przed którymi często własną głową zasłaniała Steviego; poczuła straszny wysiłek, z jakim podparła kiedyś zamknięte drzwi, aby ochronić braciszka przed rozjuszoną mężczyzną

<sup>83</sup>nie ujrzał na tej ścianie żadnego napisu — aluzja do zapowiedzi upadku, wyrażenie nawiązujące do opowieści z biblijnej Ks. Daniela (5,25): podczas wielkiej uczty wydanej przez króla Babilonu tajemnicza ręka wypisała na ścianie słowa będące przepowiednią zagłady państwa babilońskiego. [przypis edytorski]

(nie na długo sił jej starczyło); ujrzała lecący pogrzebacz (rzucony z niewielkiej odległości) i odczuła głuchą, straszną ciszę, jaka zapadła wówczas niby po uderzeniu pioruna. A wszystkie te gwałtowne sceny odbywały się przy akompaniamencie ordynarnych wymyślań, przy wrzaskach mężczyzny, który oznajmiał, zraniony w swej ojcowskiej dumie, że jest widać przeklęty, kiedy jedno z jego dzieci jest „zaślinionym idiotą”, a drugie „wściekłą diablicą”. Te ostatnie słowa odnosiły się przed wielu laty do Winnie.

Dotarły do niej teraz widmowym echem, a potem mroczny cień belgawijskiego domu przygniótł jej barki. Było to wspomnienie przytłaczające, nużąca wizja niezliczonych tac ze śniadaniem noszonych w górę i na dół po schodach bez liku, ciągłego targowania się o pensy, ciągłej harówki — zmiatania, ścierania kurzu, czyszczenia od sutereny aż do poddasza; niedołączna matka Winnie, utykając na spuchniętych nogach, gotowała w brudnej kuchni, a nieborak Stevie, nieświadoma przyczyna ich znoju, czyścił lokatorom buty w kredensie. Ale od tej wizji powiało gorącym latem londyńskim, a centralną jej postacią był młodzian w odświętnym ubraniu, w słomkowym kapeluszu na ciemnej głowie, z drewnianą fajką w zębach. Serdeczny, wesoły, był wymarzoną towarzyszem podróży po iskrzącym się strumieniu życia — ale jego łódź była bardzo mała. Mogła się w niej pomieścić tylko współtowarzyszka u wiosła, lecz brakowało miejsca dla pasażerów. Nie zatrzymano młodzieńca; prąd uniósł go z progu belgawijskiego domu, a Winnie odwróciła oczy pełne łez. Młodzieniec ów nie był lokatorem. Natomiast był nim pan Verloc; leniwy, opieszaly, wracał późno do domu, rano zaś dowcipkował sennie spod kołdry, patrząc na Winnie z wyrazem zadurzenia w ociężałych oczach, a pieniędzy nie brakowało mu nigdy. Leniwy strumień jego życia nie iskrzył się blaskiem. Płynął przez miejsca tajemne. Ale łódź pana Verloca wyglądała okazale, a jego milcząca wspaniałomyślność godziła się bez zastrzeżeń na pasażerów.

Potem przed oczami pani Verloc przesunęła się wizja siedmiu lat, w czasie których Stevie zażywał bezpieczeństwa, uczciwie przez nią opłaconego. Z czasem poczucie bezpieczeństwa zmieniło się w ufność, w przywiązanie do własnego domu, senne i głębokie jak spokojny staw; jego powierzchnia wzdrzygała się nieznacznie tylko wówczas, gdy w pobliżu znalazł się Ossipon, krzepki anarchista o bezwstydnym wyzywających oczach, których niedwuznaczne spojrzenie było zrozumiałe dla każdej kobiety z wyjątkiem skończonych idiotek.

W kilka sekund po ostatnich słowach wypowiedzianych w kuchni pani Verloc miała już przed oczami epizod sprzed paru tygodni. Utkwiła rozszerzone źrenice w wizji męża oraz nieboraka Steviego: szli obok siebie po Brett Street, oddalając się od sklepu. Była to ostatnia scena z życia stworzonego przez panią Verloc, tego życia, które — wyzbyte z wdzięku, uroku, piękna i niemal przyzwoitości — budziło podziw trwałością uczuć i uporczywością w dążeniu do celu. A ta ostatnia wizja miała w sobie tyle plastyki i taką dokładność w szczegółach, że pani Verloc wyrwał się żalony, cichy szept, zawierający najpiękniejsze ze złudzeń jej życia — struchlały szept, który zamarł na pobielałych wargach:

— Zupełnie jak ojciec z synem.

Pan Verloc przystanął i podniósł znękaną twarz.

— Co? Co ty mówisz? — zapytał.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wrócił do swej ponurej wędrówki. Nagle wybuchnął, potrząsając groźnie wielką, tłustą pięścią.

— Cóż to za dranie, ta banda z ambasady! Nie minie tydzień, a tak ich urządzę, że lepiej by się zapadli pod ziemię. Co ty mówisz?

Spojrzał na żonę spode łba, nie podnosząc głowy. Wpatrywała się w białoną ścianę. Ścianę pustą, zupełnie pustą. Taką pustą, że brała ochota rozpędzić się i głowę sobie o nią roztrzaskać. Pani Verloc zastygła w bezruchu. Tak samo skamieniałyby połowa mieszkańców globu w zdumieniu i rozpacz, gdyby słońce zgasło nagle na letnim niebie za sprawą jakiejś zdradliwej opatrności darzonej zaufaniem.

— Ambasada — zaczął znowu pan Verloc, błysnąwszy kłami jak wilk. — Chciałbym się tam dostać z pałką w rękę na jakieś pół godziny. Póty bym walił, póki bym tej hołocie nie poprzetrzącał wszystkich kości. Ja ich jeszcze nauczę, czym to pachnie, kiedy się takiego jak ja człowieka wyrzuca na bruk, żeby zdechł z głodu. Mam język w gębie. Cały świat się



downie, co dla nich zrobiłem. Nie boję się. Gwiżdżę na nich. Wszystko się wyda. Wszystkie ich wstrętne łajdactwa. Niech się strzegą!

W takich oto słowach wypowiedział pan Verloc swą żądzę zemsty. Była to zemsta bardzo dla niego odpowiednia. Harmonizując z popędami pana Verloca, miała także tę dobrą stronę, że nie przekraczała zakresu jego możliwości i że łatwo mógł ją przystosować do swych praktyk życiowych, które polegały właśnie na zdradzaniu tajemnic i niedozwolonych postępów jego bliźnich. Czy chodziło o anarchistów, czy też o dyplomatów, to było mu obojętne. Pan Verloc miał dla bliźnich wrodzony brak szacunku. Obdzielał równomierną pogardą każdego, z kim się zetknął na terenie swej działalności. Ale jako członek rewolucyjnego proletariatu — którym był niewątpliwie — żywił dość wrogie uczucia wobec jednostek wyróżnionych przez społeczeństwo.

— Teraz już nic mnie nie wstrzyma — dodał i umilkł, patrząc w żonę, która patrzyła w pustą ścianę.

Cisza w kuchni przedłużała się i pan Verloc uczuł rozczarowanie. Miał nadzieję, że jego żona coś powie. Ale usta pani Verloc, zachowując swą zwykłą linię, trwały w bezruchu, tak jak i cała jej twarz. Pan Verloc był rozczarowany. Lecz przyznawał, że w danych okolicznościach nie mógł wymagać od żony, aby go bawiła rozmową. Była małomówna. Dla przyczyn wynikających z najgłębszych podstaw jego psychiki, pan Verloc skłonny był pokładać ufność w każdej kobiecie, która mu się oddała. Dlatego też ufał żonie. Pożycie ich było idealnie zgodne, ale nie opierało się na ścisłym porozumieniu. Wynikało z niemej ugody, dogadzającej obojętności pani Verloc oraz nawykom jej męża, który był skryty i opieszły. Oboje wstrzymywali się od zgłębiania faktów i przyczyn.

Ta powściągliwość, świadcząca w pewnej mierze o głębokim wzajemnym zaufaniu, wprowadzała jednocześnie coś niepewnego do ich zażyłości. Zaden system małżeńskiego pożycia nie jest doskonały. Pan Verloc sądził, że Winnie go rozumie, ale pragnął wiedzieć, co w owej chwili myślała. Byłoby to dla niego pociechą.

Pociechy tej nie zaznał z kilku przyczyn. Zachodziła tu przeszkoda fizyczna: pani Verloc czuła, że nie panuje nad głosem. Mając do wyboru tylko krzyk lub milczenie, instynktownie wybrała milczenie; Winnie Verloc była z natury osobą milczącą. A poza tym obezwładniła ją okrutna myśl, która nią zawładnęła. Twarz Winnie była blada jak ściana, usta zszarzały na popiół, jej zupełny bezruch zdumiewał. Nie patrząc na pana Verloca, myślała: „Ten człowiek zabrał chłopca, żeby go zamordować. Zabrał chłopca z domu, żeby go zamordować. Zabrał mi chłopca, żeby go zamordować!”

Ta niewiarygodna myśl, doprowadzająca do szału, torturowała całe jestestwo pani Verloc. Tkwiła w jej żyłach, w jej kościach, w korzeniach jej włosów. Winnie widziała siebie w postawie biblijnej żalobnicy o zasłoniętej twarzy, o podartym odzieniu; krzyki lamentu i zawodzenia przepęniały jej głowę. Ale zęby były zacięte, a suche oczy gorzały wściekłością, gdyż nie odznaczała się uległym charakterem. Opieka, jaką roztoczyła nad bratem, wynikała z gwałtownego oburzenia. Winnie kochała go miłością wojowniczą. Walczyła za niego — nawet przeciw samej sobie. Utrata Steviego miała w sobie gorycz klęski i rozpacz zawiedzionej namiętności. Nie był to zwykły cios śmierci. Co więcej, to nie śmierć zabrała jej brata. Zabrał go pan Verloc. Widziała to na własne oczy. Patrzyła, jak go zabierał i nawet nie kiwnęła palcem. Nie zapobiegła temu jak — jak idiotka — jak ślepa idiotka. A ten człowiek, zamordowawszy go, wrócił do niej do domu. Po prostu wrócił do domu, jak każdy mąż wraca do żony.

Pani Verloc mruknęła do ściany przez zaciśnięte zęby:

— A ja myślałam, że się zaziębił.

Pan Verloc posłyszał te słowa i wziął je do siebie.

— Nic podobnego — rzekł pośepnie. — Byłem taki roztrzęsiony. I to z twojego powodu.

Pani Verloc odwróciła powoli twarz i przeniosła wzrok ze ściany na postać męża. Pan Verloc przygryzał końce palców i patrzył w ziemię.

— Nie ma na to rady — mruknął, opuszczając rękę. — Trzeba się opanować. Będziesz musiała teraz mieć głowę na karku. To ty naprowadziłaś na nas policję. No ale trudno, nie powiem już ani słowa — ciągnął wspaniałomyślnie. — Nie mogłaś przecież wiedzieć.

— Nie mogłam — szepnęła Winnie. Był to jakby szepet trupa. Pan Verloc wrócił do swych rozważań.

Rozpacz, Siostra

— Nie mam ci tego za złe. Ja im teraz pokażę! Kiedy już się znajdę pod kluczem, będę mógł mówić bezpiecznie... rozumiesz? Musisz przygotować się na to, że będziemy rozłączeni przez dwa lata — ciągnął tonem szczerzej troski. — Łatwiej to zniesiesz ode mnie. Będziesz miała coś do roboty, podczas gdy ja... Posłuchaj mnie, Winnie: przez dwa lata musisz sama prowadzić ten interes. Znasz się na tym dostatecznie. Masz dobrą głowę. Dam ci znać, kiedy przyjdzie czas na sprzedaż sklepu. Trzeba wziąć się do tego nadzwyczaj ostrożnie. Towarzysze będą cię przez cały czas mieli na oku. Musisz być zręczna, tak jak ty to potrafisz, i milcząca jak grób. Nie zdradzisz się przed nikim. Nie mam ochoty, żeby mi dali po łbie albo żgnęli mnie w plecy, gdy wyjdę z więzienia.

Tak przemawiał pan Verloc, wyteżając umysł, aby rozwiązać zręcznie i przezornie zagadnienia przyszłości. Jego głos był ponury, albowiem pan Verloc miał trafne wyczucie położenia. Stało się wszystko to, czego chciał uniknąć. Przyszłość wyglądała niepewnie. Widać stracił chwilowo głowę, zastraszony okrutnym wybrykiem pana Władimira. Ale cóż w tym dziwnego, gdy mężczyzna mający już po czterdzieście wpada w rozterkę ze strachu przed utratą posady, zwłaszcza jeśli jest tajnym agentem politycznym i jeśli się czuł zupełnie bezpieczny, świadom swych niepoślednich walorów oraz szacunku wysoko postawionych osobistości. Więc nie można było panu Verlocowi się dziwić.

A teraz wszystko skończyło się katastrofą. Pan Verloc panował nad sobą, ale nie był pogodny. Tajny agent, który przez zemstę zrywa z tajemnością i chełpi się publicznie swymi czynami, staje się przedmiotem zacieklego, krwiożerczego oburzenia. Nie przesadzając grożących mu niebezpieczeństw, pan Verloc starał się uwydatnić je plastycznie przed żoną. Powtórzył, że nie ma zamiaru pozwolić, aby rewolucjoniści go sprzątnęli.

Spojrzał żonie prosto w oczy. Rozszerzone źrenice Winnie przyjęły jego wzrok w swe bezdenne głębie.

— Znadto cię na to kocham — rzekł z krótkim, nerwowym śmiechem.

Lekki rumieniec zabarwił śmiertelnie bladą, nieruchomą twarz pani Verloc. Wizje przeszłości już ją opuściły; nie tylko usłyszała, ale i zrozumiała słowa wypowiedziane przez męża. Były tak rażąco sprzeczne ze stanem jej ducha, że na chwilę zbrakło jej tchu. Stan jej ducha odznaczał się chwalebłą prostotą, ale brakowało mu równowagi, ponieważ Winnie była opanowana przez jedną jedyną myśl. Ta myśl przeniknęła do każdego włókna jej mózgu. Oto człowiek, z którym żyła bez wstępu przez siedem lat, zabrał jej „biednego chłopca”, aby go zabić; człowiek, do którego przyzwyczała się cielesnie i duchowo, któremu ufała, zabrał jej chłopca, aby go zabić! Ta myśl — w swym kształcie, w swej treści, w swych skutkach, nieobliczalnych, bo zmieniających nawet wygląd rzeczy martwych — była tego rodzaju, że można było od niej osłupieć na zawsze. Pani Verloc siedziała bez ruchu. A pan Verloc, jak zwykle w palcie i kapeluszu, chodził tam i sam — wcale nie po kuchni, lecz właśnie po tej myśli, tratując butami mózg żony. Pan Verloc zapewne coś mówił, ale myśl Winnie prawie ciągle przesłaniała jej głos męża.

Niekiedy jednak ten głos docierał do jej uszu. Od czasu do czasu wyłaniały się pojedyncze zdania. Treść ich była na ogół pełna otuchy. Wówczas rozszerzone źrenice Winnie powracały z oddali, śledząc ruchy pana Verloca z ponurą troską i nieprzeniknioną uwagą.

Pan Verloc znał na wskroś wszelkie sprawy dotyczące swego tajnego zawodu i był dobrej myśli co do własnych planów i kombinacji. Wierzył naprawdę, że w gruncie rzeczy łatwo mu będzie ująć przed nożem rozwścieczonych towarzyszy. Tak często zdarzało mu się wyolbrzymiać (ze względów zawodowych) potęgę rewolucjonistów i jej zasięg, że miał dokładne wyczucie sytuacji. Bo aby przesadzać w sposób wiarygodny, trzeba najpierw rzecz dokładnie zbadać. Wiedział również, ile dobrodziejstw, a także i nikczemności ulatnia się z pamięci w ciągu dwóch lat — dwóch długich lat. Ta pierwsza jego poufna rozmowa z żoną płynęła z wrodzonego mu optymizmu, przy czym uznał za stosowne okazać największą pewność siebie, na jaką mógł się zdobyć. Chciał dodać biednej kobiecie odwagi. Po jego uwolnieniu, które zgodnie z zasadniczą linią jego życia miało oczywiście nastąpić po kryjomu, natychmiast oboje znikną. Co się tyczyło zatarcia za nimi śladów, zapewnił Winnie, iż można na nim polegać. Potrafi to zrobić tak, że nawet sam diabeł...

Machnął ręką. Wszystko to wyglądało, jakby się przechwalał, a tymczasem on chciał tylko dodać żonie odwagi. Zamiary miał dobre, lecz niestety nie było porozumienia między nim a jego audytorium.

Samochwalczy ton męża przyciągnął uwagę Winnie, która puszczała większość słów mimo uszu — bo cóż ją słowa mogły teraz obchodzić? Co mogły jej uczynić dobrego lub złego w obliczu władającej nią myśli? Śledziła mrocznym spojrzeniem tego człowieka, który stwierdzał swoją bezkarność — człowieka, który zabrał z domu jej biednego chłopca, aby go zabić. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie go zabił, ale serce jej zaczęło bić bardzo wyraźnie.

Pan Verloc łagodnym małżeńskim tonem wyrażał teraz głębokie przeświadczenie, że mają jeszcze przed sobą dobrych kilka lat spokojnego życia. Nie poruszał kwestii środków pieniężnych. Będą musieli przywarować i niejako gnieździć się w cieniu, ukryci wśród ludzi, którzy zastąpią im gąszcz trawy; ich życie musi być skromne jak życie fiołków. Pan Verloc określił to słowami: „Trzeba będzie się na chwilę przytacić”. Oczywiście gdzieś daleko od Anglii. Nie było jasne, czy pan Verloc ma na myśli Hiszpanię, czy Amerykę Południową; w każdym razie miało to być gdzieś za granicą.

Ostatnie słowo wpadło w ucho pani Verloc i wywarło pewne określone wrażenie. Ten człowiek mówi o wyjeździe za granicę. Wrażenie to było zupełnie oderwane; a siła przyzwyczajenia jest tak wielka, że pani Verloc natychmiast machinalnie zapytała siebie: „A co będzie ze Steviem?”

Było to pewnego rodzaju roztargnienie; w mig zdała sobie sprawę, że nie potrzebuje się o brata niepokoić. Nigdy już nie będzie o niego się niepokoić. Został wprowadzony i zabity. Nie żyje.

Ten wstrząsający dowód roztargnienia pobudził umysł pani Verloc. Zaczęła sobie uprzytamniać pewne wylaniające się konsekwencje tego, co się stało, konsekwencje, które by zaskoczyły jej męża. Nie potrzebowała już zostać tutaj, w tej kuchni, w tym domu, z tym człowiekiem — bo chłopiec odszedł na zawsze. Nic jej tu nie zatrzymywało. Na tę myśl wstała jakby tknięta sprężyną. Ale jednocześnie poczuła, że w ogóle nie istnieje nic, co by ją wiązało ze światem. To poczucie osadziło ją na miejscu. Pan Verloc przypatrywał się Winnie z mężowską troskliwością.

— Przyszłaś trochę do siebie — rzekł niespokojnie.

Coś szczególnego w złowrogim spojrzeniu żony mąciło jego optymizm. W tej właśnie chwili pani Verloc zaczęła się uważać za wyzwoloną ze wszystkich ziemskich więzów. Odzyskała wolność. Jej umowa z życiem, które uosabiał ten stojący przed nią mężczyzna, dobiegła końca. Była wolna. Gdyby pan Verloc był mógł w jakiś sposób przeniknąć jej myśli, zgorszyłby się niepomierne. W stosunku do kobiet, które mu się podobały, był zawsze rozrzutny, ale mimo to nie miał nigdy wątpliwości, że jest kochany dla siebie samego. Co do tego był niepoprawny, ponieważ jego poglądy etyczne zgadzały się z jego próżnością. Że ich, Verloców, cnotliwy i legalny związek opierał się na wzajemnej miłości, tego najzupełniej był pewien.

Pan Verloc postarzał się, utył, stał się ociężały, zachowując przeświadczenie, że nie zbywa mu na uroku i że można go kochać bezinteresownie. Gdy zobaczył, iż pani Verloc zrywa się i wychodzi z kuchni bez słowa, uczuł rozczarowanie.

— Dokąd idziesz? — zawołał na nią dość ostro. — Na górę?

Usłyszawszy to, pani Verloc odwróciła się we drzwiach. Instynktowna ostrożność zrodzona ze strachu, z okropnego strachu, aby ten mężczyzna nie zbliżył się i jej nie dotknął, skłoniła ją do leciutkiego skinienia głową (z wysokości dwóch schodków) i do poruszenia ustami; mężowski optymizm pana Verloca wziął to za nikły, niepewny uśmiech.

— Doskonale — zachęcał ją szorstko. — Wypoczynek i cisza, tego ci właśnie trzeba. Idź, idź. Zaraz tam do ciebie przyjdę.

Pani Verloc, kobieta wolna, nie miała właściwie pojęcia dokąd idzie; usłuchała go ze sztywnym spokojem.

Pan Verloc śledził jej ruchy. Znikła na schodach. Poczul się rozczarowany. Takie już miał usposobienie, że byłby wołał, aby mu się rzuciła na szyję. Ale wspaniałomyślność i pobłażliwość wzięły w nim górę. Winnie była zawsze powściągliwa i milcząca. Zresztą i w naturze pana Verloca nie leżało szafowanie słowami oraz czułościami. Ale to nie był zwykły wieczór. W takich okolicznościach mężczyzna potrzebuje, aby go krzepić jawnymi dowodami współczucia i przywiązania. Pan Verloc westchnął i zakręcił gaz w kuchni. Jego współczucie dla żony było szczere i silne. O mało co łzy nie zaćmiły mu oczu, gdy stał

w saloniku, rozmyślając nad grożącą jej samotnością. Nastrojony na smutną nutę, poczuł dotkliwie, jak bardzo mu brakuje Steviego na tym kłopotliwym świecie. Medytował ponuro o śmierci chłopca. Czemuż on tak idiotycznie pozbawił się życia!

Pan Verloc poczuł znowu nieprzepartry głód; zdarza się to nawet ludziom odeń wytrzymalszym i jest skutkiem wielkiego napięcia nerwów, które towarzyszy wykonaniu ryzykownego zamysłu. Pieczeń na półmisku, jakby przygotowana na stypę po pogrzebie Steviego<sup>84</sup>, przyciągnęła uwagę pana Verloca. I znów się zaczął posilać. Jadł żarłocznie, bez opanowania ani przyzwoitości, krając sobie grube kawały dużym ostrym nożem i polykając je bez chleba. W ciągu tego posiłku przyszło mu na myśl, że nie słyszy, aby żona krzątała się po sypialni, jak się tego spodziewał. Myśl, że może zastanie ją siedzącą na łóżku w ciemnościach, odebrała mu nie tylko apetyt, ale i chęć pójścia na górę za jej przykładem. Odłożywszy nóż do krajania mięsa, pan Verloc zaczął nasłuchiwać z twarzą uważną i zatroskaną.

Wreszcie posłyszał z ulgą, że się poruszyła. Przeszła nagle przez pokój i otworzyła gwałtownie okno. Po okresie ciszy, w czasie której wyobrażał sobie, że stoi wychylona na dwór, usłyszał, że powoli okno zamknęła. Potem uczyniła kilka kroków i siadła. Każdy odgłos był znany panu Verlocowi, który lubił przesiadywać w domu. Kiedy znów posłyszał kroki żony nad głową, wiedział — zupełnie jakby na to patrzył — że zmienia trzewiki. Wzruszył z lekka ramionami na ten niepokojący objaw i odszedłszy od stołu, stanął tyłem do kominka z głową przechyloną na ramię, gryząc końce palców. Orientował się w poruszeniach żony według dochodzących go odgłosów. Chodziła gwałtownie tu i tam, przystając raptem to przed komodą, to przed szafą. Olbrzymi ciężar znużenia, plon całego dnia wstrząsów i niespodzianek, przytłoczył energię pana Verloca.

Nie podniósł oczu, dopóki nie usłyszał, że żona schodzi ze schodów. Tak jak przewidywał, ubrała się do wyjścia.

Pani Verloc była kobietą wolną. Otworzyła okno w sypialni, żeby krzyknąć: „Morderstwo! Na pomoc!” — albo żeby się przez nie rzucić. Nie wiedziała bowiem dokładnie, co za użytek zrobić ze swej wolności. Jej istota była jakby rozdarta na dwie części, których czynności umysłowe niezbyt się z sobą zgadzały. Ulica, niema i bezludna, wzbudziła w pani Verloc odrazę, ponieważ zdawała się sprzyjać temu człowiekowi, który był taki pewien, iż kara go nie dosięgnie. Winnie bała się, że na jej krzyk nikt nie przyjdzie. Nikt — z całą pewnością. A jej instynkt samozachowawczy zadrżał przed rzuceniem się jakby w przepaścisty rów z błotem na dnie. Zamknęła okno i ubrała się, aby inną drogą znaleźć się na ulicy. Była kobietą wolną. Ubrała się do wyjścia starannie, włożyła nawet woalkę. Gdy się pojawiła w świetle saloniku, pan Verloc zauważył, że i torebka wisi u jej lewej ręki... Oczywiście chce uciec do matki.

W jego znużonym umyśle pojawiła się myśl, że kobiety umieją jednak dokuczyć. Ale był zbyt szlachetny, aby żywić taką myśl przez dłuższą chwilę. Ten mężczyzna, zranny okrutnie w swej miłości własnej, postępował w dalszym ciągu wspaniałomyślnie, nie pozwalając sobie na zadośćuczynienie w postaci gorzkiego uśmiechu lub pogardliwego machnięcia ręką. Z prawdziwą wielkodusznością tylko spojrział na drewniany zegar ścienny i rzekł tonem zupełnie spokojnym, lecz energicznym:

— Dwadzieścia pięć minut po ósmej, Winnie. Nie ma sensu, żebyś szła do matki tak późno. Nie mogłabyś wrócić na noc do domu.

Pani Verloc stanęła jak wryta przed jego wyciągniętą ręką. Dodał z powagą:

— Twoja matka pójdzie spać, zanim tam dojedziesz. Z tego rodzaju wiadomością nie trzeba się śpieszyć.

Pani Verloc ani myślała jechać do matki. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym, a poczuwszy za sobą krzesło, poddała się jego kontaktowi i siadła. Chciała po prostu wyjść z domu i nigdy nie wrócić. Uczucie to było zrozumiałe, lecz przybrało w jej duszy kształt pospolity, zgodny z jej pochodzeniem i stanowiskiem: „Wolałabym chodzić po ulicy do końca życia” — pomyślała. Ale była zależna od drobnostek, od przypadkowych zetknięć, bo jej duch doznał wstrząsu, dla którego próżno by szukać porównania w świecie materii; najgwałtowniejsze w dziejach trzęsienie ziemi byłoby słabym i nieudolnym odpowiedni-

<sup>84</sup>Pieczeń na półmisku, jakby przygotowana na stypę — w oryginale wykorzystano określenie *funereal baked meats*, użyte także przez Hamleta (*Hamlet*, akt I, scena 2). [przypis edytorski]

kiem tego wstrząsu. Winnie siadła. W kapeluszu i woalce wyglądała jak gość, jakby zaszła na chwilę z wizytą. Natychmiastowa powolność żony dodała panu Verlocowi odwagi, lecz podrażniło go jej milczenie i jakby chwilowe tylko posłuszeństwo.

— Pozwól sobie powiedzieć — rzekł władcym tonem — że dziś powinnaś tutaj pozostać. Do diabła z tym wszystkim! Przecież to ty naprowadziłaś na mnie tę przeklętą policję. Nie robię ci wyrzutów, ale swoją drogą to twoja sprawka. Zdejmże ten przeklęty kapelusz. Nie mogę na to pozwolić, abys teraz wyszła, kochanie — dodał łagodniej.

Umysł pani Verloc uczeplił się jego słów z chorobliwą uporczywością. Ten człowiek nie pozwoli jej wyjść — ten sam człowiek, który zabrał sprzed jej oczu Stewiego, aby go zamordować w jakimś miejscu... nie pamiętała jego nazwy. Naturalnie, że nie pozwoli jej wyjść. Teraz, kiedy zamordował Stewiego, nigdy już nie wypuści jej z domu. Będzie chciał ją trzymać przy sobie — za darmo. I rozprzężony umysł pani Verloc zaczął działać pod wpływem tego charakterystycznego rozumowania, które miało siłę jakiejś obłądnej logiki. Mogłaby przesunąć się obok męża, otworzyć drzwi, wybiec na ulicę. Ale on by rzucił się za nią, schwytałby ją wpół, wciągnąłby ją z powrotem do sklepu. Mogłaby go drapać, kopać, gryźć — mogłaby także pchnąć go nożem; ale na to trzeba mieć nóż. Pani Verloc siedziała nieruchomo we własnym domu, zasłonięta czarną woalką jak zamaskowany, tajemniczy gość o nieprzeniknionych zamiarach.

Wielkoduszność pana Verloca miała granice. Żona doprowadziła go w końcu do ostateczności.

— Czemu się nie odezwiesz? Ty to masz sposoby, żeby człowiekowi dokuczyć. Jeszcze jak! Potrafisz udawać głuchą i niemą. Dałaś mi się już nieraz we znaki. A ja właśnie dzisiaj tego nie zniosę. Przede wszystkim zdejm tę, psiakrew, woalkę. Człowiek nie wie, czy mówi do mumii, czy do żywej kobiety.

Zbliżył się i wyciągnawszy rękę, zdarł żonie woalkę, odsłaniając nieporuszoną twarz, o którą jego rozjątrzenie rozbilo się jak szklana bańka o skalę.

— Tak jest lepiej — rzekł, aby pokryć przelotny niepokój, i wycofał się na dawne stanowisko przy kominku. Nawet nie przeszło mu przez myśl, aby żona mogła go rzucić. Zawstydzil się trochę, albowiem był szlachetny i czulego serca. Cóż miał począć? Wszystko już jej powiedział. Zaczął gorąco ją przekonywać:

— Szukałem na wszystkie strony, żeby znaleźć kogoś do tej przeklętej roboty, słowo ci daję! Naraziłem się na to, że się zdradzę. I powtarzam, że nikogo znaleźć nie mogłem. Nikt nie był na to dość głupi albo dość głodny. Za kogo ty mnie bierzesz — za mordercę, czy co? No więc stało się, chłopiec nie żyje. Czy myślisz, że ja chciałem, aby się wysadził w powietrze? Nie żyje — skończyły się jego troski. A nasze troski dopiero teraz się zaczną, właśnie dlatego, że on się wysadził w powietrze. Ja ciebie nie potępiam. Ale postaraj się tylko zrozumieć, że to był czysty przypadek; taki sam przypadek, jakby chłopiec przechodził przez ulicę i jakby go przejechał omnibus.

Jego wspaniałomyślność miała granice, ponieważ był człowiekiem, a nie potworem, za jakiego miała go pani Verloc. Umilkł; skurcz wargi — niby warknięcie — podniósł mu z jednej strony wąsy, odsłaniając połysk białych zębów, i nadał mu wyraz myślącego zwierzęcia, niezbyt niebezpiecznego; wyglądał jak ociężałe zwierzę o gładkiej głowie i chrapliwym głosie, podobne do foki, tylko bardziej ponure.

— A w gruncie rzeczy ty zawiniłaś akurat tyle, co i ja. Tak jest. Możesz wytrzeszczać na mnie oczy, ile ci się żywnie podoba. Znam się na twoich sposobach. Niech tu padnę trupem, jeśli kiedy zaświtało mi w głowie, aby chłopca do tego użyć. A ty ciągle pod nos mi go podsuwałaś, kiedy odchodziłem od zmysłów i łamałem sobie głowę, co począć, żeby nas wszystkich ocalić. Co cię u licha napadło? Mógłby kto pomyśleć, żeś to robiła umyślnie. I nie dałbym dwóch groszy, czy tak nie było. Któż zgadnie, co ty potrafisz wywachać z tą twoją obojętną miną niewiniątka, które nic nie widzi i pary z ust nie puszcza...

Chrapliwy jego głos zamilkł na chwilę. Pani Verloc nic nie odpowiedziała. Wobec tej ciszy zawstydzil się swoich słów. Ale, jak się to często zdarza ludziom spokojnym w czasie sprzeczek domowych, pan Verloc, czując się zawstydzony, wysunął nowe zarzuty.

— Ty czasem zatniesz się w taki nieznośny sposób — podjął znów, nie podnosząc głosu. — Można wprost oszaleć. Twoje szczęście, że nie tak łatwo dają się wyprowadzić z równowagi przez te fochy i udawanie niemowy. Tak, jestem do ciebie przywiązany. Ale

co zanadto, to niezdrowo. Chwila nie jest wcale po temu. Powinniśmy zastanowić się nad tym, co robić. Nie mogę cię puścić do matki, żebyś poleciała opowiadać jej o mnie jakieś bzdury. Jeszcze czego! I zdaj sobie jasno z tego sprawę: jeśli myślisz, że to ja zabiłem chłopca, wiedz o tym, że równie dobrze ty go zabiłaś.

Pod względem szczerości uczuć i otwartego ich wyznania słowa te przeszły wszystko, co się kiedykolwiek powiedziało w tym domu, prowadzonym za dochody z tajnego zajęcia, pomnażane sprzedażą mniej lub więcej tajnych przedmiotów — lichych środków wynalezionych przez ludzkość dla ochrony niedoskonałego społeczeństwa przed groźbą duchowego i fizycznego zepsucia, także poniekąd tajnego. Pan Verloc wypowiedział te słowa, bo czuł się naprawdę skrzywdzony; lecz dyskretna przyzwoitość jego domu pozostała na pozór niezamącona — przyzwoitość domowego ogniska gnieźdzącego się w mrocznej ulicy za sklepem nigdy nie nawiedzanym przez słońce. Pani Verloc, wysłuchawszy męża w sposób najzupełniej poprawny, wstała z krzesła w kapeluszu i żakiecie, niby gość przy końcu wizyty. Zaczęła iść w stronę pana Verloca z wyciągniętą ręką, jakby chcąc pożegnać się z nim w milczeniu.

Woalka uczepiona końcem z lewej strony twarzy razila nieporządkiem przy konwencjonalnych, powściągliwych ruchach pani Verloc. Lecz gdy Winnie zbliżyła się do dywanu leżącego przed kominkiem, pana Verloca już tam nie było. Odszedł ze spuszczonego wzrokiem w stronę kanapy, nie sprawdzając, jaki skutek wywarła jego tyrada. Był znużony i pełen typowo mężowskiej rezygnacji. Ale był też dotknięty w najczulsze miejsce swej ukrytej słabości. Jeżeli żona ma ochotę dąsać się wśród strasznie napiętej ciszy — to niech się dąsa. Jest mistrzynią w tej domowej sztuce. Rzucił się ciężko na kanapę, obojętny jak zwykle na los swego kapelusza, który widać przyzwyczał się dbać o siebie i potoczył się do bezpiecznego schronienia pod stołem.

Pan Verloc czuł się zmęczony. Reszta jego nerwowych sił została zużyta wśród niespodzianek i udręk dnia pełnego nieoczekiwanych kłesk, pieczętujących cały miesiąc bezsenności i snucia planów. Był zmęczony. Przecież człowiek nie jest z kamienia. Niech diabli wezmą to wszystko! Spoczywał w swej charakterystycznej pozie, ubrany jak do wyjścia. Jedna poła jego otwartego palta leżała na podłodze. Ułożył się wygodnie na plecach. Ale tęsknił za wypoczynkiem bardziej zupełnym — za snem — za kilku godzinami rozkosznego zapomnienia. To przyjdzie później. A tymczasem wypoczywał spokojnie. I myślał:

— Żeby ona już dała spokój tym nieznośnym wybrykom. Można się wściec.

Poczucie odzyskanej wolności, jakie ogarnęło panią Verloc, musiało być niezupełne. Zamiast podejść ku drzwiom, wsparła się plecami o gzyms kominka, niby wędrowiec, który wypoczywa wsparty o płot. W jej wyglądzie było coś z obłądu: woalka zwisała na policzku jak łachman, w nieruchomych oczach światło gubiło się bez najlżejszego błysku. Ta kobieta zdolna do zawarcia transakcji, której samo przypuszczenie zgorszyłoby dotkliwie pana Verloca, żywiącego tak idealne wyobrażenie o miłości — zatrzymała się teraz miotana niepewnością, jakby czując, że jeszcze nie wypełniła czegoś, co jest konieczne dla zasadniczego zerwania owej transakcji.

Pan Verloc poruszył plecami, aby się ułożyć wygodniej, i z pełni serca wypowiedział życzenie równie zbożne jak źródło, z którego płynęło:

— Bodaj bym nie był widział na oczy tego przeklętego parku w Greenwich — burknął chrypliwie.

Matowy odgłos tych słów napełnił salonik dźwiękiem umiarkowanym, harmonizującym ze skromną treścią wypowiedzianego życzenia. Fale powietrzne odpowiedniej długości, rozchodzące się według ścisłych formuł matematycznych, opłynęły wszystkie martwe przedmioty w pokoju i odbiły się od głowy pani Verloc, jakby ta głowa była z kamienia. Oczy Winnie stały się, rzekłbyś, jeszcze większe, choć to wydawało się niemożliwe. Życzenie, które, pan Verloc wypowiedział spod serca, zapełniło lukę w pamięci jego żony. Park w Greenwich! Park! To tam chłopiec został zabity. Park... zmiadżdżone gałęzie, poszarpane liście, żwir, kawałki ciała i kości brata — wszystko to wytrysło naraz jak fajerwerk. Winnie przypomniała sobie, co o tym mówili, i zobaczyła to w szeregu obrazów. Trzeba było zgarnąć go szuflą... Dygocąc na całym ciele, zobaczyła przed sobą szuflę pełną zebranej z ziemi potwornej miazgi. Zamknęła rozpaczliwie oczy, chroniąc się przed wizją za mroczną zasłonę powiek; ale na tej zasłonie ujrzała najpierw opadające jak deszcz

poszarpane szczątki Steviego, a potem jego głowę, samotną, niknącą z wolna jak ostatnia gwiazda fajerwerku.

Pani Verloc otworzyła oczy. Jej twarz nie była już kamienna. Każdy spostrzegłby subtelną zmianę w jej rysach, w spojrzeniu, zmianę nadającą twarzy wyraz nowy i niepokojący. Taki wyraz rzadko obserwują eksperci w warunkach spokoju i bezpieczeństwa, które są niezbędne dla dokładności badań. Znaczenie owego wyrazu łatwo było przeniknąć na pierwszy rzut oka. Znikły wątpliwości pani Verloc co do zakończenia transakcji; jej myśli nie były już rozstrzelone i pracowały pod strażą woli. Ale pan Verloc niczego nie zauważył. Wypoczywał w nastroju wzruszającego optymizmu, który jest następstwem wyczerpania. Nie chciał już niczym się dręczyć, a przede wszystkim dość miał kłopotów z żoną. Usprawiedliwił się przed nią tak dobitnie, że nic mu na to nie mogła powiedzieć. Ona go kocha. Milczenie Winnie tłumaczył na swoją korzyść. Oto chwila odpowiednia, aby z nią się pogodzić. Dość tego milczenia. Przerwał je, wołając półgłosem:

— Winnie.

— Idę — odrzekła posłusznie pani Verloc, kobieta wolna. Odzyskała panowanie nad mózgiem, nad głosem; czuła, że włada ze sprawnością wręcz nadnaturalną każdym włóknem ciała. Należała już tylko do siebie, bo transakcja była rozwiązana. Winnie widziała teraz wszystko. Zrobiła się przebiegła. Miała w tym swój cel, odpowiadając mężowi tak szybko. Nie życzyła sobie, aby zmienił pozę na kanapie, bo ta poza dogadzała jej w tych warunkach. Życzeniu Winnie stało się zadość — pan Verloc ani drgnął. Ale, odpowiedziawszy mu, pozostała oparta niedbale o kominek w postawie odpoczywającego wędrowca. Nie śpieszyło się jej. Twarz miała niezamąconą. Głowa i barki pana Verloc'a były zasłonięte wysoką poręczą kanapy. Utkwiła oczy w jego nogach.

Stała tak w tajemniczej ciszy i nagłym skupieniu, dopóki pan Verloc nie przemówił tonem męzkowskim, rozkazującym, przy czym poruszył się z lekka, aby zrobić dla niej miejsce na brzegu kanapy.

— Chodź tutaj — rzekł tonem szczególnym, który mógł się wydać brutalny, lecz znany był dobrze pani Verloc jako ton małżeńskiej czułości.

Ruszyła z miejsca od razu, jakby wciąż jeszcze była wierną małżonką, związaną z tym człowiekiem nienaruszonym kontraktem. Prawą ręką musnęła lekko koniec stołu i szła dalej w stronę kanapy, a nóż do krajania mięsa, leżący obok półmiska, znikł bezszelstnie. Pan Verloc usłyszał z zadowoleniem, że deska skrzypnęła w podłodze. Czekał. Winnie zbliżała się. Jak gdyby bezdomny duch Steviego znalazł schronienie w piersi siostry i opiekunki, podobieństwo jej do brata wzrastało z każdym krokiem, zaznaczyło się nawet w opadnięciu dolnej szczęki i w lekkiej rozbieżności spojrzenia. Ale pan Verloc tego nie widział. Leżał na wznak i patrzył w górę. Zobaczył, częścią na suficie, a częścią na ścianie, sunący cień ramienia i nóż w zaciśniętej dłoni. Cień mignął w górę i w dół. Sunął wolno. Tak wolno, że pan Verloc mógł rozpoznać rękę i broń.

Tak wolno, że pan Verloc mógł w pełni pojąć złowrogie zjawisko i poczuć smak śmierci podchodzący mu pod gardło. Szał ogarnął jego żonę — szął mordy. Cień ręki sunął tak wolno, że pierwsze, obezwładniające wrażenie tego odkrycia ustąpiło i pan Verloc powziął niezłomną decyzję: wyjdzie zwycięsko ze straszliwej walki z uzbrojoną wariatką. Cień sunął tak wolno, że pan Verloc obmyślił plan obrony: skoczy za stół i zwali z nóg tę kobietę ciosem ciężkiego drewnianego krzesła.

Ale cień nie sunął tak wolno, aby pan Verloc zdążył ruszyć ręką lub nogą. W jego piersi utkwiał nóż. Nie napotkał na opór. Traf bywa czasem bardzo dokładny. W ten gwałtowny cios, zadany nad poręczą kanapy, pani Verloc włożyła całe swe dziedzictwo po nieznanym, pradawnym przodkach, prostą dzikość epoki jaskiniowej i porywczą, nerwową wściekłość wieku barów. Pan Verloc, tajny agent, przechylił się z lekka na bok od siły ciosu i wyzionął ducha, nawet nie drgnąwszy, szepcząc „Nie...” na znak protestu.

Pani Verloc puściła nóż i jej niezwykle podobieństwo do zmarłego brata zaczęło niknąć, stało się znowu normalne. Odetchnęła głęboko, odetchnęła po raz pierwszy swobodnie, odkąd komisarz Heat pokazał jej napis na strzępie oddartym od pałta Steviego. Pochyliła się nad poręczą kanapy, wsparta na zgiętych ramionach. Obrała tę wygodną pozę nie po to, aby czuć nad ciałem pana Verloc'a lub rozkoszować się jego śmiercią; pochyliła się wskutek falistych, rozkołysanych ruchów saloniku, który przez pewien czas miotał się jak na morzu w czas burzy. Pani Verloc kręciło się w głowie, ale była spokoj-

Zbrodnia

na. Stała się kobietą wolną, osiągnęła wolność doskonałą, która pozbawiła ją wszelkich pragnień i wszelkich pobudek, ponieważ Steviego nie było i nikt już nie potrzebował jej poświęcenia.

Winnie myślała obrazami, ale teraz wizje opuściły ją, bo przestała w ogóle myśleć. Zastygła w bezruchu. Rozkoszowała się zupełnym brakiem odpowiedzialności i swobodą bez granic — prawie tak jakby już nie żyła. Przestała się ruszać, przestała myśleć. Śmiertelny zewłok świętej pamięci pana Verloca, spoczywający na kanapie, nie poruszył się również. Gdyby nie to, że pani Verloc oddychała, idealna harmonia łączyłaby tych dwoje — owa harmonia polegająca na ostrożnej powściągliwości wystrzegającej się zbyt licznych słów i gestów, powściągliwości, na której się opierało ich przyzwoite życie. Albowiem życie ich było przyzwoite; osłaniało milczeniem pełnym obyczajności sprawy mogące się wyłonić z praktykowania tajnego zawodu i handlu podejrzanym towarem. Zachowano wszelkie pozory aż do ostatka, nie zakłócając ich nieprzystojnymi krzykami lub jakimś innym wybuchem szczerości nie na miejscu. Nawet zadanie ciosu nie naruszyło przyzwoitości; bezruch i milczenie wciąż trwały.

Wreszcie pani Verloc podniosła z wolną głowę i spojrzała na zegar badawczo, niedowierzająco. Zdała sobie sprawę, że coś tyka w pokoju. Słyszała to coraz wyraźniej, choć pamiętała dobrze, iż ścienny zegar szedł cicho. Co mu się stało, że zaczął nagle tak głośno tykać? Wskazówki pokazywały dziewięć minut do dziesiątej. Godzina nic pani Verloc nie obchodziła, a tykanie rozlegało się dalej. Doszła do przekonania, że to nie może być zegar; obiegła ściany ponurym wzrokiem, który zachwiał się i przesłonił mgłą w chwili, gdy wytężyła słuch, aby zbadać, skąd pochodzi dźwięk. Tyk, tyk, tyk.

Wsluchiwała się jeszcze czas jakiś i opuściła powoli oczy na ciało pana Verloca. Leżało w zwykłej pozie wypoczynku, tak dobrze jej znanej, że mogła patrzeć na męża ze swobodą, jakby w ich domowym życiu żadna zmiana nie zaszła. Wypoczywał jak co dzień. Było mu widać wygodnie.

W tej pozycji twarz pana Verloca nie była widoczna dla owdowiałej pani Verloc. Jej piękne, senne oczy, wędrując w dół śladem dźwięku, zatrzymały się na płaskim przedmiocie z kości wystającym trochę za brzeg kanapy. Był to trzonek dużego noża i tylko to w nim dziwiło, że tkwił prostopadłe w kamizelce pana Verloca i że coś spod niego ciekło. Ciemne krople padały na linoleum jedna za drugą z odgłosem tykania, które stawało się szybkie i wściekle niby tętno obłąkanego zegara. Wśród największego natężenia szybkości tykanie zmieniło się w nieustanny szmer jakby wody płynącej wątlym strumykiem. Pani Verloc śledziła tę zmianę, a po twarzy jej przelatywał niepokój. Coś płynęło ciurkiem... ciemne, chyże... Krew!

Wobec tej nieprzewidzianej okoliczności pani Verloc porzuciła pozę leniwą i obojętną.

Uniosła nagle sukni i ze słabym okrzykiem rzuciła się ku drzwiom, jakby posłyszany odgłos zwiastował niszczącą powódź. Natknąwszy się na stół, odepchnęła go oburącz niby coś żywego z taką siłą, że przez chwilę sunął na czterech nogach z głośnym zgrzytem, a duży półmisek z pieczenią trzasnął głośno o podłogę.

Potem wszystko się uciszyło. Pani Verloc, dopadłszy drzwi, stanęła. Melonik, wydobyty z ukrycia przez odsunięcie stołu, kołysał się lekko rondem do góry w powiewie wznieconym jej ucieczką.

## XII

Winnie Verloc, wdowa po panu Verlocu, siostra wiernego Stevie (który Bogu ducha winien został rozerwany na strzępy w przekonaniu, że spełnia czyn humanitarny), nie przekroczyła drzwi saloniku. Dobiegła aż do progu, uciekając od płynącej ciurkiem krwi, ale był to odruch instynktownego wstrętu. Przystanęła z głową spuszczoną, zapatrzona w próżnię. Jakby przebyła długi szereg lat w ucieczce przez mały salonik, pani Verloc stojąca u drzwi była osobą zupełnie różną od tamtej kobiety, co wsparta o kanapę wskutek lekkiego zawrotu głowy zażywała głębokiego spokoju, rozkoszując się bezczynnością i brakiem odpowiedzialności. Zawrót głowy minął. Lecz pani Verloc nie była już spokojna. Zaczęła się bać.

Starła się nie patrzeć na spoczywającego małżonka, ale nie dlatego, aby w niej budził strach. Pan Verloc nie wyglądał przerażająco. Zdawało się, że wygodnie mu leżeć. A zresztą



był martwy. Pani Verloc nie żywiła czczych złudzeń co do umarłych. Nic nie sprowadzi ich z powrotem na ziemię, ani miłość, ani nienawiść. Umarli nic nam zrobić nie mogą. To tak jakby ich wcale nie było. Czuła coś na kształt surowej pogardy dla tego mężczyzny, który dał się zabić tak łatwo. Był panem domu, był jej mężem i mordercą Steviego. A teraz nie liczył się już wcale. Znaczył mniej niż jego własne ubranie, palto, buty — niż ten kapelusz leżący na podłodze. Był niczym. Nie zasługiwał nawet na spojrzenie. Już nawet nie był mordercą biednego jej brata. Jedynym mordercą, którego ludzie znajdą w tym pokoju, przyszedłszy do pana Verloca — będzie ona!

Ręce jej trzęsły się tak mocno, że na próżno usiłowała po dwakroć zawiązać woalkę. Nie była już osobą swobodną i nieodpowiedzialną. Bała się. Cios, którym przebiła pana Verloca, był zwykłym uderzeniem. Ulżył krzykom zduszonym w gardle, łzom zaschłym w rozpalonych oczach, ulżył rozjątrzonej wściekłości i oburzeniu na straszliwą rolę odegraną przez tego człowieka, który był teraz niczym — człowieka, który jej wydarł Steviego. Jakaś tajemnicza siła pokierowała jej ręką. A krew spływająca na ziemię spod rękocyści noża zamieniła cios w pospolite morderstwo. Pani Verloc, która powstrzymywała się zawsze od zgłębiania faktów, musiała teraz sięgnąć wzrokiem aż do dna tego faktu. Nie zobaczyła tam prześladowanej ją twarzy, ani widma patrzącego z wyrzutem, ani skruchy, ani żadnego oderwanego pojęcia. Zobaczyła tam co innego. Szubienicę. Pani Verloc bała się szubienicy.

Bała się jej jakby teoretycznie. Nie widziała nigdy tego ostatniego argumentu ludzkiej sprawiedliwości — prócz drzeworytów ilustrujących pewien rodzaj opowieści<sup>85</sup>, gdzie szubienica wznosi się na czarnym, burzliwym tle nieba obwieszona łańcuchami i szkieleciami, wśród ptaków, które krążą i wydziobują oczy wisielcom. Było to istotnie przerażające, lecz pani Verloc, choć mało wykształcona, miała jednak pewne wiadomości o różnych zwyczajach w swym kraju i wiedziała, że szubienic nie wznosi się już na wybrzeżach romantycznych, posępnych rzek lub na omiatanych wichrami przylądkach, lecz na podwórzach więzień<sup>86</sup>. Wprowadza się tam o świcie skazańca między cztery wysokie mury, niby do głębokiej jamy, aby dokonać wyroku ze straszliwym spokojem i, jak donosiły zawsze sprawozdania dzienników, „w obecności władz”.

Z oczyma wbitymi w ziemię, z nozdrzami drgającymi od męki i wstydu, wyobraziła sobie, że stoi osamotniona wśród tłumy obcych panów w cylindrach i że ci panowie przystępują z całym spokojem do założenia jej stryczka na szyję. Nigdy! Przenigdy! Jak się to może odbywać? Nie umiała sobie wyobrazić szczegółów takiej spokojnej egzekucji i przerażenie jej nabrało cech obłędu. Dzienniki nie podawały szczegółów poza jednym, który był zawsze uwydatniony z pewnym naciskiem przy końcu pobieżnego sprawozdania. Pani Verloc zapamiętała ten szczegół. Głowę jej przeszył okrutny, palący ból, jakby rozpalona igła ryła w jej mózgu zdanie: „Spuszczono delikwenta z wysokości czternastu stóp”.

Te słowa wstrząsnęły nią po prostu fizycznie. Jej gardło zaczęło naprężyć się konwulsyjnie, aby przeciwdziałać uduszeniu, a strach przed zawiśnięciem na stryczku był tak żywy, że chwyciła się oburącz za głowę, jakby chciała zapobiec oderwaniu jej od tułowi. „Spuszczono delikwenta z wysokości czternastu stóp”... Nie! To się stać nie może. Ona tego nie wytrzyma. Nie jest w stanie tego sobie wyobrazić. Nawet myśli o tym nie znieś. Pani Verloc postanowiła pójść natychmiast i rzucić się z mostu do rzeki.

Udało jej się wreszcie zawiązać woalkę. Z twarzą jakby zamaskowaną, cała w czerni od stóp do głów poza paru kwiatami na kapeluszu, spojrzała machinalnie na zegar. Widać stanął. Nie mogła uwierzyć, aby tylko parę minut upłynęło od chwili, gdy patrzyła nań po raz ostatni. Naturalnie, że to niemożliwe. Zegar stał przez cały ten czas. A w rzeczywistości zaledwie trzy minuty upłynęły, odkąd pierwszy raz odetchnęła głęboko, swobodnie po zadaniu ciosu, aż do chwili, gdy postanowiła rzucić się do Tamizy. Ale nie mogła temu uwierzyć. Wydało jej się, że słyszała czy też czytała, iż zegary zatrzymują się zawsze w chwili morderstwa — aby świadczyć przeciw mordercy. Nic jej to nie obeszło. „Na most — i w wodę”. Lecz ruchy jej były powolne.

<sup>85</sup>drzeworytów ilustrujących pewien rodzaj opowieści... — odniesienie do tanich powieści sensacyjnych dla klasy robotniczej wydawanych w Wielkiej Brytanii w XIX w. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>szubienic nie wznosi się już (...) lecz na podwórzach więzień — ostatnia publiczna egzekucja w Wielkiej Brytanii miała miejsce w 1868 r. [przypis edytorski]

Wlokła się z trudem przez sklep i musiała oprzeć się o klamkę drzwi wejściowych, nim znalazła dość sił, by je otworzyć. Bała się ulicy, bo teraz ulica prowadziła albo na szubienicę, albo do rzeki. Przekroczyła próg, wyciągnawszy naprzód głowę i ramiona, jakby rzucała się za parapet mostu. Kontakt ze świeżym powietrzem miał przedsmak tonięcia; lepka wilgoć ją ogarnęła, dostała się do nozdrzy, osiadła na włosach. Deszczu właściwie nie było, ale każda z gazowych lamp miała wąską rdzawą aureolę z mgły. Wóz z końmi odjechał; na mrocznej ulicy zasłonięte okno gospody żarzyło się słabo tuż nad chodnikiem czworokątną plamą brudnokrwawego światła.

Pani Verloc wlokła się z wolna ku temu oknu i myślała o tym, że nie ma żadnych przyjaciół. To była prawda. To była tak dalece prawda, że wśród nagłego porywu tęsknoty za przyjazną ludzką twarzą przyszła Winnie na myśl tylko pani Neale, posługaczka, i nikt poza tym. Nie miała żadnych znajomości. Nikomu nie zabraknie jej towarzystwa. Nie trzeba jednak myśleć, że wdowa po panu Verlocu zapomniała o matce. Nic podobnego. Winnie była dobrą córką, ponieważ była pełną poświęcenia siostrą. Ale to właśnie matka szukała w niej zawsze oparcia. Winnie nie mogła się z jej strony spodziewać ani rady, ani pociechy. A teraz, po śmierci Steviego, więzy między nią a matką jak gdyby się zerwały. Niepodobna było stawić się przed staruszką z tą straszliwą wieścią. Przy tym matka mieszkała w innej części miasta. Winnie pragnęła tylko dotrzeć do rzeki. O matce usiłowała zapomnieć.

Każdy krok kosztował ją tyle wysiłku, że się wydawał ostatni. Wlokąc się z trudem, minęła żarzące się czerwono okno traktierni. „Na most — i w wodę” — powtórzyła z zaciekłym uporem. Lecz zaledwie zdążyła wyciągnąć rękę, aby się oprzeć o słup latarni. „Nie ma mowy, żebym tam doszła przed ranem” — pomyślała. Strach śmierci paraliżował jej wysiłki, aby uciec od szubienicy. Miała wrażenie, że wlecze się tą ulicą od godzin. „Nie dojdę tam nigdy” — pomyślała. „Znajdą mnie bląkającą się po mieście. To za daleko”. Przystanęła, dysząc pod czarną woalką.

„Spuszczono delikwenta z wysokości czternastu stóp”.

Odepchnęła gwałtownie latarnię i poczuła, że idzie. Lecz fala słabości ogarnęła ją znów jak morze i zabrała jej serce z piersi.

— Nigdy tam nie dojdę — wyszeptwała, przystając nagle i chwiejąc się z lekka. — Nigdy.

Zrozumiawszy, że niepodobna jej dotrzeć nawet do najbliższego mostu, pani Verloc pomyślała o ucieczce za granicę.

Błysnęło jej to nagle. Mordercy uciekają. Uciekają do obcych krajów. Do Hiszpanii, do Kalifornii. Dla niej były to puste dźwięki. Szeroki świat stworzony dla ludzkiej chwały był dla pani Verloc rozległą próżnią. Nie wiedziała dokąd się zwrócić. Mordercy mają przyjaciół, stosunki, współników — mają doświadczenie. Ona nie miała nikogo. Była najbardziej samotną z zabójczyń. W całym Londynie była zupełnie sama; to miasto pełne cudów i błota, i labirynt jego ulic, i morze jego światła, wszystko było ogarnięte beznadziejnym mrokiem, spoczywało na dnie czarnej otchłani, z której żadna kobieta nie mogła wydostać się bez pomocy.

Pani Verloc zachwiała się, pochyliła naprzód i szła dalej przed siebie na oślep, bojąc się okropnie, aby nie upaść; nagle, uszedłszy kilka kroków, doznała uczucia ulgi i bezpieczeństwa. Podniósłszy głowę, zobaczyła męskie oblicze wpatrzone z bliska w jej twarz zasłoniętą woalką. Towarzysz Ossipon nie lękał się nieznanymi kobietami i żadne poczucie fałszywej delikatności nie przeszkadzało mu zaznajomić się z tą kobietą najwidoczniej pijanusięnką. Towarzysz Ossipon interesował się kobietami. Podtrzymał ową kobietę dwiema szerokimi dłońmi, patrząc na nią ciągle w sposób rzeczowy, a gdy usłyszał cichy okrzyk: „Pan Ossipon!”, ledwie jej z rąk nie wypuścił.

— Pani Verloc! — zawołał. — Pani tutaj!

Wydało mu się niepodobieństwem, aby była pijana. Ale nigdy nie można wiedzieć. Przestał zastanawiać się nad tym i aby nie zniechęcić laskawych losów, które oddawały mu w ręce wdowę po towarzyszu Verlocu, usiłował przyciągnąć ją do piersi. Ku jego zdumieniu pozwoliła na to z łatwością i nawet wsparła się chwilę o jego ramię, zanim spróbowała się wyswobodzić. Towarzysz Ossipon nie chciał laskawego losu przynaglać. Cofnął ramię naturalnym ruchem.

— Pan mnie poznał — wyjąkała, stojąc przed nim dość pewnie na nogach.

— Naturalnie, że panią poznałem — rzekł Ossipon bez zająknięcia. — Bałem się, że pani upadnie. Zbyt często myślałem o pani w ostatnich czasach, aby pani nie poznać wszędzie, o każdej porze dnia. Myślałem o pani zawsze — od pierwszej chwili, kiedy panią zobaczyłem.

Pani Verloc zdawała się go nie słyszeć.

— Pan idzie do sklepu? — spytała nerwowo.

— Tak — odrzekł Ossipon. — Wyszedłem z domu natychmiast po przeczytaniu dziennika.

W rzeczywistości zaś towarzysz Ossipon ukrywał się przeszło dwie godziny w pobliżu Brett Street, nie mogąc się zdecydować na żaden odważny krok. Krzepki anarchista nie był właściwie mężnym zdobywcą. Pamiętał, że pani Verloc nie odpowiadała nigdy na jego spojrzenia najłżejszym znakiem zachęty. Zresztą przyszło mu na myśl, iż sklep jest zapewne strzeżony przez policję, a nie życzył sobie, aby policja powzięła przesadne wyobrażenie o jego rewolucyjnych sympatiach. Nawet i teraz nie wiedział dokładnie, co robić. W stosunku do jego zwykłych miłosnych poczynań było to przedsięwzięcie wielkie i poważne. Nie wiedział, jak dużo mógłby osiągnąć, ani jak daleko będzie się musiał posunąć, aby zdobyć to, co jest do zdobycia — jeśli w ogóle w tym wypadku coś zdobyć można. Te wątpliwości przyćmiły radość Ossipona i nadały jego głosowi wstrzemięźliwość odpowiadającą sytuacji.

— Czy zechce mi pani powiedzieć, dokąd pani szła? — rzekł ściszym głosem.

— Niech pan nie pyta! — zawołała pani Verloc, opanowując gwałtowny wstrząs. Cała jej potężna żywotność wzdrygnęła się na myśl o śmierci. — Wszystko jedno, dokąd szłam...

Ossipon doszedł do wniosku, że jest bardzo podniecona, ale najzupełniej trzeźwa. Milczała chwilę u jego boku, a potem nagle zrobiła coś, czego zupełnie nie oczekiwał. Wsunęła mu rękę pod ramię. Ten gest zaskoczył go, zwłaszcza stanowczość, którą wyczuł w dotknięciu. Ale sprawa była delikatna i towarzysz Ossipon zachował się z delikatnością. Poprzestał na lekkim przytuleniu tej ręki do swych krzepkich żeber. Jednocześnie zaś uczył, że pani Verloc ciągnie go naprzód i poddał się temu. Przy końcu Brett Street zdał sobie sprawę, iż pani Verloc zwraca się na lewo. Znow jej się poddał.

Handlarz owoców na rogu zagasił gorejącą wspaniałość swych pomarańcz i cytryn; Brett Place pogrążył się w mroku usianym mglistymi aureolami nielicznych latarni, zaznaczających trójkątny kształt placu; w środku tkwiły trzy lampy na jednym słupie. Dwie ciemne postacie mężczyzny i kobiety idących pod rękę sunęły z wolna wzdłuż murów, jak para bezdomnych kochanków wśród beznadziejnej nocy.

— Co pan na to powie, jeśli się przyznam, że pana szukałam? — rzekła pani Verloc, ściskając mocno jego ramię.

— Powiem, że nikt chętniej ode mnie nie dopomoże pani w jej troskach — odrzekł Ossipon, czując, iż zbliża się do celu z szybkością wręcz niesłychaną. Zawrotne tempo, jakie przybrała owa delikatna sprawa, tamowało mu oddech.

— W moich troskach — powtórzyła z wolna pani Verloc.

— Otóż to właśnie.

— A czy pan wie, jakie mam troski? — wyszeptła z dziwnym naciskiem.

— W dziesięć minut po przeczytaniu wieczornej gazety — odrzekł Ossipon z zapalem — natknąłem się na człowieka, którego pani może widziała parę razy w sklepie; pomówiłem z nim i ta rozmowa wyjaśniła mi wszystko. Zaraz potem wyruszyłem tutaj, nie wiedząc, czy pani... Podobała mi się pani od pierwszej chwili, kiedy panią ujrzałem — zawołał, jakby nie mogąc się opanować.

Towarzysz Ossipon słusznie przypuszczał, że nie ma kobiety, która by choć trochę nie uwierzyła takiemu oświadczeniu. Ale nie wiedział, że pani Verloc uczepiła się jego słów z zapamiętałością, jaką instynkt samozachowawczy daje uchwytowi tonącego człowieka. Dla wdowy po panu Verlocu ten krzepki anarchista był promiennym zwiastunem życia.

Szli powoli krok w krok.

— Tak mi się też zdawało — szepnęła po cichu pani Verloc.

— Wyczytała to pani z mych oczu — poddał Ossipon z wielką pewnością siebie.

— Tak — tchnęła w pochylone ku niej ucho.

— Tego rodzaju uczucie nie mogło się ukryć przed taką kobietą jak pani — ciągnął dalej, usiłując oderwać myśli od względów materialnych, jak na przykład rentowność sklepu na Brett Street oraz wysokość sumy, którą pan Verloc mógł zostawić w banku. Ossipon usiłował patrzeć na tę sprawę tylko od strony uczuciowej. A w głębi ducha poniekąd gorszył się swym powodzeniem. Verloc był człowiekiem porządnym i, o ile można było sądzić, mężem bardzo przyzwoitym. Lecz towarzysz Ossipon nie miał zamiaru przeciwstawiać się swemu szczęściu ze względu na człowieka, który już nie żył. Poskromił więc współczucie dla ducha towarzysza Verloca i mówił dalej:

— Nie potrafiłem ukryć swojej miłości. Pani przepelniała mi duszę. Ośmielę się twierdzić, że musiała pani wyczytać to z moich oczu. Ale nie byłem tego pewien. Pani wydawała mi się zawsze taka nieprzystępna...

— A czegoż innego mógł się pan spodziewać? — wybuchnęła pani Verloc. — Przecież byłem kobietą uczciwą...

Zamilkła, a potem rzekła z chmurną urazą jakby do samej siebie:

— Póki on nie zrobił mnie tym, czym jestem.

Ossipon pominął to milczeniem i podjął znowu:

— Ja zawsze uważałem, że on nie był pani godzien — rzekł, przestając się troszczyć o lojalność względem zmarłego. — Należał się pani lepszy los.

— Lepszy los! — przerwała gorzko pani Verloc. — Ukradł mi siedem lat życia.

— Wydawało się, że pani jest z nim bardzo szczęśliwa — starał się Ossipon usprawiedliwić obojętność swego dawnego postępowania. — To mnie właśnie onieśmiało. Miałem wrażenie, że pani go kocha. Dziwiłem się... i byłem zazdrosny — dodał.

— Ja miałam go kochać? — wybuchnęła szeptem pani Verloc ze wzgardą i wściekłością. — Kochać! Byłam mu dobrą żoną. Jestem kobietą uczciwą. A pan myślał, że go kochałam. Pan! Posłuchaj, Tomie...

Dźwięk tego imienia przejął dumą towarzysza Ossipona. Albowiem na imię było mu Aleksander, a Tomem zwali go tylko najbliżsi, używając tego spieszczenia w chwilach poufnych zwierzeń. Nie wiedział, że pani Verloc je znała. Tymczasem nie tylko je zauważyła, ale przechowała czule w pamięci — a może i w sercu.

— Posłuchaj mnie, Tomie! Byłam kiedyś młodą dziewczyną. Życie mnie nie szczędziło. Czulałam się znudzona. Ze swojej pracy musiałam utrzymywać dwoje ludzi i zdawało mi się, że nie dam sobie rady. Dwoje ludzi — matkę i brata. Chłopiec był naprawdę bardziej moim dzieckiem niż dzieckiem matki. Ileż ja nocy przesiedziałam, trzymając go na rękach, samiutka na całym pięttrze, a miałam wtedy zaledwie osiem lat. A potem... Mówię ci, on był moim dzieckiem... Ty nie możesz tego zrozumieć. Żaden mężczyzna tego nie zrozumie. Co miałam począć? Znałam wtedy jednego młodego człowieka...

Wspomnienie wczesnej, romantycznej miłości do młodego rzeźnika — niby wizerunek objawionego ideału — przetrwało uporczywie w jej sercu, drżącym teraz ze strachu przed szubienicą i pełnym buntu przeciw śmierci.

— Kochałam wtedy tego człowieka — ciągnęła wdowa po panu Verlocu. — On chyba także wyczytał mi to z oczu. Zarabiał dwadzieścia pięć szylingów na tydzień; ojciec zagroził, że go wypędzi z domu, jeśli będzie taki głupi, żeby się żenić z dziewczyną mającą na głowie matkę kalekę i brata półgłówka. Ale on mimo to kręcił się koło mnie, aż wreszcie raz wieczorem zdobyłam się na odwagę i zatrzęsłam mu drzwi przed nosem. Musiałam to zrobić, choć go tak kochałam. Dwadzieścia pięć szylingów na tydzień! Nadarzył się drugi mężczyzna — porządny lokator. Co miałam zrobić? Pójść na ulicę? Tamten drugi wyglądał na zanego człowieka. I chciał się koniecznie ze mną żenić. Co miałam począć z matką i tym biednym chłopcem? Co począć? Zgodziłam się. Wyglądał dobrodusznie, miał hojną rękę, miał pieniądze, nigdy mi nic nie wypominał. Siedem lat... siedem lat byłam dobrą żoną dla tego wzoru dobroci, zacności, hojności, dla tego... A on mnie kochał. O tak. Kochał mnie, aż nieraz chciałam... Siedem lat. Siedem lat byłam mu żoną. A wiesz, czym on był naprawdę, ten twój kochany przyjaciel? Wiesz, czym on był?... Diabłem!

W szepcie jej taka była siła i taka zawziętość, że towarzysz Ossipon oniemiał. Winnie Verloc chwyciła go za ramiona oburącz, stając naprzeciw niego wśród opadającej mgły, wśród mroku i pustki Brett Place, gdzie wszystkie odgłosy życia gubiły się jakby w trójkątnej studni z asfaltu i cegiel, ze ślepych domów i nieczułych kamieni.

— Nie, nie wiedziałem o tym — oświadczył z pewnego rodzaju bezsilną głupotą, której śmieszność była stracona dla tej kobiety drżącej przed szubienicą — ale teraz już wiem. Ja... ja rozumiem — plątał się dalej, starając się odgadnąć, jakiego rodzaju okrucieństwom mógł się Verloc oddawać pod pokrywką sennych, spokojnych pozorów małżeńskiego pożycia. To było naprawdę okropne. — Ja rozumiem — powtórzył i pod wpływem natchnienia wyrzekł ze wzniosłym współczuciem; — Nieszczęsna kobieto! — zamiast użyć bardziej poufalego: „kochane biedactwo”, którym to zwrotem zwykle się posługiwał. Ale ten wypadek nie był przeciętny. Ossipon czuł, że dzieje się coś niezwykłego, a jednocześnie nie tracił z oczu wielkości stawki. — Dzielna, nieszczęsna kobieto!

Cieszył się, że ten nowy zwrot przyszedł mu do głowy, lecz poza tym nie mógł nic więcej wymyślić.

— No ale on już przecież nie żyje — to było wszystko, na co jeszcze potrafił się zdobyć. Zawarł należytą dozę wrogości w tym ostrożnym okrzyku. Pani Verloc chwyciła go za ramię w zapamiętaniu.

— Zgadłeś, że on nie żyje — wyszeptala, jakby nie władając sobą. — Zgadłeś! Ty zgadłeś, co ja musiałam zrobić. Musiałam!

Odcień tryumfu, ulgi, wdzięczności zabrzmiał w nieokreślonym tonie jej słów. Ton tych słów pochłonął całkowicie uwagę Ossipona z uszczerbkiem dla ich treści. Towarzysz Ossipon nie mógł zrozumieć, co się dzieje z tą kobietą i dlaczego doprowadziła się do stanu tak szalonego podniecenia. Zadał sobie nawet pytanie, czy ukrytą przyczyną zamachu w Greenwich Park nie było niefortunne małżeńskie pożycie tych dwojga ludzi. Posunął się tak daleko, że zaczął podejrzewać Verloca, czy aby nie popełnił samobójstwa w sposób tak nadzwyczajny. Naprawdę — myślał — to by tłumaczyło skończony absurd tego faktu. W danych okolicznościach zamach anarchistyczny nie był pożądanym, wręcz przeciwnie, i Verloc zdawał sobie z tego sprawę tak samo jak każdy z wybitniejszych rewolucjonistów. Cóż by to był za niesłychany kawał, gdyby się okazało, że Verloc po prostu wystrychnął na dudka całą Europę wraz ze światem rewolucyjnym, z policją, prasą i nadętym pychą Profesorem w dodatku. Naprawdę — myślał Ossipon w zdumieniu — on chyba na pewno to zrobił! Biedaczysko! Przyszło mu do głowy, że z tych dwojga małżonków niekoniecznie mąż był diabłem.

Aleksander Ossipon, zwany Doktorem, miał wrodzoną skłonność do pobłażliwej oceny swoich przyjaciół. O przyjaciółkach zaś myślał pod specjalnym, a mianowicie praktycznym kątem widzenia. Zerknął na panią Verloc wspartą o jego ramię. Nie przejął się nadmiernie jej okrzykiem zdumienia na wieść, że on, Ossipon, wie o śmierci Verloca, której bynajmniej zgadywać nie potrzebował. Kobiety mówią często od rzeczy. Natomiast był ciekaw, skąd ona ma tę wiadomość. Z gazet mogła się dowiedzieć tylko o nagim fakcie: o tym, że człowiek rozerwany na sztuki w Greenwich Park nie został zidentyfikowany. Ze wszystkich względów wydawało się niemożliwe, aby Verloc zdradził się przed żoną ze swym zamiarem — jakkolwiek był ten zamiar. Zagadnienie to interesowało niezmiernie towarzysza Ossipona. Zatrzymał się. Obeszli już wszystkie trzy strony Brett Place i znaleźli się znów blisko końca Brett Street.

— A skąd ty się o tym dowiedziałas? — zapytał Ossipon, usiłując dostosować ton głosu do rewelacyjnych zwierzeń uczynionych mu przez kobietę stojącą u jego boku.

Gwałtowny dreszcz ją przebiegł, zanim odpowiedziała niedbale:

— Od policji. Przyszedł komisarz. Powiedział mi, że się nazywa komisarz Heat. Pokazał mi...

Pani Verloc zatchnęła się.

— Czy wiesz... musieli zgarniać go szuflą...

Piersi jej falowały od suchych łkań. Ossipon w jednej chwili odzyskał głos.

— Policja! Czy chcesz przez to powiedzieć, że policja już była? Że komisarz Heat sam przyszedł ci to powiedzieć?

— Tak — potwierdziła równie niedbałym tonem. — Przyszedł. Mówię ci przecież, że przyszedł. Nie wiedziałam o niczym. Pokazał mi kawałek palta i ot tak po prostu zapytał: „Czy pani to zna?”.

— Heat! Heat! I co on potem zrobił?

Głowa pani Verloc opadła na piersi.

— Nic. Nic nie zrobił. Poszedł sobie. Policja była po stronie tego człowieka — wyszeptala z rozpaczą. — I drugi też przychodził.

— Drugi... drugi komisarz, co? — zapytał Ossipon w wielkim podnieceniu, głosem bardzo podobnym do głosu przestraszonego dziecka.

— Ja nie wiem. Przyszedł. Wyglądał na cudzoziemca. Może to był ktoś z ambasady. Towarzysz Ossipon ledwie nie zemdlął od tego nowego wstrząsu.

— Z ambasady! Czy ty wiesz, co mówisz? Z jakiej ambasady? Co przez to rozumiesz?

— No z tej ambasady na Chesham Square. To są ci ludzie, których tak przeklinał. Ja nic nie wiem. Cóż to nas obchodzi!

— A ten drugi, co on zrobił albo powiedział?

— Nie pamiętam... Nic... Wszystko mi jedno. Nie pytaj mnie — prosiła zmęczonym głosem.

— Dobrze, dobrze. Już nie będę pytał — rzekł czule Ossipon. Uległ nie dlatego, aby był wzruszony jej tragicznym, błagalnym głosem, tylko czuł, że się gubi w labiryncie tej mrocznej sprawy. Policja! Ambasada! Fiu! Odsunął od siebie ze stanowczością wszelkie przypuszczenia, domysły, hipotezy, gdyż lękał się, aby go nie zaprowadziły na drogi, po których wrodzona mu inteligencja nie umiałaby go bezpiecznie prowadzić. Ta oto kobieta dosłownie rzuciła mu się na szyję i to jest najważniejsze. Po tym, co usłyszał, nic go już więcej zdziwić nie mogło. I gdy pani Verloc, jakby zbudzona nagle z marzeń o bezpieczeństwie, zaczęła gwałtownie nalegać, by uciekali zaraz na kontynent, wcale się jej nie sprzeciwił. Odrzekł po prostu ze szczerym żalem, że pociąg odchodzi dopiero rano i stał pogrążony w myślach, patrząc na jej twarz zasłoniętą gęstą czarną woalką, w świetle latarni zasnutej gazą mgły.

Obok niego czarna jej postać wtapiała się w noc jak posąg na wpół wyciosany z bryły czarnego kamienia. Niepodobna było odgadnąć, co ona wie, jak głęboko jest uwikłana w te sprawy z policją i ambasadami. Ale jeśli chce uciekać, nie on będzie się temu sprzeciwiał. Sam pragnął także uciec. Czuł, że ta cała historia, ten sklep tak dziwnie spoufalony z komisarzami policji i członkami obcych ambasad — że to nie jest dlań odpowiednie. Trzeba się od tego odsunąć. Ale wchodziło w grę jeszcze coś innego. Oszczędności. Pieniądze!

— Musisz schować mnie gdzieś aż do rana — rzekła przerażonym głosem.

— Niestety, moja droga, nie mogę cię zabrać do swojego pokoju. Mieszkam razem z przyjacielem.

Sam był też załęknioty. Rano przekłęci szpicle będą z pewnością czyhać na wszystkich stacjach. A gdy raz dostaną ją w ręce, z tego lub innego powodu będzie dla niego stracona.

— Ależ ty musisz mnie ukryć. Jak to, więc wcale ci o mnie nie chodzi? Nad czym tak myślisz?

Powiedziała to gwałtownie i opuściła splecione ręce ze zniechęceniem. Mgła opadała wciąż i mrok panował niepodzielnie na Brett Place. Nie pojawiła się żadna żywa dusza, nawet kot, niesforny, kochliwy włóczęga, nie pokazał się w pobliżu mężczyzny i kobiety stojących naprzeciw siebie.

— Może dałoby się gdzieś wyszukać jakieś bezpieczne mieszkanie — odezwał się wreszcie Ossipon. — Ale mówiąc szczerze, moja droga, za mało mam na to pieniędzy — ledwie kilka pensów. My, rewolucjoniści, nie jesteśmy bogaci.

Miał w kieszeni piętnaście szylingów.

— A tu jeszcze podróż przed nami — i to wczesnym rankiem — dodał.

Nie odrzekła nic, nie poruszyła się wcale i towarzysza Ossipona zaczęło ogarniać rozczarowanie. Widać pani Verloc nie miała na to żadnej rady. Nagle chwyciła się za pierś, jakby ją coś silnie zabolalo.

— Przecież ja mam pieniądze — wyszeptala. — Mam dosyć pieniędzy. Tomie! Jedźmy stąd.

— A ile? — zapytał, nie ruszając się z miejsca, choć go ciągnęła; był to człowiek ostrożny.

— Mówię ci, że mam pieniądze. Wszystkie pieniądze.

— Jak to? Wszystkie pieniądze, które były w banku, czy co? — spytał niedowierzająco, gotów jednak nie dziwić się szczęśliwemu zrządzeniu losu.

— Tak, tak! — rzekła nerwowo. — Wszystko, co było w banku. Mam wszystko.

— Jakim sposobem potrafiłaś już do nich się dostać? — zdumiał się.

— Sam mi je dał — szepnęła, nagle zgaszona i drżąca. Towarzysz Ossipon poskromił z siłą wzrastające w nim zdumienie.

— No więc... jesteśmy ocaleni — wyrzekł powoli.

Pochyliła się naprzód i opadła znów na jego piersi. Objął ją serdecznie. Miała przy sobie wszystkie pieniądze! Jej kapelusz, a także i woalka przeszkadzały gwałtownemu upustowi uczuć. Ossipon ujawnił je w odpowiedniej mierze, ale nic ponadto. Poddawała mu się bez oporu i bez uniesienia, biernie, jakby na wpeł przytomna. Uwolniła się łatwo z jego luźnego uścisku.

— Ty mnie uratujesz, Tomie — wybuchnęła, cofając się, lecz trzymała go wciąż za wyłogi wilgotnego palta. — Ocal mnie. Ukryj mnie. Nie pozwól, aby mnie wzięli. Raczej mnie zabij. Ja nie potrafię się zabić — nie potrafię, nie potrafię — nawet ze strachu przed tym, czego się boję.

„Skończona dziwaczka”, pomyślał. Zaczynała go przejmować niejasnym lękiem. Rzekł zgryźliwie, albowiem zaprzętały go ważne myśli:

— Czegóż ty u diabła się boisz?

— Przecież odgadłeś, co ja musiałam zrobić! — krzyknęła kobieta. Szał ją ogarniał od straszliwie wyrazistych przeczuć, w głowie jej dźwięczały gwałtowne słowa uprzytamniające groźbę położenia, a jednocześnie była przekonana, że jej bezładne wyznania są jasne i przejrzyste. Nie miała pojęcia, jak niewiele mógł Ossipon zrozumieć z tych urywanych zdań, które uzupełniała tylko w myśli. Odczuła ulgę niby po wyczerpującej spowiedzi i każde słowo Ossipona wydawało jej się pełne szczególnego znaczenia, a tymczasem Ossipon ani w części tego, co ona, nie wiedział. — Przecież odgadłeś, co ja musiałam zrobić! — powtórzyła załamującym się głosem. — Więc łatwo ci się domyślić, przed czym drżę — szepnęła dalej gorzko i ponuro. — Nie chcę tego! Nie chcę! Nie chcę! Nie chcę! Musisz przyrzec, że mnie przedtem zabijesz! — Targnęła wyłogami jego palta. — To się stać nie może!

Zapewnił ją w krótkich słowach, że wszelkie obietnice są z jego strony zbyt cenne i pilnował się, aby jej wyraźnie nie przeczyć; miał wiele do czynienia ze zdenerwowanymi kobietami i zawsze skłonny był raczej kierować się nabytym już doświadczeniem, niż traktować indywidualnie każdy konkretny wypadek. Zresztą w tym wypadku jego roztropny umysł pracował w innych kierunkach. Słowa kobiecie lecą z wiatrem jak plewy, lecz braki w komunikacji statkami są nie do usunięcia. Wyspiarski charakter Wielkiej Brytanii narzucił się uwadze Ossipona w przykry sposób. „Człowiek ma wrażenie, że każdej nocy biorą go pod klucz” — pomyślał ze złością, taki skłopotany, jakby musiał drapać się na mur, dźwigając tę kobietę na grzbiecie. Nagle uderzył się w czoło: wysiliwszy pamięć, przypomniał sobie o linii Southampton – St. Malo. Statek wyruszał około północy. Dziesiąta trzydzieści odchodził pociąg. Ossipon poweselał i nabrał ochoty do czynu.

— Odjedziemy ze stacji Waterloo. Jeszcze mnóstwo czasu. Właściwie to wszystko w porządku... O co ci znów chodzi? Ależ nie tędy — protestował.

Pani Verloc, trzymając mocno jego ramię, usiłowała ciągnąć go z powrotem na Brett Street.

— Zapomniałam zamknąć drzwi sklepu — szepnęła w okropnym wzburzeniu.

Towarzysz Ossipon przestał już interesować się sklepem oraz całą jego zawartością. Umiał ograniczać się w swych pragnieniach. Już, już chciał powiedzieć: „Więc co? Dajmy temu spokój”, lecz się powstrzymał. Nie lubił sprzeczać się o drobnostki. Nawet przyspieszył znacznie kroku, pomyślawszy, że zostawiła może pieniądze w szufladzie. Ale jego gotowość nie mogła sprostać gorączkowej niecierpliwości pani Verloc.

Z początku sklep wydał mu się zupełnie ciemny. Drzwi były uchylone. Pani Verloc oparła się o futrynę i wyszeptwała:

— Nie było tu nikogo. Patrz! Pali się gaz... pali się w saloniku.

Ossipon wysunął głowę i dostrzegł nagle światło wśród ciemności sklepu.

— Tak, rzeczywiście — odrzekł.

— Zapomniałam je zgasić. — Głos pani Verloc dochodził słabo zza woalki. Gdy Ossipon stał, chcąc ją puścić przodem, rzekła głośniejszym głosem: — Wejdz i zgaś, bo inaczej zwiariuję.

Nie sprzeciwił się na razie tej propozycji tak dziwnie uzasadnionej.

— Gdzie są te wszystkie pieniądze? — zapytał.

— Mam je przy sobie. Idź, Tomie. Prędko! Zgaś światło... Idźże! — krzyknęła, chwytając go z tyłu za ramiona.

Nieprzygotowany do stawienia oporu towarzysz Ossipon, pchnięty przez panią Verloc, znalazł się w głębi sklepu. Zdumiała go siła tej kobiety, a jednocześnie zgorzzył się jej obejściem. Nie wrócił jednak na ulicę, aby ją skarcić. Jej fantastyczne postępowanie zaczynało budzić w nim niesmak. Ale kiedyż miał pobłażać jej zachciankom, jeśli nie teraz?

Towarzysz Ossipon wyminął z łatwością koniec lady i zbliżył się spokojnie do oszklonych drzwi saloniku. Firanka zasłaniająca szyby była trochę ściągnięta na bok i Ossipon pod wpływem naturalnego odruchu zajrzał do saloniku przed naciśnięciem klamki. Zajrzał machinalnie, bez żadnego celu, bez ciekawości. Zajrzał, bo zajrzeć musiał. Zajrzał — i zobaczył pana Verloca leżącego spokojnie na kanapie.

W piersi Ossipona zrodził się wrzask i zamarł bez dźwięku, przeistoczony w tłusty, mdlący posmak na wargach. Jednocześnie zaś duchowa istota towarzysza Ossipona wykonała oszalały skok w tył. Lecz jego ciało, pozbawione kierownictwa rozumu, trzymało się klamki z bezmyślną siłą instynktu. Krzepki anarchista nawet się nie zachwiał. Patrzył z twarzą tuż przy szybie, a oczy wylażyły mu z głowy. Byłby oddał wszystko za to, aby móc odejść, ale powracająca przytomność ostrzegła go, że lepiej klamki nie puszczać. Co to jest? Napad szalu? Zmora? A może pułapka, do której został znęcony z szatańską chytryością? Dlaczego? Po co? Nie miał pojęcia. Nie poczuwał się do żadnej winy względem tych ludzi, sumienie miał zupełnie spokojne, a jednak przeszła go myśl, że dla jakichś tajemniczych przyczyn zostanie zamordowany przez oboje Verloców — przeszła nie tyle jego mózg, co żołądek, i znikła, pozostawiając chorobliwą omdlałość i nudności. Przez chwilę, przez długą chwilę towarzysz Ossipon nie czuł się bynajmniej dobrze — i to w sposób bardzo specjalny. Lecz wciąż patrzył. A tymczasem pan Verloc leżał bez ruchu, z wiadomych sobie powodów udając sen, jego żona zaś, ta dzika kobieta, strzegła drzwi — niewidoczna i niema wśród mroku opustoszałej ulicy. Czyżby to wszystko było jakąś straszliwą machinacją uknutą przez policję na intencję jego, Ossipona? W swej skromności odrzucił takie rozwiązanie zagadki.

Lecz właściwe znaczenie sceny, na którą patrzył, zrozumiał dopiero, przyglądając się kapeluszowi. Ten kapelusz wydał mu się czymś nadzwyczajnym, jakimś złowrogim symbolem. Czarny, obrócony rondem do góry, leżał na ziemi przed kanapą, jakby go przygotowano dla zbierania składek od ludzi, którzy za chwilę nadejdą, aby oglądać pana Verloca, spoczywającego na kanapie i rozkoszującego się pełnią spokoju i wygody domowego ogniska. Od kapelusza oczy krzepkiego anarchisty powędrowały ku odsuniętemu stołowi, patrzyły chwilę na stłuczony półmisek i doznały jakby optycznego wstrząsu, dostrzegłszy połyskliwą białość pod niedomkniętymi powiekami człowieka leżącego na kanapie. Wydało się teraz Ossiponowi, że pan Verloc niekoniecznie śpi, że raczej leży z przechyloną głową i patrzy uporczywie na swą lewą pierś. A gdy towarzysz Ossipon dostrzegł wreszcie rękojeść noża, odwrócił się od szklanych drzwi, wstrząśnięty gwałtownym kurczem zwiastującym wymioty.

Nagle usłyszał, że drzwi od ulicy się zatraskują i dusza uciekła mu w pięty. Ten dom ze swym nieszkodliwym mieszkańcem mógł jednak służyć za pułapkę — i to straszliwą. Towarzysz Ossipon nie miał już teraz pojęcia, co się z nim dzieje. Zaczepiwszy udem o koniec lady, obrócił się w kółko i zachwiał z okrzykiem bólu; wśród przerażającego grzechotu dzwonka poczuł, że konwulsyjny uścisk przygwaźdża mu ramiona do boków, a zimne wargi kobiece pełzną po jego uchu, wypowiadając słowa:

— Policjant! Widział mnie!

Ossipon przestał się wydierać: ona go nie puści. Ręce jej splotły się nierozzerwalnym węzłem na krzepkich plecach Ossipona. Kroki na ulicy zbliżały się; dyszeli oboje pierś w pierś ciężko, mozolnie, co wyglądało na śmiertelną walkę, choć postawa ich wyrażała śmiertelny strach. Czas dłużył się w nieskończoność.

Policjant obchodzący dzielnicę dostrzegł był istotnie panią Verloc; ale ponieważ miał właśnie oświetlone skrzyżowanie ulic, idąc ku przeciwnemu końcowi Brett Street, Winnie wydała mu się tylko jakimś trzepotem wśród mroku. I nawet niezupełnie był pewien, czy dojrzał istotnie ów trzepot. Nie potrzebował się spieszyć. Znalazłszy się na jednej

Zbrodnia



linii ze sklepem, zauważył, że zamknięto go wcześniej. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Policjanci pełniący służbę mieli odrębne wskazówki dotyczące się sklepu Verloców; nie wolno im było się wtrącać do tego, co się tam działo, chyba w razie wyraźnego przekroczenia porządku, lecz musieli donosić o wszystkim, co zauważyli. W tym wypadku nie było pola do spostrzeżeń, ale policjant, wiedziony poczuciem obowiązku i dbałością o spokój sumienia, przeszedł w poprzek jezdni i nacisnął klamkę. Sprężynowy zatrzask, od którego klucz spoczywał na wieki w kieszonce od kamizelki nieboszczyka Verloca, trzymał równie dobrze jak zazwyczaj. W chwili gdy sumienny agent policji potrząsał klamką, Ossipon poczuł znów zimne wargi kobiece muskające mu ucho:

— Jeśli wejdzie, zabij mnie... zabij mnie, Tomie.

Policjant ruszył dalej i przechodząc, oświetlił ślepą latarką<sup>87</sup> wystawę sklepu, spełniając zwykłą formalność. Przez chwilę jeszcze mężczyzna i kobieta stali wewnątrz bez ruchu, dysząc ciężko z piersią przy piersi, wreszcie palce Winnie rozplotły się i ramiona jej z wolna opadły. Ossipon wsparł się o ladę. Krzepki anarchista potrzebował na gwałt podpory. To, co przeżył, było straszliwe. Ogarnął go wielki niesmak i nie chciało mu się mówić. Zdobył się jednak na wypowiedzenie żalostnej myśli świadczącej przynajmniej o tym, że zdawał sobie sprawę z położenia:

— Jeszcze parę chwil i z twojej winy byłbym się nadział na tego draba obmacującego sklep swoją, psiakrew, latarką.

Wdowa po panu Verlocu, stojąc bez ruchu w środku sklepu, zaczęła nalegać:

— Idź tam i zgaś światło, Tomie. Zgaś, bo oszaleję.

Ujrzała niewyraźnie jego porywczy gest odmowy. Za żadne skarby świata Ossipon nie wróciłby do saloniku. Nie był przesądny, ale widział tam za wiele krwi na podłodze; kapelusz był otoczony wielką kałużą. Już i tak oglądał zbyt blisko tego trupa; zagrażało to spokojowi jego duszy, a może i życiu!

— Więc przekręć kurek tam na gazomierzu. Patrz. W tamtym rogu.

Krzepka postać towarzysza Ossipona przeszła przez sklep jak cień wielkimi, porywczymi krokami i przykucnęła posłusznie w kącie; ale w tym posłuszeństwie było dużo niechęci. Ossipon szukał teraz nerwowo kurka, mrużąc przekleństwa; za oszklonymi drzwiami zapadła nagle ciemność i prawie natychmiast rozległo się chrapliwe, histeryczne westchnienie kobiety. Noc, niezawodna nagroda za uczciwy ludzki trud na tym padole, otoczyła pana Verloca, ciężko doświadczonego rewolucjonistę ze „starej gwardii”, skromnego stróża społeczeństwa, bezcennego tajnego agenta Δ z raportów barona Stott-Wartenheima; agenta, który był sługą prawa i porządku, sługą wiernym, zaufanym, sumiennym, godnym podziwu i miał tylko jedną sympatyczną słabość, a mianowicie pełne idealizmu przekonanie, że jest kochany dla siebie samego.

Ossipon szedł po omacku z powrotem ku ladzie przez duszny mrok, czarny teraz jak sadza. Głos pani Verloc stojącej w środku sklepu zadrgał w ciemności rozpaczliwym protestem:

— Ja nie chcę, żeby mnie powiesili, Tomie. Ja nie chcę...

Umilkła. Ossipon rzucił od lady przestrozę:

— Nie krzycz tak. — Zdawał się głęboko namyślać. — Zrobiłaś to zupełnie sama? — zapytał glucho, ale z wszelkimi pozorami władczego spokoju, co przepełniło serce pani Verloc wdzięcznością i wiarą w jego opiekuńczą siłę.

— Tak — szepnęła, niewidzialna wśród mroku.

— Nigdy bym w to nie uwierzył — mruknął. — Nikt by nie uwierzył.

Posłyszała jego ruchy w ciemności i odgłos zatrzasku w drzwiach saloniku. Towarzysz Ossipon, przekręciwszy klucz, zapewnił panu Verlocowi spokój; nie uczynił tego przez szacunek dla wiecznotrwałości jego spoczynku, ani też wiedziony jakimś innym uczuciowym względem, lecz wyłącznie dlatego, że wcale nie był pewien, czy ktoś nie ukrywa się jeszcze gdzieś w domu. Nie wierzył słowom tej kobiety, a raczej nie umiał na razie osądzić, co jest rzeczywiste, prawdopodobne lub nawet możliwe na tym zdumiewającym świecie. Strach wyzuł Ossipona z wszelkich uczuć wiary lub zwątpienia odnośnie do tej niesłychanej sprawy, która zaczęła się przy współudziale komisarzy policji i ambasad, a skończyć się Bóg raczy wiedzieć gdzie — może na szafocie? Przerażała go myśl, że

<sup>87</sup>ślepa latarka — latarka z ruchomą przesłoną, ukierunkowującą światło. [przypis edytorski]

nie potrafiłby dowieść, co robił z czasem począwszy od godziny siódmej, albowiem krył się w okolicy Brett Street. Przeraziła go ta dzika kobieta, która przyprowadziła go tutaj i może oskarżyć go o współnictwo, jeśli nie będzie się zachowywał z wielką ostrożnością. Przeraziła go szybkość, z jaką dał się wciągnąć w tak wielkie niebezpieczeństwo — z jaką dał się zwabić. Upłynęło zaledwie dwadzieścia minut, odkąd spotkał panią Verloc — nie więcej.

Głos Winnie rozległ się znów, stłumiony, błagalny, żalony:

— Nie pozwól mnie powiesić, Tomie! Zabierz mnie z kraju. Będę dla ciebie pracować. Będę harować. Będę cię kochać. Nie mam nikogo na świecie... Kto się mną zajmie, jeżeli ty mnie porzucisz!

Milczała przez chwilę. W głębi osamotnienia, które wkoło niej wytworzyła cienka nic krwi sączącej się spod rękojeści noża, znalazła Winnie straszne natchnienie — straszne dla niej, uczciwej dziewczyny z dzielnicy Belgravia, a potem uczciwej, wiernej żony pana Verloca.

— Ja nie będę wymagała, abys się ze mną ożenił — szepnęła wstydliwie.

Posunęła się naprzód w ciemności. Przerazenie zdjęło Ossipona. Nie zdziwiłby się, gdyby nagle wydobyła drugi nóż, aby go zatopić w jego piersi. Aniby myślał się bronić. W owej chwili nie miał po prostu sił krzyknąć, żeby ją osadzić na miejscu. Ale zapytał głuchym, dziwnym głosem:

— Czy on spał?

— Nie — zawołała i ciągnęła prędko dalej: — Nie spał. Skąd znowu. Mówił właśnie, że nic mu się stać nie może. Mówił to — on, który zabrał mi sprzed oczu chłopca, żeby go zabić — zabrał mi to kochające, naiwne, niewinne dziecko, które nie potrafiłoby skrzywdzić nikogo, moje dziecko. I leżał wygodnie na kanapie, zabiwszy chłopca — mojego chłopca. Chciałam sobie pójść, żeby go już nigdy nie widzieć. A on mi mówi: „Chodź tutaj”. A przedtem powiedział, że to ja pomogłam mu zabić chłopca. Słyszysz, Tomie? Mówi mi: „Chodź tutaj”, a przedtem wydarł mi serce, i zmiażdżył je razem z chłopcem, i wdeptał w błoto.

Umilkła; po chwili rzekła jak przez sen:

— Krew i błoto. Krew i błoto.

Błysk światła przeszył mózg towarzysza Ossipona: to ten półgłówek zginął w parku! Cóż za niesłychana mistyfikacja, wszyscy bez wyjątku zostali nabrani. Ossipon wykrzyknął w najwyższym zdumieniu:

— Słowo daję, to ten degenerat!

— Powiedział do mnie: „Chodź tu” — rozległ się znów głos pani Verloc. — Czy on myślał, że jestem z kamienia? Słyszysz, Tomie? Powiedział: „Chodź tu”. Mnie! Mnie woła! Spojrzałam na nóż i pomyślałam, że przyjdę, jeśli on tak się tego domaga. Przyszłam — po raz ostatni... Z nożem.

Ossipon bał się jej straszliwie — tej siostry degenerata, która sama była degeneratką typu zbrodniczego... a może kłamliwego. Poza wszystkimi innymi rodzajami strachu, budziła w nim także lęk, rzekłbyś, naukowy. Przerazenie Ossipona, bezgraniczne i skomplikowane, właśnie wskutek swego nadmiaru robiło w ciemnościach wrażenie spokojnej, głębokiej rozwagi, gdyż poruszał się i mówił z trudem, jakby wola i myśl w nim zamarły, a upiornej jego twarzy nie było widać. Czuł się na wpół martwy.

Nagle skoczył do góry, bo pani Verloc wydała raptem ostry, straszliwy krzyk, który zbezczeszczył nienaruszoną, pełną powściągliwości przyzwoitość jej domowego ogniska.

— Ratunku! Tomie, ratuj mnie! Ja nie chcę, żeby mnie powiesili!

Rzucił się naprzód, szukając w ciemności jej ust, aby je zatkać i krzyk ucichł. Ale przewrócił Winnie w rozpędzie. Nagle poczuł, że opasała mu nogi; strach jego przekroczył wszelką miarę, zaczął działać jak trucizna, zrodził halucynacje, nabrał cech białej gorączki. Ossipon naprawdę widział teraz węże. Widział, że ta kobieta owija się wokół niego jak wąż, który nie pozwoli się strząsnąć. Nie była morderczynią. Była wcieloną śmiercią — towarzyszką życia.

Pani Verloc ucichła, jakby ten wybuch przyniósł jej ulgę.

Zbrodniarz

Strach

— Tomie, nie możesz mnie teraz odepchnąć — szepnęła z podłogi. — Chyba że zmiażdżysz mi głowę obcasem<sup>88</sup>. Ja ciebie nie opuszczę.

— Wstań — rzekł Ossipon.

Jego twarz była tak blada, że się stała widoczna wśród gęstych ciemności; natomiast pani Verloc, zasłonięta woalką, nie miała twarzy, była prawie niewidzialna. Migot czegoś białego i drobnego — kwiatu na kapeluszu — zdradzał jej ruchy, miejsce, gdzie się znajdowała.

Biała plamka uniosła się w górę. Pani Verloc dźwignęła się z ziemi, a Ossipon pożałował, że nie wybiegł natychmiast na dwór. Ale zrozumiał w mig, że to by nie przydało się na nic. Rzuciłaby się za nim. Goniłaby go, krzycząc, ażby wszyscy okoliczni policjanci zaczęli go ścigać. A wtedy Bóg raczy wiedzieć, co by o nim powiedziała. Ossipon bał się do tego stopnia, że mignęła mu przez głowę obłądana myśl, aby ją udusić w ciemności. Przerazenie jego wzrosło do punktu kulminacyjnego. Jest w mocy tej kobiety! Ujrzał swą przyszłość: oto żyje przejęty nikczemnym strachem w jakiejś małej wiosce hiszpańskiej czy włoskiej; aż wreszcie pewnego pięknego dnia znajdują go martwego z nożem w piersi — jak Verloca. Odetchnął głęboko. Nie śmiał się ruszyć. A pani Verloc czekała w milczeniu na to, co jej zbawca raczy postanowić; jego milcząca zaduma działała na nią kojąco.

Nagle odezwał się głosem prawie zupełnie naturalnym; jego rozmyślenia dobiegły końca.

— Chodźmy, bo się spóźnimy na pociąg.

— Dokąd pojedziemy, Tomie? — zapytała nieśmiało pani Verloc. Nie była już kobietą wolną.

— Najpierw do Paryża; tak będzie najlepiej... Wyjdz pierwsza i zobacz, czy tam kogoś nie ma.

Uśluchała. Jej stłumiony głos doszedł przez ostrożnie uchylone drzwi:

— Nie ma nikogo.

Ossipon wysunął się na ulicę. Mimo jego wysiłków, aby uczynić to jak najciszej, pęknięty dzwonek zagrzecotał za drzwiami w pustym sklepie, jakby starając się na próżno ostrzec pana Verloca, że żona opuszcza go nieodwołalnie — w towarzystwie jego przyjaciela.

W dorożce, którą zaraz znaleźli, krzepki anarchista udzielił pani Verloc wyjaśnień. Był wciąż straszliwie blady, oczy zapadły mu się na jakieś pół cala<sup>89</sup> w stężałej twarzy. Ale widać obmyślił wszystko z niezwykłą przezornością.

— Gdy zajedziemy — mówił dziwnym, jednostajnym głosem — musisz wejść na stację osobno, jak gdybyśmy się nie znali. Kupię bilety i wsunę ci twój do ręki, kiedy cię będę mijał. Potem pójdziesz do poczekalni pierwszej klasy; posiedzisz przed odejściem pociągu z dziesięć minut i wyjdiesz na peron. Ja tam już będę. Wyminiesz mnie, jakbyś mnie nie znała. Mógłby tam znaleźć się szpicel i zwąchać, co się święci. Idąc samotnie, będziesz wyglądała jak kobieta wyruszająca w podróż. A mnie znają dobrze. Gdyby zobaczyli nas razem, mogliby zgadnąć, że jesteś uciekającą panią Verloc. Rozumiesz, kochanie — dodał z wysiłkiem.

— Tak — rzekła pani Verloc, siedząc tuż przy Ossiponie, zmartwiała ze strachu przed szubienicą. — Dobrze, Tomie. — I powtórzyła po cichu jakby straszliwą zwrotkę: — „Spuszczono delikwenta z wysokości czternastu stóp”.

Ossipon nie patrzył na nią; twarz jego wyglądała jak gipsowa maska zdjęta z niego po ciężkiej chorobie.

— Ach, prawda — rzekł — potrzeba mi teraz pieniędzy na kupienie biletów.

Pani Verloc rozpięła kilka haftek stanika, patrząc ciągle przed siebie, i podała mu nowy portfel ze świńskiej skóry. Wziął go bez słowa i wsunął, rzekłbyś, w głąb własnej piersi. Potem trzepnął się po wierzchu palta.

<sup>88</sup> Chyba że zmiażdżysz mi głowę obcasem — w oryg. *heel*, co oznacza zarówno piętę, jak i obcas; Winnie nieświadomie przywołuje biblijny obraz węża-kusiciela, który z wyroku Boga zostanie zmiżdżony piętą (Rdz 3,14–15). [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *cal* — jednostka miary długości równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

Wszystko to odbyło się bez zamiany jednego spojrzenia; robili wrażenie dwojga ludzi, którzy wypatrują upragnionego celu. Dopiero gdy dorożka skręciła na rogu ulicy i zbliżała się do mostu, Ossipon znów otworzył usta.

— Czy wiesz, ile tam jest pieniędzy? — zadał pytanie, jakby się zwracał do chochlika siedzącego na głowie konia między jego uszami.

— Nie — rzekła pani Verloc. — Dał mi to. Nie liczyłam. Nie przyszło mi to wcale na myśl. A potem...

Poruszyła z lekka prawą ręką. W nieznacznym ruchu tej prawej ręki, która przed niespełną godziną zadała śmiertelny cios, przebijając ludzkie serce, było tyle wyrazu, że Ossipon nie umiał powstrzymać dreszczu. Przedłużył go umyślnie i mruknął:

— Zimno mi. Przemarzęm do szpiku kości.

Pani Verloc patrzyła prosto przed siebie w perspektywę swej ucieczki. Niby żalobna chorągiew rozpostarta nad ulicą, słowa: „Spuszczono delikwenta z wysokości czternastu stóp” uderzały niekiedy o jej wytężone spojrzenie. Poprzez czarną woalkę białka wielkich oczu połyskiwały i lśniły jak u kobiety zamaskowanej.

Sztywność Ossipona miała w sobie coś rzeczowego, jakiś dziwaczny urzędowy wyraz. Nagle zaczął znów mówić, jakby mu się język rozwiązał:

— Słuchaj no, może wiesz, czy twój... czy konto w banku było na jego własne nazwisko, czy też na czyjeś inne?

Pani Verloc zwróciła ku niemu zamaskowaną twarz o jaśniejących białkach.

— Na czyjeś inne nazwisko? — rzekła z namysłem.

— Odpowiedz mi na to dokładnie — pouczał Ossipon w sunącej szybko dorożce. — To niezmiernie ważne. Wytlumaczę ci. W banku zachowano numery tych banknotów. Jeśli wypłacili mu je na jego własne nazwisko, to kiedy się dowiedzą o jego... jego śmierci, będą mogli wysledzić nas za pomocą tych banknotów, ponieważ innych pieniędzy nie posiadamy. Może masz przy sobie jakieś inne pieniądze?

Pokręciła przecząco głową.

— Ani trochę? — nalegał.

— Kilka miedziaków.

— Więc to by było niebezpieczne. Trzeba by operować tymi pieniędzmi w specjalny sposób. Bardzo specjalny. Musielibyśmy pewno stracić więcej niż połowę całej sumy, aby zmienić te banknoty w pewnym bezpiecznym miejscu w Paryżu. Natomiast w drugim wypadku, to znaczy jeśli miał konto pod jakimś przybranym nazwiskiem — powiedzmy, Smith — można z zupełnym bezpieczeństwem posługiwać się tymi pieniędzmi. Rozumiesz? Bank nie ma sposobu sprawdzić, że pan Verloc i, powiedzmy, pan Smith, są jedną i tą samą osobą. Rozumiesz, jakie to ważne, żebyś się nie pomyliła? I czy w ogóle możesz mi na to odpowiedzieć? Może tego nie wiesz. Co?

Odpowiedziała ze spokojem:

— Teraz sobie przypominam. Złożył pieniądze w banku nie na własne nazwisko. Mówił mi kiedyś, że złożył je na nazwisko Prozor.

— Jesteś tego pewna?

— Tak.

— I nie przypuszczasz, aby ktoś w banku znał jego prawdziwe nazwisko? Może który z urzędników, albo...

Wzruszyła ramionami.

— Skądże mam wiedzieć? I czy to prawdopodobne, Tomie?

— Nie. To chyba nie jest prawdopodobne. Choć lepiej byłoby wiedzieć... No, przyjechaliśmy. Wsiadaj pierwsza i idź prosto na dworzec. Ruszaj się żwawo.

Został w tyle i zapłacił dorożkarzowi drobnymi z własnych pieniędzy. Program nakreślony z drobiazgową przezornością został wykonany. Gdy pani Verloc z biletem do St. Malo w ręku weszła do damskiej poczekalni, towarzysz Ossipon udał się do baru i w siedem minut wchłonął trzy szklanki wody sodowej z mocną wódką.

Pieniądz

— Chcę pozbyć się zaziębienia — wyjaśnił kelnerce z przyjaznym skinieniem głowy, uśmiechając się kurczowo. Po tym wesołym intermedium<sup>90</sup> opuścił bar z twarzą człowieka, który pił u samego Źródła Zgryzoty. Podniósł oczy na zegar. Już czas. Czekał.

Pani Verloc ukazała się punktualnie, cała w czerni — czarna jak śmierć we własnej osobie — z opuszczoną woalką, z pęczkiem tanich, białych kwiatów u kapelusza. Przeszła tuż koło grupy śmiejących się mężczyzn, których śmiech można było zgasić jednym słowem. Szła krokiem opieszalym, ale trzymała się prosto; towarzysz Ossipon popatrzył na nią ze zgrozą, nim ruszył z miejsca.

Pociąg już stał, przed szeregiem otwartych drzwi wagonów nie było prawie nikogo. Ze względu na porę roku i ohydą pogodę pasażerowie stawili się nielicznie. Pani Verloc szła powoli wzdłuż pustych przedziałów, póki Ossipon nie dotknął z tyłu jej łokcia.

— Wejdz tutaj.

Weszła, a on został na peronie i rozglądał się wkoło. Pochyliła się ku niemu i rzekła szeptem:

— Co to znaczy, Tomie? Jakies niebezpieczeństwo?

— Poczekaj. Tam idzie konduktor.

Ossipon zaczepił człowieka w mundurze. Rozmawiali przez chwilę. Słyszała, jak konduktor powiedział: „Dobrze, proszę pana”, dotykając czapki. Ossipon wrócił i rzekł:

— Powiedziałem mu, żeby nie wpuszczał nikogo do naszego przedziału.

Pochyliła się naprzód, siedząc.

— Ty myślisz o wszystkim... Uratujesz mnie, Tomie? — zapytała w porywie strachu, podnosząc raptem woalkę, aby spojrzeć na swego zbawcę.

Odsłoniła twarz jak z kamienia. A z twarzy tej patrzyły źrenice wielkie, suche, rozwarłe szeroko, matowe, wygasłe, jak dwie czarne dziury w świecących białkach.

— Nic nam nie grozi — rzekł, spoglądając w nie z natężeniem prawie drapieżnym; pani Verloc, uciekającej przed szubienicą, to spojrzenie wydało się pełne tkliwości i siły. Wzruszyło ją głęboko — i ponura, surowa zgroza ustąpiła z kamiennej twarzy. Towarzysz Ossipon wpatrywał się w nią, jak nigdy kochanek nie wpatrywał się w ukochaną. Aleksander Ossipon, anarchista przezwany Doktorem, autor medycznej (i nieprzyzwolonej) broszury, były prelegent (zajmował się społeczną stroną higieny i wygłaszał odczyty w klubach robotniczych), był wyzwolony z pęt pospolitej moralności, lecz podlegał prawom nauki. Jako jej adept, patrzył z naukowego punktu widzenia na tę kobietę, siostrę degenerata i również degeneratkę należącą do typu zbrodniczego. Patrzył na nią i wzywał imienia Lombrosa, podobnie jak włoski wieśniak poleca się ulubionemu świętemu. Patrzył na nią jak człowiek nauki. Patrzył na jej policzki, na jej nos, na jej oczy, na jej uszy... Źle! Fatalna historia! Gdy blade wargi pani Verloc rozchyliły się, zmiększy pod jego zaciekłe badawczym wzrokiem, spojrzał także na jej zęby... Nie ulega żadnej wątpliwości... typ zbrodniczy... Jeśli towarzysz Ossipon nie polecił Lombrosowi swej przerażonej duszy, to wyłącznie dlatego, że zgodnie z zasadami nauki nie wierzył, aby coś na kształt duszy mogło w nim przebywać. Natomiast żywił w sobie ducha wiedzy, który to duch skłonił go do oddania świadectwa prawdzie w nerwowych, urywanych zdaniach:

— To był niezwykle chłopak, ten twój brat. Nadzwyczaj interesujący do studiowania. Doskonały typ w swoim rodzaju. Doskonały!

Mówił pod wpływem ukrytego strachu, przybierając ton naukowca. A pani Verloc, słysząc te łaskawe słowa pochwały jej ukochanego brata, zachwiała się i pochyliła naprzód z błyskiem w mrocznych oczach, podobnym do słonecznego promienia, który poprzedza burzę.

— On był naprawdę wyjątkowy — szepnęła cicho drżącymi wargami. — Ty się nim bardzo interesowałeś, Tomie. Wziąłeś mnie tym za serce.

— To wprost niewiarygodne, do jakiego stopnia wyście byli do siebie podobni — ciągnął Ossipon, dając wyraz swej nieustannej obawie, a zarazem usiłując nie zdradzić chorobliwie nerwowej niecierpliwości, z jaką wyczekiwał odejścia pociągu. — Tak, on był do ciebie podobny.

<sup>90</sup>*intermedium* — krótka sceniczna wstawka, zwykle komiczna, pomiędzy częściami średniowiecznego dramatu religijnego. [przypis edytorski]

Z tych słów nie przebijało żadne szczególne wzruszenie ani też współczucie. Ale już sam fakt, że Ossipon podkreślał podobieństwo Winnie do brata, wstrząsnął silnie jej uczuciami. Z lekkim okrzykiem wyprężyła ramiona i wybuchnęła nareszcie płaczem. Ossipon wsiadł do wagonu, zamknął pośpiesznie drzwi i spojrzął przez okno na zegar stacyjny. Jeszcze osiem minut. Przez pierwsze trzy minuty pani Verloc nie przestawała łkać gwałtownie i bezradnie. Potem uspokoiła się trochę, szlochając po cichu wśród obfitych łez. Usiłowała mówić do swego zbawcy, do człowieka, który był wysłańcem życia.

— Ach, Tomie! Jakże ja mogę bać się śmierci, kiedy wydarło mi go tak okrutnie? Jak ja mogę! Jak ja mogę być takim tchórzem!

Zalila się głośno na swoje przywiązanie do życia, do tego życia, które było pozbawione wdzięku i uroku, i niemal wszystkiego, co czyni je znośnym, lecz oddało się bez zastrzeżeń jednemu celowi — wiernie aż do morderstwa. I jak się to często zdarza w chwilach rozpaczki nieszczęsnej ludzkości, bogatej w cierpienie, lecz ubogiej w słowa, Winnie zawarła najszczerzy okrzyk prawdy w formie wytartej i banalnej, służącej do wypowiadania sztucznych, sentymentalnych frazesów:

— Jak ja mogę tak się bać śmierci! Chciałam się zabić, Tomie. Ale boję się. Chciałam ze sobą skończyć. Ale nie mogłam. Czy to znaczy, że nie mam serca? Widać kielich goryczy przeznaczony dla takich jak ja nie był jeszcze dość pełen. A kiedy ty się zjawileś....

Umilkła. Po krótkiej chwili wyszłochała w porywie wdzięczności i zaufania:

— Będę żyła tylko dla ciebie, Tomie!

— Przesiądź się w tamten kąt, dalej od peronu — rzekł pieczołowicie Ossipon.

Uśluła swego zbawcy, który usadowił ją troskliwie i śledził na jej twarzy nadejście drugiego ataku płaczu, jeszcze gwałtowniejszego niż pierwszy. Przypatrywał jej się z miną, rzekłbyś, lekarza liczącego sekundy. Nareszcie usłyszał gwizd. W chwili gdy pociąg ruszał, mimowolny skurcz górnej wargi odsłonił zęby Ossipona i nadał jego twarzy wyraz dzikiej stanowczości. Pani Verloc była nieczuła na wszystko, a Ossipon, jej zbawca, stał jak wryty. Czuł, że wagony suną coraz szybciej, towarzysząc głuchym stukotem głośnym łkaniom kobiety. Nagle dwoma susami minął przedział, otworzył ostrożnie drzwi i wyskoczył.

Wyskoczył u samego końca peronu; a z taką zawziętością przeprowadził swój desperacki plan, że zdołał jakimś cudem, niemal wisząc w powietrzu, zatrzasnąć drzwi od przedziału. Dokonawszy tego, poczuł, że toczy się po ziemi jak zastrzelony królik. Był potłuczony, wstrząśnięty, błąd jak śmierć i bez tchu, kiedy się dźwignął na nogi. Ale był spokojny i potrafił zachować się jak należy wobec tłumu podnieconych kolejarzy, którzy go w mig otoczyli. Wyjaśnił cichym i przekonującym tonem, że jego żona musiała nagle wyjechać do umierającej matki, do Bretanii; że niepokoi się o nią bardzo, bo jest strasznie przybita; że usiłując podtrzymać ją na duchu, wcale nie zauważył, iż pociąg rusza. Na ogólny okrzyk: „Więc dlaczego pan nie pojechał do Southampton?” odpowiedział, że w domu została tylko młoda, niedoświadczona siostra żony z trojgiem małych dzieci; niepokoiłaby się bardzo jego nieobecnością, a urzędy telegraficzne już zamknięte. Wyskoczył zupełnie odruchowo.

— Ale drugi raz tego nie zrobię — rzekł w końcu; uśmiechnął się do wszystkich wokoło, rozdał trochę drobnych i opuścił stację, nawet nie kulejąc.

Znalazłszy się przed dworcem, towarzysz Ossipon, zaopatrzony w banknoty jak jeszcze nigdy w życiu, odrzucił propozycję dorożkarza.

— Mogę iść pieszo — rzucił z przyjaznym uśmiechem uprzejmemu dorożkarzowi.

Mógł iść. I poszedł. Przebył most. Potem wieże Opactwa<sup>91</sup>, stojące w masywnym bezruchu, widziały żółty wiecheć jego czupryny sunący pod latarniami. Światła dzielnicy Victoria widziały go także, i Sloane Square, i sztachety Hyde Parku. Po jakimś czasie towarzysz Ossipon znalazł się znów na moście. Przyciągnęła jego uwagę rzeka, przepych mrocznych cieni i rozmigotanych blasków kłębiących się w dole wśród ponurej ciszy. Stał długi czas, patrząc na wodę znad parapetu. Zegar na wieży wydał spiżowy dźwięk nad jego pochyloną głową. Spojrzał na tarczę zegara... Pół do pierwszej — burzliwa noc szaleje nad Kanalem.

Miasto

<sup>91</sup> *Opactwo* — tu: Opactwo Westminsterskie (ang. *Westminster Abbey*), wielki gotycki kościół w Londynie, tradycyjne miejsce koronacji i pochówku królów Anglii; jego dwie wieże, w stylu neogotyckim, dobudowano w latach 1722–1745. [przypis edytorski]

Towarzysz Ossipon znowu zaczął iść. Jego krępką postać widziano tej nocy w odległych dzielnicach miasta, które jak olbrzymi potwór drzemało na dywanie z błota pod welonem zimnej mgły. Przecinał ulice milczące i głuche, małał w nieskończenie długich, prostych perspektywach między rzędami niewyraźnych domów, ciągnących się wzdłuż pustych jezdni obrzeżonych sznurami światła. Szedł przez skwery, place, przez monotonne ulice o nieznanym nazwach, ulice, na których strumień życia osadza bezwładne, beznadziejne okruchy ludzkości. Szedł ciągle. Nagle skręcił do frontowego ogródka o wysyalym trawniku i otworzywszy drzwi kluczem wyjętym z kieszeni, wszedł do brudnego domku.

Tak jak stał, rzucił się ubrany na łóżko i leżał nieruchomo przez cały kwadrans. Nagle siadł, podciągnął kolana i objął je rękami. Brzask zastał go siedzącego w tej samej pozycji z otwartymi oczyma. Ten człowiek, który mógł chodzić tak długo, tak daleko, tak zupełnie bez celu, nie zdradzając najłżejszego zmęczenia, mógł także siedzieć godzinami jak posąg, nie drgnąwszy ani ręką, ani nogą. Ale gdy późne słońce przeniknęło do pokoju, Ossipon opuścił ręce i padł w tył na poduszkę. Oczy jego patrzyły w sufit. Raptem zamknęły się. Towarzysz Ossipon spał w blasku słońca.

### XIII

Olbrzymia żelazna kłódka na drzwiach schowka była w tym pokoju jedynym przedmiotem, na którym oczy mogły spocząć bez odrazy, jaką budziły wszystkie inne znajdujące się tam sprzęty, dziwnie brzydkie w kształcie i wykonane z lichego materiału. Kłódki tej nikt nie chciał kupić z powodu jej okazałych rozmiarów i właściciel sklepu dla marynarzy we wschodniej części Londynu odstąpił ją Profesorowi za parę pensów. Pokój był duży, czysty, przyzwoity i biedny tym rodzajem biedy, który ze wszystkich ludzkich głodów zaspokaja tylko jeden: głód chleba. Na ścianach nie było nic oprócz tapet, płacht arsenowej zieleni<sup>92</sup>, pokrytych gdzieniegdzie nieokreślonymi smugami i plamami, co przypominało spłowiałe mapy niezamieszkałych kontynentów.

Przy sosnowym stole blisko okna siedział towarzysz Ossipon z głową wspartą na pierśsiach. Profesor, odziany w swoje jedyne ubranie, z tandetnego samodziała, kłapał tam i sam po gołych deskach parą niewiarygodnie zniszczonych pantofli, trzymając ręce głęboko w wypchanych kieszeniach kurtki. Opowiadał gościowi o swoich niedawnych odwiedzinach u apostoła Michaelisa. Wzorowy anarchista trochę się nawet rozkrochmalił.

— Ten człowiek nie wiedział nic a nic o śmierci Verloca. Naturalnie. Przecież na dzienniki nawet nie spojrzy. Mówi, że zanadto go przygnębiają. Ale mniejsza z tym. Wszedłem do domku. Ani żywej duszy. Musiałem wołać ze sześć razy, zanim mi odpowiedział. Myślałem, że jeszcze leży w łóżku i śpi. Ale nic podobnego. Pisał swoją książkę już od czterech godzin. Siedział w tej małej klatce wśród całych fur rękopisu. Na stole leżała obok niego niedojedzona marchew. Jest teraz na diecie złożonej z surowej marchwi i odrobiny mleka.

— No i jak on przy tym wygląda? — spytał obojętnie towarzysz Ossipon.

— Niebiańsko... Podniosłem garść kartek z podłogi. Ubóstwo jego rozumowania jest zdumiewające. Żadnej logiki. Nie umie myśleć konsekwentnie. Ale to jeszcze nic. Podzielił swą biografię na trzy części, zatytułowane: *Wiara, Nadzieja, Miłość*<sup>93</sup>. Opracowuje teraz plan świata pomyślanego jako olbrzymi, przyjemny szpital wśród kwiatów i ogrodów, w którym to szpitalu silni mają się oddawać pielęgnowaniu słabych.

Profesor umilkł na chwilę.

— Czy wy, Ossipon, możecie sobie wyobrazić ten absurd? Poświęcać się pielęgnowaniu słabych! Słabi to źródło wszystkiego zła na tej ziemi — ciągnął z ponurą pewnością siebie. — Powiedziałem mu na to, że ja marzę o świecie podobnym do jatek, o świecie, gdzie wszystkich słabych wzięłoby się za łeb, aby ich wytępić. Rozumiecie mnie, Ossipon? To oni są źródłem wszystkiego zła! Narzucają nam swoją złowrogą władzę — słabi,

<sup>92</sup>arsenowa zielen — w XIX w. syntetyczne związki arsenu i miedzi były popularnymi pigmentami (zielen Scheelego oraz zieleni paryska); przed wykryciem ich szkodliwości stosowano je masowo do barwienia papieru, szczególnie tapet, oraz tkanin. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>Wiara, Nadzieja, Miłość — trzy teologiczne cnoty chrześcijańskie, wymieniane przez św. Pawła (1 Kor 13,12–13). [przypis edytorski]

niedołężni, głupi, tchórzliwi, ludzie o wątych sercach i niewolniczym duchu. Ale przedstawiają wielką siłę. Z nich składa się tłum. Ich jest królestwo ziemi<sup>94</sup>. Tępić, tępić! to jedyna droga postępu. Jedyna! Słyszycie, Ossipon? Najpierw musi zginąć mrowie słabych, a potem ci, co są tylko względnie silni. Rozumiecie? Najpierw ślepi, potem głusi i niemi, potem chromi i kulawi — i tak dalej. Każde zepsucie, każdy występpek, każdy przesąd, każda tradycja musi znaleźć swój kres.

— A co zostanie? — zapytał Ossipon stłumionym głosem.

— Ja zostanę... jeśli jestem na to dość silny — oświadczył malutki, wybladły Profesor, którego wielkie uszy, cienkie jak błona i odstające od małej czaszki, zabarwiły się nagle ciemną czerwień. — Nacierpiałem się już dość przez tyranie słabych — ciągnął gwałtownie. Dotknął bocznej kieszeni i mówił dalej: — A jednak jestem *siłą*. Tylko muszę mieć czas! Czas! Dajcie mi czas! Ach, to ludzkie mrowie, zbyt głupie, aby czuć litość lub strach. Niekiedy zdaje mi się, że wszystko jest po ich stronie. Wszystko... nawet śmierć — moja własna broń.

— Chodźcie i napijcie się ze mną piwa w „Sylenie” — rzekł krzepki Ossipon po chwili ciszy, przerywanej tylko szybkim klapaniem pantofli Wzorowego Anarchisty. Profesor zgodził się. Był tego dnia na swój sposób wesoły. Uderzył Ossipona po ramieniu.

— Piwa? Dobrze! Pijmy i weselmy się, bo jesteśmy silni, a jutro umrzemy.

Zaczął wkładać trzewiki, nie przestając mówić właściwym sobie urywanym, stanowczym tonem.

— Co wam jest, Ossipon? Wyglądacie markotnie i poszukujecie nawet mojego towarzystwa. Słyszę, że widują was ciągle tam, gdzie się gada głupstwa przy kieliszku. Co się stało? Czyżbyście już porzucili kolekcję waszych kobiet? One są tymi słabymi, którzy karmią silnych — co?

Tupnął obutą nogą i wziął z podłogi drugi sznurowany but, ciężki, o grubej podeszwie, niewyczyszczony i pokryty łatami. Uśmiechnął się do siebie złośliwie.

— Powiedzcie mi, Ossipon, straszny człowieku, czy też któraś z waszych ofiar odebrała sobie kiedyś życie? A może wasze tryumfy są jeszcze niekompletne? Albowiem wielkość pieczętuje się tylko krwią. Krwia. Śmiercią. Spójrzcie na historię.

— Żebyście z piekła nie wyszli — rzekł Ossipon z głową wciąż odwróconą.

— Terefer! Zostawcie piekło słabym, którzy je wymyślili dla silnych. Ossipon, czuję do was życzliwą pogardę. Nie potrafilibyście zabić i muchy.

Ale tocząc się na szczycie omnibusu w stronę piwiarni „Sylen”, Profesor stracił na humorze. Widok tłumów rojących się po chodnikach przygniótł jego pewność siebie ciężarem wątpliwości i niepokoju; ciężaru tego pozbywał się tylko wówczas, gdy przesiedział czas jakiś samotnie w izbie o wielkim schowku zamkniętym na olbrzymią kłódkę.

— A więc — doszedł go z tyłu głos Ossipona, który siedział w omnibusie tuż za nim — a więc Michaelis marzy o świecie wyglądającym jak wspaniały, wesoły szpital?

— Właśnie. Jak olbrzymi zakład dobroczynny do leczenia słabych — potwierdził szyderczo Profesor.

— Cóż za absurd — przyznał Ossipon. — Słabości uleczyć nie można. Ale w gruncie rzeczy Michaelis może się tak bardzo nie myli. Za dwieście lat światem będą władali lekarze. Nauka rządzi światem już teraz. Rządzi z ukrycia, lecz rządzi. A cała nauka musi ześrodkować się w końcu na nauce leczenia — i to nie słabych, lecz silnych. Ludzkość pragnie żyć... żyć.

— Ludzkość sama nie wie, czego chce — oświadczył Profesor, błyskając zarozumiałe okularami oprawnymi w żelazo.

— Ale wy wiecie — burknął Ossipon. — Dopiero co żądaliście czasu... czasu. No więc doktorzy dostarczą wam czasu pod dostatkiem, jeśli na to zasłużycie. Uważacie się za silnego, ponieważ macie w kieszeni dość prochu, aby przenieść się do wieczności i zabrać z sobą jeszcze — powiedzmy — ze dwadzieścia osób. Ale wieczność jest próżnią, psiakrew. Czego wam potrzeba, to właśnie czasu. Gdybyście spotkali człowieka, który by mógł wam zapewnić dziesięć lat życia, uznalibyście go za pana.

<sup>94</sup>*Ich jest królestwo ziemi* — odniesienie do biblijnego: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebios” (Mt 5,3; podobnie Łk 6,20). [przypis edytorski]



— Dewizą moją jest: ani Boga, ani pana — rzekł Profesor sentencjonalnie i wstał, aby wysiąść.

Ossipon szedł za nim.

— Poczekajcie aż przyjdzie wasza godzina i będziecie żegnać się z życiem — odparł, zeskakując za Profesorem — z waszym marnym, nędznym, parszywym życiem — ciągnął, mijając jezdnię i dając susa na chodnik.

— Ossipon, blagier z was i tyle — rzekł Profesor, otwierając władczą dłonią drzwi sławnego „Sylena”. A gdy już zasiedli przy stoliku, zaczął uzupełniać swą łaskawą opinię. — Nie jesteście nawet doktorem. Natomiast jesteście śmieszni. Wasze wyobrażenia o ludzkości, która na całej ziemi, od bieguna do bieguna, będzie pokazywała język i zażywała pigułki na rozkaz kilku nadętych pajaców, oto proroctwo godne tego, co je wypowiedział. Proroctwo! Po kiego licha myśleć o tym, co będzie! — Podniósł kufel. — Za zagładę tego, co jest — rzekł spokojnie.

Wypił i zapadł z powrotem w zwykłe sobie, osobliwie znaczące milczenie. Gnębiła go myśl o ludzkości nieprzeliczonej jak piasek na morskim brzegu, równie jak piasek niezniszczalnej i trudnej do opanowania. Wśród bezmiaru jej biernych ziarenek huk pękających bomb zatracą się bez echa. Na przykład ta sprawa Verloca. Kto już dziś o niej myśli?

Ossipon, niby przynaglony tajemniczą siłą, wyjął z kieszeni kilkakrotnie złożony dziennik. Profesor podniósł głowę, słysząc szelest.

— Co to za gazeta? Jest tam co ciekawego? — spytał.

Ossipon drgnął jak nastraszony lunatyk:

— Nie. Nie ma tu nic. To gazeta sprzed dziesięciu dni. Zapomniałem, że mam ją w kieszeni.

Ale nie wyrzucił tej starej gazety. Zanim ją schował z powrotem, zerknął na ostatnie zdanie pewnej notatki. Brzmiało, jak następuje: „Nieprzenikniona tajemnica zawiśnie chyba na wieki nad tym czynem szaleństwa lub rozpaczny”.

Były to końcowe słowa notatki pod tytułem: *Samobójstwo pasażerki na statku kursującym po Kanale Angielskim*. Towarzysz Ossipon był już obeznany z pięknym dziennikarskim stylem tej notatki. „Nieprzenikniona tajemnica zawiśnie chyba na wieki...” Umiał każde słowo na pamięć. „Nieprzenikniona tajemnica...” Krzepki anarchista, zwiesiwszy głowę, pogrążył się w głębokiej zadumie.

Ta sprawa zagrażała podstawom jego istnienia. Kiedy się wybierał na randki z kobietami, którym zawrócił głowę — zalecał się do nich zwykle na ławkach w Kensington Gardens albo u ogrodzeń przed domami — obawiał się wciąż, że zacznie mówić o „nieprzeniknionej tajemnicy, która”... Ponieważ był spoufalcony z wiedzą, jął się lękać obłędu czyhającego nań wśród tych wierszy. „Zawiśnie chyba na wieki”... To było opętanie, to była tortura. W ostatnich czasach zaniedbał się stawić na kilka takich spotkań, podczas których zdobywał bezwzględna ufność obejściem pełnym uczucia i męskiej tkliwości. Łatwowierność kobiet z różnych środowisk zadowalała potrzeby jego miłości własnej i zaopatrywała go w środki materialne. Potrzebował jej do życia. Miał ją na zawołanie. Ale jeśli nie będzie mógł nadal jej wyzyskiwać, śmierć z głodu zagrozi i jego idealom, i jego ciału... „Nad tym czynem szaleństwa lub rozpaczny”.

Dla całej ludzkości „nieprzenikniona tajemnica” miała na pewno „zawisnąć na wieki” nad ową sprawą. Ale co on, Ossipon, pocznie, jeśli sam jeden ze wszystkich ludzi na świecie nie zdoła nigdy zapomnieć o tej przeklętej historii?

A wiedział najdokładniej wszystko to, co dziennikarz podawał do wiadomości czytelników, zatrzymując się na samym progu „tajemnicy”, która „zawiśnie na wieki”...

Towarzysz Ossipon był dobrze poinformowany. Marynarz pilnujący pokładu zauważył, co następuje: „Pani w czarnej sukni i czarnej woalce spacerowała o północy po bulwarze wzdłuż statku. — Czy pani płynie naszym statkiem? — spytał zachęcająco. — O, tędy, proszę pani. — Robiła wrażenie, że nie wie, co począć. Pomógł jej wejść na pokład. Wydawała się bardzo osłabiona”.

Ossipon wiedział również, co zauważyła stewardessa. Czarno ubrana pasażerka o bladej twarzy stała w środku pustej kajuty dla pań. Za namową stewardessy położyła się w końcu. Zdawało się, że nie jest zdolna wymówić ani słowa, jakby była czymś okropnie zgębiona. Potem stewardessa spostrzegła, że nie ma jej w kajucie. Poszła więc na pokład

jej szukać. Dalej Ossipon dowiedział się, że zacna kobieta znalazła nieszczęśliwą panią wyciągniętą na jednym z leżaków osłoniętych daszkami. Pasażerka miała oczy otwarte, ale nie chciała odpowiadać na żadne pytania. Wyglądała jak ciężko chora. Stewardessa sprowadziła głównego stewarda i oboje przystanęli obok leżaka, naradzając się, co począć z tą niezwykłą, tragiczną pasażerką. Rozmawiali głośnym szeptem (zdawało się, że pasażerka nie jest w stanie nic usłyszeć), mówili, że w St. Malo jest konsul i że trzeba się porozumieć z rodziną tej pani w Anglii. Potem odeszli, aby zarządzić przeniesienie jej do kabiny, bo sądząc z wyglądu, wydała im się po prostu konająca.

Lecz towarzysz Ossipon wiedział, że pod tą białą maską toczyła się walka między zgrozą i rozpaczą a potężną żywotnością, przywiązaniem do życia tak silnym, iż mogło przewyciężyć straszliwą mękę pracą do zabójstwa i ślepy, obłądny strach przed szubienicą. Wiedział to. Ale stewardessa i główny steward nie wiedzieli nic poza tym, że gdy wrócili w niespełna pięć minut potem, czarno ubranej pani nie było już na leżaku. Nie było jej nigdzie. Znikła. Stało się to o piątej rano i nie był to wcale wypadek. W godzinę później ktoś z załogi znalazł na leżaku ślubną obrączkę, która przyłgnęła do mokrego drzewa i swym połyskiem zwróciła uwagę marynarza. Wewnątrz obrączki była wyryta data 24 lipca 1879 r. „Nieprzenikniona tajemnica zawiśnie chyba na wieki”...

Towarzysz Ossipon podniósł zwieszoną głowę, ubóstwianą przez różne skromne kobiety Wysp Brytyjskich, głowę promienistym gąszczem włosów przypominającą Apolla<sup>95</sup>.

Tymczasem Profesor uczuł niepokój. Wstał z miejsca.

— Czekaście no — rzekł spiesźnie Ossipon. — Powiedzcie mi, co wy myślicie o szaleństwie i rozpacz.

Profesor przesunął końcem języka po suchych, cienkich wargach i rzekł pouczająco:

— Te rzeczy już nie istnieją. Wszystkie potężne uczucia zatraciły się. Świat jest przeciętny, sflaczały, bezsilny. A szaleństwo i rozpacz stanowią siłę. Siła jest zbrodnią w oczach durniów, ludzi słabych i ludzi naiwnych, którzy rządzą kurnikiem. Wy jesteście przeciętni. Verloc, którego sprawie policja ukręciła łeb tak gładko, był przeciętny. No i policja go zamordowała. Był przeciętny. Każdy jest przeciętny. Szaleństwo i rozpacz! Dajcie mi je za dźwignię, a poruszę świat<sup>96</sup>. Ossipon, wyrażam wam swoją szczerą pogardę. Wy nie jesteście w stanie nawet zamierzyć tego, co przeciętny zapasiony obywatel nazwałby zbrodnią. Nie ma w was siły.

Zamilkł, uśmiechając się szyderczo pod srogim połyskiem grubych okularów.

— I pozwólcie sobie powiedzieć, że nie przybyło wam oleju w głowie od tego małego spadku, co to mówią, żeście się go dochrapali. Siedzicie nad piwem jak mumia. Do widzenia.

— Chcecie go wziąć? — rzekł Ossipon, spoglądając na Profesora z idiotycznym uśmiechem.

— Co wziąć?

— Spadek. Co do grosza.

Nieprzekupny Profesor tylko się uśmiechnął. Odzienie jego było prawie w strzępach, buty, bezkształtne od lat, ciężkie jak ołów, nasiąkały wodą za każdym krokiem. Rzekł:

— Poślę wam wkrótce mały rachunek za chemikalia, które jutro obstaluję<sup>97</sup>. Potrzebuję ich na gwałt. Zgoda?

Ossipon skłonił powoli głowę. Był sam. „Nieprzenikniona tajemnica”... Wydało mu się, że widzi zawieszony w powietrzu własny mózg, drgający w rytm pewnej nieprzeniknionej tajemnicy. Mózg najwyraźniej chory... „Nad tym czynem szaleństwa lub rozpacz”.

Pianola u drzwi zagrała walca z beczelnym zacięciem i nagle umilkła jakby rozszłoszczona.

Towarzysz Ossipon, zwany Doktorem, wyszedł z piwiarni. U drzwi zawahał się, mruczając oczy w słońcu, które nie świeciło nazbyt wspaniale. Dziennik z notatką o samobój-

<sup>95</sup>Apollo (mit. gr.) — bóg słońca i światła, klasyczny ideał męskiego piękna. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>Dajcie mi je za dźwignię, a poruszę świat — nawiązanie do słów Archimedesa, staroż. matematyka, fizyka i inżyniera: „Dajcie mi punkt oparcia i dźwignię, a poruszę Ziemię”. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>obstalować — zamówić, zlecić wykonanie czegoś. [przypis edytorski]

stwie kobiety spoczywał w kieszeni Ossipona; serce jego biło, uderzając o ten dziennik. Samobójstwo kobiety — „czyn szaleństwa lub rozpacz”.

Szedł ulicą, nie patrząc, gdzie stawia nogi, i nie zdążając na miejsce spotkania z pewną kobietą — podstarzałą wychowawczynią, która pokładała ufność w boskiej głowie przypominającej Apolla. Szedł w kierunku przeciwnym. Nie chciał mieć do czynienia z żadną kobietą.

Był zgubiony. Nie mógł ani myśleć, ani pracować, ani spać, ani jeść. Natomiast zaczął pić z przyjemnością, z wyczekiwaniem, z nadzieją. Był zgubiony. Jego kariera rewolucyjna, wspierana uczuciami i zaufaniem wielu kobiet, zachwiała się z powodu niedocieczonej tajemnicy — tajemnicy ludzkiego mózgu pulsującego nienormalnie w takt dziennikarskich frazesów... „Zawisnie chyba na wieki...” zwiesił głowę nad rynsztokiem... „szaleństwa lub rozpacz...”

— Jestem poważnie chory — mruknął do siebie z wnikliwością człowieka nauki. Jego krzepka postać, z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi odziedziczonymi po panu Verlocu (dostarczył ich tajny fundusz pewnej ambasady), kroczyła środkiem rynsztoka, jak gdyby Ossipon już się zaprawiał do zadań nieuniknionej przyszłości. Pochylał szerokie ramiona i głowę o boskich kędziorach, niby przygotowując się do dźwignięcia skórzanego jarzma tablicy reklamowej<sup>98</sup>. Podobnie jak owej nocy, przeszło tydzień temu, towarzysz Ossipon szedł, nie zważając, gdzie stawia nogi, nie czując zmęczenia, nie czując w ogóle nic, nie widząc nic, głuchy na wszystko. „Nieprzenikniona tajemnica...” Szedł wśród ludzi mijających go obojętnie... „Nad tym czynem szaleństwa lub rozpacz”.

A nieugięty Profesor szedł również przed siebie, odwracając wzrok od ohydnych, nieprzeliczonych tłumów. Nie istniała dla niego przyszłość. Lekcewał ją. Był potęgą. Pieścił się w myśli obrazami zniszczenia i zagłady. Szedł drobny, niepozorny, obszarpany, nędzny — i straszliwy w prostocie swej idei, przywołującej szaleństwo i rozpacz dla odrodzenia świata. Nikt na niego nie patrzył. Śmiercionośny jak zaraza, sunął, nie budząc podejrzeń, ulicą pełną ludzi.

---

<sup>98</sup>dźwignięcia skórzanego jarzma tablicy reklamowej — mowa o popularnych w XIX w. dużych tablicach reklamowych noszonych przez ludzi na piersiach i na plecach, za pośrednictwem pasów umożliwiających zawieszenie ciężaru na ramionach. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/conrad-tajny-agent>

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, Tajny agent, tłum. A. Zagórska, Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”, Warszawa 1939.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) we współpracy z Krakowskim Biurem Festiwalowym i Krakowem Miastem Literatury UNESCO.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica, Zofia Chemperek.

ISBN 978-83-288-5253-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).